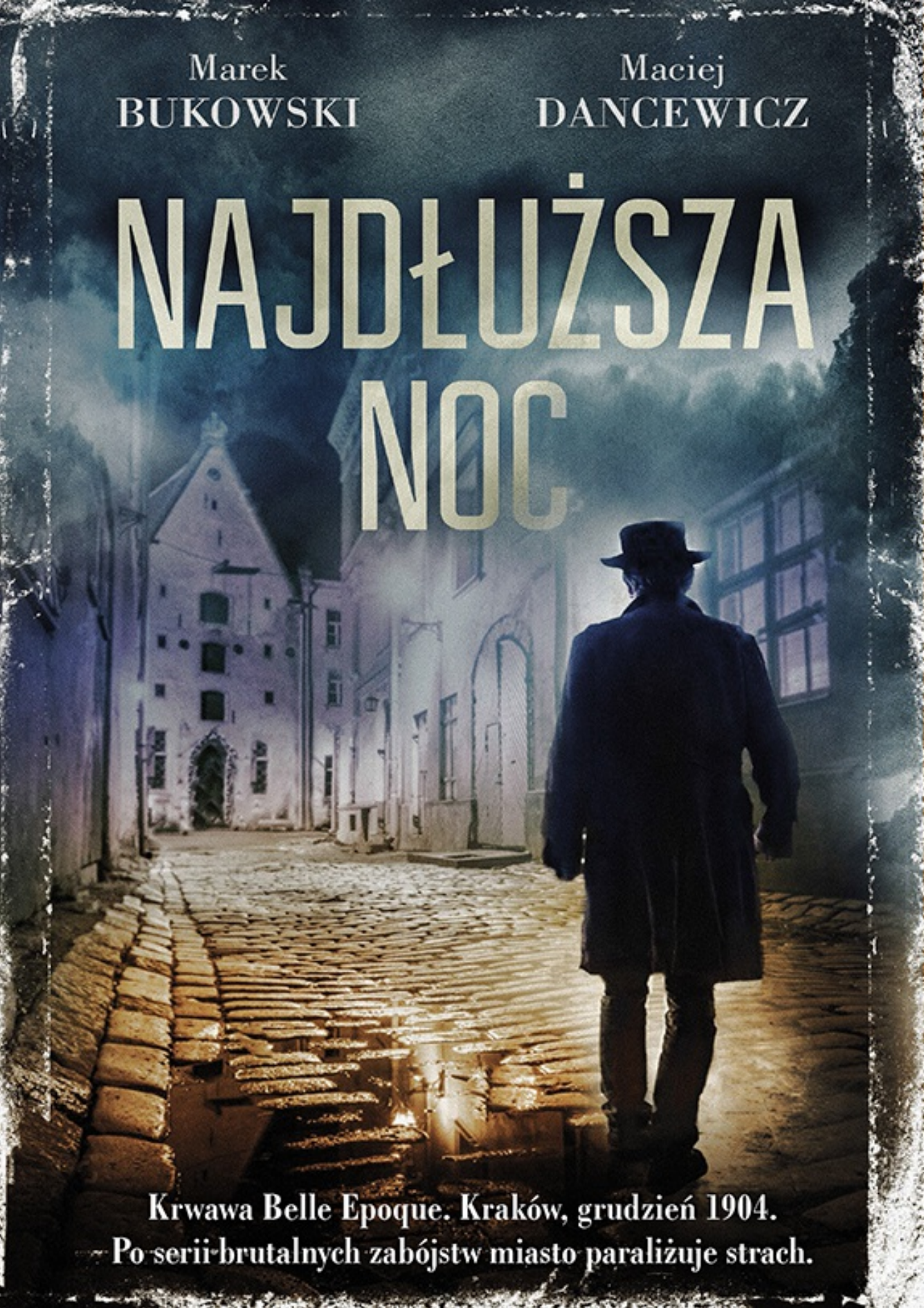


Marek
BUKOWSKI

Maciej
DANCEWICZ

NAJDŁUŻSZA NOC

A man in a dark coat and hat is walking away from the camera down a narrow, cobblestone street at night. The street is illuminated by a warm, golden light, possibly from a street lamp, creating a strong contrast with the dark surroundings. The buildings on either side are old and multi-story, with some windows visible. The overall atmosphere is dark and mysterious.

Krwawa Belle Epoque. Kraków, grudzień 1904.
Po serii brutalnych zabójstw miasto paraliżuje strach.

Marek
BUKOWSKI

Maciej
DANCEWICZ

NAJDŁUŻSZA NOC



WARSZAWSKIE WYDAWNICTWO LITERACKIE

Stał się nowy, niepojęty cud.

*Śmierć. I to śmierć dziwna, fantastyczna,
bezprawa i bezcelowo okrutna.*

*Ustalone, wyrozumowane, zgodne
z rzeczywistością prawa życia i wynikające
z nich prawa moralne w puch rozbił jakiś
piorun, jakieś ZŁO, działające bez sensu,
bez celu, dzikie i nieobliczalne.*

*ZŁO ostateczne, wszechpotężne,
a bezrozumne.*

*ZŁO, którego żywiołem chaos,
a skutkiem rozpacz niema, bezbronna
i sama w sobie nierozumna.*

FRANCISZEK MIRANDOLA

Spis treści

Strona tytułowa

Motto

1	2	3	4	5	6	7	8	9	10	11	12
13	14	15	16	17	18	19	20	21	22		
23	24	25	26	27	28	29	30	31	32		
33	34	35	36	37	38	39	40	41	42		
43	44	45	46	47	48	49	50	51			

Epilog

1

Czternastego grudnia 1904 roku pogoda w Krakowie była marna. Królewskie miasto zasnuwały częste w tym miesiącu mgły, które nasycone dymami z kominów tworzyły lepką i smrodliwą zawiesinę. Kaszel i migreny dotykały niemal wszystkich, niezależnie od stanu i posiadanego majątku. Wyjątek stanowili ci nieliczni, którym dana była możliwość spędzenia ostatnich ponurych jesiennych tygodni w swoich wiejskich rezydencjach bądź w willach coraz to modniejszego Zakopanego, którego walory wzrosły w momencie otwarcia linii kolejowej.

Ten 14 grudnia w sumie nie różniłby się niczym od tysięcy podobnych mu, minionych dni grudniowych, gdyby nie fakt, którym potem żyła przez kilka tygodni krakowska prasa, a za nią całe miasto.

Zacząło się wcześnie rano, bladym świtem. A właściwie jeszcze w nocy, gdy pierwsze promienie dnia ledwo co docierały na ziemię. Było więc prawie ciemno.

Wawrzyniec Pilejczyk, miejski latarnik, właśnie zaczynał swój obchód, by jak najszybciej pogasić gazowe latarnie na Plantach. Miał przykazane zapalać je jak najpóźniej, a gasić najwcześniej, jak się da. Krakowscy rajcy byli oszczędni, miasto dopiero podnosiło się z wieloletniego upadku, więc liczył się każdy cent.

Lampy uliczne nie były wysokie, miały od dwa i pół do trzech metrów. Trzeba natomiast powiedzieć, że były ładne i prawdziwie zdobiły miasto. Ich żeliwna, pełna wypukłych ozdób noga zwieńczona była lampionem w formie uciętego z dwu krańców stożka. Lampiony miały cztery szybki, w tym jedną oprawioną w małe drzwiczki. Latarnik, chcąc zapalić lub zgasić latarnię, musiał najpierw te drzwiczki uchylić, następnie sięgnąć do umieszczonego tuż pod palnikiem zaworu i otworzyć go wieczorem lub zamknąć bladym świtem. Sam palnik składał się z wąskiej miedzianej rurki, zakończonej małą kulką z azbestu. Gdy nastąpił zapłon, to właśnie na azbeście palił się gaz. Światło było

sinoniebieskie, mało przyjemne dla oka, ale zawsze lepsze to niż ciemność.

W Krakowie zaczęto się już przymierzać do oświetlenia elektrycznego, którego uroczysta inauguracja przez władarzy miasta zapowiedziana została na połowę lutego przyszłego roku. Jednak na razie wyposażono w nie tylko Teatr Miejski przy placu św. Ducha, który jako jedyny z budynków miał własną elektrownię. Za sprawą tego właśnie teatru funkcjonujące zaledwie od trzech lat wodociągi miejskie ruszyły z dziesięcioletnim opóźnieniem, bowiem rajcy miejscy planowane na ich budowę fundusze zdecydowali się przeznaczyć na wzniesienie gmachu teatru.

I właśnie od miejsca, gdzie od ponad dziesięciu lat stał monumentalny Teatr Miejski, każdego wieczoru Pilejczyk rozpoczynał swój obchód. Szedł Plantami uzbrojony w długi półtorametrowy kij, na którego końcu tkwiła tulejka z grubej blachy, z wywierconymi u góry kilkoma okrągłymi otworami. W dole tulejki zamocowany był zbiorniczek na denaturat i tam też tkwił knot. Do tulejki przylegał kawałek metalowego pręta, długości około dziesięciu centymetrów. Tym sztyftem latarnik Pilejczyk otwierał drzwiczki z szybką, a potem pociągał dźwignię kranu gazu. Następnie wkładał do lampionu płonąca tuleję, od której zapalał się gaz.

Świtem natomiast latarnik wychodził na miasto i sprawnym ruchem, za pomocą zakrzywionego na jednym końcu metalowego drutu, otwierał drzwiczki lampionu, potem zmacawszy drutem kurek, zamykał go, następnie drzwiczki i szedł do kolejnej latarni.

Wawrzyniec Pilejczyk nie był miejskim pracownikiem na etacie. Miesięcznie dostawał za swoją pracę niewiele, ale ten zarobek dodany do jego stałego zajęcia – a miał mały warsztat stolarski – znaczył sporo w rodzinnym budżecie.

Tego ranka, 14 grudnia 1904 roku, ulice Krakowa i same Planty były właściwie puste. Pilejczyk nie marnował czasu i błyskawicznie przechodził od latarni do latarni. Mrozu nie było, ale panował chłód i przenikliwa wilgoć.

Mijając jedną z ławek w pobliżu Barbakanu, spostrzegł siedzącą na niej kobietę. Przeszedł obok niej, ale zawrócił. Zastanowiła go ta siedząca na zimnie postać. Ubrana była w prostą jasnobrązową sukienkę, bez płaszczka czy

jakiegokolwiek narzutki. Siedziała nieruchomo, głowę miała okręconą chustą, w rękach, ułożonych symetrycznie na udach, trzymała jakąś nędzną torebkę. Nie ruszała się. Podszedł, chwilę się jeszcze kobiecie przypatrywał.

– Nic wam nie jest...? – zapytał.

Kobieta nie zareagowała.

– Słyszycie mnie?

Latarnik w końcu ujął rękę siedzącej kobiety i próbował ją unieść. Ręka opadła bezwładnie. Pilejczyk znieruchomiał, nie wiedział, co ma teraz zrobić. Rozejrzał się, ale wokół nie było nikogo.

Delikatnie odsunął chustę z twarzy kobiety. Zobaczył okropność – nie miała oczu, nie miała nawet powiek, jej oczodoły ziały krwawą pustką.

Laboratorium policji w Krakowie bardziej przypominało muzeum osobliwości niż placówkę, w której powinna panować nauka i jej reguły. W istocie trudno byłoby doszukać się jakiejś myśli sprawczej porządkującej ten bałagan.

W największych dwóch pokojach wzdłuż ścian umieszczono wielkie szafy z przeszklonymi drzwiami, w których na półkach stały słoje z zanurzonymi w formalinie częściami ludzkich ciał. W słojach zalegały przerośnięte serca, zdegenerowane latami picia alkoholu wątroby, zniszczone pylicą płuca górników z kopalni w Jaworznie i okolicach Olkusza.

Nie brakowało też wypreparowanych szkieletów bądź ich porozkładanych niczym klocki fragmentów. Krzywo zrosnięte kości kończyn, zdeformowane syfilisem czaszki, naturalne, wynikające z niedożywienia skrzywienia kośćca, a nade wszystko błyszczące w mroku, lekko tylko maźnięte dziennym światłem czaszki, których właściciele zeszli z tego świata w sposób nagły, w okolicznościach dających powód do założenia w Krakowie nowoczesnego laboratorium wydziału kryminalnego policji.

W innym miejscu tę osobliwą ekspozycję uzupełniała kolekcja różnego rodzaju narzędzi i przedmiotów codziennego użytku, z których część zatraciła swój praktyczny charakter, stając się *corpus delicti*. Od siekier ciesielskich bądź rzeźniczych toporów, młotków, a nawet górskich czekanów i oskardów różnej wielkości, poprzez noże kuchenne, brzytwy i zgrabne majchry ulicznych rzezimieszków, aż po bagnety różnej długości będące na wyposażeniu k.u.k. Feldarmee, gdyż i jej żołnierzom rekrutującym się z różnych warstw społecznych zdarzały się niecne występki, bynajmniej niewynikające z żołnierskiego obowiązku obrony granic i interesów monarchii Habsburgów.

Nie brakowało też licznych egzemplarzy i modeli broni palnej. Myśliwskie fuzje i drylingi, pistolety pojedynkowe, rewolwery czy coraz powszechniejsze

pistolety repetierowe otoczone były pociskami różnego kalibru. Te zaś stały równo obok siebie, dokumentując tym samym dramatyczne zdarzenia, często będące ostatnimi chwilami życia ofiar zbrodni, bowiem znajdujące się w gablocie pociski najczęściej zostały wyjęte z ciał denatów.

Osobliwą częścią laboratorium był zbiór kuriozalnych przypadków medycznych, z których najbardziej makabryczne wydawały się zdeformowane ludzkie embriony, ledwo urodzone jednookie cyklopy, syjamskie bliźnięta, czy przypominające maskarony z gotyckich katedr potworki, po których urodzeniu matka, o ile przeżyła poród, narażona była na wiejski ostracyzm zakończony, w najlepszym wypadku, wygnaniem ze wsi za cielesne stosunki z diabłem.

Całości tej makabry dopełniała skrupowana starymi sznurami, wyschnięta i pokurczona mumia w kolorze suchego błota, którą gospodarz tego miejsca, doktor Henryk Skarżyński, zakupił od murarzy wznoszących reprezentacyjną kamienicę w miejscu, gdzie w czasach Rzeczypospolitej stał jeden z rozebranych przez Austriaków jakieś sto lat temu kościołów. Mumia musiała należeć do osoby nawiedzanej psychiczną chorobą, której zachowanie uznano za wynik opętania, i po uśmierceniu bądź długim więzieniu postanowiono zamurować gdzieś w lochach dawnego kościoła.

Największą ścianę laboratorium zajmowała szkolna tablica. Towarzyszyły jej kolorowe plansze poglądowe z wzorami chemicznymi, z rysunkami oddającymi anatomię człowieka, a nawet opisującymi tor balistyczny pocisku wystrzelonego z karabinu i rewolweru. Nie zabrakło też plansz przedstawiających różnego rodzaju owady w kolejnych etapach rozwoju – od złożonych przez samicę jaj, poprzez larwę, aż do dorosłego osobnika, którego życie polegało na oczyszczaniu świata z padliny. Pod ścianą, przy oknach, ulokowano trzy biurka. Na jednym z nich stał mikroskop, a obok fonograf Edisona.

W mniejszym z pokoi, którego podłoga i ściany wyłożone były kafelkami, zamontowano wyżłobiony kamienny stół do sekcji zwłok wraz z przerażającymi narzędziami i równie przerażającymi kubłami. W pobliżu tego makabrycznego mebla znajdowała się kratka ściekowa, wmontowana w mozaikowate ceramiczne płytki podłogowe, co czyniło z tego przybytku nauki miejsce

jeszcze bardziej nieprzyjemne.

Doktor Henryk Skarżyński, pracujący w tym momencie przy mikroskopie, robił notatki z tego, co dostrzegał w okularze urządzenia, gdy korytarzem poniósł się dźwięk miarowych kroków, po czym do drzwi ktoś energicznie zapukał. Skarżyński rozpoznał ten dźwięk. Policjanci na całym świecie pukają tak samo. Nie odrywając oka od okularu mikroskopu, rzucił konkretnie:

– Wejść!

Jedno ze skrzydeł wysokich białych drzwi otworzyło się i stanął w nich ubrany w czarny surdut, szczupły, około trzydziestoletni mężczyzna z wąsem.

Skarżyński, nadal nie podnosząc głowy znad mikroskopu, spytał.

– Co tam pan ma, panie Kazanecki?

Zygmunt Kazanecki był asystentem kryminalnym krakowskiej policji i to jego właśnie powiadomiono o znalezionych na Plantach zwłokach kobiety z wyłupionymi oczami. Pierwsza katedra medycyny sądowej powstała co prawda w Krakowie sto lat temu, ale dopiero od pewnego czasu, to jest od momentu, gdy w Krakowie sędzia śledczy August Iżewski, wzorem europejskich stolic, otrzymał ze Lwowa odpowiednie subsydia na stworzenie czegoś w rodzaju nowoczesnego biura kryminalnego przy tutejszej policji, każde zwłoki, co do których zachodziło podejrzenie, że należały do osoby zmarłej w wyniku przestępstwa bądź nie do końca jasnych okoliczności, trafiać miały do prowadzonego przez doktora Henryka Skarżyńskiego laboratorium. Zgodnie z tym zaleceniem asystent Kazanecki co jakiś czas pojawiał się w towarzystwie krępych noszowych o zmęczonych twarzach, którzy zajeżdżali pod tylne wejście gmachu dyrekcji policji charakterystycznym, zakrytym wozem, jakim przewożono denatów.

Kazanecki, nie pytając o pozwolenie, otworzył zamki bocznego skrzydła drzwi, tak by noszowi z tragami mogli swobodnie wejść do wnętrza laboratorium. Machnął bez słowa ręką w stronę korytarza, po czym odsunął się, robiąc miejsce przy wejściu.

Do laboratorium weszli dwaj ponurzy mężczyźni, taszcząc na noszach przykryte szarym kocem ciało. Na znak Kazaneckiego położyli nosze na

podłodze. Ten zamknął drzwi i w milczeniu pochylił się nad zwłokami, odsłaniając koc. Skarżyńskiemu ukazała się twarz kobiety o dość delikatnych rysach, którą ktoś w bestialski sposób pozbawił oczu. Kazanecki, po krótkiej chwili, wyjaśnił:

– Okaleczone zwłoki niezidentyfikowanej kobiety, znalezione na Plantach. Pewnie prostytutka. Nikt nie zauważył nic podejrzanego. Powiadomiłem już komisarza Jelinka.

Skarżyński pochylił się nad trupem. Przyjrzał się nadgarstkom kobiety, potem jej szyi, po czym wstając, powiedział:

– Przenieście ją do sali sekcyjnej i połóżcie na stole.

3

Na kamiennym stole leżały przykryte prześcieradłem zwłoki kobiety znalezionej przez latarnika na Plantach. Wokół nich zgromadzili się: sędzia śledczy August Izewski, komisarz policji Rudolf Jelinek oraz stojący w białym fartuchu po przeciwnej stronie stołu doktor Henryk Skarżyński.

Wysoki, elegancko ubrany w czarny surdut i białą koszulę ze sztywnym kołnierzykiem, ozdobionym szarym krawatem, sędzia Izewski spojrzał bez zbędnych słów na doktora. Oznaczało to przyzwolenie, aby ów młody lekarz – który po zakończeniu z wyróżnieniem studiów medycznych na krakowskim uniwersytecie, ku ogólnemu zdziwieniu, postanowił w Instytucie Kryminalistyki w Grazu zgłębiać tajniki nowej dziedziny nauki, jaką była medycyna sądowa – przedstawił swoje wnioski.

Skarżyński zsunął sprawnym ruchem prześcieradło, odkrywając drobne ciało denatki. Nagość zwłok spowodowała pewną dającą się wyczuć konsternację u korpulentnego, niemal pięćdziesięcioletniego komisarza Rudolfa Jelinka, którego małe oczka starały się nie dostrzegać kobiecych zaokrąglenia denatki, potraktowanej w tak bestialski sposób.

Będący jego całkowitym przeciwieństwem, o prawie dekadę starszy sędzia Izewski stał wyprostowany, dostojnie, jak przystało na kogoś, kto szanuje majestat śmierci, choćby była to nawet śmierć zadana w sposób gwałtowny osobie o podejrzanej proweniencji. Na widok okaleczonej twarzy denatki sędzia przymknął tylko oczy, po czym pogładził wypielegnowaną, krótką szpakowatą brodę, zdobiącą jego twarz o szlachetnych rysach. Potem spojrzał na Skarżyńskiego i delikatnie skinął głową. Na ten gest doktor Skarżyński rozpoczął swoją analizę.

– Kobieta około dwudziestoletnia, drobnej budowy ciała. Wzrost metr sześćdziesiąt. Waga około pięćdziesięciu kilogramów. W momencie odnalezienia zwłok nie żyła już od kilkunastu godzin. Zgon zatem nastąpić

musiał wieczorem dnia poprzedniego. Świadczą o tym plamy opadowe, których układ pozwala na stwierdzenie, że zwłoki przez pierwsze dwie godziny musiały leżeć w pozycji poziomej, a dopiero potem ktoś je przeniósł i umieścił w pozycji siedzącej, w której ofiara została znaleziona, o czym świadczy stężenie pośmiertne.

– Zatem zgon nie nastąpił na Plantach? – zapytał sędzia.

– Z wszelkim prawdopodobieństwem nie. Ale w pozycji leżącej wyłupiono jej oczy. Użyto do tego ostro zakończonych narzędzia, którym następnie odcięto powieki. Jednak nie był to skalpel czy jakieś fachowe narzędzie chirurgiczne. Nawet nie brzytwa, a raczej zwykły ostry nóż. Potem dopiero ciało podrzucono na Planty.

– Zatem można stwierdzić, że okaleczono ją dopiero po śmierci? – Sędzia zadał to pytanie z nadzieją, że młodej i najprawdopodobniej za życia ładnej dziewczynie oszczędzono dodatkowych cierpień.

Skarżyński wyjął z kieszeni fartucha ołówek i posługując się nim jak wskaźnikiem, wskazał szyję denatki, na której widniała sina pręga.

– Tak. Ofiara została uprzednio uduszona. Dowodem na to jest ten oto ślad na szyi, a nade wszystko przemieszczona kość gnykowa. Aby tego dokonać, morderca musiał użyć sporej siły. Taki efekt najlepiej można osiągnąć, stojąc za ofiarą. Morderca musiał zatem stać z tyłu i zacisnąć pętlę. Jednak wykluczam użycie sznura, który zostawiłby zupełnie inny ślad. Narzędziem zbrodni było coś w rodzaju telegraficznego drutu, który przy zaciskaniu niemal przeciął skórę denatki. Kąt nacięcia każe domniemywać, że morderca był dużo wyższy albo, co bardziej prawdopodobne, stał za siedzącą przed nim ofiarą, co może potwierdzać jeszcze kilka detali.

– Wiemy, kim mogła być ta dziewczyna? – Tu sędzia spojrzał na Jelinka.

Komisarz Jelinek wyprężył się po wojskowemu, który to odruch pozostał mu po służbie w żandarmerii.

– Przy denatce nie znaleziono żadnych dokumentów ani charakterystycznych przedmiotów mogących przybliżyć nas do poznania jej tożsamości. Torebka, poza resztkami jakichś zeschniętych liści, była pusta. Brak medalika, obrączki,

czegokolwiek. Zakładam zatem bestialskie morderstwo połączone z rabunkiem. Miejsce, w którym została znaleziona, może świadczyć o tym, że denatka parała się nierządem.

– Pewnie padła ofiarą jakiegoś zwyrodnialca... Tylko po co ten teatr? Gdyby chciał się pozbyć zwłok, chyba nie taszczyłby jej z powrotem na Planty? – zastanawiał się głośno Iżewski.

Jelinek uśmiechnął się pod wypomadowanym, zakręconym ku górze wąsem, takim samym, jaki nosił następca tronu arcyksiążę Franciszek Ferdynand. Wprawdzie uznawał lekarski fach Skarżyńskiego, jednak do jego spostrzeżeń w dziedzinie kryminalnej odnosił się z dużym sceptycyzmem, nie do końca zgadzając się z teoriami doktora.

– Mając na uwadze wypadki, jakie miały miejsce przed laty w Londynie, od razu skonstatowałem, że możemy mieć tu do czynienia z czymś podobnym. To było do przewidzenia, że zbyt szeroki dostęp do taniej literatury detektywistycznej, w której nie brak historii zdegenerowanych, w końcu spowoduje pojawienie się jakiegoś naśladowcy Kuby Rozpruwacza. Kazałem zrobić wywiad w półświatku prostytutek. Oczywiście na razie żadna z przepytanych nic nie wie i niczego podejrzanego nie widziała. Ale proszę dać mi nieco więcej czasu. Z nimi tak zawsze...

Skarżyński przysłuchiwał się temu wywodowi, jednak zamiast czekać na jego dalszy rozwój, pozwolił sobie na przerwanie przełożonemu.

– Pan wybaczy, panie komisarzu, że mu wejdę w słowo, ale raczej wykluczyłbym fakt parania się nierządem przez denatkę.

– A to dlaczego? – zaperzył się Jelinek, zaskoczony i nierad z tego, że w obecności sędziego Iżewskiego podległy mu i w dodatku dużo młodszy człowiek nie pozwala dokończyć jego przygotowanego zawczasu występu.

– Z prostej przyczyny. Ofiara była dziewczicą. Nie ma też żadnych śladów próby dokonania na niej gwałtu. Bielizna była nienaruszona, pod paznokciami brak śladu obcego naskórka. Nie broniała się. Musiała zostać zaskoczona i, jak już powiedziałem, nie zamordowano jej na Plantach. Widzą panowie to zaczerwienienie wokół ust, w pobliżu nosa?

Skarżyński wskazał ołówkiem na niewielką plamę na bladej skórze zamordowanej, a kiedy obaj jego szefowie pochyłili się nad zmasakrowaną twarzą kobiety, zaczął mówić dalej.

– Takie podrażnienie mógł wywołać chloroform, którym pozbawiono tę nieszczęsną dziewczynę przytomności. Zatem najpierw ją obezwładniono, a dopiero potem uduszono w jakimś ustronnym miejscu bądź mieszkaniu. Co ciekawe, na nadgarstkach zachowały się ślady otarcia. Z podobnymi, choć nieco mniejszymi śladami mamy do czynienia na kostkach. Również sukienka na wysokości pach nosi ślady wytarcia. Musiała zostać przywiązana do krzesła, z którego to skrępowania próbowała się uwolnić.

Sędzia Izewski zasepił się wyraźnie.

– Panowie. Oczekuję od was sprawnego działania i... – tu zawiesił głos, spoglądając na Jelinka – ...i współdziałania.

Jelinek ze Skarżyńskim popatrzyli na siebie, rozumiejąc aluzję przełożonego.

– Chcę wiedzieć możliwie jak najszybciej, kim była denatka – rzekł autorytarnie, niemal po królewsku, Izewski. – Zanim miejscowe pismaki zrobią z tego poczytną sensację, komplikując dalsze śledztwo, i wystraszą pół miasta przed świętami, macie rozwiązać tę sprawę. Panie komisarzu Jelinek, proszę mnie informować o każdym zgłoszeniu zaginięcia kobiety w podobnym wieku.

Jelinek skinął energicznie głową w geście posłuszeństwa.

– Skoro, jak sądzi pan doktor Skarżyński, ofiara nie była prostytutką, proszę też przepytac w CK Fabryce Tytoniu, może im zaginęła jakaś robotnica. Popytajcie tamtejszych dziewczyn.

– W Cygarfabryce? – zapytał Jelinek tonem, którego natychmiast pożałował.

– Tak, w Cygarfabryce – sędzia powtórzył z naciskiem potoczną nazwę największej w Krakowie fabryki.

– Tam pracuje blisko tysiąc kobiet – próbował polemizować Jelinek. – Kto by je tam spamiętał? Jak jedna nie przyjdzie do pracy, to na jej miejsce są trzy następne. Zima prawie, w polu roboty nie ma. Pełno wiejskich wyrobnic, chętnych do pracy, a...

– Panie komisarzu Jelinek! – Sędzia przerwał podwładnemu, który nagle

zastygł w pół zdania. – Słuchaj pan, jak do pana mówię...

Wypowiadając te słowa, sędzia popatrzył Jelinkowi prosto w oczy. Kiedy się upewnił, że dalszych negacji dotyczących jego wytycznych nie będzie, spojrział raz jeszcze na zwłoki dziewczyny, po czym ciężko westchnął i odwrócił się w stronę wyjścia.

Jan lubił ten moment. Krótki koniec nocy i nagły, szybki wybuch dnia. Słońce gwałtownie wypływało spod horyzontu, ostrym światłem zalewając nieboskłon i całą przestrzeń ziemi. Oglądał to na równiku nie raz i nie dwa, ale ciągle lubił patrzeć na to gwałtowne pojawianie się życia.

Motory milczały, załoga spała – poza Janem i dwoma marynarzami. Stali na redzie, czekając na wejście do nabrzeża.

Teraz, oparty o reling, patrzył na port. W mroku dostrzegał zaledwie kilkanaście postaci, które leniwie przesuwają się w sobie tylko wiadomych kierunkach – jak wycinane z papieru figurki w chińskim teatrze cieni.

Na sąsiednich statkach stojących na redzie zaczął się cichy koncert okrętowych dzwonów – kończyła się druga wachta. I wraz z tymi dzwonami pojawiło się słońce, niczym kula ognia wypłynęło spod horyzontu, szybko podniosło się prawie pod zenit i zastygło.

Jan założył ciemne okulary. I wystarczyła ta chwilka na założenie szkieł, a port był już pełen ludzi. Jedni pędzili z ręcznymi wózkami, na które drudzy szybko ładowali paki, bele, zwoje, beczki i skrzynki. Port, ci ludzie, przedmioty, wszystko nagle znalazło się w ruchu. Tak jakby słońce w istocie było bogiem życia. W tym ruchu, wirowaniu, bieganiu tłumów port wyglądał z pozoru jak Przedwieczny Chaos, choć w istocie było to rojowisko pszczół, w którym każda z robotnic ma do wykonania swoją pracę.

Zachodnie porty zatrudniały znacznie mniej ludzi, w Europie i Ameryce dominowały w przestrzeni ogromne dźwigi i suwnice. Tutaj było ich niewiele i mniejszych. No cóż, w Azji dźwigi były droższe niż ludzie. Jednak pod względem wartości obracanych towarów Singapur stanowił potęgę.

Sama nazwa Singapur pochodzi od zbitki dwóch sanskryckich słów *singa* (lew) i *pura* (miasto), co władający miastem Brytyjczycy odczytywali jako przedwieczny znak, że miasto będzie jednym z klejnotów korony brytyjskiego

lwa.

– Dają sobie radę, co?

Jan obejrzał się. Za nim stał kapitan Burn, wysoki i chudy Anglik.

– Niesamowite – powiedział Jan cicho, jakby nie chcąc zburzyć sobie obrazu portu.

– Ja też ich podziwiam, u nas za takie pieniądze nikt nie wstałby z łóżka.

– Może nie mają innego wyjścia?

– Ee tam... – Burn machnął ręką, bowiem jakikolwiek by był powód, dla którego ta masa ludzi obcej rasy musiała tak ciężko pracować, mało go to obchodziło. – W całej Azji jest podobnie. Bombaj, Madras, Szanghaj, Hongkong... Kiedy był pan pierwszy raz w Chinach?

– Pierwszy raz wpłynąłem do Chin, kiedy służyłem na krążowniku „Maria Theresa”. To było w tysiąc dziewięćsetnym roku.

– No tak, mówił pan coś o swojej służbie – przypomniał sobie Burn, po czym nabrał w płuca powietrza i westchnął zadowolony. – Tysiąc dziewięćsetny rok. Koniec starego świata. Dwudziesty wiek, to będzie piękny wiek, panie Janie. Piękny... – uśmiechnął się pod rudym wąsem i popatrzył w dal na krzątające się w oddali ludzkie sylwetki. – A swoją drogą, te pańskie Austro-Węgry to ciekawy przypadek. Mają skrawek Adriatyku, słabe tradycje morskie i wielkie marzenia o silnej flocie.

Jan nic nie odpowiedział. Burn miał rację. Tradycje morskie Austro-Węgień w porównaniu z Imperium Brytyjskim faktycznie nie były imponujące. Epizodyczne zwycięstwo admirała Wilhelma von Tegetthoffa pod Lissą, mit założycielski floty monarchii Habsburgów, o jakim uczono go w szkole... Nie mogło się to równać z czynami admirała Nelsona. Nie podobało mu się tylko stwierdzenie „pańskie Austro-Węgry”, bo choć był poddanym Franciszka Józefa I, z jego państwem zbytnio się nie identyfikował.

Pomilczeli chwilę, patrząc na port, po czym przeszli bliżej dziobu. Mała motorówka z pilotem przybijała już do ich prawej burty, albowiem za godzinę „Legion”, tak nazywał się ich statek, miał rozpocząć wyładunek towarów wytworzonych specjalnie dla Azjatów w przemysłowych miastach Anglii.

– No i znowu jesteśmy w Brytanii – uśmiechnął się Burn, spoglądając na powiewającą w oddali na jednym z budynków kapitanatu flagę Imperium. – Można okrążyć kulę ziemską i cały czas być u siebie. To piękne... A co do tutejszych, to jak naród daje się podbić, nędza staje się bliźniaczą siostrą niewoli.

– Mówi pan do syna podbitego narodu... – Tym razem Jan wyprostował się odruchowo, ale nie powiedział nic więcej, zdjął tylko okulary i przetarł je chusteczką.

– Panie Janie, nie zaczynajmy znowu tych rozważań. Z wami przecież to co innego, wszyscy jesteśmy Europejczykami. Nie jest pan Malajem czy Hindusem.

– Myślę – odparł Jan – że bardziej niż narodowość określają nas własne uczynki.

– Oczywiście, naturalnie... Niemniej, jeżeli już jest się dobrym człowiekiem, to nie zaszkodzi być Anglikiem, Szkotem, a w ostateczności Irlandczykiem.

Kapitan zrozumiał, że może ze swoją narodową dumą trochę przesadził, wysilił się więc na anegdotę, w jego mniemaniu pasującą do sytuacji.

– Z całym szacunkiem, panie Janie... Mówią, że Irlandczycy są bardzo podobni do was, Polaków.

– To znaczy? – spytał bez większego entuzjazmu Jan.

– Po pierwsze, są katolikami jak większość Polaków. Po drugie, tak jak wy potrafiać dużo wypić, po trzecie, ziemniak stanowi podstawę waszych kuchni, a po czwarte, cały czas walczą o wolność.

Burn zaśmiał się i klepnął Jana w plecy.

– Dobre, nie?

Jan uśmiechnął się lekko. Był to raczej wyraz refleksji niż wesołość spowodowana anegdotą. Burn zachowywał się, jak przystało na typowego ignoranta, przekonanego o wyższości swojego świata nad innymi. Nie robił tego specjalnie, po prostu wychodziło to z niego w sposób naturalny. Dla tego Anglika jacyś Polacy, Irlandczycy czy Włosi, z tymi swoimi komicznymi fanaberiami na temat wolności, zjednoczenia, ze swoją całą poplątaną

najnowszą historią, byli co najwyżej jak ubodzy krewni, których w poczuciu fałszywej troski, od czasu do czasu, zapyta się o zdrowie ich dzieci, nie pamiętając przy tym imienia żadnego z nich. Może i jesteście odważni, czasem nawet sympatyczni. Możemy was lubić, ale córki za takiego jak wy nie wydamy.

Dawniej takie zachowanie strasznie go drażniło. Teraz zdążył się już przyzwyczać. Przypominało mu to stosunek, jaki wielu szlachetnie urodzonych rodaków przejawiało do swoich prawosławnych poddanych na wschodnich ziemiach dawnej Polski. To, o czym mówił mu ojciec. To, co ojciec z towarzyszami broni w 1863 roku chciał zmienić i za co trafił na Syberię. Tak... Tam, gdzieś nad Niemnem, Prypecią czy Dnieprem, Polacy byli Anglikami i tak jak Anglików w głębi duszy musiano ich nienawidzić. Trzeba było zaciągnąć się pod brytyjską banderę, żeby dopiero to zrozumieć.

Burna trochę zawiodło to, że chyba Jan nie pojął przedniego dowcipu, udał więc troskę.

– Pan jest, tak ogólnie, bardzo smutny, a może nawet ponury. A ja w pana wieku: śpiew, wino i dziewczynki. Już panu mówiłem, większość marynarzy wygnały na morza kobiety. Broń Boże, nie wnikam w pańską szlachetną duszę, ale niech mi pan wierzy, że nic tak nie koi bólu złamanego serca jak kołysanie morskich fal. To zawsze musi potrwać, ale minie. Przepraszam, jeśli w jakimś stopniu pana uraziłem.

Jan kiwnął głową, co mogło oznaczać, że się nie gniewa. Tym bardziej że w tym przypadku Anglik niewiele się pomylił.

– No, nieważne. Przegadaliśmy już o tym niejedną noc – zakończył Burn, po czym dodał oficjalnie, jakby nie było poprzedniej rozmowy. – Jest pan gotowy na wejście do portu?

– Tak – odpowiedział Jan. – Jest już pilot.

– Nie wiedzieć czemu, zawsze się denerwuję. Tyle tych portów, tyle załadunków, rozładunków, a emocje są za każdym razem. Może to zresztą przypisane do naszego fachu. No, ale cóż... życie... Jutro wypływamy do Kapsztadu. Święta przyjdzie spędzić na „Legionie”. Pewnie wolałyby pan

w domu?

– Od pięciu lat moim domem są morza i porty, panie kapitanie – odrzekł Jan beznamiętnie.

– No i słuszny wybór. W takim razie spędzimy wspólnie moje urodziny. Dwudziestego pierwszego grudnia, jak co roku, zapraszam pana na popijawę. Tym razem spędzimy je nie w którymś z portów, a na morzu.

– Z pańskich zeszłorocznych urodzin niewiele pamiętam...

– Ja za to pamiętam je bardzo dobrze – zaśmiał się szeroko Burn, odsłaniając białe zęby. – San Francisco, chińska dzielnica – dopowiedział i klepnął Jana mocno w plecy. – No, to tymczasem, niech pan ogarnia sprawy w porcie – rzucił na odchodnym.

Jan wrócił do oglądania wybrzeża. Patrzył na ten ogrom towarów wysyłanych z Azji do Europy i na cały świat. Mimo wyśmienitego nastroju Burna wspomnienie o świętach wprawiło go w chwilowy kiepski humor. Niepowtarzalny nigdzie w świecie zapach i kolor polskiej Wigilii wciąż tlił się w jego pamięci. Niestety, bezpowrotnie stracił poczucie ciepła i bezpieczeństwa, jakie dawał mu rodzinny dom.

W swoich krakowskich, rodzinnych progach nie był już kilka lat. Dokładnie rzecz biorąc, od wiosny 1898 roku, kiedy to w wojennym porcie w Puli zaciągnął się jako jednoroczny ochotnik na służbę w austro-węgierskiej flocie. Od tego roku pozostawał z ojcem w konflikcie i całkowicie zerwał z nim stosunki. Jedynie od czasu do czasu korespondował z matką, wysyłając jej krótkie listy, w których głównie informował, że wszystko u niego w porządku. Rodzicom, a przede wszystkim ojcu, miał za złe, że nie stanęli po jego stronie, w czasie gdy trawiło go uczucie do hrabianki Konstancji Mirskiej.

Miłość Jana do Konstancji była jak niekontrolowana eksplozja potężnego ładunku wybuchowego, który niszczy wszystko wokół, a kiedy pył opada, okazuje się, że zostali tylko ona i on. Nie ma nic i jest wszystko zarazem, bo zakochani niczego ani nikogo oprócz siebie nie potrzebują. Od chwili, kiedy ją po raz pierwszy zobaczył, żył tylko dla niej i wydawało się, że ona istnieje już

tylko dla niego. Była przepiękna, jasna, przejrzysta, a jednocześnie zagadkowa, kochająca i kochana. Nie chcieli niczego od świata, ale świat najwyraźniej był innego zdania.

Według ojca Jana trwanie w tej miłosnej fanaberii było sprawą beznadziejną, z której może wyniknąć tylko nieszczęście. Chociaż sam wywodził się ze starej szlachty, a w jego żyłach płynęła krew tatarskiego wodza, od którego imienia – Edygej – ród wziął nazwisko, dobrze zdawał sobie sprawę, że Mirscy ewentualny związek Konstancji z jego synem uznają za mezalians i nigdy nań nie zezwolą.

Konstancja miała wtedy osiemnaście lat i była niezwykle piękną córką jednego z najbardziej wpływowych i najbogatszych arystokratów, nie tylko w Galicji, ale i w całej Przedlitawii^[1]. Jan był o trzy lata od niej starszym studentem medycyny, którego ojciec chciał zrobić swoim asystentem i dziedzicem swych demokratycznych idei. Idei, które różnice stanowe każą zwać zabobonem. W tym jednak przypadku Orest dobrze wiedział, że jego poglądy nie obronią syna w zderzeniu z realiami konserwatywnego świata, jakie wciąż panowały w Galicji. Może wśród Habsburgów zdarzały się mezalianse. Może, co jakiś czas, któryś z arcyksiążąt był wydziedziczany ze względu na miłość do kobiety niższego stanu. Zmieniał wtedy nazwisko i żył sobie szczęśliwie, korzystając z przyznanej mu przez panującego krewnego renty, byle tylko nie pokazywał mu się na oczy. Jednak tutaj, na wschodzie kraju, gdzie w wielkich latyfundiach magnackich jeszcze do niedawna można było chłopą kazać obić psiarczykom, co nieraz kończyło się jego trwałym kalectwem bądź śmiercią, coś, co niechybnie uznano by za próbę uwiedzenia jedynej córki najbardziej wpływowego człowieka, mogło skończyć się prawdziwą tragedią.

Paradoks czy też swego rodzaju złośliwość losu polegała na tym, że to właśnie dzięki ojcu Jan poznał kobietę, która tak znacząco wpłynęła na jego dalsze losy.

Rzecz działa się wiosną 1897 roku na urządzonym przez krakowskie elity balu poświęconym rocznicy Konstytucji Trzeciego Maja.

Dochód z owego balu przeznaczono na poprawę warunków bytowych

weteranów Powstania Styczniowego, jacy znaleźli się w Galicji po zakończeniu katorgi na Syberii.

Ów feralny bal, od którego zaczęła się tułaczka Jana, był właśnie efektem krótkotrwałej zażyłości pomiędzy profesorem Edigeyem-Koryckim a hrabią Jerzym Witoldem Mirskim. Obaj panowie byli mniej więcej w tym samym wieku, czyli ledwie przekroczyli sześćdziesiątkę. Może hrabia był nieco starszy. Swego czasu piastował urząd marszałka krajowego Sejmu Galicyjskiego oraz był przewodniczącym wielce wpływowego Koła Polskiego w wiedeńskim parlamencie, które zawsze wierne było cesarzowi. Przedwcześnie owdowiały Mirski z pierwszego związku miał syna Artura, młodego porucznika dragonów, a z drugiej żony – choć dużo młodszej, to również przedwcześnie zmarłej – córkę Konstancję, która ze względu na majątek i urodę była jedną z najlepszych partii w Europie. Hrabia Jerzy Mirski Oresta Koryckiego raczył obdarzyć przyjaźnią – o ile można to nazwać przyjaźnią, a nie chwilowym wyrazem sympatii – głównie za sprawą opowieści profesora o dzikiej syberyjskiej przyrodzie. Hrabia, jako że sam był podróżnikiem i zapalonym myśliwym, którego pałac zdobiły trofea z jego egzotycznych polowań w Afryce i Indiach, lubił słuchać o wielkich niedźwiedziach, syberyjskich tygrysach, lampartach amurskich, piżmowcach i innych, nigdzie poza Rosją i może jeszcze Chinami, niespotykanych przedstawicielach fauny. Panowie wymieniali się wrażeniami ze swych pobytów na obcych kontynentach, polubili się jak kolekcjonerzy czy jacyś odkrywcy zapomnianych cywilizacji, mimo że ich podróże odbywały się w diametralnie różnych okolicznościach.

I tak na balu Orest przedstawił Mirskim swojego syna, nie przypuszczając, że między jego synem a Konstancją rozbłyśnie uczucie.

Przypadkowe, zdawałoby się, spotkania w teatrze, sporadyczne, zapowiedziane i zupełnie, wydawałoby się, niegroźne wizyty Jana w podkrakowskim pałacu Mirskich, kiedy to pojawiał się w sprawach ojca, wspólne krótkie spacerunki w pałacowym parku pod czujnym okiem damy do towarzystwa nie wzbudzały podejrzeń. Hrabia Mirski ufał, że Jan jest człowiekiem na tyle dobrze ułożonym, iż zna swoje miejsce, dlatego też nie

przyszło mu do głowy, by w ogóle do jakiegokolwiek zbliżenia się tych dwojga młodych ludzi mogło dojść.

Dopiero późną jesienią, kiedy Konstancja Mirska zniknęła pewnego dnia na kilkanaście godzin, a alibi, jakie miała jej dać kuzynka, nie okazało się wystarczającą, wiarygodną ochroną, zaczęło się rodzinne śledztwo. W pokoju hrabianki odkryto przebogata korespondencję z Janem, pełną miłosnych wyznań, które przeraziły i zarazem rozwścieczyły starego Mirskiego.

Odkryto, że od co najmniej pół roku młody Edigey spotyka się z Konstancją w różnych miejscach, że niewykluczone jest, iż między nimi doszło do sytuacji dalece intymnej, co zresztą podczas upokarzającego hrabiankę badania lekarskiego zostało potwierdzone.

Rozhisteryzowaną Konstancję postanowiono na wszelki wypadek wysłać do Szwajcarii, co wszakże z uwagi na zapalczliwość Jana i chęć dalszego kontynuowania znajomości nie dawało gwarancji zakończenia romansu.

Hrabia Mirski spotkał się więc z Orestem i w tonie kategorycznym zażądał od niego wysłania syna jak najdalej z Krakowa, a jeśli to nie poskutkuje, to już on zadba o to, by Jan w szeregach cesarsko-królewskiej armii trafił do okupowanej Bośni, a tam to już różnie może być...

Orest w głębi duszy Mirskiego rozumiał, jednak ton był na tyle obraźliwy, że profesor trzasnął drzwiami. Wzburzony, przeprowadził z Janem rozmowę, kładąc mu zaprzestanie jakichkolwiek prób kontaktu z Konstancją pod groźbą wyrzucenia z domu, na co Jan hardo odpowiedział natychmiastowym wyprowadzeniem się.

Wynajął pokój w Podgórzu, planując wyjazd do Szwajcarii w celu połączenia się z ukochaną. Wkrótce jednak służący ojca dostarczył mu wysłany z Davos list, w którym Konstancja prosiła go, żeby o wszystkim zapomniał i uznał jej zachowanie za wyraz braku rozsądku. Z treści wynikało, że list jest słowem ostatnim.

Nadzieja, iż zachowanie Konstancji zostało wymuszone, upadła, kiedy wiedząca o wszystkim jej kuzynka, służąca parze za dostarczycielkę alibi, potwierdziła, że Konstancja nie chce go już widzieć. Bo tak dla wszystkich

będzie lepiej...

Jan rzucił studia i zaczął włóczyć się w podejrzanych miejscach. Obwiniając cały świat o swój los, zapałał nienawiścią do wszystkiego, co było mu dotąd drogie. Kiedy kończyły mu się pieniądze, zamieszkał w hotelu Ypsilon na Kleparzu. Miejsce to było raczej rodzajem podrzędnego szynku z pokojami na godziny i bardziej przypominało burdel niż zwykły hotel czy nawet podupadły zajazd. Kręciło się tam towarzystwo najgorsze z możliwych, jednak Jan miał dość obcowania z przedstawicielami wszelkich sfer wyższych, tak różnych od jego nowej kompanii. Pił na umór i wdawał się w różne kłopoty. Możliwe, że z czasem jego rozpacz by minęła i w końcu dorósłby do zejścia z drogi, która niechybnie prowadziła do upadku, bowiem jak zauważył próbujący wpłynąć na jego zachowanie najlepszy przyjaciel z dzieciństwa, Henryk Skarżyński, Jan zachowywał się jak samobójca z opóźnionym zapłonem. Może – tak jak zaklinała go matka, która zniżyła się do wizyty w tym podrzędnym miejscu, byle tylko nakłonić go do powrotu, jeśli nawet nie do domu, to przynajmniej na studia – jakoś by się pozbierał. Jakikolwiek by był powód łez, kiedyś trzeba się wysmarkać, mawiała pocieszająca go czarnowłosa dziewczka Gabi, której żal się zrobiło chłopaczka ze złamanym sercem.

Wizyta matki nie pozostała bez wpływu. Matka zawsze dla niego wiele znaczyła i nie zamierzał jej ranić. Nie chcąc wracać do domu, rozważał chwilowe pomieszkiwanie u Skarżyńskiego, z którym razem studiował i dzięki któremu zamierzał wrócić na uniwersytet. Miał opory, czy ma to być Uniwersytet Jagielloński, gdzie musiałby widywać ojca, czy może spróbować przenieść się do Lwowa.

Na przeszkodzie powrotu do jakiej takiej normalności stanął zwykły przypadek, czy może jednak coś, co ludzie Dalekiego Wschodu zwą karmą. Pewnego późnego wieczoru, kilka dni po wizycie matki, wczesną wiosną 1898 roku, przed hotel Ypsilon zajechały dwie dorożki. Z jednej z nich wytoczył się mocno już podchmielony porucznik miejscowego dwunastego pułku dragonów, hrabia Artur Mirski, który z kolegami oficerami zamierzał się nieco zabawić. Towarzystwo oficerskie z rechetem wlało się przed bar, każąc sobie podawać

wszystko, jak leci. Do przechylenia kielichów jednak nie doszło, bowiem młody Mirski, rozglądając się za jakąś interesującą urodę dziwka, wśród siedzących przy stołach gości rozpoznał Jana, który popijał wódkę w towarzystwie czarnowłosej prostytutki.

Kilka słów rzuconych publicznie z pogardą w stronę Jana, w zderzeniu z odpowiednią ripostą, zakończyć by się mogło śmiercią tego drugiego, bowiem Mirski chwycił już za rękojeść dragońskiej szabli. Młody hrabia wiedział jednak i głośno pozwolił to sobie, wśród parsknięć pogardliwego śmiechu kompanów, zauważyć, że czasy się zmieniły i nie wypada mu ot tak rozplatać pozbawionego już wszelkich cech honorowych delikwenta, a takim jest każdy, kto naraża na szwank damę. Zrobiłby sobie dużą nieprzyzwoitość, wyzywając Jana na pojedynek, tym bardziej że nie miałyby to sensu, bowiem wątpił w chęć stawienia się wyzywanego. Splunął więc tylko pod nogi i obrócił się w stronę baru. Wszystko to miało być rodzajem teatru, skutkiem którego Jan zostanie na tyle upokorzony, że podobająca się porucznikowi ciemnowłosa dziwka natychmiast porzuci swojego towarzysza. Jednak Gabi, bo to ona siedziała z Janem, nawet nie drgnęła. Natomiast Jan, choć pojedynek uważał za idiotyzm i w normalnych okolicznościach po prostu dałby Mirskiemu po mordzie, postanowił na pojedynek przystać...

W Krakowie tymczasem trwały próby ustalenia tożsamości ofiary. W Cygarfabryce, na którą liczył Iżewski, nikt nie przepadł. Nikt nie zgłosił też zaginięcia służącej. Śledztwo utknęło więc w martwym punkcie.

Podczas dokładniejszego badania odzienia denatki Henryk Skarżyński zauważył, że w mankietach, przy szwach i guzikach jej sukienki znajdują się liczne pyłki, cząstki nasion, a nawet niewielkie fragmenty całych roślin. Na ubraniu każdego człowieka gromadzą się ślady pochodzenia roślinnego. Jednak w przypadku zmarłej dominowały rośliny, które można było zaliczyć do ziół. Ich organiczne ślady, pozostawione w takiej ilości, wykluczały przypadkowe kontakty z pyłkami pochodzącymi z pól czy lasów. Był grudzień, a z jej ubrania można było czytać jak z zielnika.

Spośród pyłków Henryk wyselekcjonował charakterystyczny żółty osad, który zachował się na brzegu rękawów. Nie bez trudu sklasyfikował go jako pochodną krokusa, zwanego szafranem spiskim. Roślina ta występuje głównie w rejonach górskich. Początkowo przyjął więc, że musiała przyjechać z rejonu Spisza. Zatem po dokonaniu odpowiedniej selekcji Skarżyński ustalił, że denatka z całą pewnością nie pochodzi z Krakowa, co jeszcze nie było jakimś przełomem, bowiem ówczesnie co drugi mieszkaniec podnoszącego się po latach z upadku królewskiego miasta pochodził spoza niego. Jej sukienka, wcześniej co najmniej raz przeszywana z osoby większej, nieumiejętnie usiłowała naśladować krój miejski, jednak dało się zaobserwować naleciałości jakiegoś ludowego sznytu.

Dodatkowo halka denatki obszyta była dość oryginalnym jak na Małopolskę wzorem. Henrykowi wzór ten kojarzył się z ozdobnikami ludowych strojów, jakie widywał podczas wakacji spędzanych w Krynicy, typowych dla okolic o przeważającej ludności łemkowskiej.

Idąc tym tropem, Kazanecki wypytał proboszcza krakowskiej parafii

greckokatolickiej, czy wśród jego wiernych nikt nie zgłaszał mu zaginięcia.

Proboszcz zaprzeczył, jednak po jednym z nabożeństw, na którym ogłosił fakt poszukiwania zaginionej, pojawiła się młoda łemkowska dziewczyna. Ona to, przyprowadzona na posterunek, zidentyfikowała zamordowaną jako Łucję Muraszkę, która w pierwszych dniach grudnia przyjechała w poszukiwaniu pracy z Uhrynówki, zapadłej wsi łemkowskiej na południe od Nowego Sącza.

Co prawda Jelinka pozytywnie zaskoczyły odkrycia Skarżyńskiego, ale będąc z natury człowiekiem odpornym na wszelkie nowości, nie bardzo wierzącym w przydatność tego, co ustalił kierownik laboratorium kryminalistycznego, mimo wszelkich niedogodności sam postanowił sprawdzić trafność ustaleń doktora.

Wyprawę na wieś przygotował Kazanecki, który w takich organizacyjnych działaniach był dość sprawny. Poza tym, jako syn zarządcy majątku ziemskiego, wychowywał się na folwarku niedaleko Nawojowej i dobrze znał specyfikę tamtejszych wiejskich stosunków.

Mimo końca grudnia, w okolicach Nowego Sącza, dokąd przybyli pociągiem, panowała niespotykana od dawna odwilż, szaruga i błoto, które było wszędzie – na drodze, na skraju drogi i w przydrożnych rowach. Utyłane tym błotem konie z mozołem ciągnęły dwie bryczki. Przed bryczkami jechała chłopska furmanka, na której siedziało trzech żandarmów z karabinami. Pasażerami pierwszej z bryczek było dwóch niższych rangą urzędników sądowych oraz tyleż samo policjantów kryminalnych, których wysłano na tę poniewierkę z Krakowa. W ostatniej bryczce jechał Jelinek z Kazaneckim. Cała ta kawalkada wjeżdżała właśnie do biednej wsi Uhrynówka.

We wsi wszystko było już przygotowane. Wójt wynajął karczmę i kazał pod jedną ze ścian ustawić ławki, a pod drugą, przeciwległą, zestawić stoły. Na ścianie za stołami zawisł nawet portret Franciszka Józefa. Ten portret Najjaśniejszego Pana w karczmie był ważny – to on zamieniał pijacką izbę w miejsce urzędowe.

Pod karczmą kłębił się tłum kilkudziesięciu osób. Prawie połowa z nich została wezwana na przesłuchanie, pozostali przyszli jako gapie. Czegoś takiego

bowiem jeszcze w ich Uhrynówce nie było.

Gdy wóz i bryczki zajęły w końcu pod karczmę, tłum cofnął się.

Najpierw szybko zsiadli z wozu żandarmi. Przed drzwiami stanęło dwóch z nich, trzeci wszedł do izby. Pasażerowie bryczek też weszli do karczmy i przez chwilę o czymś żywo dyskutowali, po czym Jelinek i aspirant Kazanecki wrócili do swojej bryczki, a do drugiej wsiadł wójt i dwóch żandarmów. Ta wybrana grupa pojechała dalej na wieś.

Pozostali urzędnicy zasiedli za stołem, żydowski karczmarz natychmiast podał herbatę i grube kromki chleba z białym serem. Tłum chłopów pokornie czekał na mżącym deszczu, na zewnątrz.

Bryczka z Jelinkiem i Kazaneckim pojechała aż na sam kraniec długiej wsi.

Jechali wiejską, miejscami krętą drogą prawie pół godziny, mijając stojące z lewej i prawej strony chałupy kryte strzechą. Lud w okolicznych wsiach – bez znaczenia czy polskich, czy łemkowskich – ledwo wiązał koniec z końcem. Nędza większości z nich przerażała i przytłaczała, odbierała chęć do życia. W pewnym momencie Jelinek pomyślał nawet, że tylko wielki pożar mógłby tu cokolwiek zmienić. Po chwili jednak dotarła do niego świadomość, że tych ludzi nie byłoby stać na nowe, porządniejsze domy. Tak więc żaden kataklizm niczego by tu nie poprawił.

W końcu dwie bryczki stanęły obok nędznej, najgorszej z dotychczas widzianych chałupiny, której słomiana strzecha niemal dotykała ziemi. Weszli do środka. Prowadził wójt. Pierwsze, co uderzyło Jelinka, to niebywały smród, drugie, to gęsta od tego smrodu ciemność. Malutkie okna prawie w całości przesłonięte były szmatami, chodziło o ich uszczelnienie, ale wyszło na to, że okna niemal w ogóle nie przepuszczały światła.

Na rozlatującym się łóżku leżała jakaś wyschnięta na wiór kobieta. Była to matka zamordowanej Łucji. Obok łóżka stał, przestępując z nogi na nogę, ojciec dziewczyny.

Nigdy dotychczas żadna władza nie przestąpiła progu ich domu, byli więc przerażeni.

– Pan komisarz i pan naczelnik przyszli do was, sami osobiście, z ważną

sprawą – zaczął wójt.

Kazanecki chciał prostować, że nie jest naczelnikiem, ale zrezygnował.

– Śmierć waszej córki nas tu sprowadziła. Chodzi o waszą zmarłą córkę Łucję – powiedział z należytą powagą Jelinek.

O dziwo, ojciec i matka się uspokoili. Rzecz widać nie dotyczyła ani nowych podatków, ani długów za podatki stare. Kobieta zaczęła płakać, a jej mąż wycierał spracowaną ręką oczy.

– I takie to nieszczęście... i nie wiedzieć, jak i za co? – odezwał się chłop.

– Takie dobre dziecko... Ostatni grosz nam dawała... Bardzo religijna...

I takie młode Bóg zabrał – popłakując, dodała kobieta.

– A może wiecie, kto mógł tak ukrzywdzić waszą Łucyjkę? – zapytał wójt.

– Właśnie po to przyjechaliśmy – wyjaśnił Jelinek, którego prosta, ale sięgająca sedna rzeczy kwestia wójta mocno zaskoczyła.

Zapadła głęboka cisza. Chłop i jego kobieta popatrzyli na siebie, jakby nie rozumiejąc, o co ich pytają.

Wójt podjął się roli tłumacza.

– Panowie z samego Krakowa was pytają, czy kto na dziewczynę nie nastawał, może jaka zazdrość albo i zawiść o co?

– A gdzieby ona komu na zawadzie stała? – obruszyła się matka. – Ta ona dobra była dziewczyna. Ksiądz mogą zaświadczyć.

– Ale chodzi też o to, czy w Krakowie nie zawarła pochopnie jakichś bliższych więzi... no, czy nie znała jakichś dziwnych osób? Może coś wam opowiadała? – Kazanecki nie mógł przywyknąć do smrodu panującego w chałupie i chciał jak najszybciej zakończyć tę wizytę.

– Pan naczelnik pytają, czy nie miała jakiego ziomka w Krakowie. Jakiego chłopca albo jakiej znajomej dziewczuchy – znowu podjął się tłumaczenia wójt.

– A broń Boże! Chłopca to nie miała, odkąd jakie dwa lata temu pogoniła jednego z sąsiedniej wsi. Chodziła i zioła zbierała, co je potem w Starym Sączu siostry od niej kupowały. Poza tym nigdzie nie wychodziła, tylko co koło chałupy i na mszę w niedzielę – powiedział chłop.

– Czyli nic wam nie wiadomo? – skwitował wizytę wójt i szeroko rozłożył

ręce i nie czekając na to, co powie Jelinek, dodał: – Po prawdzie, to nic nie wiedzą.

Wyszli na zewnątrz. Jelinek zachłysnął się świeżym powietrzem, zakręciło mu się w głowie, aż przysiadł na stopniach bryczki.

– Bieda u nas, panie, aż piszczy – powiedział wójt i kopnął mały kamień.

– Ale to chyba nie wszyscy tak żyją? – zapytał Kazanecki.

– Wszyscy nie, ale tak samo jak te Muraszki to więcej niż połowa we wsi.

– A oni, ci Muraszkwowie, mają jaką ziemię, jakiś inwentarz? – spytał Jelinek, któremu zrobiło się trochę lepiej.

– Tyle mają ziemi, co na cmentarzu, a z inwentarza to tylko myszy...

– To z czego oni żyją?

– Póki Łucja żyła, to z tego, co im dała z własnego zarobku. Bo ją babka jej nauczyła i ona się na ziołach znała. Mnie nawet, jak mnie wzięły rok temu takie straszne piersiowe duchoty, to pomogła. Młoda była, a znała się na tym jak stara zielara. A za to zawsze coś tam dostała. A to trochę jajek, mąki, a czasem to i kurę, jak gospodarz bogaty jaki był. Asystowała też przy porodach, no i takie tam.

Mówiąc „takie tam”, wójt spojrzał na Kazaneckiego, co do którego zdążył się zorientować, że w przeciwieństwie do Jelinka wie, o co chodzi, a o czym lepiej głośno nie mówić.

– A teraz, jak jej nie ma, to tym Muraszkom przyjdzie na łasce dobrych ludzi żyć. Syna mieli, to wyjechał dwa lata temu do Ameryki. Nie wiadomo nawet, czy żyje...

– A inne dzieci? – spytał Jelinek.

– Inne dzieckta pomały, jak małe były – odpowiedział wójt tonem, jakby to była rzecz najnaturalniejsza na świecie.

Wsiedli do czekających bryczek, a Jelinek zaprosił nawet wójta do swojej.

Konie znowu człapały po błocie, bryczki trzęsły niemiłosiernie, kamienie zgrzytały o kute obręcze kół.

– Jest jeszcze i taka rzecz – powiedział po paru minutach milczenia wójt. – Ta Łucyjka, świeć Panie nad jej duszą, to nie bardzo lubiana była u nas.

– A to czemu? – zainteresował się Jelinek.

– Lud u nas ciemny, niekształcony, nic poza tym błockiem i kupą kamieni nie widział, to i różności gada... Ja, to jak służyłem w „cwancygierach”^[2], tom trochę świata widział i w takie bajania nie wierzę. Ale reszta... ludzkich słów szkoda.

– Ale jakbyście trochę, wójcie, jako człowiek kształcony powiedzieli... – odezwał się Kazanecki.

– No, niby głupota i wstyd – odpowiedział mile połączany wójt, rad z komplementu pana naczelnika – ale u nas gadali, że Łucyjka choroby umiała zadawać, że jak na kogo złość miała, to takiemu krowy mleko traciły albo kury mu się nie niosły. No, mówię, co prości ludzie u nas gadali. A jak zeszłej wiosny ten pomór u nas był, co to prawie wszystkie krowy padły, to ją nawet ze wsi wygnać chcieli...

– To może ją wygonili ze wsi? – zapytał Kazanecki.

– E, tak to nie. Spróbowałby kto. Ja tu cała władza jestem i na takie coś bym nie zezwolił. Ale po prawdzie, nie była lubiana. I bali się jej.

Przesłuchania w karczmie okolicznej ludności również nic nie dały. A ludzie pytani o Łucję odpowiadali jak jeden, że dobra była. Pomagała na choroby i wszyscy ją lubili, bo pomagała. I komu tu wierzyć – lubili czy nie lubili?

– Strach byłoby tu mieszkać – szepnął w pewnym momencie Jelinek do Kazaneckiego. – Zmowa i jeden wielki spisek.

Ekipa śledczych wracała z niczym, nie uchwycono nawet najdrobniejszej nitki, która mogłaby prowadzić do kłębka. Wlekli się noga za nogą poprzez gasnący krajobraz, w smutku i błocie.

6

Orest Korycki wrócił tego dnia do swojego mieszkania w monumentalnej, przypominającej nieco średniowieczny zamek, kamienicy na rogu ulic Batorego i Karmelickiej trochę wcześniej, co zdarzało mu się bardzo rzadko.

Zwykle opuszczał budynek Collegium Medicum o siedemnastej. Spokojny spacer prostą drogą zabierał mu około trzydziestu minut. Profesor medycyny Orest Korycki uważał bowiem i pilnie przestrzegał tej zasady, że zdrowy człowiek musi spacerować dla zachowania należytej sprawności fizycznej. Ale tego dnia wyszedł z uniwersytetu około piętnastej trzydzieści, a to z tego powodu, że poza nim byli w gmachu jedynie portierzy. Profesor wiedział, że dalsze samotne siedzenie w gabinecie będzie jedynie niepoważnym odwlekaniem tego, co i tak musi nastąpić: wiedział, że nie ucieknie od spędzenia Wigilii w głębokiej samotności. Od kilku lat każda Wigilia była dla niego trudna, a ta zapowiadała się szczególnie rozpaczliwie.

Najczęściej wracał przez Rynek, a potem idąc Szewską, przecinał Planty, wchodząc na teren dawnej wsi Piasek, będącej obecnie dzielnicą, w swej znacznej części, rentierów i inteligencji. Stało w niej wiele nowoczesnych, z pietyzmem wykończonych kamienic, które w ostatnich latach zastąpiły parterowe domki i liche piętrowe czynszówki.

Solidna kamienica pod numerem 37 górowała nad ulicą. Czteropiętrowy wysoki budynek z narożną wieżą wybudowany był z celowo spatynowanej cegły, obłożonej tu i tam kamiennymi detalami i ozdobnikami. Na jednej ze ścian widniał wizerunek uskrzydłonego smoka, przypominający zdobienia średniowiecznych katedr i zamków. Górę wieńczyła attyka i krenelaż, co czyniło ów budynek podobnym do modnych kamienic Londynu czy innych zamożnych miast północnej Europy. W szczyt wkomponowano figurę pająka, który rozciągnięty na sieci dał potoczną nazwę temu miejscu: Kamienica pod Pajakiem.

Była ona dawnym rodzinnym domem Jana. Niegdyś, kiedy Orest otwierał drzwi, czekał na niego przyczajony w kącie dzieciak, który z radością witał wracającego z wykładu bądź szpitalnego dyżuru ojca.

Od syna nie miał od dwóch lat żadnej wiadomości, wiedział tylko, że Jan żyje i po wystąpieniu z austriackiej floty żegluje po morzach jako oficer na handlowcach... I to właściwie wszystko. Żona nie żyła od ponad miesiąca.

Dodatkowo okoliczności jej śmierci były na tyle przygnębiające, że nie miał w ogóle ochoty na wigilijne świętowanie. Profesor nie myślał specjalnie o tych smutnych faktach, ale przecież ich świadomość była w nim obecna niemal organicznie. Nie musiał o żonie i synu myśleć – on czuł te dwie najbliższe osoby w sposób wręcz fizyczny. Tak jak się czuje ciężar niesiony na barkach lub chorobę i ból wszystkich stawów naraz.

Orest Korycki pamiętał Wigilie w rodzinnym dworze na Litwie, ale ich wspomnienie z biegiem lat, miast obrazów sielskich i szczęśliwych, przynosiło smutek i niewypowiedziany żal za tym, co tak tragicznie utracone. Pamiętał też Wigilie na Syberii, najpierw w gronie przyjaciół zesłańców, potem już z żoną i synem. I te Wigilie również odeszły.

Jako ostatnie napływały mu wspomnienia niedawnych jeszcze Wigilii krakowskich. Będąc dobrze wykształconym lekarzem, absolwentem uniwersytetu w Wilnie, doktor Edigey-Korycki po uwolnieniu z Syberii mógł spróbować szczęścia w Paryżu, dokąd usiłował ściągnąć go jeden z przyjaciół. Wybrał jednak to, jak mu się wydawało, najbardziej polskie z polskich miast. Dawną stolicę państwa Jagiellonów, które w czasach świetności sięgało od morza do morza. Do tej wymarzonej mekki polskości ściągnął również swoją żonę i syna, który urodził się na wschodnich krańcach rozległego państwa Romanowów.

W Krakowie, prócz zwykłej praktyki lekarskiej, rozwinął działalność naukową, co pozwoliło mu z czasem na uzyskanie tytułu profesora i objęcie samodzielnej katedry na uniwersytecie. Cieszył się dużym szacunkiem, nie tylko ze względu na swą dawną bohaterską przeszłość czy wyjątkowo ciekawe wykłady i publikacje, z których największą popularność zyskały te traktujące o

medycynie naturalnej ludów syberyjskich, ale głównie dlatego, że jego demokratyczna postawa kazała mu leczyć ubogich bez pobierania od nich choćby grosza.

Po paru latach wrósł w miasto. Zyskał nowych przyjaciół i znajomych.

Odnalazła go również w Krakowie liczna kolonia byłych sybiraków, których los zagonił aż tutaj. Wigilie krakowskie były u państwa Koryckich gwarne i pełne ludzi. Zawsze też przebiegały według tego samego scenariusza.

Najpierw smucono się, bo każdy w duchu wspominał utraconych – rodziców, rodzeństwo, przyjaciół z powstania 1863 roku. Potem wspomniano, już głośno, wymawiając ich nazwiska, pseudonimy, wielkie charaktery. Wigilie krakowskie u Koryckich były w ich pierwszej fazie właściwie Dniem Zadusznym.

Ale z upływem minut nastrój zmieniał się. Żywi powracali do żywych, rozmawiano o tym, co dzisiaj, co może być jutro. Zapewne dla wszystkich rozbitków świata błogosławieństwem bożym są kłopoty dnia codziennego, z którymi muszą się mierzyć. To zmusza ich do wychodzenia z mroków i chłodu przeszłości.

Orest Korycki zadzwonił do swoich drzwi. Otworzył mu Bazyli, stary służący i poniekąd dobry znajomy z Syberii. Zamruczał coś pod nosem, co mogło znaczyć: za wcześnie, jeszcze nie wszystko gotowe...

– Bazyli, nie mruż tam złych stepowych słów, coś nowego? – zapytał Korycki, poddając się obrządkowi zdejmowania mu z ramion płaszcza i zzuwania butów przez służącego.

– Boh dał, że żadnego nowego nieszczęścia... Bo to, panie profesorze, u nas za Dnieprem mówi się, że na sorok noweho, tylko adno dobre.

Może to i prawda... – pomyślał Korycki. Samiuśka prawda, skoro prosty lud tak mówi.

Przeszli do gabinetu profesora, czekały tam już na niego gazety.

– Czaj podać? – zapytał Bazyli.

– Podać.

– A kolacja będzie na siódmą – poinformował służący i ruszył ku drzwiom.

Ale zatrzymał się w progu i dodał: – Profesor ma tylu przyjaciół, a jak

przyjdzie co do czego, to na Wigilię sam... – westchnął ze smutkiem i wyszedł.

Bazylego, a właściwie Wasilija, bo taka była pierwotna forma imienia poczcziwego służącego, Korycki poznał na Syberii. Nazywał go z polską Bazylim, a że imię to pochodzi od greckiego basileus, co jest polskim odpowiednikiem słowa cesarz, to odpowiednio poinformowany o tym Wasilij chętnie przystał na tę bardziej szlachetną, jego zdaniem, wersję. Chłop służył za Bajkałem już dwunasty rok w carskiej armii i pozostały mu jeszcze ostatnie trzy. Służbę miał lekką, coś pomiędzy posługaczem a ordynansem u jakiegoś kapitana. Kapitan był ostatnim moczymordą i zniknął na całe dni, więc Bazyli miał więcej wolnego niż służby.

Odwiedzał polską kolonię, pomagał w co cięższych pracach w domu doktora Koryckiego, za co otrzymywał ciepłe posiłki, a czasem nawet kopiejki. Cudnie, nastrojowo i z przejęciem opowiadał dzieciom byłych zesłańców bajki o duchach, straszydłach, pięknych carewnach i dzielnych gerojach. Stał się właściwie nieformalnym służącym u Polaków. Kiedy służba Bazylego dobiegała końca, postanowił napisać list do rodziny. Właściwie napisał go Korycki, bo choć Bazyli jako tako nauczył się czytać pismo drukowane, to z pisanym szło mu nie bardzo.

Gdy po pół roku nie otrzymał żadnej odpowiedzi, Korycki namówił go, żeby napisać do władz ujezdu, z którego pochodził. Po trzech miesiącach nadeszła odpowiedź, z której wynikało, że rodzice nie żyją, a jedyny brat Bazylego, sprzedawszy ojcowiznę, wyprowadził się z jego rodzinnej wsi Hatycze. I nikt nie wie, gdzie teraz mieszka.

Bazyli popadł w czarną rozpacz. Był nikim i nie miał nic. Gorzej, bo nic sensownego go nie czekało. W tej sytuacji Korycki wziął jego los w swoje ręce.

Korycki wziął los Bazylego w swoje ręce i przygarnął go na służbę. Poza czynnościami zbliżonymi do obowiązków, które wcześniej pełnił, Bazyli pomagał też w praktyce lekarskiej. Ograniczało się to głównie do przytrzymywania pacjentów podczas bolesnych zabiegów, z wrywaniem zębów włącznie, co przy jego sile skutecznie pozwalało unieruchomić zboliałych delikwentów. Gdy w swej łaskawości car Aleksander II zdobył się na gest

umożliwiający zesłańcom opuszczenie Syberii, pod warunkiem że nie wrócą w strony, gdzie wszczęli bunt, Bazyli wraz z doktorostwem trafił do Krakowa.

Teraz profesor Korycki, skończywszy lekturę gazet, zaczął szykować się do wieczery. Salon był już gotowy, stół zasłany śnieżnobiałym obrusem, na nim rozstawione talerze i sztucce.

– Bazyli, ktoś ci pomagał? Może masz jakąś kobietę? Bardzo ładnie... – pochwalił służącego.

– Sałdatu baby nada jak zajcu kałakoł – odpowiedział Bazyli w języku, którym władał właściwie on sam. Była to mieszanka polskiego i rusińskiego.

Póki żyła pani Orestowa i mieszkał z nimi Jan, póty mieszkanie tętniło życiem. Poza Bazylim zatrudniano jeszcze służącą, z którą Bazyli stale się przekomarzał. W domu bywali goście. W salonie organizowano wieczory muzyczne, bowiem muzyka była wielką pasją matki Jana. Teraz, mimo obecności tych dwu starszych mężczyzn, panowała tu martwota i niemila cisza.

– Bazyli, pomożesz mi się ubrać, stare grzechy znowu mnie boją. Lewej ręki nie uniosę nawet wyżej ramion.

– Ciężkie musiały to być grzechy – skomentował Bazyli, pomagając Koryckiemu zdjąć marynarkę i koszulę.

Plecy Oresta Koryckiego przecinała jedna długa zagojona blizna i kilkadziesiąt śladów mniejszych ran. Ten przerażający widok znany był przecież Bazylemu, ale jak zawsze nie mógł sobie odmówić sentencji...

– Ot i poznaję ja, szaszka kawaleryjska, cięta regularnie, choć niezbyt mocno... A tu widzimy stare razy po knucie... A ot, kto z carem wojuje, ma takie suweniry.

Bazyli założył profesorowi podkoszulek, a potem koszulę.

– A ot, pany Polaki, warto to było?

– Setki razy mówiłem ci, że warto – odpowiedział Orest, zapinając górne guziki koszuli, pod którą kołysała się biżuteria powstańcza, srebrny krzyż z przybitą do niego trójdzielną tarczą z wizerunkami polskiego orła, litewskiej Pogoni i św. Michała Archanioła, patrona Rusi.

– Wiem, ale dziwno mi ciągle. Ano, takie to życie... mniejszych

narodów. Moskalowi dobrze, ale też... nikt nie jest duży po wsze czasy. Doczekamy my się jeszcze, profesorze...

– Czego się mamy doczekać? – zainteresował się profesor nową, wypowiedzianą po raz pierwszy przez Bazylego myślą.

– Pan wie, co mam na myśli... A głośno lepiej nie wypowiadać. Bo złe może się kręcić koło nas, podsłucha i tak pomota, że nic z tego, co ma być, nie wyjdzie.

Wybiła siódma. W kuchni gotowe potrawy czekały tylko na podgrzanie. W całym mieszkaniu było czysto i porządkie. Był to porządek trochę wojskowy, ale jednak. Zasiedli do stołu. Zaczęli od ukradkowych łez przy dzieleniu się opłatkiem i życzeniach. Potem było dwanaście potraw, trochę może dziwnych, bo Bazyli gotował, jak umiał. Była zupa grzybowa. Były pierogi z kapustą, trzy rodzaje kasz z omastą z oleju, były trzy rodzaje ryb, wszystkie pieczone, ale podane z dodatkami chińskimi. Były też cztery przystawki ze śledzi przyprawionych na różne wschodnie sposoby.

– No, Bazyli – powiedział z podziwem Korycki – jakby znudziło ci się u mnie, to najlepsze hotele w Krakowie będą się o ciebie biły. Dzisiaj przeszedłeś samego siebie, wszystko jest pyszne.

– Dziękuję panu profesorowi – odparł skromnie Bazyli. Ale też zaraz dodał z przekorą: – To jest pańska Wigilia, Lachów panów, ale jak się pan doktor zgodzi, to za dwa tygodnie będzie jeszcze lepiej.

– No tak, tyle lat razem, a ja wciąż zapominam, że zaraz będzie Wigilia prawosławna – westchnął Korycki.

– A bo to i świętej pamięci pani też była nasza, znaczy prawosławna.

Zapanowała cisza. Zarówno Bazyli, jak i Orest Korycki wiedzieli, że sprawa zmarłej zaledwie w listopadzie Cecylii, żony Oresta, musi dziś wrócić, ale unikali tego tematu. Tymczasem Bazylii, nie wiadomo – rozmyślnie czy z braku taktu – ciągnął przykre tematy dalej.

– A nasz Jan przepadł jak kamień w wodę. Ani go było na pogrzebie pani, a gdzie to on teraz...? Taki żywy, wesoły był zawsze...

– Przecież on żyje! – powiedział zduszonym głosem Korycki.

– Ja wiem, wiem... Ale znaku widomego po nim nie ma... – dodał Bazyli i otarł łzę.

Orest nie chciał wchodzić w te tematy. Ciężyła mu nagła śmierć Cecylii, a los Jana, który sześć lat temu wyjechał nagle z Krakowa, był mu równym ciężarem.

Po wyjściu z Singapuru, pozostawiając za sobą wydobywającą się z komina smugę ciemnego dymu, „Legion” opłynął należącą do Holendrów Sumatrę i ruszył w stronę Cejlonu. Oceanem Indyjskim nie wstrząsały żadne sensacje, toteż dość szybko minęli równik i obrali kurs na Madagaskar, gdzie zamierzano uzupełnić zapasy węgla i wody.

Urodziny kapitana Burna Jan spędził razem z Anglikami w oficerskiej mesie.

Zastąpiły one w pełni zbliżającą się Wigilię, której obchodzenie z dala od domu każdy z marynarzy uważał za erzac. W porównaniu z poprzednim rokiem, kiedy morze wypitego alkoholu dorównało niemal przepłyniętym wspólnie tysiącom mil morskich, tegoroczne urodziny kapitana były wyjątkowo spokojne. W związku z tym, że na tradycyjnego świątecznego indyka nie było szans, pokładowy kok przyrzadził sporego koguta, którego kupili w Kolombo na Cejlonie.

Anglicy są żywym przykładem pewnego wzorcowego paradoksu, jak naród mający poprzez swoje kolonie dostęp do wszelkich możliwych i najlepszych przypraw, wyszukanych owoców czy mięsa egzotycznych zwierząt, potrafi legitymować się tak niejadalną kuchnią.

Gdyby Burn nie był takim tradycyjnym synem liverpoolskich doków, to może by zatrudnił jakiegoś Chińczyka i jedzenie byłoby dużo lepsze. Jednak świadomość, że pewnego dnia ten upichciłby mu psa, skutecznie odstraszała kapitana od zaangażowania w charakterze kucharza jakiegokolwiek Azjaty. Jan musiał więc zadowolić się niejadalnym puddingiem, który Anglicy zwą świątecznym, a który nie może równać się w żaden sposób z potrawami, jakie znał z polskiego świątecznego stołu.

Po spożytej w mesie kolacji oficerowie i podoficerowie śpiewali marynarskie piosenki i opowiadali sprośne dowcipy, popijając przy tym dzin z tonikiem, który dzięki zawartej w nim chininie chronił ich przed komarami, jakie razem z

nimi zabrały się w tę podróż z Indochin. Za obecność kobiet musiały wystarczyć im opowieści o znajomościach zawartych w różnych burdelach świata. Obiecali sobie odbić to w którymś z portów Ameryki Południowej, gdzie podobno był najlepszy wybór dziwek na świecie. Jan do śpiewów się nie przyłączył, co nikogo nie zdziwiło, nie tylko dlatego, że uznano, iż nie zna angielskich pieśni, ale ponieważ załoga przywykła już do faktu, że oficer ten jest raczej wyjątkowym odludkiem, któremu umarła narzeczona czy jakaś tam wielka miłość, zresztą znaczenia tego słowa dawno już nie rozumieli.

Niecałe dziesięć dni po tej kapitańskiej imprezie stanęli na redzie madagaskarskiego portu, nieopodal niewielkiej malowniczej wyspy Nosy Be. Jana zaskoczyło, że w stosunkowo niedalekiej odległości od ich statku kołysało się kilkanaście potężnych okrętów wojennych. Okręty stały na kotwicy, z wygaszonymi kotłami i zarzuconymi sieciami przeciwtorpedowymi. Ich potężne działa jakoś nie pasowały do tego niewielkiego portu.

Jan podszedł do Burna, który przez lornetkę przyglądał się tej armadzie.

– Imponujące – powiedział Burn, nie odrywając oczu od lornetki. – Może nie aż tak, jak okręty naszej Royal Navy, ale prezentują się całkiem dobrze – dodał, przekazując lornetkę Janowi.

Jan dzięki lornetce mógł przyjrzeć się bliżej. Na masztach flagowych łopotały białe bandery z jasnoniebieskim krzyżem świętego Andrzeja. Na pokładzie krzatali się marynarze w pasiastych koszulkach.

– Rosjanie – stwierdził Jan.

– Zgadza się – przytaknął Burn. – To Druga Eskadra Oceanu Spokojnego, czyli Flota Bałtycka. Ruszyli z Lipawy. Opłynęli Afrykę i teraz czekają tu na resztę grupy, która podobno płynie przez Suez.

Jan zaczął odczytywać napisane cyrylicą na burtach okrętów ich nazwy.

– „Kniaź Suworow”, „Imperator Aleksander Trzeci”, „Borodino”...

– To pancerniki. Tam dalej krążowniki, transportowce, a ten z czerwonym krzyżem to okręt szpitalny. W sumie prawie dwadzieścia jednostek i pewnie z kilkanaście tysięcy marynarzy.

– „Aurora”, „Admirał Nachimow”... – Jan odcyfrowywał kolejne nazwy.

– Idą na pomoc zablokowanej przez Japończyków flocie w Port Artur^[3] – wyjaśnił Burn. – Ale za późno. Niczego już nie zmienia.

– Czyżby pan kapitan nie wierzył w potęgę rosyjskiej floty? – spytał Jan.

– Panie Janie, płynąc tu, narobili trochę bałaganu na Dogger Bank, mieliżnie przybrzeżnej na Morzu Północnym, biorąc nasze rybackie łodzie za japońskie torpedowce. Ha!... Zatopili rybackie łajby, myśląc, że to japońskie torpedowce... Mało tego, w panice trafiali we własne okręty! Gdyby strzelali celniej, zatopiliby część własnej floty! Na Morzu Północnym! Sam pan przyzna, że ich dowodzenie pozostawia wiele do życzenia. Zresztą, to już bez znaczenia.

Jan spojrział na niego pytająco.

– Rosyjska Pierwsza Eskadra Oceanu Spokojnego za chwilę przestanie istnieć – powiedział Burn, wydobywając z kieszeni kurtki złożoną na pół gazetę „*Le Petit Parisien*” . – Rosyjskiego garnizonu w Port Artur raczej już nic nie uratuje. Gazetę przywiózł godzinę temu bosman Wright. Wprawdzie jest sprzed dziesięciu dni, ale wiadomości te dla stojących na redzie naszych najeżonych działami sąsiadów są jak najbardziej aktualne. To jednak pana chyba specjalnie nie martwi, panie Edigey?

– W istocie – odpowiedział Jan, oddając Burnowi lornetkę i biorąc do ręki francuską gazetę. – Daleki jestem od sekundowania admirałowi Rożestwienskiemu, aby zdołał coś jeszcze zmienić w tej wojnie. I szczerze powiem, mam nadzieję, że Japończycy ich należycie odprawią.

Burn z lekkim podziwem spojrział na Jana, który bez problemu wymienił niewypowiadalne dla niego nazwisko admirała Floty Bałtyckiej, której okręty kołysały się na oceanie nieopodal, po czym dodał:

– Nie myliłem się. Jak każdy Polak, niespecjalnie pan pała miłością do Rosjan.

– Ma pan rację i nie ma pan racji, panie kapitanie – nieco filozoficznie rzucił Jan, kończąc pospieszne czytanie nagłówek, informujących o niedawnych zdarzeniach na Morzu Żółtym. – Do ludzi rosyjskich specjalnej pretensji nie mam. Znałem wielu porządnym Rosjan, a i sam ze strony matki, będącej w połowie Rosjanką, też w czwartej części jestem poniekąd Rosjaninem. Bardziej

drażni mnie imperialna polityka, a nawet samo istnienie Imperium Rosyjskiego, czy może tego, co my Polacy nazywamy caratem.

– Z tego, co pan mówi, pańskie poglądy nie odbiegają zbytnio od poglądów pańskiego ojca, o którym raczył mi pan wspomnieć. Wybacz pan, ale wiele się pan od niego nie różni. Dużo pan robi, żeby się od tego oderwać, ale jakoś to panu nie wychodzi.

– Mój ojciec jest niepoprawnym romantykiem i jego poglądy niekoniecznie są mi bliskie – uciął krótko Jan, bo to porównanie go z ojcem nie spodobało mu się.

– Ale nie zapominam też, że carat wygnał go na Syberię, wcześniej na wileńskim placu Łukiskim powiesił mu brata, dom rodzinny, w którym mieszkaliśmy od pokoleń, spalił, a ziemię nadaną nam pół tysiąca lat temu przez polskiego króla skonfiskował i oddał jakiemuś służalcemu przybłędzie – dodał energicznie jednym tchem.

Kiedy to mówił, jego wyraziste czarne oczy zdawały się iskrzyć. Burn lekko się uśmiechnął. Lubił tego Polaka. Było w nim coś ze szkockiego górala.

– I co, życzyłby pan sobie, żeby ich wszystkich szlag trafił?

Jan nie odpowiedział, ale widać było po nim, że pobłyskujące w słońcu carskie dwugłowe orły drażniły go. Przypomniawszy sobie historie opowiedane przez ojca, o którym ostatnio prawie w ogóle nie myślał. Modlitwy o wolność, wzruszenia, trauma Powstania Styczniowego.

Nie rozumiał tylko, dlaczego właśnie teraz, w ostatnich dniach, nastąpiła natarczywa ofensywa myśli związanych z rodzinnym domem. Nie potrafił sobie tego wytłumaczyć, ale czuł, że stało się coś niedobrego.

Ostatniego dnia grudnia 1904 roku, gdy w całym Krakowie zapanował nastrój sylwestra i podniecenie przed czekającymi zabawami, komisarz Jelinek zdobył się na podstęp. Zapowiedział się w sekretariacie sędziego Izewskiego i został po godzinie przyjęty. Sędzia wskazał Jelinkowi jedno z krzeseł stojących przy stoliku obok.

– I z czym pan przychodzi w tak pięknym dniu, panie komisarzu? – Sędzia był w dobrym nastroju, a myśl jego krążyła już wokół tańców i szampana w sali redutowej Towarzystwa Śpiewaczego, którego był wiceprezesem, a przede wszystkim zaś dominującym w chórze barytonem.

– Właśnie tak pomyślałem, panie sędzio, żeby ten nowy rok zacząć bez kłopotów.

– A o jakim kłopotcie pan myśli? – Sędzia spoważniał i zaczął chodzić po gabinecie.

– Myślałem o tej kobiecie znalezionej na Plantach, tej bez oczu...

– Znalazł pan sprawcę? Brawo! – Sędzia Izewski złośliwie udał szczęśliwego i klasnął dłońmi.

– To znaczy... nie. Ale uważam, że na razie sprawę trzeba odłożyć, może z czasem coś samo wpadnie nam w ręce, może przypadkiem pojawi się poboczny trop przy jakiejś innej sprawie...

– Odłożyć? Przypadkiem coś nam wpadnie? Czy ja dobrze słyszę? – Sędzia zmienił ton. – Mam wrażenie, że chce pan po prostu zamknąć śledztwo. Po dwóch tygodniach?

Jelinek zerwał się z krzesła, obciągnął mundur i już otworzył usta, gdy sędzia syknął:

– Niech pan siedzi, to nie parada.

Jelinek usiadł, otarł dużą chustką pot z czoła i powoli zaczął:

– Wiele wysiłku włożyliśmy w to dochodzenie. Po pierwsze, ustaliliśmy, kim

jest zamordowana kobieta. I myślę, że możemy mieć tu do czynienia z zemstą za rzucanie uroków.

Sędzia siedział w fotelu, bacznie przyglądając się Jelinkowi.

– Według powszechnej opinii była ona czarownicą, a wedle ludowych wierzeń w grudniu wzrasta magiczna moc czarownic. To wtedy rzucają one najwięcej czarów i uroków. W dzień, kiedy ją zamordowano, na Babiej Górze przypada coroczny zlot czarownic. Myślę, że wyłupiono jej oczy, bo ktoś uznał, że za ich pomocą rzucała na ludzi uroki. Znalezienie sprawcy będzie niezmiernie trudne...

Zapadła niemiła dla komisarza Jelinka cisza. Wreszcie sędzia powiedział powoli:

– Radziłbym panu i podległym mu ludziom wziąć się do roboty. Jeśli jest tak, jak pan myśli, co dla mnie brzmi jak piramidalna bzdura, to winny może być każdy, kto z tamtych okolic przyjechał za pracą do Krakowa. Czyli trzeba węszyć, panie komisarzu, aby znaleźć jakiś trop. Policjant jest jak myśliwski pies. A coś mi się zdaje, że pana ludzie są jak wiejskie burki uwiązane przy budach na łańcuchu. Trochę poszczekają dla fasonu, ale cała ich energia idzie w czekanie, kiedy znowu ktoś napełni miskę.

– Panie sędzio, moi ludzie naprawdę ciężko pracowali. I naprawdę nic nie mamy. Tym bardziej że to morderstwo w niczym nie przypomina tego, co zdarzyło się wcześniej. Nikt w Krakowie, ba, w całej Galicji, nigdy nie dokonał tego typu zbrodni. Nie ma nawet okruszka, ździebełka, nawet marnego włoska z nitki, żeby dojść po niej do kłębka prawdy.

– A o ewentualnej działalności handlarzy żywym towarem, która tu pod naszym nosem się odbywa, też pan nie pomyślał? – spytał sędzia. – Może i ten trop powinien pan wziąć pod uwagę?

Jelinek się przeraził. Przystępczość zorganizowana, porwania kobiet do domów publicznych to już nie były żarty. W raportach pochodzących z nadgranicznych oddziałów żandarmerii widział zdjęcia okaleczonych zwłok stróżów prawa, podrzucane ku przestrodze innych. Myśl o rzeszy uzbrojonych i bezwzględnych bandytów, dla których zabicie policjanta na służbie nie jest

niczym wyjątkowym, sprawiła, że przeszedł go dreszcz.

– Panie komisarzu... – Sędzia wstał zza biurka. – Niech się pan dzisiaj dobrze napije, w tym najpierw za zdrowie Najjaśniejszego Pana. Jutro natomiast niech pan pije dużo soku z ogórków, niech się pan też dobrze wyśpi, bo od pojutra będzie pan potrzebował wiele sił, jeżeli ten nowy rok ma być dla pana dobry. Bo ja panu zgody na zamknięcie, czy też ciche odłożenie, sprawy kobiety z Plant nie daję. Wszyscy tu mamy żony i córki, którym winniśmy zapewnić bezpieczeństwo! Zrozumiał pan!?

– Tak jest, panie sędzio – odrzekł cicho i bardzo smutno Jelinek. – Pozwolę też sobie złożyć panu sędziemu życzenia szczęśliwego i zdrowego Nowego Roku.

– Nawzajem, komisarzu, nawzajem, dużo szczęścia i zdrowia. Bo coś mi się zdaje, że obu nam zdrowie i szczęście będą w nowym roku bardzo, bardzo potrzebne.

Sędzia podał komisarzowi rękę i spotkanie było skończone.

Już przy drzwiach w Jelinka wstąpiła jednak nowa energia, wyprostował się na baczność i wygłosił coś, czym głównie sam sobie chciał dodać otuchy:

– Panie sędzio. Kraków nie jest jakimś tam Londynem czy Nowym Jorkiem, gdzie bandyci mogą sobie mordować ludzi jak kurczaki... To jest porządne cesarskie miasto! Tu, panie sędzio, ma być i zaręczam panu, że będzie, spokój!

Na to państwowotwórcze i głęboko urzędnicze uniesienie Jelinka nie było odpowiedzi. Ale kiedy zamknęły się za nim drzwi, sędzia Izewski opadł na fotel przy biurku i długo wpatrywał się w okno, czując, że oto w spokojnym dotąd Krakowie może mieć do czynienia z pojawieniem się przestępców, których Jelinek właśnie tak się obawia.

Dopłynąwszy do malowniczej wyspy u północnych brzegów Madagaskaru, nazywanej Nosy Be, Jan delikatnie odmówił zaproponowanego mu przez Burna udziału w sylwestrowej degustacji pierwszorzędnej i specjalnie na tę okazję trzymanej dwudziestopięcioletniej butelki whisky. Korzystając z tego, że po załatwieniu wszystkich niezbędnych czynności umożliwiających kontynuowanie dalszego rejsu, „Legion” ruszyć miał dopiero czwartego stycznia, postanowił powłóczyć się nieco po wyspie.

Sam Madagaskar, zwany Czerwoną Wyspą czy też Wyspą Lemurów, z powodu zwierząt, które występowały tylko tutaj, przed kilku laty został opanowany przez Francję i zaliczony do jej kolonii. Położona przy północno-zachodnim wybrzeżu Madagaskaru malownicza wysepka ze swym głównym portem Hell Ville, który w niczym nie przypominał ruchliwych chińskich czy indyjskich portów, imponowała pięknem krajobrazu. Sam port był prowincjonalną miejsciną o niskiej piętrowej zabudowie, położoną nad cudowną zatoką. Jan minął mieszczący się przy porcie niewielki garnizon, potem prosty katolicki kościół, skromne bambusowe chaty tubylców – zajmujących się łowieniem ryb Sakalawów i Howasów, ciągnących ryksze z francuskimi namiestnikami wyspy wzdłuż jednopiętrowych kolonialnych budynków, rozmieszczonych przy głównej, piaszczystej ulicy miasteczka. Po drodze minął jeszcze dwóch młodych Hindusów i kilka kobiet o ciemnym kolorze skóry i smukłych ciałach ukrytych pod kolorowymi chustami, z kolczykami w uszach i w nozdrzach, z pięknymi, zaplecionymi w cienkie warkoczyki włosami, poruszających się z gracją, pewnie, jakby świadomych swojej niezwyklej urody. Wokół rósł gęsty, tropikalny las, ale Jana bardziej pociągało miasto.

Zatrzymał się na moment i ogarnął wzrokiem budynki przed sobą. Na półkolistym zbiegu dwóch głównych ulic miasta wśród parterowych domków wyróżniał się biały piętrowy gmach z arkadowymi podcieniami. Budowla

reprezentowała typowy styl kolonialny i przypominała domy, jakie Jan widywał już na Karaibach czy w Indochinach. Ruszył w jej stronę.

Na parterze, pod łukami arkad, po obu stronach wejścia do budynku stało kilkanaście okrągłych stolików, wokół których na lichych krzesłach siedzieli popijający jakieś trunki biali ludzie. Wnosząc z ich strojów, większość z nich musiała być przybyłymi na wyspę marynarzami. Tylko niektórzy goście sprawiali wrażenie bardziej tu zasiedziałychem przedstawicieli lokalnej administracji czy francuskich firm posiadających na Madagaskarze swoje oddziały. Wokół stolików od czasu do czasu kręciła się młoda, bardzo ładna śniada dziewczyna, która zabierała z blatów puste szklanki i kieliszki, po chwili przynosząc napełnione nowe.

Nad budynkiem kołysał się czerwony szyld, na którym stylizowanymi ciemnoniebieskimi literami napisano nazwę tego przybytku Le Zuave. W napis wkomponowana była tarcza z portretem przedstawiającym profil brodatego mężczyzny w bordowym fezie ozdobionym czarnym frędzlem.

Jana zaintrygowała nazwa tego miejsca. Les Zuaves, czyli po polsku „żuawi”, stanowili we francuskiej Legii Cudzoziemskiej rodzaj doborowego wojska, ubranego w charakterystyczne stroje berberyjskiego pochodzenia. Będąc kilkunastoletnim chłopakiem, Jan zaczytywał się w powieściach o ich bohaterskich i awanturniczych czynach z czasów walk w Algierze, pod Sewastopolem, Magentą.

Potem miał możliwość zobaczenia żuawów w Chinach. Była to formacja złożona z żołnierzy różnych narodowości, choć dominowali w niej Francuzi i muzułmańscy mieszkańcy ich kolonii. Bywali również Włosi, Hiszpanie i Polacy. Długie przebywanie z obcokrajowcami spowodowało, że Jan stęsknił się za rozmową w ojczystym języku. Szanse, że w tej zapadłej, zamorskiej mieścinie spotka Polaka, były niewielkie, ale postanowił u Żuawa przepłukać nieco gardło.

Przy stolikach na zewnątrz nie było miejsca, wobec tego wszedł do środka.

Za niewielkim barem stał krępy, barczysty mężczyzna około pięćdziesiątki, o ogorzałej twarzy i jasnej brodzie. Opalona twarz kontrastowała z wyrazistymi

jasnoniebieskimi oczami. Ubrany był w białą szeroką, płócienną koszulę, na głowie zaś miał czerwony fez, dokładnie taki sam jak brodacze z szyldu.

Jan rozejrzał się po lokalu. I tu wszystkie stoliki były zajęte. Siedzieli przy nich goście tacy sami jak na zewnątrz. Ulokował się więc przy barze za jednym z francuskich marynarzy, który czekał, aż barman w fezie napełni mu szklanę jakimś białym trunkiem. Kiedy ta czynność została zakończona i marynarz odszedł od lady, Jan zamierzał zamówić coś do picia, jednak zanim otworzył usta, barman bez słowa podniósł rękę na znak, że musi poczekać. Wtedy Jan ponownie zauważył śniadą dziewczynę, która niepostrzeżenie wyłoniła się zza niego.

– Jeszcze jedna butelka calvadosu dla kapitana Grainville’a i jego kompanów – powiedziała dziewczyna po francusku dźwięcznym głosem.

Zanim barman otworzył butelkę i postawił ją na przyniesionej przez dziewczynę tacy, Jan mógł się przyjrzeć kelnerce. Nie miała pewnie więcej niż dwadzieścia lat. Ładną, śniadą i delikatną twarz o afrykańskich rysach zdobiły szafirowe oczy, co świadczyło o tym, że dziewczyna musiała być owocem związku Europejczyka z Afrykanką. Spod ciemnoczerwonej chustki wystawały bujne brązowe włosy, miejscami poprzeplatane pasemkami złotych kosmyków, jakby rozjaśnionych promieniami słońca. Dziewczyna zauważyła zainteresowanie Jana, ale nie uciekła wzrokiem, jak to bywało u europejskich dziewczyn, tylko popatrzyła mu w oczy. Była tak piękna, a przy tym śmiała, że Jan nie wytrzymał jej wyzywającego spojrzenia i odwrócił głowę w stronę baru, niby to przyglądając się zastawionej butelkami półce. Dziewczyna uśmiechnęła się delikatnie na znak tryumfu, po czym zabierając tacę z postawioną na niej zieloną butelką, odeszła tanecznym krokiem, kołysząc zgrabnymi biodrami.

– W czym mogę panu służyć? – spytał barman.

Jan jakby się teraz ocknął. Przyglądanie się zasobom baru było na tyle udawane, że nie wybrał niczego.

– Chciałem się napić... – bąknął po francusku.

– Tego się raczej domyślam – zażartował barman. – Jesteśmy w barze, a nie w katedrze. A czego konkretnie? Whisky i podobnych szkockich szczołów

obecnie nie mam, pańscy ziomkowie wszystko wyżłopali.

– Moi ziomkowie? – spytał zaskoczony Jan.

– Tamci. – Barman wskazał na siedzących w końcu sali kilku rosyjskich podoficerów. – Z braku wódki, której na pokładach swoich okrętów pewnie mają w bród, zaordynowali sobie szkocką. Właśnie dopijają trzecią butelkę ardbega.

Jan zrozumiał, że jego akcent musiał go zdradzić. Z angielskim i niemieckim radził sobie bardzo dobrze, jednak po francusku mówił dużo gorzej.

– Jestem Polakiem – sprostował.

– Polakiem? W takim razie przepraszam – odpowiedział barman.

Jan się uśmiechnął.

– Skąd pan wie, że to mnie obraża?

– Znałem kilku Polaków i żaden z nich nie lubił, gdy brano go za Rosjanina.

– Poznał ich pan w Legii? – spytał Jan.

– Tak. Było ich w moim pułku z kilkunastu. Dobrzy żołnierze. Z jednym nawet się przyjaźniłem.

– Ja też poznałem legionistów podczas powstania bokserów w Chinach – zagaił Jan, zerkając na krzątającą się przy stołach kelnerkę.

– W tej awanturze nie brałem już udziału. Ale z Chińczykami miałem wątpliwą przyjemność potykać się w Tonkinie. Wyjątkowo bezwzględna kampania. To czego się pan napije?

– Najpierw szklankę wody poproszę, a potem może kieliszek calvadosu, skoro cieszy się tu nie mniejszą popularnością niż szkocka – rzucił Jan.

– Na calvados to może jeszcze jest zbyt gorąco. Kapitan Grainville się nim raczy, bo ten smak przypomina mu rodzinną Normandię, w której nie był od pięciu lat, a w promieniu tysiąca kilometrów tylko u mnie może się go napić w tak dobrym wydaniu. Generalnie większość zamawia tutaj rum, ale jeśli lubi pan mocniejsze, wyszukane smaki, to mogę panu zaproponować coś ze swoich stron – rzekł barman, obracając się do barowej półki, z której zdjął okrągłą butelkę, po czym postawił przed Janem baniasty kieliszek.

Nalał do niego złotawego alkoholu, którego szlachetny zapach na chwilę

uniósł się nad barem.

Jan zakręcił kieliszkiem, wciągnął nosem jego silną woń, po czym skosztował trunku. Kiedy minęło już pierwsze wrażenie, pokiwał głową z uznaniem.

Barman uśmiechnął się zadowolony.

– Armaniak. Taki pijał D’Artagnan – powiedział, nalewając również sobie.

– Jest pan Gaskończykiem? – spytał Jan, dla którego wiele lat temu przygody bohaterów Dumasa były jedną z ulubionych lektur.

Ogorzała twarz barmana rozpromieniła się. Poza nieliczną grupą Francuzów, nie spodziewał się, żeby jakiś obcokrajowiec, i do tego jeszcze Polak, cokolwiek wiedział o Gaskonii, w tak oczywisty sposób kojarząc ją z jednym z bohaterów powieści.

– Zna pan Gaskonię?

– Nie. Niestety nigdy tam nie byłem. Ale z literatury znam kilku Gaskończyków. *Cyrana de Bergerac* Rostanda usiłowałem przeczytać po francusku, ale był dla mnie za trudny. W jednej z naszych gazet czytałem fragmenty tłumaczone na polski, choć to pewnie nie to samo – odparł Jan, po czym wznosząc w kierunku barmana kieliszek armaniaku niczym do toastu, zarecytował z pamięci po francusku:

Gaskońskie oto są junaki

Carbona de Castel-Jaloux! (...)

Wzrok orli, czapli chód, lwie kłaki,

Wąs lisi, głód wilczego kłu! (...)

„Rozwal-mu-pysk” i „Pruj-mu-flaki” –

Tak zowią się z krwawego chrztu!

Wzrok barmana jeszcze bardziej się rozjaśnił. Po czym Francuz, uśmiechając się, dokończył:

„Rozwal-mu-pysk” i „Pruj-mu-flaki” –

Tak zowią się z krwawego chrztu!

Krew chłepcą tak jak lwie szczeniaki (...)

Gdzie gra na pięść-kij-nóż-tasaki, (...)

*Gaskońskie oto są junaki,
Carbona de Castel-Jaloux! (...)*”

Ostatnie dwa wersy wykrzyknęli niemal razem.

– Ha! Jestem Renard. Dawny kapral Drugiego Regimentu Żuawów, teraz właściciel tej speluny. – Barman wyciągnął rękę w kierunku Jana. – Za kilka godzin będziemy obchodzić Nowy Rok. Nie wiem, jakie są twoje plany, przyjacielu, ale bądź dziś gościem starego legionisty.

Jan również się przedstawił, a nie mając innych planów, na zaproszenie przystał.

– Pierwszy raz na Madagaskarze? – zapytał Renard, nalewając sobie również kieliszek armaniaku.

– Tak się złożyło, że pierwszy.

– Ja tu jestem już prawie dwadzieścia lat. Po tej tonkińskiej awanturze odszedłem z Legii. Do Francji nie za bardzo miałem po co wracać, trafiłem tutaj i jakoś tak już zostało.

– Co cię skłoniło, jeśli można spytać, do wyjścia z Legii?

– Długa historia. Głównie były dwa powody. Po pierwsze, jak to się ładnie pisze w gazetach, „pacyfikowanie wsi” niespecjalnie leży w mojej naturze. A po drugie...

Renard nie skończył, bowiem za bar weszła kelnerka, która przyniosła pozbierane ze stołów puste kieliszki i butelki. Pokrzętała się trochę, od czasu do czasu spoglądając na Jana.

– A po drugie... – podjął po chwili Renard – to jest ten drugi powód. – Wskazał w kierunku dziewczyny, która właśnie wyłoniła się z zaplecza. – Sophie, poznaj rodaka moich druhów z Legii.

Dziewczyna przestała się krzątać, skinęła lekko głową, na co Jan odpowiedział tym samym.

– W Indochinach przetrzebiły nas choroby – opowiadał Renard. – Kilku z nas było tak słabych, że zamiast płynąć do Oranu, musieliśmy tu zostać, pod opieką miejscowych. Zajął się mną matka Sophie. Właściwie to jakimiś malgaskimi gusłami uratowała mi życie. Pozostali nie mieli tyle szczęścia.

– Sophie jest więc twoją córką? – spytał Jan.

– Tak. To chyba jedyne, co mi się w życiu naprawdę udało – odpowiedział Renard, obserwując, jak córka sprawnie sobie radzi z niewybrednymi zaczepkami wilków morskich.

Odkorkował butelkę i dolał Janowi jeszcze nieco trunku ze swoich stron.

Jan tymczasem przyglądał się dziewczynie, która poruszała się z gracją motyla, ale kiedy trzeba było, potrafiła zachować się jak lamparcica.

– Od trzeciego roku życia wychowywałem ją sam, więc jest w niej coś z chłopaka i nie da sobie w kaszę dmuchać – zaśmiał się Renard, widząc, jak jeden z nazbyt poufałych marynarzy dostaje od dziewczyny z otwartej dłoni w twarz, co reszta jego kompanów skwitowała głośnym rechotem.

– A co się stało z jej matką? – zainteresował się Jan, wyobrażając sobie, jak piękna musiała być matka tej istoty.

– Fady – odpowiedział krótko Renard, a widząc pytający wzrok Jana, łyknął kolejną porcję armaniaku i zaczął opowieść: – Fady to rodzaj miejscowego przesądu. Życie Malgaszów jest podporządkowane różnym nakazom i zakazom przestrzeganim przez poszczególne osoby, rodziny lub całe plemiona. Fady znaczy, że „niebezpiecznie jest coś robić”. Chodzi tu o najbardziej prozaiczne zachowania. Nie wolno pracować na roli w określony dzień tygodnia, polować na jakieś zwierzę lub go jeść. Przestrzeżenie fady ma zapewnić szczęście i powodzenie w życiu. W plemienu matki Sophie uważano, że urodzenie dziecka w czwartek przyniesie nieszczęście jego matce. Kiedy Sophie się urodziła w czwartek, współplemieńcy mojej kobiety przyszli zabrać dziecko. Oczywiście nie dopuściłem do tego, przez co skazałem się na potępienie ze strony plemienia. Jako Europejczyk, który niejedno w życiu widział, nie wierzyłem w te zabobony. Jednak cztery lata po urodzeniu się Sophie, w czwartek, czwartego kwietnia, moja kobieta zmarła. Miejscowy lekarz, Francuz, stwierdził, że umarła na serce i że musiała mieć jakąś wrodzoną wadę. Nigdy nie chorowała...

– Smutna historia, ale to raczej kwestia przypadku – wysilił się na racjonalność Jan. Czując jednak, że jego stwierdzenie zabrzmiało w tych okolicznościach raczej niewłaściwie, próbował zrewanżować się Renardowi

jakąś historią, która by nieco zamaskowała jego nietakt. – Ciekawe, że kiedy byłem w Chinach, zetknąłem się z podobnym zabobonem.

Renard spojrział na niego z zainteresowaniem, więc zaczął mówić.

– W Chinach cyfra cztery uważana jest za pechową. Nawet w Szanghaju, w nowoczesnych hotelach dla Europejczyków, zauważyłem, że nie ma tam pokoju o takim numerze. Wszystko to jakoby dlatego, że słowo oznaczające ten liczebnik brzmi podobnie do słowa „giń”.

Twarz Renarda wyraźnie spochmurniała. Przełknął ślinę i odchrząknął.

Jakby nagle przypomniał sobie jakąś traumatyczną, zamierzchłą historię. Otarł pot z czoła.

– No tak. Może człowiek płaci za swoje dawne grzechy...

Do baru wszedł ciemnoskóry Malgasz, który powiedział coś w swoim zrozumiałym dla Renarda języku. Barman odpowiedział, po czym przeprosił Jana i ruszył na zaplecze. Wkrótce dał się słyszeć dźwięk rozpakowywanych butelek, dostarczonych z Europy na którymś ze statków. Zauważywszy, że jeden ze stojących lekko z boku stolików opustoszał, Jan zabrał ze sobą kieliszek i ruszył w głąb sali.

Przy sąsiednim stoliku siedziało kilku rosyjskich marynarzy. Jan usiadł niedaleko, u Sophie zamówił jeszcze jeden kieliszek armaniaku i słuchał mowy swego dzieciństwa. Marynarze pili po słowiańsku, dużo i do zamroczenia. I coraz głośniej mówili.

Wilki morskie, ludzie zrośnięci z pokładem okrętu. Elektrykarze, torpedominerzy, bosmani, w białych spodniach i marynarskich bluzach. Byli wśród nich technicy, metalowcy, mechanicy, byli też ludzie biegli w innych zawodach i umiejętnościach, koniecznych do obsługiwanego skomplikowanego mechanizmu, jakim jest okręt wojenny. To nie była ciemna masa strzelców, kozaków, piechociarzy.

Rosyjscy marynarze toczyli ostry spór o sens całej wojny z Japonią. Sens był tym bardziej wątpliwy, że ich okręty musiały okrążyć pół świata, żeby dotrzeć na pole walki. Jan usłyszał, że postój na Madagaskarze nie był spowodowany chęcią dania odpoczynku zmęczonym załogom. Na okrętach trwały pilne prace,

bowiem dowództwo floty wysłało ich w bój na nieukończonych i wciąż nie w pełni zdatnych do walki jednostkach.

Nagle przez salę przebiegł szary zwierzak z długim pasiastym ogonem i zwinnym skokiem wskoczył na kolana jednego z marynarzy. Rosjanin wystraszył się i przeżegnał po prawosławnemu, co inni skwitowali śmiechem. Tymczasem zwierzak, owinąwszy swój efektowny ogon wokół szyi nowego kolegi, chwycił w pięciopalczystą łapkę kawałek leżącego na talerzu kęsa i zaczął zajadać ze smakiem. Marynarze podawali mu jeden przez drugiego kawałki gotowanych jarzyn i owoce ze swoich talerzy. Zwierzak okazał się wybredny i wybierał tylko to, na co w tej chwili miał ochotę.

Zza baru wyszła Sophie i postawiła przed Janem kolejny kieliszek armaniaku, po czym podeszła do stołu z rosyjskimi marynarzami.

– Portos! Znowu żebrzesz, tłuściochu! – rzuciła żartobliwie, zabierając z kolan rosyjskiego marynarza lemura, na którego szyi dopiero teraz Jan zauważył małą obrózkę.

Kiedy Sophie niosła Portosa na rękach, Jan wgapił się w nią, do momentu gdy żółtobrazowe oczy lemura zbiegły się z jego wzrokiem, co sprawiało wrażenie, jakby lemur go przedrzeźniał.

Marynarze wybuchnęli głośnym śmiechem. Nagle jeden z pijących matrosów wstał, zorientowawszy się zapewne, że ich śmiałe krytykowanie dowódców było może nazbyt odważne. Nie wzięli dotychczas pod uwagę, że ktokolwiek poza nimi może tu rozumieć ich język. Wskazał palcem na Jana i zapytał po rosyjsku:

– A ty kto?

– Człowiek – odpowiedział również po rosyjsku Jan.

Wszyscy Rosjanie zwrócili oczy na niego. A ten, który go pierwszy zauważył, wziął wolne krzesło, przystawił je do stolika marynarzy i powiedział:

– Jeżeliś człowiek, siadaj z nami.

I Jan przysiadł się do Rosjan. Ci, początkowo nieufni, dowiedziawszy się, że jest zatrudnionym na angielskim statku Polakiem i przekonawszy się, że dobrze mu z oczu patrzy i nie wygląda na szpicla, otwarli się bardziej. Pili razem

niemal do północy. Sophie przynosiła kolejne butelki, za które jeden z podoficerów, chcąc jej zaimponować, płacił złotymi rublami. Podziwiali jej egzotyczną urodę, choć stanowczo twierdzili, że rosyjskie dziewczyny są najpiękniejsze, czemu Jan nie zaprzeczał. Śpiewali rosyjskie pieśni, przy czym jeden z nich dysponował naprawdę świetnym barytonem, którego nie powstydziliby się niejedna opera.

Opowiadali, jak wyruszyli we wrześniu tego roku z niepełnym osprzętowaniem i zupełnie nieprzygotowaną załogą. Byli wycieńczeni, spali mało, niemal codziennie budzeni w środku nocy próbnymi alarmami. Względem niektórych marynarzy stosowano też upokarzające kary, co jeszcze bardziej niwelowało nadwątlony zapał do walki. „Życzę wam zwycięskiej kampanii i szczęśliwego powrotu do kraju” – żegnał ich car. Opowiadali o incydencie pod Hull, kiedy to rozegrała się pierwsza „bitwa”, o której wspominał już Janowi Burn.

Rosjanie byli tak spanikowani i nieprzygotowani do walki, że przez pomyłkę ostrzelali brytyjską flotę rybacką, zniszczyli pięć statków, zabijając dwóch rybaków. Na skutek własnego ostrzału trafiony został jeden z okrętów, na którym śmierć poniosło dwóch rosyjskich marynarzy.

Z tego, co mówili, Jan wywnioskował, że ci idący w bój ludzie dobrze wiedzieli, iż rodzinny kraj wysyła ich na pewną śmierć, bowiem życie marynarza w Rosji niewiele było warte. Nie wierzyli, że pospieszne prace sprawią, iż okręty będą w stanie podjąć walkę. Nie darzyli też szacunkiem admirała, który był nieufającym swoim oficerom despota. Wiedzieli, że są jedynie bezwolnymi marionetkami w rękach cara. I gdyby ich władcy przyszła ochota wysłać ich do Argentyny lub Australii, popłynęliby tam. I dopiero z gazet dowiedzieliby się, w imię jakich to wielkich idei mają oddać życie.

Zaskakujące, że jeden z marynarzy powiedział Janowi dokładnie to samo, co kilka tygodni temu usłyszał od kapitana Burna:

– Na tej wojnie, jak na każdej innej, zarobią tylko Anglicy. Za możliwość przyplłynięcia tutaj słono płacimy syberyjskim złotem...

Zbliżała się północ. Nagle marynarze ucichli. Do Żuawa weszło czterech

oficerów Drugiej Floty Pacyfiku. Sposób, w jaki kołysali się na nogach i usiłowali złapać ostrość widzenia, świadczył o tym, że wcześniej musieli odwiedzić już inny lokal.

Renard wyjął z kieszeni spodni przytwierdzony łańcuszkiem do guzika koszuli zegarek i otworzył jego srebrną kopertę. Do drugiej ręki wziął nóż i uderzając nim niczym w gong o brzeg stojącej na barze pustej butelki, przemówił.

– Szanowni goście! Za trzy minuty przywitamy Nowy Rok! Oby ten tysiąc dziewięćset piąty był dla nas rokiem szczęśliwym. Oby omijały nas choroby, złe wiatry i sztormy! Niech ładownie waszych statków będą zawsze pełne towarów, które sprzedacie z zyskiem! Wszystkiego dobrego!

Siedzący dotychczas za stolikami goście wstali, wznosząc toasty. Zrobili to nawet rosyjscy kompani Jana, chociaż w ich kraju zgodnie z kalendarzem juliańskim nowy rok miał się zacząć dopiero za niespełna dwa tygodnie. Za oknem dało się słyszeć pojedynczy wystrzał armatni pochodzący z pobliskiego francuskiego garnizonu, a od strony niedalekiego drewnianego katolickiego kościoła dobiegł dźwięk niewielkiego dzwonu. Był to dla wszystkich widomy znak, że rok 1904 przeszedł do historii. Lokal rozbrzmiał różnymi językami, po czym goście powoli zaczęli siadać przy swych stolikach.

Stali tylko rosyjscy oficerowie, z których jeden podniósł wysoko kieliszek i wyraźnym, nawykłym do wydawania komend głosem, najpierw po francusku, a potem po rosyjsku z teatralną dumą wygłosił:

– Za zdrowie Jego Wysokości Imperatora Wszechrusi Mikołaja Drugiego i jego małżonki Imperatorowej Aleksandry Fiodorowny! Za pomyślność Domu Panującego i Naszej Ojczyzny Rosji!

Cała czwórka rosyjskich oficerów podniosła kieliszki. Po czym jeden zaintonował hymn rosyjski i nad głowami nieco zdziwionych gości rozległa się trwająca prawie dwie minuty pieśń, na pierwsze dźwięki której rosyjscy kompani Jana wstali.

Боже, Царя храни!

Сильный, державный,

Царствуй на славу, на славу намъ!

Царствуй на страхъ врагамъ,

Царь православный!

Боже, Царя храни!

Boże, Cara nam chroń!

Silny, potężny,

Panuj ku chwale, ku chwale nam!

Wrogom odwagę złam,

Carze prawosławny!

Boże, Cara nam chroń!

Kiedy pieśń się skończyła, oficerowie wychylili kieliszki do dna i cisnęli nimi o podłogę, rozbijając je na kawałki. Na widok niezadowolonej miny Renarda jeden z nich wyszperał w kieszeni kilka złotych monet i rzucił je na blat baru. W tym czasie drugi, łysiejący, o nalanej rumianej twarzy ozdobionej burym wąsem, podszedł do stołu, przy którym siedzieli rosyjscy marynarze. Ci, rozpoznając w jego szlifach stopień starszego lejtnanta, znowu natychmiast wstali, przyjmując postawę na baczność. Tylko Jan siedział.

– A ty czemu nie śpiewałeś naszego hymnu? – zaryczał Rosjanin, najwyraźniej biorąc Jana za poddanego cara Mikołaja Drugiego.

– Bo to nie jest mój hymn – odpowiedział Jan czysto po rosyjsku do starszego lejtnanta.

– Jak to, nie twój? – zdumiał się oficer. – Nie jesteś Rosjaninem?

– Nie – odrzekł spokojnie Jan.

– Wiktorze Wasilijewiczu, dajcie spokój...

Stojący blisko baru wysoki młody oficer ruszył w kierunku swego krewkiego kompana, którego nadmiar alkoholu wyraźnie nastrajał agresywnie. Wiktor Wasilijewicz jednak nie dał się odciągnąć od stołu. Zmrużył jedno ze swoich rybich oczu, co było wiadomym znakiem gonitwy skołatanych alkoholem myśli.

Nagle nalana twarz mu się rozjaśniła.

– Aaa... pan Polak? – wycedził przez zęby niby to pieśczośliwym tonem.

– Nic ci do tego – odparł chłodno Jan, czując, że dalszy dyskurs z pijanym

Rosjaninem wróży tylko kłopoty.

– Ha! Zgadłem! Nieprawdaż? – Wiktor Wasilijewicz prowokował dalej.

Jan wstał od stołu i ruszył w kierunku wyjścia, odsuwając napastliwego Rosjanina.

– Zdrajcy i spiskowcy... – cedził dalej pijany Rosjanin.

Młodszy wiekiem i stopniem oficer raz jeszcze próbował odstawić starszego lejtnanta do baru. Ten jednak odepchnął go.

– Zebrzecie na obcych brukach i mienicie się lepszymi!

Jan nie reagował. Pamiętał, jak zakończyła się scena o podobnym charakterze kilka lat temu w Krakowie. Nie chciał dać się sprowokować pijanemu.

Uznał, że ledwo stojący na nogach Rosjanin to nie przeciwnik dla niego i wdawanie się z nim w pyskówki jest poniżej godności.

Renard wszystkiemu się przypatrywał i choć języka, w którym toczył się ten spór, nie rozumiał, to wiedział, że Jan jest obrażany. Czuł się nieco zawiedziony jego postawą. W przejściu na zaplecze stała też Sophie, która spoglądała na Jana zmierzającego powoli w stronę wyjścia.

– Myślisz, że też jesteś lepszy, co? – rzucił tryumfująco do odchodzącego Jana Rosjanin.

Ten miał już skinieniem głowy pożegnać się z Renardem i jego córką, gdy za swoimi plecami usłyszał nieco cichsze, ale wystarczająco słyszalne ostatnie zdanie Rosjanina.

– Tchórz... Stoją jeszcze na Litwie i w Polsce drzewa, na których was wieszaliśmy...

Jan się odwrócił. Zrobił kilka niespiesznych kroków w kierunku starszego lejtnanta Floty Jego Imperatorskiej Mości, a kiedy ten był już w zasięgu jego ręki, patrząc mu w oczy, zamachnął się sprawnie, trafiając go otwartą pięścią w nalany pysk.

Rosjanin zatoczył się i wpadł na stół, przy którym jeszcze chwilę temu siedział Jan. Rosyjscy marynarze na wszelki wypadek postanowili się oddalić, uznając całą sprawę za rozgrywkę między oficerami. Kompani jednak nie mogli

już przyglądać się całemu zamieszaniu bez reakcji, ruszyli więc na Jana. Ten zaś kilkoma sprawnymi kopnięciami i ciosami powalił niebawem wszystkich. Widząc, co się dzieje, ledwo podnoszący się z podłogi Wiktor Wasilijewicz wrzasnął do ostatniego z wychodzących marynarzy:

– A wy, psy, dokąd? On znieważył mundur rosyjskiego oficera! Brać go!

Marynarze nie mieli wyjścia, musieli zawrócić. Jan natomiast, nie chcąc okładać wyuczonymi w Chinach ciosami swych niedawnych kompanów, cofnął się w kierunku baru. Rosyjscy oficerowie zdążyli się już pozbierać i byli gotowi do kolejnego ataku. Widząc to, Renard wepchnął Jana za bar, dając jednocześnie Sophie znak głową wskazujący zaplecze. Rzucił przy tym kilka słów po malgasku.

Sophie zrozumiała, chwyciła Jana za rękę i pociągnęła w kierunku półkolistego wejścia na tyły lokalu.

Rosjanie próbowali ruszyć za nimi, ale Renard wyciągnął spod baru sporej wielkości rewolwer, dając swoim nachalnym gościom znak, że to już koniec zabawy i pora się wynosić.

– Dopadniemy cię! – rzucił w kierunku zaplecza poobijany Wasilijewicz, ale na tyłach knajpy nie było już nikogo.

Jan szedł chwiejnym krokiem wśród szmaragdowej roślinności podzwrotnikowego gaju, poddając się trzymającej go za rękę Sophie. Była jeszcze noc, ale powietrze już gęstniało, już zwiastowało morderczy upał, już za parę chwil słońce miało zacząć wspinać się leniwie po jasnoblękitnej płachcie nieba jak pająk, co po dojściu na szczyt wypuści swój parzący jad. Jan zatrzymał się na chwilę w miejscu, skąd roztaczał się wspaniały widok na czarny ocean, w którym odbijały się gwiazdy, a spienione grzywy fal wyglądały jak mgławice. Sophie puściła jego dłoń, on zaś napawał się bezkresem, harmonią tego widoku, marząc jednocześnie o tym, żeby zetrzeć ten widok sprzed oczu jak kredę z tablicy za pomocą mokrej szmaty. Morze stało się już dla niego czymś nużącym, dręczącą wzrok jednostajną codziennością.

Kiedy już prawie zasnął na stojąco, pochłonięty własnymi myślami oraz zbliżającym się kacem, palącym głowę i wnętrzości, usłyszał jakieś dźwięki, które dochodziły sprzed bambusowej chaty z trzciniowym dachem. Jan odwrócił się i zobaczył coś tak pięknego, że przez chwilę zdawało mu się, iż faktycznie zasnął i śni mu się jeden z tych snów, z których nie chcemy się obudzić. Przed nim stała Sophie, ubrana w lambę – pas wielobarwnej tkaniny, jakby zaprojektowanej na miarę, specjalnie dla niej, u najlepszego paryskiego krawca, który tylko zasłonił skrawkiem materiału jej doskonałe, harmonijne kształty. Myła bujne włosy, zatapiając je w drewnianym naczyniu, a następnie nasączała je delikatnie specjalnym olejem. Była bosa.

Jan poczuł nagłe pożądanie. Nie miał kobiety od wielu miesięcy. Długie kruczoczarne włosy, niezwykle smukła szyja i całe ciało, lśniąca, czekoladowa skóra. Była tak różnorodna i wielobarwna jak Madagaskar, od parnych tropikalnych plaż po chłodne zielone wyżyny. I jej oczy... Jaki był ich kolor, trudno powiedzieć. Raz były to szafirowe oczy małego kolibra, raz wielkie oczy lemura, lamparta, który jest jak duch, opuchnięte powieki kameleona czy

ciemne oczy indyjskiej kobry... Miała w sobie wszystkie formy, smaki i aromaty.

Była słodkim mango – zielonym, czerwonym, żółtym – i rambutanem o smaku liczi, pełną pasji, słodką i kwaśną zarazem marakują i sawo w tonacji posolonej gruszki. A nade wszystko była pierwszą spotkaną po ucieczce z Krakowa kobietą, w której nie widział Konstancji. Miał wiele kobiet różnych ras i kolorów skóry, ale dotąd każda z nich miała twarz Konstancji, w każdej z nich widział jej oblicze.

Sophie miała ciało i twarz Sophie. To było dla niego coś nowego, oczyszczającego.

Wystarczyło jedno spojrzenie. Uśmiechnęła się delikatnie.

Jan wszedł do bambusowej chaty zbudowanej na metrowych palach.

Zrzuciła chustę jednym ruchem i wyglądało to jak narodziny kogoś nowego, jeszcze piękniejszego, jeszcze doskonalszego. Bogini. Zdjął koszulę i wytatuowany na klatce piersiowej orientalny chiński smok, z głową w miejscu splotu słonecznego, skrzydłem dumnie rozpostartym na sercu i ogonem zagiętym u podbrzusza, załśnił na mokrej skórze, symbolizując odwagę, siłę i brutalną moc.

Gorące, wilgotne powietrze. Byli tak mokrzy od potu, jakby przed chwilą wyszli z oceanu. Na początku kochali się gwałtownie, gorączkowo, ale Jan szybko się zmęczył. Miesiące celibatu, wyczerpująca podróż i wczorajszy alkohol zrobiły swoje. Wtedy to ona przejęła inicjatywę. Zaczęła tańczyć na nim w ekstatycznym tańcu, przylegając do jego spoconego ciała tak mocno, tak szczelnie, że stawali się jednym. Ocierała się o niego kostkami stóp, łydkami, udami, masowała jego brzuch swoim twardym brzuchem, dotykała jego bujnej brody niedużymi, kształtnymi piersiami, których sutki najwyraźniej bardzo to lubiły. Pieściła go w sposób, jakiego nie znał z portowych burdeli, nigdy nie robił tego z taką intensywnością, mógł bez przesady powiedzieć, że nigdy z nikim nie był aż tak blisko. A może to wielomiesięczna podróż, tęsknota, nieustanne myśli o domu, o matce, o tym, co zostanie po powrocie, tak bardzo wyostrzyły jego zmysły. Ocierali się o siebie w zupełniej ciszy,

zwielokrotnionej ciszą, jaka zapadała pod powoli wschodzącym słońcem. Wszystko milkło w pokorze wobec potęgi żółtej tarczy i w absolutnym bezruchu. To był jakiś szalony, ekstatyczny taniec, jakby składali sobie siebie w ofierze. Kiedy zaciskała na nim swoje uda, wyginając się w przeróżne kształty i pozy, Jan w pewnym momencie odpłynął zupełnie, stracił kontakt z rzeczywistością, zniknął.

Obudził się z lekkim bólem głowy. Słońce stało w zenicie. Sięgnął po orzech kokosowy leżący obok i zaspokoił pragnienie. Z oddali dobiegał cichy dźwięk kościelnego dzwonu. Pierwszy dzień roku był jednocześnie niedzielą. Szukając wzrokiem Sophie, wstał, owinął się w prześcieradło i wyszedł na otaczający dom drewniany podest, stykający się z oceanem.

W cieniu pokrytego palmowymi liśćmi daszku, na bambusowym fotelu siedział Renard i palił fajkę. U jego stóp leżał lemur Portos i oddawał się sjeście.

Kiedy zwierzęce, szpiczaste ucho wychwyciło kroki Jana, lemur otworzył czujnie jedno oko, a gdy wyczuł, że wszystko jest w porządku, znowu pogrążył się w drzemce. Renard trzymał w ręku zieloną butelkę, zwieńczoną białym fajansowym kapslem. Jan nie wiedział, jak się zachować, a zauważywszy to, były legionista powiedział:

– Moja córka jest mądra. Wybrała najlepszy sposób, żebyś nie skończył jako niezidentyfikowany trup zrzucony ze skały. Ze dwudziestu rosyjskich marynarzy buszowało po okolicy do rana. Obstawili przystań, zaglądali do innych barów. Potem ten, któremu dałeś po mordzie, złożył zawiadomienie na policję, ale wątpię, by pocziwemu Perrinowi chciało się ze swoimi ludźmi biegać za tobą po wyspie.

Renard łyknął z butelki potężną porcję trunku.

– Tym bardziej że – kontynuował Gaskończyk – bójki między marynarzami w portowych knajpach nie są jakimś novum. Zresztą nasz komendant pewnie teraz klęczy ze swoją nabożną żoną w kościele.

Jan podszedł na brzeg podestu i spojrzął w stronę pobłyskującego w słonecznych promieniach oceanu. Na tle malowniczego krajobrazu rysowały się sylwetki rosyjskich okrętów.

– Pewnie jak się obudzą, to i tak niewiele będą pamiętać – podsumował Renard, podając Janowi zieloną butelkę, jak się okazało, z piwem.

Jan łyknął złocistej cieczy. Zaskakująco zimny, gorzkawy smak rozpułynał się po jego umęczonym suszą gardle.

– Dostałem kilka butelek od pewnego Belga – wyjaśnił Renard.

Jan patrzył nadal w ocean, nie bardzo wiedząc, jak się zachować w stosunku do ojca Sophie.

Widząc to, Renard zaczął ze zrozumieniem.

– To jest Madagaskar. Nie masz co mierzyć tutejszych zachowań europejską miarą. Jeszcze ćwierć wieku temu zupełnie legalnie można tu było mieć kilka żon.

W głębi wyspy, wśród Sakalawów, z którego to plemienia pochodziła matka Sophie, monogamia nadal nie jest praktykowana. Oni inaczej pojmują wierność i zdradę, a najwyższym dowodem zaufania wobec zamieszkującego wioskę przybysza jest oddanie mu czasowo swojej żony. Wtedy przybysz staje się częścią społeczności i przestaje być obcy.

Jan spojrział z pewnym niedowierzaniem na Renarda.

– No, nie myśl sobie zaraz, że oddałem ci córkę. Sophie jest dorosła i może robić, co chce. Skoro uznała, że jesteś wart tego, by się tobą zająć, to tylko powinno ci pochlebiać. Ale z drugiej strony, właściwie mógłbym mieć takiego zięcia. Przypominasz trochę Gaskończyka. Jesteś dumny jak my. I cenisz sobie wolność.

Jan nic nie odpowiedział. Pomyślał tylko, ile nieszczęść nie wydarzyłoby się, gdyby Konstancja była Sophie. Gdyby zakochał się w tej półkrwi malgaskiej dziewczynie, córce legionisty spod Pirenejów, a nie w szlachetnie urodzonej, porcelanowej panience ze spętanej feudalnymi zabobonami rodziny, w której żyłach płynęła krew książąt i świętych.

– Poza tym wśród tutejszych życie bez kobiety jest czymś nienormalnym i stanowi dowód, że z przybyszem jest coś nie tak – kontynuował, popijając piwo, Renard.

– Ale ty nie masz kobiety – zauważył Jan i dopiero po chwili zdał sobie

sprawę z niestosowności uwagi.

– Moja kobieta umarła piętnaście lat temu – rzucił krótko Renard, zamykając temat.

Nagle Portos zerwał się na równe nogi i zjeżył sierść niczym kot.

Wyszczerzył zęby i zaczął syczeć oraz parskać.

– Portos! Zwariowałeś? – fuknął Renard, zdziwiony niecodziennym zachowaniem pupila.

Na podeście pojawił się Burn w towarzystwie dwóch krępych osiłków.

Widząc stojącego na końcu drewnianej konstrukcji Jana, wyraźnie się ucieszył.

– O, jest pan! Dziewczyna z baru powiedziała nam, że tu pana znajdziemy.

Kiedy usłyszałem, że jakiś Polak wdał się w awanturę z rosyjskimi oficerami, od razu pomyślałem o panu. Swoją drogą, jeśli dziewczyna, która wskazała nam to miejsce, była powodem tej bijatyki, to wcale się panu nie dziwię.

Burn przedstawił się krótko po francusku Renardowi jako kapitan angielskiego parowca o nazwie „Legion”. Francuz odpowiedział tym samym, dodając przy tym, że jest byłym legionistą.

– Dlaczego nazwał pan statek „Legion”? – spytał Renard. – Czyżby miał pan jakąś legionową przeszłość?

– Nie. To stara historia. Nawet bardzo stara – odpowiedział Burn i rzucił okiem na wystraszonego lemura.

Portos w tym czasie był już na dachu domu i syczał, szczerząc zęby.

– Włóczy się ich jeszcze paru po porcie, więc na wszelki wypadek postanowiłem zabrać ze sobą braci O’Neillów – powiedział do Jana Burn, a dwaj stojący za nim najsilniejsi i zaprawieni w portowych potyczkach marynarze z „Legionu” kiwnęli tępo głowami w stronę brodatego byłego kaprala, który skłonił głowę, biorąc ich gest za powitanie.

– Muszę się zbierać – rzekł Jan i ruszył w kierunku sypialni, w której spędził jedną z najbardziej niezapomnianych nocy w swoim dotychczasowym życiu.

Po chwili wrócił odświeżony i ubrany.

– Dziękuję, kapralu – powiedział do Renarda, wyciągając rękę na

pożegnanie. – Wypływamy dopiero w środę, więc postaram się jeszcze zajrzeć do Żuawa przed wyjściem z portu.

Renard uściskał dłoń Jana i poklepał go po plecach. Ten chłopak przypominał mu trochę jego samego z czasów, kiedy temperament i burzliwa młodość kazały szukać ucieczki w Legii Cudzoziemskiej. Nie znał powodów, dla których Jan włóczy się po świecie, ale czuł, że muszą być podobne do tych, które wyгнаły go prawie czterdzieści lat temu z Francji.

Jan i jego towarzysze poszli w stronę portowego nabrzeża. Portos uspokoił się nieco i wrócił na pomost, wskakując Renardowi na ramię, wciąż bacznie obserwując znikających w oddali niedawnych gości.

Zamieszanie z Rosjanami sprawiło, że na prośbę Burna Jan przeczekał całą niedzielę na „Legionie”. Angielski kapitan nie mógł sobie pozwolić na utratę najlepszego oficera, więc na wszelki wypadek zasugerował mu nieschodzenie na ląd przez najbliższą dobę. Słusznie uważał, że Rosjanom wraz z poniedziałkowym porankiem skończą się przepustki i będą musieli wrócić do obowiązków na swoich okrętach. Nie zakładał też, podobnie jak Renard, by miejscowa policja, składająca się z dwóch białych oficerów i grupy kilkunastu malgaskich podoficerów i szeregowych, miała się specjalnie wysilać w poszukiwaniu sprawcy burdy. Było to tym bardziej prawdopodobne, że Żuaw korzystający ze swych znajomości już dobrze zadbał, by siły porządkowe nie podejmowały żadnych kroków.

Zatem większą część niedzieli Jan odsypiał na koi. Myśl o Sophie nie dawała mu spokoju, jednak słowo dane Burnowi, że do poniedziałku nie będzie włączył się po porcie, powstrzymało go przed złożeniem wizyty w pamiętnym dla niego barze.

Następnego dnia, około jedenastej, popłynął szalupą z bosmanem Wrightem i jednym z braci O’Neillów do portu. W kapitanacie miał załatwić kilka niezbędnych czynności, umożliwiających zaplanowane na środę wyjście w kierunku Kapsztadu. Do tego czasu kotłownia „Legionu” miała już być uzupełniona węglem, którego zapasy poważnie się uszczupliły podczas rejsu przez Ocean Indyjski.

W biurze kapitanatu panowało małe zamieszanie. Grupa przywdzianych w białe kolonialne mundury Francuzów żywo rozmawiała między sobą. Wśród nich Jan rozpoznał zaprzyjaźnionego z Renardem kapitana Grainville’a, który raczył się U Żuawa calvadosem. Obok niego stał podoficer z wyhaftowanymi na rękawie bluzy błyskawicami, co oznaczało, że jest telegrafistą. Trzymał w ręku kilkudziesięciocentymetrowej długości papierowy pasek zawierający przyslaną

za pośrednictwem telegrafu informację. Na pytanie Jana, czy stało się coś poważnego, podekscytowany młody francuski elew powiedział, że dziś padł Port Artur.

Zatem rok 1905 dla Wiktora Wasilijewicza i jego kompanów nie zaczął się zbyt dobrze – pomyślał nie bez satysfakcji Jan.

Formalności trwały krótko. Wiadomość dnia, której wprawdzie od dłuższego czasu się spodziewano, zdominowała zachowanie umundurowanych urzędników francuskiej marynarki handlowej. Grainville przybił odpowiednie stemple i podpisał właściwe rubryki w wymaganych prawem formularzach. Jan się pożegnał, umożliwiając Francuzom powrót do dalszej dyskusji o możliwych konsekwencjach japońskiego zwycięstwa. Wszyscy byli zgodni, że mają do czynienia z największym upokorzeniem światowego mocarstwa od czasów zdobycia angielskiego Chartumu^[4] przez zrewoltowane siły Mahdiego. Jan złożył dokumenty i schował je do wewnętrznej kieszeni marynarki, po czym w dobrym humorze wyszedł z niezbyt okazałego budynku kapitanatu.

Przytwierdzone do ściany dwie trójkolorowe flagi Republiki kołysały się z wolna, huśtane wiejącym od morza delikatnym wiatrem, który panujący upał czynił znośniejszym. Lekkim krokiem ruszył spokojną ulicą, którą według jednej z przybitych do drewnianego parkanu tabliczek nazwano Rue de Bonne-Espérance.

Niewidzialna siła ciągnęła go w stronę baru Renarda. Mimo że obawiał się spotkania z Sophie, nie mógł się oprzeć chęci zobaczenia jej raz jeszcze. O niczym innym zresztą od wczoraj nie myślał, choć nie chciał pokazać po sobie, że noc z Sophie zrobiła na nim tak piorunujące wrażenie.

Wiedziony instynktem i darem dobrej orientacji w terenie sprawnie poruszał się po tej portowej miejscinie. Bez trudu odnalazł biały arkadowy budynek, w którym spędził ostatnie minuty starego roku. Przy stolikach ustawionych w podcieniach było zdecydowanie mniej gości niż ostatnio. Za barem nie dostrzegł Renarda. Usiadł więc na zewnątrz w miejscu, które umożliwiało mu dobrą obserwację zarówno stojących w podcieniach stolików, jak i sali wewnątrz knajpy.

Siedzący w pobliżu goście nie zwracali na niego uwagi. Trzech z nich było zajętych rozmową o jakichś morskich zdarzeniach i dawnych przygodach, z czego jeden, żywo gestykułując, mówił łamaną angielszczyzną typową dla Włochów, którzy nie nawykli wymawiać głoski „ha”. Stąd kapitan Harison był dla włoskiego marynarza Erisonem, który na statku „Annibal” poszedł na dno podczas uraganu na Aiti.

Wkrótce zza baru wyszła Sophie, niosąc tacę z trzema szklankami i dzbankiem wody, w której pływały plastry pokrojonej cytryny. Nie zauważyła Jana od razu, co dało mu możliwość przyjrzenia się jej w świetle południowego słońca.

Wyglądała pięknie. Każde jej spojrzenie było jak uderzenie błyskawicy. Sutki jej kształtnych piersi przylegały do cienkiej bawełnianej sukienki, klejącej się do spoconego ciała. Postawiła butelkę na stole przed Włochem, który od razu zaczął swoją nieco lepszą od angielskiego francuszczyzną prawić jej komplementy, wcielając się w rolę zakochanego. Sophie uśmiechnęła się, zbierając ze stołu brudne szklanki, i ruszyła w kierunku baru. Dopiero teraz zauważyła Jana. Skręciła w jego stronę, jednak nie zatrzymała się przed nim. Weszła do wnętrza knajpy, po czym zniknęła na zapleczu. Po jakimś kwadransie, kiedy Jan zaczął się już niecierpliwić i zastanawiać, czy nie zrobił czegoś niewłaściwego, wróciła z talerzem, który postawiła przed nim.

– Wołowina z ryżem i warzywami – powiedziała. – Z pewnością jesteś głodny, a na angielskich statkach kuchnia raczej podła.

Nie wiedział, co jej odpowiedzieć, chociaż w głowie układał sobie różne warianty spotkania. Sophie jednak znowu go zaskoczyła, więc cały misterny plan prowadzenia konwersacji wziął w łeb.

Rzucił coś zdawkowo, z uśmiechem, zapewne głupawym i psującym wizerunek mężczyzny, po którym nie powinno być widać, że interesująca go kobieta aż tak mu się podoba. Zażenowany swoją postawą, opuścił głowę i zajął się jedzeniem. Danie było przyrządzone wybornie.

Do baru, drzwiami od ulicy wszedł Renard. Przywitał się serdecznie z Janem. Zapytał o zdrowie, przy czym jak każdy zawodowy właściciel lokalu z

wyszynkiem miał na myśli głównie to, jak Janowi poszła walka z posylwestrowym kaczem. Wspomniał też o kłesce Port Artur, o której zdążył się już dowiedzieć.

Porozmawiali ze sobą chwilę, po czym Renard ruszył do swoich obowiązków.

Tymczasem Sophie krzątała się między stolikami, w ogóle nie zwracając uwagi na Jana.

A im bardziej go nie zauważała, tym bardziej chciał ściągnąć jej wzrok na siebie.

Kiedy już zjadł, podeszła do niego i pochyliła się, by zabrać talerz. Janowi przez chwilę ukazał się piękny dekolt odsłaniający kształny biust, który przedwczorajszej nocy dane mu było poznać.

– Smakowało? – zapytała Sophie.

– Tak. Dziękuję. Dawno nie jadłem czegoś tak dobrego – odpowiedział Jan, marząc, by Sophie domyśliła się, że nie chodzi tylko o pyszne jedzenie, ale również o smak spędzonej wspólnie nocy.

Sophie spojrzała na niego, a w jej oczach na moment jakby coś zaiskrzyło.

Uśmiechnęła się bez słowa. To właśnie Jan chciał osiągnąć. Natychmiast w sposób neutralny postanowił nawiązać do wspólnie spędzonych chwil.

– Dziękuję za wypranie mi koszuli i przyszyście guzików – powiedział.

– Drobiazg – odparła. – Głupio byś wyglądał, idąc tak przez miasto.

Jan nie pamiętał już, kiedy ktokolwiek i czy w ogóle, od czasu wyprowadzenia się z hukiem z Krakowa, o niego tak zadbał. Nauczył się żyć sam w męskim towarzystwie, gdzie wszyscy, gdy zachodziła taka potrzeba, potrafili o siebie zadbać sami. W austro-węgierskiej flocie przez chwilę miał ordynansa. W Chinach jadał w tamtejszych knajpach, ubrania prano mu w pralniach, resztę rzeczy kupował za takie grosze, że ich wartości nawet nie zauważał. Zresztą myślał wtedy o czymś innym. Kiedy zaciągnął się do Anglików, mundur prasował sobie sam, ewentualnie robił to chiński służący Burna. Jadał na pokładzie albo w portach.

Dziewczyny, które tam spotykał, specjalnie się jego losem nie interesowały,

chcąc wydobyć jedynie jak najwięcej pieniędzy.

Dystans z Sophie powoli znowu zaczął się zmniejszać. W końcu, pod pretekstem pójścia na targ, dziewczyna opuściła bezpieczne progi knajpy Renarda.

Zabrała ze sobą Jana, który zaoferował się pomóc jej w niesieniu zakupionych ryb i owoców.

Następne kilka godzin spędzili razem. Sophie pokazała mu wyspę, która była jej ojczyzną. Niczego poza nią nie widziała i niczego nie spodziewała się zobaczyć.

Była częścią tej ziemi. Tu krążyły duchy jej przodków. Tu gdzieś unosił się duch jej matki, który się nią opiekował i którego obecność czuła. Kiedy Jan tego wszystkiego słuchał, czuł się barbarzyńcą, choć ludzie jego koloru skóry zwykle mnienili się namaszczonymi przez Boga „kulturtregerami”. Swój dom porzucił w imię jakiegoś wyimaginowanego poczucia honoru. Matkę, dla której był wszystkim, pozostawił ze skonfliktowanym przez swoje postęпки ojcem. Żył jakby poza życiem, które straciło dla niego wartość. Wdawał się co jakiś czas w awantury, w złudnej nadziei, że skończą tę mękę poczucia bezsensu. Nagle zrozumiał, że kilka lat jego życia minęło mu bezpowrotnie.

Odprowadziwszy Sophie do baru U Żuawa, obiecał, że przyjdzie jutro.

Nie pożegnał się z nią tak, jak by chciał.

Wracając szalupą na „Legion”, wciąż o niej myślał. Po raz pierwszy od dawna przemknęło mu przez myśl, czy nie jest to miejsce, w którym powinien zostać na zawsze.

Na pokładzie powitał go Burn. Wprawne oko wilka morskiego, przez którego statek przeszło już wielu młodych marynarzy, od razu dostrzegło w zachowaniu Jana coś, co zwie się zauroczeniem, jeśli nie stanem zachwyty.

– Mam wrażenie, że chce się pan z nami pożegnać – rzucił jakby mimochodem, wypuszczając w powietrze kłęb dymu z cygara.

Jan ani nie przytaknął, ani nie zaprzeczył. Spojrzał w głąb łądu. Nad górami zachodziło słońce.

– Cóż. Kontrakt ma pan ważny jeszcze miesiąc. Akurat dopłyniemy do

Kapsztadu. Potem zrobi pan, jak uważa, chociaż obiecał mi pan, że kontrakt przedłuży. Ile to już się znamy, panie Edigey? – spytał Burn.

– No właśnie, trzy lata miną za miesiąc – odpowiedział Jan.

– Ile to będzie mil morskich? Jak pan myśli?

– Sporo – odrzekł.

– Chyba kilkakrotnie opłynęliśmy razem Ziemię.

– Cóż, kapitanie... „Legion” był moim domem. Nie zapomnę tego, co pan dla mnie zrobił.

Burn nie odpowiedział. Czuł, że jego oficer frachtowy właśnie się zmęczył długoletnią poniewierką. Kiedy Jan użył słowa „był”, wszystko zrobiło się jasne.

Marynarzem stał się przez kobietę i być może przez kobietę mógłby nim przestać być. Burn znał te rozterki, ale już im nie ulegał.

– Morze jest pańskim całym życiem. Trochę pana znam i dobrze to wiem.

Lubi pan to, co robi. Musi pan sobie odpowiedzieć na pytanie, czy potrafiłby bez tego żyć, bo gwarantuję panu, że czyniąc ze swej kobiety żonę marynarza, uczyni ją pan nieszczęśliwą. Ale jeśli nawet w tym swoim nowym życiu pan o nas zapomni, my na pewno będziemy pamiętać o panu.

Jan nic nie odpowiedział. Burn trzy lata temu wyciągnął go z podrzędnej speluny w Szanghaju, kiedy to zakończył służbę w austriackiej flocie, tuż po krwawym stłumieniu powstania bokserów. Pił w tamtym czasie dużo i rozpamiętywał swoją relację z Konstancją. Oddałby wtedy wszystko, żeby cofnąć czas, ale jedyne, co mógł zrobić, to starać się zapomnieć. Choćby na chwilę.

Choćby na jeden wieczór. W jego płucach było wtedy więcej opium niż tlenu i tylko jakaś niewidzialna siła chroniła go przed palnięciem sobie w łeb. Burn go pozbierał i na nowo pokazał życie. Zdarzały się hulanki, choćby takie, jak dwudniowe picie w San Francisco w zeszłym roku, po którym Jan obudził się w chińskiej dzielnicy ze smokiem wytatuowanym na piersiach. Ale przeważała ciężka praca, dzięki której czuł się potrzebny i szanowany. Teraz jednak po raz pierwszy miał już chyba dość. Nie wiedział, co powiedzieć kapitanowi, ruszył

więc bez słowa w stronę swojej kajuty.

Kiedy był już w pół drogi i z każdym krokiem upewniał się w słuszności podjętej decyzji, Burn o czymś sobie przypomniał.

– Panie Edigey!

Jan odwrócił się wolno i widząc wyciągniętą w jego stronę dłoń kapitana, w której trzymał złożony kawałek papieru, ruszył ku niemu z powrotem.

– Wiadomość dla pana, z Krakowa. Trochę świata obiegła, ścigała pana po kilku portach.

Burn podał Janowi kopertę ze starannie wykaligrafowanym jego nazwiskiem.

– Dziękuję – powiedział Jan i otworzył z uśmiechem kopertę. Przeczytał krótki tekst i twarz mu zastygła w tym uśmiechu.

– Czy coś niedobrego? – spytał kapitan.

– Moja matka nie żyje.

TRZY MIESIĄCE PÓŹNIEJ

19 MARCA 1905 ROKU – NIEDZIELA

12

Stołeczne Królewskie Miasto Kraków od czwartku nurzało się w słońcu. A że przedostatnia marcowa niedziela też była wyjątkowo słoneczna i ciepła, to lepsze towarzystwo miasta, czcigodni radcowie z radczyniami, szanowni profesorowie, doktorzy praw, właściciele realności, czyli to, co niektórzy zwali złośliwie „krakówkiem”, wyległo z domów, żeby pospacerować, a głównie pokazać się.

Królewski gród, z pamiętającym czasy dawnej świetności Starym Miastem, zamkiem, w którym do niedawna mieściły się austriackie koszary, i katedrą wieńczącą wawelskie wzgórze oraz niepasującym do niczego żydowskim Kazimierzem, oddzielonym Dietlowskimi Plantami, które jeszcze nie tak dawno były korytem Starej Wisły.

Wszystkie te zabytki sprawiedliwie, po równo, pokrywało gołębie guano.

Miasto wydawało się zamarłe w swojej prowincjonalnej statyce, jakby czekające na pożarcie przez czyhającego w podwawelskiej jaskini mitycznego smoka, zwanego całożercą.

Zwiewne parasolki dam i ich kolorowe narzutki, wiosenne kapelusze panów – wszystko lśniło nowością, lub raczej tylko odświeżeniem. Państwo nosiło się lekko, jakby chciało już na dobre pożegnać dokuczliwą zimę. Jeszcze gdzieś zalegał śnieg, momentami buty zatapiały się w błotnistej brei wczesnowiosennych roztopów i panie musiały czasami unosić swe długie suknie, odsłaniając nieznacznie łydki, co było poruszającym widokiem dla młodzieży rodzaju męskiego. Na Rynku Głównym, a już szczególnie na jego linii A-B, ograniczonej ulicami Sławkowską i Floriańską, wszyscy kłaniali się

wszystkim, z wyjątkiem tej warstwy mieszkańców, którą nie raczono zaprzętać sobie uwagi.

Ci, co nie zaliczali się do „krakówka”, ale do niego aspirowali, czyli drobni urzędnicy, rzemieślnicy, a nawet stojący nieco niżej w hierarchii robotnicy i służba, też cieszyli się ciepłem i słońcem. Zaludnili Planty, skwerki, place i podwórka.

Oraz parki. Nie wyglądali tak poetycko jak poprzedni. Tamci nieskalani, z przyciętymi równo bródkami i spiczastymi wąsikami, w dobrze skrojonych surdutach i w lśniących cylindrach, mając u boku przyodziane w eleganckie suknie żony i córki o alabastrowych cerach, zdawali się sunąć niczym dostojne dalekomorskie statki. Przybierali pozę mających wkrótce pojawić się niezatapialnych drednotów. Nie spieszyli się donikąd. Obserwując niektórych z nich, można było odnieść wrażenie, że czas był im dany z góry. Jak regale.

Nadanie królewskie.

Ci drudzy przypominali bardziej przybyszów. Zmuszonych do przywdziania podobnych ubrań, ale jednak nie tych samych, bo tanich i znoszonych, czasem o zbyt krótkich rękawach, spod których wystawały krótkopalczaste dłonie. Ci pierwsi spacerowali godnie, czyli wolno, aby się, broń Boże, nie spocić. Drudzy sprawiali wrażenie wiosłarzy małych szalup, którzy muszą szybko machać wiosłami, by nacieszyć się tym jedynym dniem wolnym od codziennej szarzyzny i monotonii.

Chcieli wszystkiego doświadczyć i zasmakować, choćby było to tylko piwo z kiełbaskami czy schadzka z panną Jadwinią, Maryską czy Józią, która tego dnia wydawała się im najpiękniejsza na świecie.

Od kiedy doktor Henryk Jordan, krakowski lekarz, zaczął propagować zdrowy i higieniczny styl życia, od kiedy zaczął w prasie atakować brzuchaczy, wytykając im, że na własne życzenie chcą chorób i szybszej śmierci, głosząc, że trzeba częściej wychodzić z zatęchłych mieszkań i izb – krakowskie parki służyły już nie tylko dystyngowanym spacerom. Zaczęli się w nich coraz bardziej tłoczyć również przedstawiciele niższych stanów, fraternizujący się z młodzieńcami z klasy średniej, zrzeszonymi w Towarzystwie Gimnastycznym

„Sokół”, które od niemal dwudziestu lat propagowało w Krakowie rozwój fizyczny. Gimnastyka szwedzka powoli zaczęła stawać się dla wielu mężczyzn i chłopców prawdziwą pasją.

To właśnie w jednym z takich parków, gdzieś około południa, w niedzielę 19 marca 1905 roku było ludno i gwarnie. Był to dzień św. Józefa, jednego z patronów Najjaśniejszego Pana Cesarza Franciszka Józefa I. To święty Józef spowodował, że Wielki Post, ściśle przestrzegany w konserwatywnym Krakowie, został wskutek arcybiskupiej dyspensy na ten dzień zawieszony. Umożliwiło to wszelkim rzemieślniczemu czeladnikom, drobnym urzędnikom, strażakom czy korzystającym z dobrodziejstwa przepustki żołnierzom wieczorne porwanie swojej panny w obrotowe ruchy wygrywanej na akordeonie polki w którejś z tanbud, jakich nie brakowało w nieco mniej nobliwych częściach miasta.

Poza dostojnym Krakowem oraz różnymi odcieniami miejscowego mieszczaństwa i ludu byli też studenci, bacznie, ale dyskretnie taksujący roześmiane panny, które w grupach co najmniej pięcioosobowych, niby z roztargnienia i przez nieuwagę, również szacowały urodę kawalerów. Były młode matki z niemowlakami, starsze małżeństwa – raczej milkliwe, nie brakowało panien służących, przechadzających się ze swymi adoratorami.

Sporo było podrostków, którzy już nie są dziećmi, a jeszcze nie kawalerami.

Ci grali zaciekle w piłkę nożną, która od pewnego czasu w krakowskich gimnazjach, ku przerażeniu co bardziej konserwatywnych profesorów, zaczęła robić oszałamiającą karierę. Ówczesne piłki, dostępne dla klasy niższej, najczęściej były szmaciankami. Dla chłopców z tej sfery piłka skórzana z blazą stanowiła nieosiągalny luksus.

Pojawiały się już piłki z gumy, które w środku miały wpompowane powietrze i całkiem ładnie się odbijały. I właśnie jedna z takich dmuchanych piłek, rzucona niezdarnie ręką pięciolatki, dała początek istotnym zdarzeniom.

Mała była ruda, z licznymi piegami, ale ładna i rzucała piłką do niani, też zresztą ładnej dwudziestoletniej blondynki. I przy kolejnym rzucie piłka jakoś mało szczęśliwie odbiła się o kamień, podskoczyła wyżej, zmieniła tor lotu i poleciała dość daleko, a spadając, trafiła w tył głowy jednego z grających w pikuty andrusów. Ten zaś, klęcząc, wykonywał właśnie karkołomny rzut z obojczyka.

Gdy piłka go uderzyła, zachwiał się i wypuścił nóż, który spadł na płasko – nie wbijając się w ziemię.

Chłopak zerwał się rozeźlony, chwycił piłkę, podniósł z ziemi nóż i w odruchu emocji wbił jego ostrze w gumę, spuścił z piłki powietrze, po czym podbiegł kilkanaście kroków w pobliże sadzawki i dalekim rzutem cisnął piłkę na środek wodnego oczka. I rzucił się do ucieczki, dołączając do kolegów, którzy już wcześniej zaczęli zmykać z tego miejsca. Nikt ich zresztą nie gonił. Widzowie zdarzenia byli tak zaskoczeni bezmyślną podłością chłopaków, że stali bezradnie.

Mała rozdierająco krzyczała. Jej niania biegała wokół sadzawki, próbując jakoś ściągnąć do brzegu kołyszącą się na wodzie piłkę. Niestety, piłka w ciągu dwóch–trzech minut nabrała wody i zatonęła.

Wszelkie próby wytłumaczenia małej, że kupi się jej nową piłeczkę, nie skutkowały. Do niani dołączyły jakieś dwie nobliwe panie i kilku panów, próbując pomóc jej w uspokojeniu dziecka – bez skutku. Im bardziej je pocieszano, głaskano po głowie – tym głośniej się darło.

Wreszcie pojawił się w tym gronie student. Nic nie mówiąc, szybko zdjął buty, skarpetki i spodnie, co spowodowało konsternację niektórych staromodnych dam, po czym wkroczył do lodowatej wody. Student zapewne był jednym z gimnastyków, ćwiczących w parku bieganie. Świadczyły o tym jego długie, poniżej kolan, czarne sportowe spodenki z białymi lampasami. Był

dobrze zbudowany, czym skupił na sobie uwagę pań, panowie zachowywali się tak, jakby było oczywiste, że każdy z nich wkroczyłby do wody, tyle że student właśnie ich ubiegł.

Mała wreszcie przestała zanosić się szlochem, tak bowiem zdziwiło ją postępowanie studenta. Woda była lodowata i brudna, ale niezbyt głęboka. Gdy student dotarł do środka sadzawki, lustro wody sięgało mu prawie do pachwin, co trochę go krępowało... Student dość długo macał dno nogą, potem uradowany, że znalazł, krzyknął:

– Chyba znalazłem! Mam!

Tłum zaklaskał. Chłopak podniecony tym aplauzem poczuł się jak na zawodach sportowych. Wciągnął do płuc spory haust powietrza, zanurzył się i wyciągnął z wody coś okrągłego. To coś było oblepione liśćmi, wodorostami i przyczepionymi do nich patykami. Student uniósł ręce z tym czymś na wysokość swoich barków w geście tryumfu i uśmiechnął się. Czekał na ponowne oklaski.

Tłum jednak zamilkł i stał w bezruchu. Student w końcu spojrzał na to, co trzymał w ręku. Uśmiech jego szybko zgasł i przerodził się w grymas zdziwienia, które przeszło w przerażenie i obrzydzenie. Nagle pojął, że trzyma w dłoniach odciętą od tułowia ludzką głowę w stadium posuniętego rozkładu. Bezruch tłumu trwał i trwał, jakby czas zamarł. Student również stał jak sparaliżowany, trzymając w ręku głowę niczym kat po wykonaniu zadania.

Co innego czytać z podnieceniem o makabrycznych zbrodniach, a co innego widzieć ludzką głowę, tak na wyciągnięcie ręki. Sytuacja wydawała się zupełnie beznadziejna, jednak po chwili student, wiedziony jakimś instynktem, powoli ruszył do brzegu i złożył tę głowę na trawie.

Dopiero po dłuższym czasie ludzie z tłumu ożyli i zaczęli szeptać, komentować, wreszcie głośno krzyżeć. Niania porwała małą na ręce i biegiem ruszyła do wyjścia z parku. Kilka pań lekko omdlało, panowie zasłaniali oczy dzieciom i odprowadzali je jak najdalej od sadzawki.

Student stał obok leżącej na trawie ludzkiej głowy, ociekając wodą i gapiąc się na nią, jakby nie mógł uwierzyć, że to coś przecież on sam przed chwilą

wyłowił z sadzawki.

Ludzkość darzy, lub przynajmniej powinna darzyć, ciało martwego człowieka szacunkiem, wiadomo, że ciał zmarłych nie wolno bezcześcić i poniewierać. A tu centrum człowieka – głowa – była tylko przedmiotem, przed chwilą jeszcze spoczywającym w brudnym bajorku.

W głowie tej nie było śladu ludzkiej godności, potraktowano ją gorzej niż świński łeb, który przecież u rzeźnika ma swoją cenę.

Student w końcu przykrył głowę swoją koszulą. Dalej trząsł się z zimna, może też z niebywałych emocji. Tylko dwie młode panie, widać obdarzone zimną krwią, pomogły mu się ubrać, a jedna z nich okryła studenta swoim ciepłym szerokim szalem. I dzielnie czekały z nim na policję, którą pobiegł zaalarmować stróż parku, zwabiony uprzednio do sadzawki krzykami obserwatorów.

Z tymi dwiema paniami student zresztą umówił się – rzecz jasna, z każdą z osobna. I były to spotkania dla studenta wielce przyjemne, albowiem panie uwielbiają nagradzać bohaterów.

Telegram zatrzęsł planami Jana. Wszelkie rozważania na inne tematy zamierzał odłożyć na później. Od Burna pozyskał zgodę na warunkowe skrócenie kontraktu. Obiecał, że dołączy do niego w drugiej połowie roku, kiedy „Legion” wróci do Liverpoolu. Poprosił też kapitana o przekazanie Sophie krótkiego listu, w którym tłumaczył całą sytuację, obiecując, że wróci na Madagaskar. Burn przyrzekł list przekazać, choć domyślając się, jaką kryje treść, nie był przekonany co do konieczności tego gestu. Uważał to za zbyt uczucie robienie dziewczynie nadziei.

Znał życie i znał marynarzy. Bardzo rzadko wracali do swoich kobiet. Według niego lepsze byłoby odpłynięcie bez słowa.

Jan skorzystał z możliwości zabrania się wraz z francuską załogą, która na niewielkim frachtowcu o wymownej nazwie „Patria” o świcie ruszała do Dżibuti.

Do stolicy francuskiego Somali nad brzegiem Morza Czerwonego dotarł po dwóch tygodniach.

Tutaj po kilku dniach oczekiwania przesiadł się na kolejny, tym razem angielski statek, który przez Kanał Sueski miał go przerzucić do Port Saidu, skąd nad Adriatyk było już stosunkowo blisko.

W samym Port Saidzie Jan poczuł się źle. Bolała go głowa i łamało w kościach. W nadziei, że jego zły stan jest tylko chwilowym objawem zmęczenia lub efektem zbyt długiego przebywania na słońcu, zlekceważył niepokojące symptomy. Dzień po odbiciu od brzegów Egiptu kapitan austro-węgierskiego statku „Carpathia”, który miał dowieźć go do Triestu, na tyle zaniepokoił się stanem swojego pasażera, że kazał dać całą wstecz w kierunku Aleksandrii.

Przybicia do aleksandryjskiego portu Jan nie pamiętał. Z pokładu „Carpathii” zniesiono go na noszach, bladego i wstrząsanego malarycznymi drgawkami.

Trafił do szpitala prowadzonego przez katolickie zakonnice. Podczas dni wypełnionych atakami dreszczy miewał halucynacje. Wiszący naprzeciw jego

szpitalnego łóżka sporych rozmiarów obraz, przedstawiający jakąś świętą, nagle ożywał. Twarz Chrystusa wyobrażona na trzymanej przez świętą chuście zdawała się coś do niego mówić, po czym zmieniała się w twarz ojca. Sama zaś postać świętej w blasku bijącego z aureoli światła, od którego nie mógł oderwać oczu, szła w jego kierunku. Im była bliżej, tym bardziej przypominała Konstancję. Pochylała się nad nim, a kiedy Jan chciał ją złapać za rękę, twarz z portretu nagle monstrualnie się wykrzywiała, powodując u niego paniczny lęk. Innym zaś razem śnił mu się Burn, który drze list, jaki obiecał oddać Sophie na Madagaskarze, po czym jego wykrzywiona twarz zamienia się w smoczy pysk, jaki Jan miał wytatuowany na torsie. Słyszał własne krzyki i widział siebie miotającego się na szpitalnym łóżku, tak jakby jakaś siła unosiła jego ducha pod sufit.

Kiedy odzyskał już przytomność, stał nad nim młody lekarz, który zauważywszy powrót Jana do żywych, zapytał po francusku:

– Jak się pan czuje? Czy kojarzy pan, jak się nazywa?

Jan musiał zebrać myśli. Wiedział, o co go pytają, ale z trudem układał sobie pierwsze do wypowiedzenia od wielu dni zdanie.

Nie usłyszawszy odpowiedzi, lekarz zapytał o to samo po angielsku.

Jan zebrał się w sobie i słabym głosem odpowiedział po francusku.

– Nazywam się Jan Edigey-Korycki. Czuję się... raczej słabo, choć chyba bywało gorzej.

– Najgorsze mamy za sobą – powiedział lekarz, przyglądając się zawieszanej nad łóżkiem czarnej tabliczce, na której białą kredą zapisywane były wyniki pomiarów temperatury pacjenta z ostatnich dni.

– Gdzie jestem? – spytał Jan.

– Jest pan w katolickim szpitalu pod wezwaniem Świętej Weroniki w Aleksandrii. Trafił pan tu na skutek zakażenia pierwotniakiem, który wywołuje malarię. Musiał pana ukąsić *Anopheles maculipennis*, czyli jak kto woli, komar widliszek. Było z panem kiepsko, ale ma pan silny organizm i udało nam się pana z tego wyciągnąć.

– Muszę płynąć do domu – powiedział Jan.

– To może jeszcze nie teraz. Na razie zostanie pan u nas. Pewnie trochę to potrwa, zanim pana wypuścimy – rzekł lekarz, kręcąc głową, i podał Janowi termometr.

Jan włożył termometr pod pachę.

– A tak z ciekawości, skąd pan jest? – spytał lekarz, próbując zająć pacjenta krótką rozmową o niczym, do czasu, aż szklany przyrząd zmierzy mu gorączkę.

Jan nie za bardzo wiedział, co odpowiedzieć. Nie było to wynikiem przebytej i nie do końca jeszcze wyleczonej choroby. Po prostu obecnie był znikąd.

– Udaję się do Krakowa – odparł zatem, mniej więcej zgodnie z prawdą, na zadane mu pytanie.

– Polak? – spytał lekarz.

– Polak – odpowiedział, nieco zdziwiony, że lekarz jakimś cudem kojarzy jego dawne miasto.

– Studiowałem w Instytucie Pasteura w Paryżu u profesora Laverana – pochwalił się lekarz nazwiskiem uczonego, które Janowi niestety nic nie mówiło. – W sąsiednich instytutach uczyło się całkiem sporo studentów z różnych części dawnej Polski, w tym kilka ładnych Polek.

– Generalnie nie polecam – rzucił ironicznie Jan, choć mimo wszystko był pod wrażeniem, że francuski doktor jest zorientowany w istnieniu jakiejś podzielonej na części Polski. Na widok jednak zdumionej miny Francuza, dodał pospiesznie. – Żartowałem.

Doktor chyba nie do końca zrozumiał. Wyciągnął rękę, co miało oznaczać, że pomiar temperatury powinien być już zakończony. Jan oddał termometr.

– Trzydzieści siedem i pięć – odczytał lekarz, unosząc na moment na czoło drucziane okulary, po czym dodał: – W porównaniu z prawie czterdziestoma dwoma stopniami, z jakimi pan do nas trafił dwa tygodnie temu, to całkiem nieźle.

– Leżę tu już dwa tygodnie? – spytał zaskoczony upływem czasu Jan.

– Nawet nieco dłużej – odrzekł Francuz, po czym wstał i ruszył w kierunku wyjścia. – Przyślę zaraz siostrę Martę, która będzie się panem opiekować – dodał, będąc już blisko drzwi. – Razem doprowadzimy pana do jakiego takiego

porządku, żeby, jak już pan znajdzie się w Krakowie, tamtejsze dziewczyny się pana nie wystraszyły.

Lekarz wyszedł z sali, a Jan pomyślał, że jego znajomość Polski chyba nie jest przypadkowa i pewnie jakaś ze studentek, o których urodzie wspomniał, musiała mu dobrze zajść za skórę.

Przez kolejne dni energiczna siostra Marta odpowiednio żywiła Jana: rosół z kurczaka, dużo jarzyn i owoców. Taka dieta miała mu zapewnić szybszy powrót do zdrowia.

Francuski lekarz, który nazywał się Godard, traktował go poza tym jakimiś specyfikami, które – jak sam przyznał – były pewną nowością w walce z zakażeniem Plasmodium malariae.

Pewnego dnia Jan, któremu siły już wróciły, przypomniał sobie jeden z koszmarów. Skorzystał więc z obecności siostry Marty, która przyszła zmienić pościel, i zapytał ją, wskazując na wiszący na ścianie obraz.

– Bardzo siostrę przepraszam, ale mam pytanie... kim jest ta święta?

– To patronka naszego szpitala. Święta Weronika – powiedziała siostra i z uszanowania dla patronki złożyła ręce, wznosząc oczy ku niebu.

– Okropny jest ten obraz. Strasznie ponury. Wygląda jak zdjęty z katafalku – skrzywił się Jan.

– Co też pan wygaduje? Malował go El Greco. To wybitne dzieło – oburzyła się siostra Marta, jakby oprowadzała wycieczki europejskich turystów po muzeum.

Widać siostra Marta nie była zwykłą zakonnicą, co obok wyśmienitej opieki, jaką od wielu dni sprawowała nad Janem, należało zapisać jej jako kolejny plus.

Jan chciał coś jeszcze powiedzieć, żeby nie wyjść na ignoranta, ale nie zdążył, bo do sali wszedł Godard z jakąś ampułką.

– No, panie Janie. To już ostatnia porcja leków – rzekł Francuz. – Myślę, że pojutrze będziemy mogli pana wypisać.

Trzy dni później, chudszy o kilka kilogramów, Jan płynął na austriackim statku wiozącym pielgrzymów wracających z Ziemi Świętej w kierunku Triestu.

Od dnia, w którym otrzymał telegram o śmierci matki, minęły trzy miesiące.

W niecałe pół godziny od znalezienia głowy zaroilo się w krakowskim parku miejskim od policjantów.

Przybyłych funkcjonariuszy prawa i porządku można było z grubsza podzielić na trzy grupy. Pierwsza z nich to kilkudziesięciu policjantów mundurowych, których ściągnięto z całego chyba Krakowa, i ci tworzyli kordon oddzielający gapiów od sadzawki.

Drugą grupę stanowiło kilkunastu mężczyzn ubranych po cywilnemu, w ciemnych garniturach i raczej ciemnych płaszczach. Byli to policjanci wydziału kryminalnego. Ale choć odziani różnie, to jednak w ich ubiorach było coś nieuchwytnego, trudnego do nazwania, co sprawiało, że tak jak i pierwsza grupa byli prawie umundurowani. Widocznie wszyscy tajniacy świata, wszyscy policjanci noszący cywilne ubrania, dążą jednak do „mundurowania się”.

Trzecią grupę stanowił osobiście sam jeden komisarz Rudolf Jelinek. To on dowodził wszystkimi zgromadzonymi w parku policjantami. Przechadzał się wśród nich wolnym i dostojnym krokiem, a lepiej byłoby powiedzieć – kroczył. Czasem chrząknął, niekiedy zamruczał coś pod nosem. Był w nienagannie czystym i odprasowanym mundurze, zapięty po szyję, z wysokim kołnierzem sięgającym niemal uszu i uwierającym go niemiłosiernie. Jelinek, gdy stał bądź kroczył, był ucieleśnieniem powagi i bezwzględności państwa wobec przestępców. Jeżeli policja ma również odstręczać potencjalnych zbrodniarzy od czynów niegodziwych – Jelinek samą swą posturą zadanie to spełniał idealnie. Szczególnie jego charakterystyczne wąsy, wypomadowane, zakręcone i zagięte w górę, nadawały jego obliczu wyraz groźnej powagi. W ten sposób komisarz chciał się upodobnić do następcy tronu, który za siedzibę obrał sobie położony niedaleko jego rodzinnych stron czeski zamek Konopiszte. Fakt ten pozwalał mu uważać się niemal za sąsiada następcy tronu, co potęgowało jeszcze jego lojalność wobec monarchii Habsburgów.

Jelinek czasem marzył, że pewnego dnia po niechybnej, acz oby jak najpóźniejszej śmierci cesarza Franciszka Józefa I, podczas jakiejś państwowej wizyty nowy monarcha zauważy go. Właśnie jego. Lojalnego i szczerze oddanego komisarza Rudolfa Jelinka. Uśmiechnie się, po czym zapyta, jak przystało na dobrego sąsiada: „Co u pana, panie Jelinek?”. Wtedy on, jak gdyby nigdy nic, odpowie: „Wszystko w najlepszym porządku, Wasza Wysokość”. Po czym omiecie wzrokiem oniemiałe grono sędziów, radców, pułkowników, słowem wszystkich tych, którzy się na nim nie poznali i zesłali go do tej dziury na krańcach imperium.

A oni zaniemówią i padnie na nich strach. I Jelinek będzie wskazywał... tego, tego, tego... a adiutant cesarza będzie notował nazwiska... Zapisani zaś bez słowa będą cofać się przed cesarskim majestatem, bijąc ukłony, robiąc się coraz mniejsi i mniejsi, aby w końcu skarleć do reszty i zniknąć za olbrzymimi drzwiami sali audiencyjnej. Tak. To byłoby piękne.

Tymczasem komisarz Jelinek, w trakcie dostojnego stąpania po ledwo odrosłym po zimie parkowym trawniku, przystawał tuż przy gapiach, lustrował pobieżnie jakąś grupkę, po czym zatrzymywał wzrok na wybranym mężczyźnie. A patrzył tak, jakby w zaczepionym wzrokiem osobniku powoli odkrywał zbrodniarza. Następnie odchodził od wybranego człowieka, nagle jednak zawracał, jakby coś mu się przypomniało i jakby chciał swemu wybranćcowi zadać jakieś pytanie. Ale... obserwowanego gapia już w grupie nie było. Wtedy to Jelinek uśmiechał się pod wąsem z zadowoleniem, bo lubił czuć się władzą.

W pewnym momencie tego teatrum komisarz doszedł do przekonania, że robienie zdjęć przez policyjnego fotografa, pomiary rozległości stawu, sporządzanie szkiców sytuacji i przepytywanie przez jego podwładnych studenta, który wyłowił głowę – to za mało.

Jelinek postanowił nadać akcji bardziej dynamiczny charakter. Podeszedł do grupy ubranych po cywilnemu policjantów. Pomilczał chwilę, aż przerwali swe czynności i kornie spojrzeli na niego.

– Moi panowie, tak być nie może – rzekł wzburzony. – Nikt z panów nie wpadł na to, że należy przeczesać całe to bajoro? Przecież w stawie znajdować się może reszta ciała. Panie Kazanecki – zwrócił się do swojego najbliższego

współpracownika – proszę o przebadanie całego stawu.

Kazanecki popatrzył po kolegach, żadnemu z nich nie drgnął nawet najmniejszy mięsień twarzy i nikt nie przyszedł mu z pomocą. Wobec czego sam powoli, z wyraźnym cierpieniem, zaczął się rozbierać. Gdy zdjął już marynarkę i buty, Jelinek zaśmiał się.

– Chyba nie ma pan zamiaru samemu włązić do zimnej wody? Monarchia chyba nie po to płaci panu niemałe pieniądze, żeby nierozumnie zaziębiał się pan na służbie?

Kąśliwa uwaga Jelinka o niemałych pieniądzach spowodowała, że Kazanecki chciał coś powiedzieć, ale powstrzymał się i zaczął się ubierać.

Jelinek odszedł, skierował swe kroki do mundurowego podoficera, który miał nadzór nad policjantami pilnującymi porządku. Przemówił do niego, ale jakby od niechcienia, bokiem. Widać rozmówca nie był godzien niczego więcej.

Następnie podoficer wybrał trzech mundurowych i powiedział:

– Wy trzej. Do wody. I przeczesać mi dno, a dokładnie!

Policjanci szybko zrzucili odzienie i weszli do sadzawki. Nie byli zadowoleni, ale nikt chyba tego nie zauważył.

Rudolf Jelinek był tworem cesarstwa austro-węgierskiego. Wierzył w Najjaśniejszego Pana i cały dom panujący. W ładzie, który panował w państwie, widział rękę Opatrzności, która pozwoliła tak liczne ludy zjednoczyć we wspólnym dziele, ku szczęśliwości wszystkich. W domu miał dwa portrety cesarza: jeden w salonie, drugi w swoim gabinecie za biurkiem.

Rudolf Jelinek miał też gramofon, na którym wygrywał paradne marsze, oraz płytę zakupioną jako pierwszą – z hymnem państwowym. Szanował oczywiście cały utwór, jednakże najbardziej lubił czwartą zwrotkę:

Spólność, jedność powołania,

Niech przenika wszystek lud,

Bo złączonych sił działania

Zdolne przemoc wszelki trud.

Dążąc społem ku celowi,

Chciejmy bratnio siły złąć,

*Szczęść Monarsze, szczęść Krajowi,
Austria będzie wiecznie trwać!*

To „bratnie zlanie sił” z czwartej zwrotki umacniało go w poczuciu, że jest pełnoprawnym członkiem państwa i zjednoczonego narodu.

Hymn był przetłumaczony na wszystkie języki monarchii, ale Jelinek słuchał go i nucił jedynie po niemiecku. Dlaczego nie po czesku, skoro przecież był Czechem? Właśnie dlatego, że był Czechem, hymnu słuchał w niemieckiej wersji.

Czeskość komisarza była dlań problemem, nieomal wstydem.

Jak się rzekło, pochodził z okolic Konopiszte, kilkadziesiąt kilometrów od Pragi, gdzie jego dziadek, a potem ojciec, mieli dobrze prosperującą piekarnię. I te niezłe dochody dziadka i ojca pozwoliły na to, by Rudolf skończył dobre szkoły, odbył służbę wojskową w żandarmerii polowej w stopniu kapitana, a potem trafił na odpowiedzialne stanowisko w policji.

Mimo tak znacznego społecznego awansu Jelinek wstydził się swego pochodzenia, ale głównie miał za złe swym przodkom już nie tyle nawet piekarzowanie, co czeskość. W jego mniemaniu w monarchii należało być Niemcem, w ostateczności Węgrem. Czeskość była gorsza.

Co prawda komisarz mógł się urodzić Słoweńcem, Chorwatem, Włochem – lub co najgorsze – Polakiem czy Rusinem, ale tak okrutnych przypuszczeń nie chciał nawet brać pod uwagę.

Młodoczeskie trendy, które ostatnio w wielu miastach Korony św. Wacława brały górę, uważał za nierozsądne ruchy, mogące rozbić monarchię od środka. W tych zachowaniach swoich rodaków widział Jelinek nie co innego, jak wpływ Polaków, których generalnie nie lubił i uważał za niepoprawnych romantyków ze skłonnością do anarchii.

W sumie Jelinek, urzędujący obecnie w Krakowie, czuł się tu dobrze, bo miał ugruntowane poczucie wyższości. Dla Polaków był Austriakiem, mówiącym po polsku ze śmiesznym akcentem. Nad jego czeskimi korzeniami nikt się specjalnie nie pochylał, bo jeżeli nawet z żoną – w rzadkich chwilach uniesień lub w czasie częstszych małżeńskich swarów – rozmawiał po czesku, to bardzo cicho.

Żeby wyjaśnić sprawę do końca: Jelinek czuł się potrzebny monarchii, a jej kształt i panujące porządki uważał za dzieło niemal boskie. Często o tym wszystkim rozmyślał i wynajdywał coraz to nowe konkretne przykłady na jakże cudowne urządzenie świata pod berłem Habsburgów.

Tymczasem w Krakowie znaleziona przez studenta ludzka głowa ciągle leżała na trawie. Komisarz Jelinek zdjął z makabrycznego znaleziska mokrą koszulę studenta i rozkazał nakryć głowę policyjną płachtą. Zgodnie z procedurą policja czekała teraz na ambulans z prosektorium. Student odmówił przyjęcia koszuli, złożył już wstępne zeznanie, podał swoje dane wraz z adresem i w towarzystwie dwóch młodych dam ruszył do wyjścia z parku.

Sama głowa stała się prawie nieważna, ważne było, kto ją odciął i wrzucił do stawu. Wszyscy policjanci zakładali, że ktoś dokonał zbrodni. Ale kim była ofiara i kim był zabójca? Dlaczego zbrodniarz porzucił te ludzkie szczątki w miejscu publicznym? I kiedy się to stało? A przede wszystkim – powód, powód i jeszcze raz powód.

Ta głowa zakłócała dobry mieszczański porządek Krakowa, nie pasowała do historycznego wystroju miasta, nie pasowała też do duchowego nastroju mieszkańców. Owszem, zbrodnie w afekcie, morderstwa na tle rabunkowym – tak, to się zdarzało. Ale takie coś? To było nie na miejscu.

Poza tym nie dalej niż cztery miesiące temu znaleziono przecież na Plantach zamordowaną kobietę z wyłupionymi oczami. W Krakowie coś ewidentnie zaczynało się psuć.

W dalszym ciągu będąc w parku, Rudolf Jelinek układał sobie w głowie możliwe scenariusze zbrodni.

– Dobrze tam szukać! Musi być reszta ciała! Poćwiartował i wrzucił do wody! – krzyknął w stronę policjantów brodzących w zimnej wodzie i badających drągami dno stawu.

W chwilę potem jeden z policjantów, macających dno stopami, krzyknął:

– O jest, jest!

I zanurzył ręce w sadzawce, żeby swoje znalezisko wydobyć. Jelinek podszedł jeszcze bliżej, na sam brzeg sadzawki, zmrużył oczy i wyciągnął szyję,

by lepiej się przyjrzeć.

– Co tam macie?

Policjant wyciągnął okrągły przedmiot, który zaczął oczyszczać z mułu i wodorostów.

– Chyba znowu głowa!

Tłumek gapiów, oddzielony od wody żandarmami, zafalował z emocji.

Jednak komisarz Jelinek szybko zorientował się, czym jest znalezisko.

– To piłka, idioto!

Policjant wyszedł z piłką na brzeg i złożył ją na płachcie obok wydobytych już wcześniej przedmiotów. Były wśród nich jakieś butelki, garnki i mała kotwica na sznurku. Każdy z przedmiotów oznaczony został czarnym numerkiem wypisanym na białej tekturze. Obok płachty stał na trójnogu wielki fotograficzny aparat, a policyjny fotograf, sprawnie wymieniając szklane klisze, robił zdjęcia wszystkim wyłowionym przedmiotom.

Jelinek w ogóle nie bardzo cenił swoich pracowników, ale praca fotografa, będąca według niego zbędną nowością, wręcz go rozwścieczała.

– A wy co tu robicie? Mieliście tylko uwiecznić fotograficznie miejsce zdarzenia. Może trzeba wam wodę ze stawu wypompować i będziecie fotografować każdy śmieć!?

Jelinek co prawda prężył się, kroczył i pouczał, ale tak naprawdę był mocno zdenerwowany. On też, a może najbardziej on, pamiętał o zamordowanej kobiecie, którą czternastego grudnia znaleziono w centrum Krakowa, na Plantach. Tamta sprawa ani drgnęła, Jelinek nie doszedł do niczego więcej, niż było mu wiadome w ciągu następnych dni. Pamiętał też rozmowę u sędziego, która w świetle nowych faktów przybrała nowy wymiar. Otóż mieli do czynienia z kolejną ofiarą.

Jednakże tej bezradności i poczucia lęku nie chciał po sobie pokazać – władza, a to on był władzą w sprawie tych morderstw, nigdy nie powinna okazywać słabości, strachu czy tylko zdenerwowania. Przy tym wiedział dobrze, że obie te sprawy mogą się łączyć, a zatem wobec tajemniczości zdarzeń śledztwo może się paprać, ciągnąć i przewlekać. A to już znaczyło wielkie

kłopoty dla niego samego. No i wiedział też dobrze, że jeżeli ktoś jeden lub kilku osobników ważyło się na dwie zbrodnie – mogą poważić się na kolejną. Bezkarność jednej zbrodni ośmiela następne, tak mawiał sędzia Izewski, człowiek wykształcony i mądry, który jednak miał i tę wadę, że był przełożonym Jelinka.

Tak, w Krakowie coś zaczęło gnić – pomyślał Jelinek. I mnie to przypadło przywrócić porządek. Zadanie zaszczytne, ale jak się do tego zabrać?

W laboratorium policji panowała cisza wczesnego poniedziałkowego przedpołudnia. Zwykle tydzień zaczynał się tu od rozruchu polegającego na parzeniu kawy. Potem krótki rzut oka na gazetę w celu zasięgnięcia informacji z życia miasta, ze szczególnym uwzględnieniem „Kroniki”, w której najciekawszą częścią były opisy co osobliwszych zdarzeń. Prym wiodły krótkie notatki obyczajowe, opisujące historię radcy takiego i takiego, któremu w kawiarni takiej i takiej ukradziono pugilares, a w innym miejscu odnotowywano, że jakiś żydowski krawiec zwyzywał zajmującego się tym samym fachem konkurenta, przez co doszło między nimi do awantury zakończonej „licznymi otarciami”, a do żony jednego z nich, która dostała na skutek tej awantury ataku apopleksji, musiano zawezwać ambulans. Odnotowano przy tym szkodę na wstrząsającą kwotę dwóch koron i siedemnastu halerzy.

Tym razem jednak doktor Skarżyński poranną kawę dawno już miał za sobą.

Zawezwany przez sędziego Iżewskiego, pojawił się w swojej osobliwej pracowni dużo wcześniej.

W głębi laboratorium, na kamiennym stole sekcyjnym, leżała na specjalnej podpórce głowa wyłowiona ze stawu w parku miejskim.

W bliskiej odległości od stołu sekcyjnego ustawiony był wysoki okrągły stolik, przypominający drewniany kwietnik. Na jego niewielkim blacie młoda dziewczyna o kasztanowych włosach i bystrych ciemnych oczach postawiła urządzenie, którego podstawę stanowiła drewniana brązowa skrzyneczka z przymocowanym do niej metalowym mechanizmem w kolorze spatynowanego srebra. Do tejże podstawy zamontowana była metalowa tuba, skierowana w stronę stołu sekcyjnego, nad którym pochylał się doktor Skarżyński, obserwując przez lupę martwe tkanki, będące niegdyś skórą twarzy denatki.

Dziewczyna zakręciła niewielką korbką wystającą z boku drewnianej podstawy urządzenia, po czym przesunęła jakieś zakończone iglicą pokrętko,

które zjechało na kręcący się wokół własnej osi woskowy walek, umocowany równolegle do podstawy.

– Gotowe – szepnęła z zadowoleniem, po czym ruszyła na drugą stronę kamiennego stołu.

Doktor Skarżyński odchrząknął, po czym po każdym spostrzeżeniu podczas prowadzonej obdukcji kierował twarz w stronę tuby, rzucając krótkie zdania.

– Głowa kobiety. Odrąbana została po śmierci jednym cięciem. Raczej czymś w rodzaju tasaka niż siekiery. Szeroka klinga, rozszerzająca się od rękojeści ku górze. Kobieta wcześniej była duszona. Na szyi ślady... najprawdopodobniej sznura, który musiał odpaść w wodzie w wyniku czynników zewnętrznych. Śmierć nastąpiła kilka miesięcy temu. Ale bliższe ustalenie czasu zgonu będzie możliwe po dokładniejszym badaniu.

Mówiąc te słowa, Skarżyński wyciągnął rękę w kierunku dziewczyny, która dosunęła do stołu sekcyjnego wysoki taboret i postawiła na nim pobłyskującą w świetle lampy skrzynkę z narzędziami, a następnie zaczęła z niej wyjmować i starannie układać na lnianym ręczniku piły, szczypce, ręczną wiertarkę chirurgiczną oraz kilka innych tego typu chromowanych narzędzi.

Na widok wyciągniętej ręki, bez zbędnego pytania, dziewczyna podała doktorowi narzędzie umożliwiające szersze rozwarście szczęk denatki. Widać było, że tych dwoje porozumiewa się w sposób niemal intuicyjny, co świadczyło o tym, iż znać się muszą od lat. Skarżyński fachowo otworzył zaciśnięte usta denatki, po czym mówił dalej, cały czas odwracając twarz w stronę tuby.

– Sądząc na podstawie stanu uzębienia, denatka była w wieku około dwudziestu pięciu lat. Uzębienie bez ubytków. Brak ósemek. Tak... Nie miała jeszcze trzydziestki.

Znowu wyciągnął dłoń w kierunku dziewczyny, a ta przyglądając się jego ruchom, od razu skonstatowała, że w ustach denatki jest coś jeszcze, do czego wydobywania najlepsza będzie pinceta. Skarżyński chwycił podane mu narzędzie i kontynuował opis, wydobywając na zewnątrz jakieś roślinne szczątki.

– W ustach... hm... nie wygląda to na wodorosty... resztki knebla, chyba z

jakiejś... trawy?

W tym momencie do laboratorium wszedł energicznie komisarz Jelinek. Za nim wtoczył się młody policjant – wniósł dużą, ciężką walizkę i przewieszony przez ramię spory płócienny worek.

– Pan wysypie te wszystkie skarby tutaj. – Jelinek wskazał policjantowi biurko, na którym stał mikroskop. – Nie bardzo wierzę, by to mogło przydać się w śledztwie, ale proszę bardzo, są jakieś nowe mody, zatem proszę uprzejmie.

Policjant bez żadnej pieczołowitości wyjmował z worka i walizki negatywy fotografii na szkło, jakieś stare butelki, kotwicę, a nawet starą rowerową oponę.

Wszystkie te przedmioty kładł niedbale – jedne na drugich – na biurko, potracając od czasu do czasu mikroskop. Skarżyńskiemu zadrgały szczęki, ale opanował się i przeszedł kilka kroków w kierunku okna. Tam bezgłośnie wypowiedział w przestrzeń jakieś obraźliwe słowa.

– To są fotografie z miejsca odnalezienia zwłok, a właściwie głowy. I przedmioty wyłowione z dna – poinformował Jelinek. – Śmieci, śmieci i jeszcze raz śmieci. Wątpię, aby wniosły coś do sprawy, ale skoro już pan fotograf artystycznie je uwiecznił, trzeba będzie to jakoś opisać, żeby w dokumentacji był porządek. Żeby nikt u góry nie pomyślał, że my tu w Krakowie marnotrawimy pieniądze z kasy rządu Najjaśniejszego Pana. Swoją drogą, skąd kotwica w sadzawce? Czyżby ktoś po tej sadzawce żeglował parostatkiem i zarzucił kotwicę?

Jelinek zaśmiał się z własnego dowcipu o parostatku i usiadł na uszku podsunętym mu przez młodego policjanta krzesło, założył nogę na nogę i z ironicznym uśmiechem czekał na to, co zrobią ze „skarbami” dziewczyna i Skarżyński.

Pierwsza ze skutków inwazji Jelinka ochłonęła dziewczyna, która odsunęła z twarzy niesforny kasztanowaty loczek, wzięła ze stołu dużą chirurgiczną pincetę i ujęła nią małą zakorkowaną buteleczkę po jakimś nieznanym lekarstwie.

– Na ścianie butelki, mimo wpływu czynników zewnętrznych, zachować się mogły resztki jakiejś substancji – powiedziała, oglądając buteleczkę pod światło przy oknie.

– Szanowna pani Weroniko, rzeczywiście chce pani przebadać wszystkie butelki zalegające w stawie? – uśmiechając się szyderczo, zapytał Jelinek.

– Oczywiście! – odparła Weronika, pewnie i śmiało, tak jakby takie badania były naturalną koniecznością. – Z tego, co mi wiadomo, Łucję Muraszkę przed śmiercią potraktowano chloroformem.

Komisarz wstał, podszedł do stołu sekcyjnego i popatrzył na obiekt prowadzonych właśnie badań.

– Śmiem wątpić, panno Weroniko, żeby to miejsce było właściwe dla pani. Takie widoki? Okropność.

– Czy może dlatego, że jestem kobietą? Pragnę, aby pan komisarz zauważył, że skończyłam studia na Sorbonie w Paryżu. U profesor Skłodowskiej-Curie. Jestem dyplomowanym chemikiem i...

– Oczywiście, oczywiście – przerwał jej Jelinek. – Paryż stolicą wszelkich mód. Naturalnie, że w Paryżu, bo w naszym dobrym Wiedniu byłoby to nie do pomyślenia. To z Paryża przychodzą do nas te wszystkie dewiacje. Pamiętam czasy, kiedy na ulicach było bezpiecznie, policja wiedziała o każdym nieprawomyślnym człowieku i tajnej partyjce, i był spokój. Kobiety siedziały w domach, wychowywały dzieci i dbały o swych mężów. Ja wiem, że życiem madame Curie fascynują się teraz wszystkie panienki, które zwa się sufrażystkami, ale zapewniam panią, że w gruncie rzeczy każda z nich marzy tylko o tym, by nie zostać starą panną.

– Pan się zapomina, moja siostra jest pełnoprawnym pracownikiem laboratorium! – ostro i nieprzyjemnie odezwał się Skarżyński.

– Niestety, nie zapominam o tym fakcie i dziwię się panu sędziemu Iżewskiemu, że przystał na propozycję skorzystania z pomocy pańskiej siostry, nawet jeśli swe paryskie studia ukończyła ze złotym medalem.

Skarżyński wyprostował się sztywno i ruszył pół kroku w kierunku Jelinka, kiedy Weronika złapała go za rękaw.

– Nie warto, braciszku. Pójdę już. Jutro zajmę się „śmieciami” przyniesionymi przez pana komisarza – powiedziała szybko Weronika.

Podeszła do szafy z ubraniami i wyjęła z niej dużą chustę z chińskiego jedwabiu, owinęła ją sobie wokół szyi i założyła płaszcz.

Jelinek stał oszołomiony, nie wiedząc, jak zareagować. Ale też po raz pierwszy w życiu ktoś z podwładnych potraktował go tak z góry. Chwilę nawet rozważał, czy nie zrobić „służbowego użytku” ze słów „braciszku, nie warto”, ale odpuścił sobie. Pomyślał bowiem, że przełożeni mogliby dojść do przekonania, iż nie radzi sobie z podwładnymi. A to by znaczyło urzędniczą śmierć i przeniesienie – powiedzmy – do małego powiatowego miasteczka, gdzie na przykład na Bukowinie. Wzdrygnął się na tę myśl, przetarł czoło chusteczką i powiedział:

– Panie Skarżyński, to jest gmach policji Jego Cesarskiej Mości, a nie kawiarenka, w której – tu wskazał na fonograf – można sobie przy dźwiękach tego próżniaczego wynalazku plotkować o starych czasach. Gramofon nie jest policyjnym narzędziem. Proszę natychmiast zabrać się do pracy, panie doktorze Skarżyński!

– To nie jest gramofon, ale fonograf Edisona i służy do zapisywania dźwięków. Także notatek głosowych – odparł chłodno Skarżyński.

Teraz Jelinek nie miał już żadnego sensownego pomysłu na ripostę. Rzucił więc tylko w przestrzeń:

– Skończyłem tę rozmowę.

Wstał i gwałtownie wyszedł. Tak gwałtownie, że nawet młody policjant nie zdążył usłużnie otworzyć przed nim drzwi.

Następnego dnia, z samego rana, komisarz Jelinek siedział na tle majestatycznego portretu cesarza Franciszka Józefa I przy biurku w swoim obszernym gabinecie i z uwagą przeglądał cztery grube tomy, poświęcone technikom śledczym. Pierwszy był autorstwa Franza Josefa Galla, drugi wyszedł spod pióra Johanna Spurzheima, będącego twórczym kontynuatorem Galla.

Autorem trzeciego dzieła był Alphonse Bertillon, czwartego zaś Cesare Lombroso.

W każdym z czterech dzieł pełno było rysunków ludzkich głów, ciał z naniesionymi na nie podziałami, było także mnóstwo tabel z tysiącami danych.

Gall i Spurzheim byli twórcami frenologii. Jelinek fascynował się nią, chociaż większość współczesnych mu policjantów uznawała frenologię za bezwartościowy zabytek ludzkiej myśli, zwłaszcza że obaj autorzy swoje teorie opublikowali dobre sto lat temu. Niemniej odkrycia obu tych panów fascynowały Jelinka, który był uprzedzony do wszelkich nowinek.

Z grubsza mówiąc, naukowcy z przełomu minionego wieku głosili, że na podstawie kształtu czyjejsz czaszki są w stanie określić, jakie ta osoba ma talenty i ułomności. Z teorii ich wynikało niezbitie, że niektóre rasy ludzkie są naznaczone strasznymi cechami przestępczymi.

Jeszcze więcej nabożeństwa miał Jelinek do bardziej współczesnego dzieła Bertillona, francuskiego uczonego i wyższego funkcjonariusza francuskiej policji.

Ten był twórcą antropometrii kryminalnej, techniki identyfikacyjnej opartej na założeniu, że niektóre wymiary ciała ludzkiego – wzrost, obwód głowy, długość ręki – są niezienne od czasu osiągnięcia dojrzałości. A co za tym idzie – jeśli powiązać ją z tezami Galla i Spurzheima, antropometria jest doskonałym narzędziem w tropieniu osobników skazonych, już z samego urodzenia,

skłonnościami do występku.

Jeśli dodać do tego najnowszą teorię Cesarego Lombroso, w której Włoch twierdził, że przestępczość jest dziedziczna, a „urodzonego przestępcę” można rozpoznać po defektach fizycznych – mamy całość rozumienia istoty pracy policjanta przez komisarza Jelinka.

Z tych dzieł bowiem Jelinek wyciągnął wniosek, że każdy przestępca ma swe skłonności wypisane w kształcie głowy i reszty ciała. Czyli – policja jest w stanie stwierdzić, kto jest lub dopiero w przyszłości będzie zbrodniarzem.

Wystarczy jedynie zbadać populację podejrzanych typów, pomierzyć ich i opisać.

A przy poszukiwaniu złoczyńców kierować się przede wszystkim wyglądem podejrzanego. Co prawda Jelinek cierpiał trochę z powodu faktu, że cesarsko-królewskie sądy niechętnie są skazywaniu bandziorów tylko za sam wygląd, ale – tak uważał – nadejdzie rychło czas, gdy prawdziwa nauka zwycięży.

Tego dnia komisarz Jelinek pojawił się w pracy bardzo wcześnie. Noc miał właściwie nieprzespaną, bo przez cały dzień żył w ogromnym napięciu. Usnął dopiero koło północy, spał nerwowo, dwa razy wstawał, pił zimną wodę, ale i tak sen prawdziwy, pokrzepiający skołatane nerwy nie nadchodził. Wstał o wpół do szóstej i już piętnaście po szóstej był w swoim gabinecie.

Rzucił się do papierów, nerwowo je przeglądał, robił krótkie, jednozdaniowe notatki, niektóre z dokumentów odkładał na osobny stosik.

Około ósmej zaczął chodzić po gabinecie. Coś mówił do siebie, jakby sam siebie przekonywał, a potem sam sobie coś żarliwie tłumaczył.

O ósmej trzydzieści padł na fotel. Kilka minut trwał jakby w odrętwieniu, potem zerwał się i wybiegł na korytarz. Wrócił niebawem, wiodąc za sobą przerażonego aspiranta Kazaneckiego.

– Pan siada, panie Kazanecki – powiedział tonem wojskowego rozkazu.

– Tak jest – odparł Kazanecki i usiadł.

Zwykle ludzie siadają, bo to dla nich wygodniejsze niż stanie. Kazanecki usiadł, ale jakby nadal stał.

– Ma pan jakieś pomysły w sprawie tego mordercy kobiet?

– Ja? – Kazanecki był głęboko zaskoczony. Dotychczas czegoś takiego jak „własne pomysły” nikt od niego nie oczekiwał.

– Pan, pan... przecież nie jest pan na etacie bezwolnego sprzątacza, państwo oczekuje inicjatywy także od aspirantów. Co pan myśli na temat tego zbrodniarza? Bo chyba coś pan myśli? – Jelinek dręczył Kazaneckiego w ten sam sposób, jak wcześniej jego samego upokarzał sędzia.

– No, cóż – zaczął Kazanecki – trudna sprawa, tajemnicza ogólnie i rzadko spotykana...

– Przeglądał pan moje raporty i uwagi w sprawie odnotowanych zbrodni? – przerwał mu Jelinek.

– Przeglądałem, bo pan mi kazał.

– I co?

– No, nie znalazłem nikogo, kto by pasował do sprawy.

Jelinek zaczął przechadzać się po gabinecie, popatrując nieprzyjemnie na Kazaneckiego. W końcu oparł się o biurko, założył ręce na piersiach i powiedział:

– Za pół godziny zbierze pan wszystkich wywiadowców, jakich mamy w mieście. Przeczeszemy to miasto w poszukiwaniu drania, zajrzemy do każdej, nawet najbardziej zatechłej nory, przesłuchamy wszystkich naszych informatorów! Wiem, kogo szukać, panie Kazanecki!

– Pan komisarz znalazł kogoś?

– Wielu tutaj uśmiecha się pod nosem i kpi z moich metod antropologicznych... – rzekł przebiegle Jelinek.

– Osobiście nigdy nie słyszałem nic takiego.

– Pan także uważa, że to jest bałamuctwo. Niech pan nie zaprzecza. A ja, dzięki moim technikom analizy rozumowej opartej na dobrych podstawach naukowych, wiem, kto zabija te kobiety.

Jelinek teatralnie zawiesił głos, a Kazanecki trwał w niemym oczekiwaniu.

– Ten zbrojeniec nazywa się Hryć. Mikołaj Hryć. Tak mi wyszło z tabel, porównań i dedukcji. I już niedługo będziemy go mieli!

– Ale... pozwolę sobie przypomnieć, panie komisarzu, że już sprawdzaliśmy

tego zwyrodnialca i Hryć od roku siedzi w tarnowskim więzieniu.

– To niech pan czyta, jak to on siedzi. – Jelinek sięgnął po zapisany kancelaryjny arkusz leżący na biurku i podał go Kazaneckiemu. – Proszę bardzo, pan czyta!

– Hryć Mikołaj, urodzony szóstego maja tysiąc osiemset siedemdziesiątego szóstego roku... Zbiegł dziewiątego grudnia tysiąc dziewięćset czwartego roku... – przeczytał po znalezieniu odpowiedniej wzmianki w tekście Kazanecki.

– No i co? Dziewiątego grudnia! Pięć dni przed morderstwem Łucji Muraszki!

– Ja, panie komisarzu, już dawno zwracałem uwagę, że w Tarnowie mają pensjonat, a nie więzienie... – Kazanecki usiłował powiedzieć coś mądrego, co by zrównoważyło jego sceptycyzm, a jednocześnie zadowoliło komisarza.

– To akurat nie ma teraz nic do rzeczy. Ważne, że uciekł! A wie pan, za co siedział? Ano za znęcanie się, okaleczenie, pocięcie twarzy konkubinie! A już miał wcześniej sprawy za katowanie dziwek. Jednej omal nie udusił. Pan rozumie? On się przymierzał, próbował, planował, aż w końcu zaczął zabijać! Już we wczesnej młodości zaczął od psów, które wyłapywał dla smalcu. Wyjątkowy zwyrodnialec. Palenie żywcem szczeniąt, topienie kotów. Tu jest wszystko zapisane. – Jelinek zastukał w teczkę, zawierającą odpisy akt sądowych i śledczych.

Kazanecki przyjrzał się raz jeszcze zdjęciom przedstawiającym Hrycia.

– Pozyskałem to z archiwum sądu w Nowym Sączu. – Jelinek był z siebie dumny. – No i widzi pan, panie Kazanecki? – powiedział z uśmiechem. – Policjant jest jak myśliwski pies. A ta dziewczyna, ta uduszona Łucja? Miała przecież wydłubane oczy! Czyli okaleczenie! A ta głowa w stawie? Tamta też najpierw była uduszona.

Kazanecki słuchał natchnionego Jelinka, przypatrując się ponurej, nieogolonej twarzy Mikołaja Hrycia.

– A teraz najważniejsze. Mikołaj Hryć pochodzi z Rosohatego, wsi sąsiedniej dla Uhrynówki. To nawet ta sama parafia. Nie wykluczam, że znał swoją ofiarę,

która, jak stwierdził doktor Skarżyński, nie spodziewała się ataku, a więc i sama mogła znać napastnika. Rozumie pan? Zioła, psi smalec... To się chyba jakoś łączy?

Kazanecki milczał. Przekonanie i żarliwość, z jaką wypowiadał swe teorie Jelinek, czyniły je wiarygodnymi.

– Istnieje duże prawdopodobieństwo, że jest w Krakowie. I teraz my go sobie tak... – Jelinek zacisnął obie pięści i zrobił gest, jakby wyzymał upraną część garderoby. – Stryczek, rozumie pan? I to wyjątkowo krótki, żeby zdychał długo.

Kazanecki wyobraził sobie Hrycia stojącego na szafocie, któremu elegancko ubrany kat zakłada na głowę „czapę”.

– Zatem organizuj pan całą operację – zaordynował Jelinek. – Najpierw wyślemy zwiadowców po cywilnemu, żeby powęszyli. Następnie pojedziemy po tę glizdę i zdejmujemy go z zaskoczenia, znienacka! Gwałtowna, brawurowa akcja. Tak go złapiemy!

Po godzinie ubrani po cywilnemu policjanci ruszyli w miasto. Rozpoczęły się poszukiwania niejakiego Mikołaja Hrycia. Niespełna trzydziestoletniego, nieślubnego syna Praskowii z Rosohatego.

Weronika Skarżyńska zawsze wracała z laboratorium do domu tą samą trasą. Mieszkała na Pijarskiej, tuż przy samych Plantach. Droga ze znajdującego się na Mikołajskiej laboratorium nie zajmowała zbyt wiele czasu. Zapadał zmrok. Drzewa na Plantach powoli zamieniały się w szare cienie. Weronika mieszkała w dawnym mieszkaniu rodziców, które odziedziczyła po nich. Henryk wyprowadził się piętro wyżej. Oba mieszkania, podobnie jak połowa kamienicy, należały do ich ojca, który sfinansował część inwestycji, jaką była budowa nowoczesnego budynku mieszkalnego. Ojciec, podobnie zresztą jak i dziadek, był lekarzem, toteż niejako w naturalny sposób oboje z rodzeństwa poszli w ich ślady, z tym że Weronika, która od wczesnych lat interesowała się medycyną, z czasem swoje upodobania przesunęła w stronę chemii. Po powrocie ze studiów nadal mieszkała samotnie w dużym, kilkupokojowym mieszkaniu, które zapisał jej ojciec, licząc, że zapełni się ono kiedyś gromadą dzieci. Ojciec i przedwcześnie zmarła matka byli ludźmi światłymi i znającymi Europę. Ale już dalsza rodzina, w tym wujostwo, którzy z rzadka opuszczali Galicję, czuli się oburzeni i popatrywali na Weronikę jak na kobietę upadłą. Gdyby była już po trzydziestce, uznano by ją za starą pannę i jedynie wzdychano by ze współczuciem. Byłoby to współczucie raczej fałszywe, ale fakt, że stara panna mieszka sama, przyjęto by spokojnie, choć dla przyzwoitości powinna mieszkać raczej z rodzicami.

Jednak Weronika miała dopiero dwadzieścia trzy lata, świeżo wróciła z Paryża (a Paryż wiadomo – stolica mód, zgnilizny i zepsucia) i natychmiast zamieszkała sama, odrzucając wszelkie propozycje zeswatań jej z jakąś dobrą partią. Gorzej, bo po powrocie, mimo początkowych oporów brata, podjęła pracę w policji, głównie przy trupach... Naprawdę, mieszczańska społeczność Krakowa powodów do wzdychań, przewracania oczami i załamywania rąk miała aż nadto.

Dyskretnie więc dopytywano też, dlaczego to Weronika nie bywa na spotkaniach w zacnych domach, gdzie urządzano liczne potańcówki dla panien i kawalerów, w celu ich wzajemnego poznania się, co miało oczywiście wieść do szybkiego ślubu.

Krótko mówiąc – Weronika była pod obserwacją.

A ona nic sobie z tego wszystkiego nie robiła. W Paryżu poznała inną mentalność, inne obyczaje – nie zawsze rozwiązałe, przede wszystkim zaś zetknęła się z kobietami, które chciały realizować się w nowych zawodach. I temu też poświęciła się ona.

Żeby być precyzyjnym, określenie „poświęciła się” nie jest tu do końca adekwatne. Weronika nie miała zamiaru z niczego, co w życiu przyjemne, rezygnować, nie zakładała też, że zostanie na zawsze osobą samotną. Wręcz przeciwnie, z każdym miesiącem pobytu w Krakowie coraz częściej popatrywała na mężczyzn, taksując ich urodę, poczucie humoru i inteligencję.

Jest jednak faktem, że głównie zajęta była pracą i dalszym rozwojem zawodowym. Wolne chwile spędzała najczęściej w Bibliotece Jagiellońskiej, gdzie pilnie studiowała zagraniczne nowości z dziedziny chemii i fizyki. Bywała jednak w teatrze, bywała na koncertach, nie unikając też życia towarzyskiego. Tyle że było ono ograniczone do wąskiego kręgu znajomych jeszcze z czasów szkolnych. A że chodziła, co oczywiste, do gimnazjum żeńskiego, więc jej znajomymi były głównie koleżanki.

Nie nudziła się sama z sobą, to pewne. Naprawdę miała co robić. Książki zajmowały prawie całe dwa pokoje. Ojciec uczył ją, aby zażywała więcej ruchu.

Kupiła więc rower. To jednak znowu spowodowało silną falę oburzenia ciotek i znajomych.

Okna części pokoi, kuchni i służbówki jej mieszkania wychodziły na podwórko. Okna dawnego gabinetu ojca, salonu i jej sypialni na ulicę oraz znajdujący się naprzeciw niewielki dom, w którym od dawna nikt nie mieszkał.

Czasami, późnym wieczorem, otwierała okno pokoju od ulicy i stojąc przy nim, paliła cygaro – paliła niedużo, najwyżej jedno dziennie.

Była wczesna wiosna. Powoli i z rozmysłem smakowała słodkawy dym

cygara. Lubiła przyglądać się drzewom i krzewom na Plantach. Dokładnie naprzeciwko jej okna rosły krzewy różane, o tej porze roku jeszcze w zimowej otulinie ze słomy. W wieczornej mgle, wśród dominujących na Plantach kasztanowców, wydawało się, że owinięte słomą krzewy, przypominające chochoły, tańczą w świetle gazowej lampy. Jak mroczne cienie ludzkich postaci, jak jakieś widma nie z tego świata. Weronika patrzyła na to dziwne, przypominające sen zjawisko z góry, z okna swojego mieszkania, i odnosiła wrażenie, że ów krąg rozkołysanych chochołów coraz bardziej przypomina ludzki taniec, staje się coraz bardziej rzeczywisty, że zaciera się granica między jawą a snem. Przestraszyła się. Instynktownie oderwała wzrok od widmowych postaci i spojrzała przed siebie, wprost w okna opuszczonej, starej kamienicy naprzeciwko.

Wtedy spostrzegła, że na drugim piętrze kamienicy po drugiej stronie ktoś również stoi w oknie – podeszła do kontaktu i zgasła światło, żeby lepiej widzieć tego człowieka, samej nie będąc obserwowaną. Ale nikogo już nie było. Pomyślała, że to może jakieś przywidzenie, że to jej wyobraźnia pobudzona niezwykłym, chocholim tańcem. Zgasła cygaro i poszła spać.

Jednak następnego wieczoru sytuacja się powtórzyła – w oknie naprzeciw znowu spostrzegła tę postać. Tamto okno było zamknięte i brudne, więc poza zarysem jakiegoś człowieka Weronika niewiele widziała. Nie mogłaby nawet powiedzieć, czy ów ktoś był kobietą, czy mężczyzną. Kiedy znowu zgasła żyrandol, człowiek z przeciwka ponownie zniknął. Tym razem uznała, że rzecz wymaga wyjaśnienia.

Rano, jeszcze przed pójściem do pracy, postanowiła wejść do opustoszałego domu. Poprosiła Floriana, starego dozorcę, który zamieszkiwał stróżówkę w jej kamienicy, aby pomógł jej otworzyć bramę sąsiedniej rudery. Florian odnalazł dawnego stróża tej kamienicy, którego znał sprzed lat, i przyprowadził go na Pijarską. Nie było to trudne, bo ten mieszkał teraz ledwie kilka kamienic dalej na św. Marka.

– A tam w mieszkaniu na drugim piętrze... to nikt nie mieszka? – zapytała Weronika.

– Nikt – odpowiedział stróż.

– Od dawna? – dociekała Weronika, bacznie przyglądając się sprowadzonemu dozorczy, wiedząc, że czasem za opłatą wprowadza się, bez wiedzy mieszkających gdzieś poza krajem właścicieli nieruchomości, dzikich lokatorów.

– A to będzie gdzieś już ponad siedem lat. Mieszkał tutaj jeden urzędnik z żoną i synem, ale jak umarł, to się tamci wyprowadzili. Licha ta kamienica... Ponoć na starej fosie stoi i fundamenty jej nie trzymają. Mieli rozebrać, ale właściciele podobno się procesują już piąty rok. Mnie to tylko klucze zostały, żebym czasem doglądał, czy nie dzieje się co złego.

– A moglibyśmy to mieszkanie obejrzeć?

– Panienska chciałaby wynająć? Trochę grosza włożyć by trzeba. – Stróż jakby zapomniał, co sam przed chwilą powiedział. – A to sama czy...?

– Z mężem i trójką dzieci – syknęła wściekle Weronika.

– A to pewnie, bo mieszkanie duże, trzy pokoje... – Stróż nie pojął ironii. – No, państwo kazali pozamykać... Ale panienska, znaczy pani, poczeka, pójdę po te klucze.

Stróż wyszedł na chwilę na ulicę, a Weronika zapuściła się w głąb podwórka. O ile front utrzymany był jeszcze w jakim takim stanie, o tyle z tyłu przez całą ścianę biegło solidne pęknięcie, grożące zawaleniem.

– Trochę grosza trzeba włożyć... – powtórzyła z przekąsem za stróżem. – Trójka dzieci – zamruczała do siebie – niedoczekanie was wszystkich. Najwyżej dwoje.

Stróż wrócił i poszli na drugie piętro frontu. Drzwi miały dwa proste zamki, do których były dwa oddzielne klucze, ale otworzył je jeden z nich. Widać, w środku nie było nic cennego.

Mieszkanie wyglądało nawet czysto, poza oknami, których od lat nikt nie mył. Zaraz po wejściu Weronika stanęła przy oknie, w którym widywała postać.

– No proszę! – niemal krzyknęła – ktoś tu jednak bywa. Są ślady.

– Gdzie bywa? – Stróż był mocno zdziwiony.

– A tu, proszę, odciski rąk. Wszystkie pozostałe parapety mają równą

warstwę kurzu, a na tym parapecie są ślady wyraźnie świadczące, że ktoś się niedawno o parapet opierał.

– Gdzieżby tam – zaprzeczył stróż i natychmiast starł kurz z parapetu rękawem kapoty. – Ja raz na miesiąc mam zaglądać, czy nie zaległy się myszy albo co gorszego. Pewnie to moje.

– Jesteście pewni? – spytała Weronika.

– Że zaglądam?

– Właśnie, kiedy pan był ostatnio?

– Ostatnio byłem trochę chory... no, będzie ze dwa... może trzy miesiące.

Weronika zrozumiała, że niczego więcej od stróża się nie dowie.

Podziękowała mu, dając koronę, i poszła.

Tego wieczoru nikogo w oknie nie widziała. Jednak po dwóch dniach postać pojawiła się znowu. Weronika ubrała się i szybko wybiegła na ulicę. Odnalazła stróża, dała mu dwie korony i razem poszli na klatkę schodową frontu. Drzwi były zamknięte.

– Panienko, pani widzi sama. Zamknięte, jak były.

Dostał jeszcze dwie korony, i próba schwytania podglądacza spełzła na niczym.

Na monumentalnym czterokondygnacyjnym, zwieńczonym dwiema zegarowymi wieżami dworcu kolejowym w Trieście panował tłok, bałagan i dziki chaos. Można było odnieść wrażenie, że nagle i jednego dnia wszystkie narody Austro-Węgier postanowiły wsiąść do pociągów i pognać w sobie tylko znanych kierunkach. Wolne cesarskie miasto Triest było czwartym co do wielkości miastem monarchii i jej portowym oknem na świat, przez którego nabrzeża rocznie przechodziło ponad cztery miliony ton różnorodnych towarów.

Cały dworzec rozbrzmiewał więc niemal wszystkimi językami monarchii: niemieckim, włoskim, węgierskim, czeskim, polskim, rusińskim, rumuńskim, chorwackim, słowackim, słoweńskim oraz jidysz. Dodatkowo jeszcze te mało zrozumiałe gwary i narzecza... A im mniejsza narodowość, tym jej przedstawiciele głośniejsze krzyczyli i mówili.

Jan przeciskał się przez ten rozgorączkowany tłum jedynie z marynarskim workiem przewieszonym przez ramię. Na sobie miał obszerną ciemnogrnatową marynarską kurtkę z drelichu i samodziałowe spodnie w kolorze, którego nazwę Brytyjczycy zapożyczyli od Hindusów. Khaki oznaczał „zakurzony” i to określenie było adekwatne do stanu, w jakim znajdował się dworzec. Na głowie Jana widniał jasnobeżowy kapelusz z szerokim rondem. Buty miał miękkie, wygodne – zawsze przedkładał wygodę nad sztywność elegancji i obowiązujące mody.

Kierował się do ostatniej, trzeciej klasy, była najtańsza i pełna ciekawych typów, a już myślał, że musiałby w pierwszej lub drugiej klasie wysłuchiwać paplaniny pań i panienek z lepszego towarzystwa lub – nie daj Bóg – wdać się z nimi w rozmowy, napawała go niechęcią. Chciał być sam, ze swoimi obawami i szeregiem tak trudnych do przemyślenia spraw. Poza tym na morzu nauczył się samotności i polubił ją. Zanim musiał wyjechać z Krakowa, był duszą towarzystwa; rozmowny, może nawet gadatliwy, bystry, potrafił spointować

każde zdarzenie. Teraz nie poznałby sam siebie.

W przedziale były twarde drewniane ławki, nad ławkami płytkie półki na bagaż. Przedziały ciasne, a jednak każdy miał drzwi na peron. Z trudem upchnął bagaż na półce, siadł w rogu przy drzwiach, przodem do kierunku jazdy. Poza nim było w przedziale jeszcze siedem osób: starsze małżeństwo Żydów, matka i córka – chyba muzułmańskie Bośniaczki, bo całe głowy miały opatulone jakimś zawojami, i rodzina pobożnych Rusinów – rodzice około pięćdziesiątki, syn chyba dwudziestopięciolatek.

Jakieś dziesięć minut przed odjazdem po wagonie przeszedł umundurowany kolejarz – kierownik pociągu. Baczny, surowym wzrokiem lustrował przestrzeń, jakby chciał się upewnić, czy ze strony pasażerów nie grozi pojazdowi jakaś katastrofa. Za kierownikiem przesuwał się kornie zgięty konduktor. Kierownik w każdym przedziale nieodmiennie pytał po niemiecku:

– Czy ktoś z państwa nie ma biletu?

Jeżeli znalazł się ktoś taki i zgłosił się, kierownik lekkim przymknięciem powiek dawał do zrozumienia, że zapamiętał człowieka, po czym poważnie, wolno mówił:

– Niebawem zgłosi się do pana konduktor i bilet wypisze.

Cały przedział milczał, z czego Jan był niezwykle zadowolony. Nikt nikomu się nie przedstawiał, nikt nie usiłował nawiązać rozmowy.

Jan wiedział, skąd takie milczenie tych prostych ludzi – bali się podróży. W cesarstwie austro-węgierskim sieć linii kolejowych była dobrze rozbudowana, ale i tak większość poddanych Franciszka Józefa nigdy pociągiem nie jeździła.

Szczególnie dotyczyło to mieszkańców najbiedniejszej z krain – Galicji. W tej części cesarstwa władza mało inwestowała, zgodnie ze starą, rzymską jeszcze zasadą, że nie inwestuje się na krańcach imperium, bo te – jako bufory – skazane są w razie wojny na szybkie zajęcie przez wroga. Tę część cesarstwa oficjalnie nazywano Königreich Galizien und Lodomerien mit dem Großherzogtum Krakau und den Herzogtümern Auschwitz und Zator, co po polsku brzmiało: Królestwo Galicji i Lodomerii wraz z Wielkim Księstwem

Krakowskim i Księstwami Oświęcimia i Zatoru. Było tu koszmarne biednie i beznadziejnie, i dlatego tę krainę Polacy z wisielczym humorem nazywali Golicją i Głodomerią.

Tych, którzy musieli podróżować koleją, onieśmiały gigantyczne dworce, mające oddać potęgę państwa. Pociągi były oczkiem w głowie władz, które dbały o punktualność kursów i jakość taboru. Na przełomie wieków pojawiły się na torach maszyny napędzane elektrycznie, ale dominowały nadal parowozy. Mimo takiego postępu technicznego strach w ludziach budził sam wygląd pociągów. Wielkie czarne maszyny, parskające tumanami pary, charczące, gwizdzące, jęczące i zgrzytające, dla wielu stanowiły widok prawdziwie przerażający.

Pociąg zagwizdał, rozległy się okrzyki obsługi, konduktorzy sprawdzali, czy drzwi są zamknięte. I ruszyli. Z namaszczaniem, powoli, godnie.

W tym samym momencie wszyscy pasażerowie przedziału zaczęli się modlić. Troje Rusinów wyciągnęło różańce i niesłyszalnym szeptem jęło odmawiać chwałę Matki Bożej. Żyd wyciągnął z kieszeni obszernego chałatu księgę i otworzył ją. Kiwał się nad nią bezgłośnie, tylko jego wargi czytały wersety dla duszy i Boga. Bośniaczki złożyły ręce i w pamięci powtarzały którąś z sur.

Jan tylko się przeżegnał. Tu też miał problem. Nie był agnostykiem, nie interesowały go też żadne ruchy wolnomyślicielskie. Był rzymskim katolikiem, ochrzczonym i bierzmowanym, ale serca i ducha do religii nie miał. Matka po części była prawosławna, a rodzina ojca pochodziła ze spolonizowanej i z dawna już chrześcijańskiej rodziny o tatarskich korzeniach. Istniały jeszcze na terenach dawnego Wielkiego Księstwa Litewskiego jej boczne linie, które nadal wyznawały islam. W związku z tym Jan był tolerancyjny i daleki od wszelkich szowinizmów.

Wyruszyli o dwudziestej dziesiąt, w Wiedniu mieli być rano. Jan niespodziewanie dla samego siebie zasnął. Ukołysał go miarowy stukot kół, a senność sprowadziło ciepło panujące w wagonie. Powoli zapadał zmrok, milczący przedział też powoli zapadał w uśpienie.

Jan właściwie nie tyle spał, co wyłączył się ze spraw tego świata. Zauważał, że w jego przedziale pasażerowie zmieniali się, jedni wysiadali, inni wsiadali, ale sam był jakby poza kolejową rzeczywistością. Pociąg mijał kolejne stacje. Leibach, zwany przez Słoweńców Lublaną, Marburg, czyli Maribor, Graz... Widział, rejestrował fakty, ale tak, jakby to wszystko działo się poza nim, jakby był obserwatorem, a nie uczestnikiem tego kolejowego życia.

Znał taki stan i lubił go. Było to coś przypominającego wschodnie medytacje, kiedy człowiek próbuje uspokoić mózg, odrzucić wszelkie natrętne myśli, opuścić samego siebie i jedynie trwać. Nauczył się ćwiczenia swojej psyche od Chińczyków, których po raz pierwszy poznał na Syberii. Tam przecież urodził się i do jedenastego roku życia mieszkał.

Dla przeciętnego Europejczyka Syberia to kraj bezludny, dziki i odwiecznie skuty lodem, coś jakby Antarktyda lub Arktyka. Owszem, jest i taka, ale jest też kilka innych Syberii. Syberia to przecież nie kraina, ale wielki kontynent. Jan urodził się w tej części, która nie jest tak dalece nieprzychylna ludziom. Owszem, zima trwa długo i jest sroga, ale da się tam żyć.

Urodził się w Kraju Zabajkalskim, zawładniętym przez Rosję przed wiekami. Kolonia polska była tam liczna – składali się na nią głównie zesłańcy, którym skończyła się już kara główna, ale którym carat nie pozwalał na powrót w rodzinne strony, gdzie przed laty wszczęli bunt. Z czasem dołączyli do nich dobrowolni budowniczości kolei, która połączyć miała Petersburg i Moskwę z najdalej wysuniętymi na wschód skrawkami imperium Romanowów.

Jak każdy chłopak, Jan wchłaniał w siebie świat zewnętrzny, łakomie poznawał każdą tajemnicę. A tą tajemnicą byli właśnie rdzenni mieszkańcy tych ziem. Buriaci oraz Tunguzi. Jego mamka była Buriatką, a kiedy Jan w wieku pięciu lat ciężko zachorował, miejscowy szaman odprawił nad nim jakieś gusła, które przepędzić miały od niego śmierć.

W tym drzemaniu, trwaniu, półśnie i przeglądzie dawnych obrazów poczuł nagle ostry ból na szyi. Otworzył oczy, ale nie drgnął nawet. Nad nim stał wielki, śniady mężczyzna z nożem w ręce, którego czubek ostrza uciskał szyję Jana.

Tamten, mający chyba ze dwa metry wzrostu, położył palec na ustach. Poza dużym, w przedziale był jeszcze jeden niski mężczyzna, ten próbował ściągnąć z półki marynarski worek Jana. Szło mu ciężko, bo worek był wciśnięty na siłę między półkę a sufit.

Łatwiej by poszło z workiem dużemu, przeleciało przez głowę Janowi.

I nagle zdarzenia w przedziale potoczyły się błyskawicznie.

Jan mocno chwycił rękę z nożem w nadgarstku, szarpnął nią i skręcił.

Jednocześnie kopnął nożownika prawym kolaniem w krocze. Duży zawył i wypuścił nóż, bo jego ręka została wyrwana ze stawu barkowego. Skulił się i z cichym skowytym padł na kolana. Mniejszy zaklął coś po cygańsku i oderwał ręce od worka. Doskoczył do Jana i próbował uderzyć go pięścią w twarz. Nie zdążył.

Jan lewą ręką zablokował cios, zbijając go w kierunku drewnianego oparcia. Prawą ręką chwycił go za twarz, wbijając mu palce w oczy, a lewą uderzył w szyję – niezbyt mocno, żeby nie zabić, ale na tyle skutecznie, by bandzior zemdłał. Teraz obaj napastnicy byli na podłodze. Duży jęczał. Mniejszy ze świstem odzyskiwał oddech. Jan dopiero teraz podniósł z podłogi nóż i ruszył z nim w kierunku napastników. Pociąg zwalniał na zakręcie. Cyganie nie zamierzali ponosić dalszych strat. Mniejszy szarpnął drzwi i obaj wyskoczyli na niezbyt pochyły nasyp, po czym sprawnie zsunęli się w stronę lasu.

Po dużym został mu składany nóż. Obejrzał go dokładnie, dostrzegł napis „Solingen”. „Proszę – zamruczał do siebie – dobra, solidna firma”. I schował nóż do kieszeni spodni.

Około szóstej rano pociąg dostojnie wjechał pod dach olbrzymiej, przeszklonej hali dworca w Wiedniu, wzdłuż której, niczym zakończenia nerwowe jakiegoś futurystycznego organizmu, biegły rzędy torów. Z góry musiało to wyglądać, jakby jakiś lewiatan wchłaniał niczego niespodziewających się podróżnych w swoją paszczę, z której od czasu do czasu unosił się dym wjeżdżających weń parowozów. Kiedy pociąg się zatrzymał, w wagonie zrobił się ruch. Drzwi otworzyły się i na peron zaczęli wysypywać się znużeni wielogodzinną trasą podróżni. Przy wagonach lepszej klasy pojawili się

umundurowani bagażowi, którzy pomogli podróżnym wyładowywać walizki, od razu pakując je na wózki.

Jan z wagonu wychodził jako ostatni. Przyglądał się jeszcze jakiś czas przez otwarte okno tłumowi podróżnych, który mieszał się na peronie. Po chwili zabrał z półki swój marynarski worek i wysiadł na obłożony granitem peron. Pokażnych rozmiarów neorenesansowa budowla wiedeńskiego Südbahnhofu, ozdobiona skrzydlatymi gryfami i wizerunkami starożytnych bogów, z których prym wiódł Merkury, na wielu prostych podróżnych – co ze swoich prowincjonalnych stacyjek, gdzieś w Bośni, dotarli do stolicy monarchii – musiała robić olbrzymie wrażenie.

Niektórzy gapili się na ściany ozdobione architektonicznymi detalami, wpatrywali z podziwem w kryształowe klosze ozdobnych lamp, ci zaś, którym dana była jaka taka umiejętność czytania, sylabizowali niemieckie napisy, z czego ZUM GARDEROBE budziło największe zainteresowanie. Tam bowiem po raz pierwszy przyszło im się zetknąć z bieżącą wodą i fajansowymi toaletami.

Aby dotrzeć do Krakowa, Jan musiał teraz przejechać na drugi co do wielkości z wiedeńskich dworców – Nordbahnhof, który obsługiwał Kolej Północną Cesarza Ferdynanda, łączącą Wiedeń z północnymi prowincjami cesarstwa. Do odjazdu pociągu mającego przetransportować go na Nordbahnhof pozostawała jeszcze niemal godzina. Ruszył więc w kierunku hali głównej. W eleganckim dworcowym westybulu, przypominającym wnętrze jakiegoś florenckiego pałacu, wstąpił do jednej z restauracji. Zjadł dwie duże bułki z węgierskim salami, popił kawą. Wziął też na drogę kilka wiedeńskich precli i trzy butelki lekkiego piwa.

Kiedy ruszył na swój peron, nagle zamarł. Oddzielona czterema liniami torów, dwa perony dalej od niego, w odległości jakichś dwudziestu metrów, stała Ona. Mimo upływu lat nie zmieniła się. Była uśmiechnięta i rozmawiała z dwoma elegancko ubranymi młodymi mężczyznami i jedną nieco dojrzalszą kobietą, sprawiającą wrażenie damy do towarzystwa. Konstancja była piękna, lecz nie nachalnie. Było to piękno przyrodzone. I okazywała je jakby od

niechcenia. Śmiała się, trochę swoich znajomych kokietowała, ale w sposób z lekka wyniosły i zdystansowany. Ci wili się przed nią, przybierając pozę dzentelmenów. Kłaniali się, gestykulowali, niemal trzaskali obcasami po oficersku. To kobieta, przez którą jego świat wypadł z kolein i potoczył się w niewiadomym kierunku... Chociaż była to oczywista halucynacja – całe uspokojenie, całe to ćwiczone przez sześć lat opanowanie samego siebie diabli wzięli. Serce zaczęło mu łomotać, żołądek podszedł do gardła, dłonie drżały.

W pierwszym odruchu chciał się cofnąć i skryć za kioskiem, by móc ją obserwować z ukrycia, ale po chwili uświadomił sobie, jak to wygląda... Pomyślał też, że takie podglądanie nie jest zbyt honorowe. Ruszył więc do swojego pociągu, nie oglądając się więcej na kobietę, która do złudzenia przypominała Konstancję.

Zajął swoje miejsce w przedziale. Tym razem – może na jego szczęście – pasażerowie gadali jeden przez drugiego, śmiali się z dowcipów. Mógł, sam milcząc, wsłuchiwać się w ich gadanie, zastanawiać się, kim są, jak w przyszłości potoczą się ich losy. Nie chciał myśleć o sobie.

Jan znowu zapadł się, wyłączył. W Chinach powiedzieliby, że wszedł we wstępną fazę medytacji. Człowiek jest wtedy w pełni władz umysłowych, widzi i postrzega świat, ale jakby przez zamazaną szybę. Rozróżnia dźwięki, mowę, kolory i kształty, widzi i rozumie relacje między ludźmi, ale sam nie bierze w tym udziału.

Może rozmawiać – pytać i odpowiadać, jednak jego jestestwo jest skupione na czymś, co lokuje się poza realnym światem.

Jan znalazł się w sytuacji sprzed sześciu lat. Ciało co prawda „siedziało w pociągu”, ale najistotniejsza jego część znowu była na polanie w podkrakowskim Lasku Wolskim.

Miał wtedy na sobie po raz pierwszy w życiu frak. W ręku trzymał duży i ciężki pistolet pojedynkowy.

Naprzeciw niego, w odległości trzydziestu metrów w linii prostej, stał inny młody człowiek, także we fraku i również z pistoletem w dłoni. Tej linii nic nie przecinało, byli tylko oni dwaj – Jan i ten drugi. Po prawej ręce Jana stało kilku

młodych ludzi, wszyscy we frakach, długich ciemnych płaszczach i cylindrach.

Jan w tamtym momencie, wtedy o szóstej rano, na niewielkiej leśnej polanie, przeżywał coś bardzo podobnego do stanu, w jakim znajdował się teraz w pociągu: wie, że to na pewno on siedzi w przedziale, wie, że pociąg wiezie go do Krakowa, ale zarazem jakby z boku ogląda sam siebie wśród przypadkowych podróżnych.

Wtedy stał z pistoletem on sam i szykował się na śmierć. Było mu wszystko jedno. Pojedynkowanie się uważał za irracjonalne, głupie i śmieszne, ale jednocześnie nie potrafił przerwać tego teatru absurdu, do którego dał się sprowokować w Ypsilonie.

Jeden z młodych panów machnął ręką i Jan podniósł pistolet, a po chwili nacisnął spust. Huk, dym – i tamten młody mężczyzna, co stał naprzeciw niego wyprostowany jak struna, po tym huku i dymie zachwiał się, przyklęknął i upadł.

Zabiłem go – pomyślał Jan. Rzucił w trawę pistolet i razem z innymi pobiegł do leżącego. I w tym trzydziestometrowym biegu z każdym krokiem wracał do siebie.

Na tamtych trzydziestu metrach coraz wyraźniej kończył się i odpływał w niebyt stan chorej nadświadomości Jana. A gdy pochylił się nad leżącym, był już jeden jedyny sam w sobie, scalony i tożsamy.

Ten pojedynek sprzed kilku lat zdeterminował i zmienił całe dalsze życie Jana.

We wczesnej młodości nieco strzelał, można by powiedzieć – po amatorsku.

W wiejskim domu swojego kolegi strzelał z pistoletu do tarczy zawieszanej na starej sośnie, rosnącej na tle muru okalającego ogród majątku wuja jego przyjaciela, Henryka Skarżyńskiego, pod Krakowem. Może właśnie dlatego trafił dragona w prawe ramię, tak aby go obezwładnić, bo pojedynek miał drastyczne warunki – mieli strzelać tak długo, aż jeden z nich nie będzie mógł ustać. Taki strzał trafia się raz na sto razy. Gdyby celował dokładnie i chciał trafić w taki sposób, jak to uczynił, na pewno by mu to nie wyszło. Dragonowi na miejscu opatrzono ranę i zawieziono do domu. Kula nie tknęła nawet kości.

Janowi wydawało się, że sprawa jest zakończona.

Niestety, brat Konstancji po trzech dniach trafił do szpitala. Rana nie goiła się, pojawiła się gorączka. Wdało się zakażenie i po kolejnych trzech dniach porucznik zmarł, a wkrótce przysłała ze Szwajcarii znacznie bardziej tragiczna wiadomość – Konstancja popełniła samobójstwo. Jan bardziej z rozpaczy, niż zapowiedzianej zemsty ojca swojej niedoszłej narzeczonej, opuścił rodzinne miasto. Chciał być jak najdalej od wszystkich wspomnień, a taki luksus gwarantowała mu tylko służba we flocie.

W Krakowie wysiadł z pociągu około osiemnastej. Dworzec nic się nie zmienił. Niezbyt wysoki gmach z pretensjonalnymi attykami, ale tłum już mniej różnorodny. W porównaniu z dworcami wiedeńskimi raził prowincjonalnością. Jan zarzucił swój ciężki wór na ramię i szybko ruszył po kilku schodkach na placyk przed dworcem. Zanim tam dotarł, dwa razy legitymowali go żandarmi, których tego dnia było jakby więcej, niż wymagały skromne mury dworca. Jan wprawnym okiem wyłapał też wielu tajniaków, udających podróżnych, choć żaden z nich nie miał nawet najmniejszego bagażu.

Na podjeździe przed dworcem stały dorożki, jednak postanowił pójść na piechotę. Ruszył w kierunku wystających zza niskich kamienic smukłych zielonych wież, zdobiących fasadę kościoła św. Floriana.

Kiedy minął kościół, jego oczom ukazał się wielki, uporządkowany plac przed reprezentacyjnymi, kilkukondygnacyjnymi budynkami Dyrekcji Kolei i Akademii Sztuk Pięknych. Po chodniku spacerowali panowie w towarzystwie swych eleganckich żon. Wszystkiego tego zdawał się pilnować – niczym zwinięty w kłębek pies o rudobrazowej maści – Barbakan, nad którym górowała Brama Floriańska, a dalej charakterystyczne wieże kościoła Mariackiego i Ratusza.

Nagle drogę zabiegł mu mały obdarty chłopak ze sporym naręczem gazet:

– Najnowszy numer! „Kolejne klęski wojsk rosyjskich w Mandżurii!”

Jan wyminął go. Gazeciarz wykrzykiwał dalsze rewelacje:

– Najnowszy, popołudniowy numer! „Zapowiedź reform politycznych w Rosji!”

Jan przywołał chłopaka i wziął gazetę, dając małemu dwadzieścia halerzy, co stanowiło dwukrotne przebicie ceny czasopisma. Odmówił przyjęcia reszty, co gazeciarz skwitował głębokim ukłonem połączonym z machnięciem przydużej gawroszowskiej czapki. Jan spojrzał na stronę tytułową: „Bezprecedensowe

klęski Rosji w Mandżurii”.

Gazeciarz pobiegł dalej, w stronę eleganckich państwa, licząc, że pod koniec dnia uda mu się sprzedać jeszcze parę numerów. Jan schował gazetę do kieszeni, po czym ruszył w kierunku Kleparza.

Była to dzielnica robotników, miejskiej służby i drobnych handlarzy, w sumie bieda i brud. Odrapane z tynku, nieodnawiane kamienice i wałące się drewniane domki stały smętnie przy brukowanych kocimi łbami ulicach. Starał się iść raczej po jezdni, bo w chodnikach usypanych ze żwiru pełno było dziur wypełnionych błotem.

Na Kleparzu, w pobliżu ulicy św. Filipa, przed bramami stało bardzo szemrane towarzystwo. Przypatrywali się wysokiemu, zarośniętemu jak dzikus Janowi. Ale nie padła żadna zaczepka. Miał wrażenie, jakby w tej dzielnicy ktoś podniósł rodzaj alertu, stanu podwyższonej czujności przed mającym nastąpić atakiem bądź policyjną obławą. I tu, podobnie jak w okolicach dworca, kręciło się wielu tajniaków. Mechanizmy obronne świata przestępczego są podobne bez względu na szerokość geograficzną. Obyty w portowych podrzędnych dzielnicach Jan dobrze rozpoznawał ten stan.

Mijał małe sklepiki z dumnymi szyldami: „Linia Kunard za 4 i 1/2 dnia do Ameryki. Przeprowia najtaniej. Wyjaśnień udziela się za darmo”; „Llyod Austriacki, koncesjonowany przedstawiciel. Pospieszne okręty do Palestyny, Egiptu i Małej Azji, Indyj etc.”.

Wiedział, że te biura działają na wpuł legalnie, że trwa wielki przemysł ludzi.

Wielu z tych, na których najtańszy bilet zrzucała się niemal połowa wsi, padało ofiarami nieuczciwych pośredników, co pasożytowali na ciemnej biednej masie bez względu na wyznanie i narodowość. Ale mimo to ciągle płynął nieprzerwany strumień chętnych do wyrwania się z tej najbiedniejszej krainy cesarstwa, wciąż jeszcze pogrążonej w feudalizmie i średniowiecznych zabobonach. Uciekinierzy przed nędzą i beznadzieją najpierw niejednokrotnie byli wyposażani w lewe paszporty, potem przrzucano ich do któregoś z niemieckich portów. Tam jak zwierzęta ładowano na statki i wieziono do Ameryki. Najczęściej trafiali do chicagowskich rzeźni lub stalowni w

Massachusetts, inni karczowali lasy, drążyli tunele pod tory kolejowe. Byli w dosłownym znaczeniu tanią siłą roboczą. Ale mieli z czego żyć i mieli nadzieję, lub ściślej biorąc – mogli mieć nadzieję dla swoich dzieci. A tutaj...

Zatrzymał się przed jednopiętrowym budynkiem z restauracją od frontu. Po obu stronach wejścia namalowane były litery głoszące: „Hotel i Restauracja Ypsilon, w soboty i niedziele koncert pierwszorzędnej kapeli damskiej. Lokal otwarty całą noc. Także pokoje za dwie korony. Usługa skrzętna i dyskretna”.

Jan wszedł do tego, co miało być hotelem, a w istocie było burdelem z barem. Pod oknem siedział niewidomy harmonista i grał jakieś rzewne melodie, choć przecież nie była to ani sobota, ani niedziela. Paru klientów siedziało przy stolikach, jeszcze niekompletnie pijani, ale na dobrej drodze. Wśród nich wyróżniało się dwóch żołnierzy z pobliskich koszar arcyksięcia Rudolfa, którzy umilali sobie wolny czas, jaki dała im przepustka, bądź skorzystali z możliwości na wpół legalnego oddalenia się z koszar. Dobrze już podchmieleni skupiali się na obłapianiu wydekoltowanych prostytutek. Na tle ich mundurów w kolorze „hechtgrau” szkiło się mętne piwo w poobtłukiwanych kuflach. Jako że awantury w tym „wykwintnym” lokalu bynajmniej nie należały do rzadkości, bagnety przy żołnierskich pasach nieco niepokoiły barmana. Czujnie też ocenił wchodzącego Jana, czy aby nie jest jakimś policyjnym szpiclem. Jan stanął przy barze i rozglądał się po lokalu, który znał kiedyś nadto dobrze.

– Wódka i ogórek.

– Nie pomyliłeś adresu, człowieku? – Barman był coraz bardziej zaniepokojony, bo taki dziwny gość mógł sprowadzić kłopoty. Bójkę albo i coś więcej.

– Zatem dwie wódki i dwa ogórki, panie Fritz – powiedział Jan, patrząc prosto w oczy barmana.

Ten zmarszczył czarne krzaczaste brwi, co było dowodem na to, że pod poprzecinanym zmarszczkami czołem toczy się właśnie wyścig umęczonych barwnym życiem neuronów. W końcu jeden z nich dobiegł do mety, otwierając wrota skołatanej pamięci.

– Żebym tak zryżał! Jan?!? Jan Edigey! Nie wierzę własnym oczom. Dawno

cię nie było! – wykrzyknął rozpromieniony barman.

– Prawie siedem lat. – Jan postanowił tym razem oszczędzić pamięć Fritza.

– Łaskawy pan wybaczy, ale i prezencja nie taka jak dawniej – dodał ten ironicznie, komentując wygląd gościa.

Jan zignorował uwagę o wyglądzie. Podróż, przebyta malaria, dramatyczne bądź co bądź przeżycia, w tym kilka międzynarodowych awantur, w których dane mu było wziąć udział, upoważniały starego znajomego do takiej opinii. Barman Fritz szybko nalał do kieliszków z grubego szkła, ze stopką. Wypili i zagryźli kiszonymi ogórkami.

– Bez ogórka wódka mi nie smakuje, żadna. Nawet Baczewski – zagaił Jan.

– No wiadomo. W całej monarchii nie masz lepszej jak Baczewski. A co szanowny pan porabiał przez te wszystkie lata? – zapytał Fritz, nie chcąc wprost postawić sprawy, czy Jan jak większość jego klientów nie spędził ostatnich lat za kratami.

– Włóczyłem się trochę po świecie – odpowiedział Jan, gryząc ogórka.

– Ameryka? – Fritz cmoknął z uznaniem.

– I dalej też. Masz wolny pokój?

– Z dziewczynką?

– Bez.

Fritz zastanowił się, po czym nachylił się blisko ucha Jana.

– Jakby były kłopoty... to ja mogę załatwić dobry paszport, prawdziwy.

– Nie, dziękuję, na razie nie, ale nigdy nic nie wiadomo.

– Może kazać przygotować coś do zjedzenia?

– Też dziękuję, ale jakby na śniadanie... jajecznicą na boczku...

– Będzie, jak szanowny pan uważa.

Barman wyciągnął szufladę i wydobył klucz z przywieszką z tektury.

– Numer osiem, pierwsze piętro i na lewo. Już mówię, żeby przynieśli ciepłą wodę. Może jednak dziewczynka? – dopytywał Fritz, nalewając drugą kolejkę.

– Na razie wystarczy ciepła woda – odparł Jan i przechylił drugi kieliszek, zagryzając chrupiącym, soczystym ogórkiem.

Ruszył do wejścia na schody. Gdy dochodził do piętra, zastąpiła mu drogę

dziewczyna.

– Masz papierosa? – Przekrzywiła zalotnie głowę i uśmiechnęła się.

Była młoda, ładna i zgrabna. Miała też ładne zęby – rzadkość u kobiet jej profesji.

– Nie palę i nie szukam towarzystwa, choć jesteś bardzo ładna. Musisz wybaczyć.

– A jutro? Mogę być jeszcze ładniejsza.

– Jutro? – Jan uśmiechnął się. – Jutro nie istnieje... Kto wie, co nam przyniesie poranek? Może nie dożyjemy?

– Ej, wypłuj to słowo! Ja chcę żyć.

Zaśmiała się, wyminęła go i ruszyła po schodach do baru.

Pokój był mały, ale o dziwo czysty. Metalowe łóżko, mały stolik przy łóżku, krzesło i stojący wieszak, jeszcze wiadro i fajansowa miednica na taborecie. Zapalił naftową lampę, zrzucił worek i zdjął kurtkę. Weszła stara posługaczka z ciepłą wodą. Bez słowa postawiła wiadro obok taboretu i wyszła.

Szybko się umył i padł do łóżka, a kiedy mościł się do snu, przypomniał sobie o gazecie. Wstał, wyjął z kurtki złożoną na pół płachtę papieru i wszedł z powrotem pod białą kołdrę. Wojna Japonii z Rosją... Taki mały kraik na końcu świata powali jednak olbrzyma... To może zmienić cały świat. Nagle jego wzrok zatrzymał się na niewielkiej wzmiance wewnątrz numeru. Kilkudzaniowy zapis głosił o olbrzymim cyklonie, który spustoszył północne wybrzeże Madagaskaru.

Portowe miasta Diego Suarez i Hell Ville ucierpiały najbardziej. Z kościołów, koszar i budynków administracji nie pozostało nic. Śmierć poniosło kilkadziesiąt osób. Jana ogarnął ponury nastrój, a po chwili także lęk. Bał się o Sophie...

Pozostawała tylko nadzieja, że Renard swoim wyniesionym z Legii sprytem i odwagą zdołał uchronić ją przed kataklizmem. Jak sam mówił, przeżył już kilka takich cyklonów.

Odłożył gazetę, zgasił lampę, poprawił poduszkę i zamierzał usnąć, ale nie mógł. Kobieta na dworcu w Wiedniu, wojna na krańcach świata, nieuniknione

spotkanie z ojcem... i teraz ta wzmianka z Madagaskaru. Wszystko zlewało mu się, przenikało w jeden wielki niepokój. Wstał po omacku i wyciągnął z kieszeni kurtki nóż zdobyty w pociągu. Upewnił się, czy założył łańcuch w drzwiach. Nóż wsunął pod poduszkę i wtedy wreszcie szybko zasnął.

Wstał o siódmej, poprosił Fritza o przygotowanie wanny i zawołanie fryzjera. Barman bez zdziwienia spełnił życzenia gościa. Pokój z wanną był jeden, od dawna nieużywany (nie po kąpiele zjawiali się tutaj goście), ale w pół godziny stał gotowy do użytku. Fryzjer zjawił się także niebawem.

– Pan mnie ostrzyże, skróci brodę i wąsy.

– Oczywiście – odparł golibroda.

Był to starszy mężczyzna, „używany” przez właściciela pobliskiego zakładu do specjalnych poruczeń.

– Piękna broda, włosy śliczne, zdrowe, z połyskiem... – Fryzjer, jak większość ludzi jego fachu, okazał się gadułą. – Widać długo zapuszczał pan fryzurę...

Jan jednak nie był nastawiony na pogaduszki i milczał. Ale to w niczym nie powstrzymało rozmówcy. Ścinając włosy, strzygąc brodę i skracając wąsy, cały czas mówił.

– Głowy nam ucinają pod Wawelem – rzekł w pewnym momencie konfidencjonalnie. – Parę dni temu znaleziono jedną w sadzawce w parku. Całe miasto pielgrzymuje zobaczyć.

– Głowę?

– No nie, głowę zabrała policja. Naród ciągnie tłumami, żeby oglądać samą sadzawkę. Stoją godzinami i plotkują. Można by na tym zarobić, jakiś kiosk z parówkami postawić... – zaśmiał się fryzjer.

– Ludzie lubią grozę i lubią się bać – powiedział na odczepnego Jan.

– Niektórzy mówią, że to polityka, że władza chce nas zastraszyć... Policja wczoraj próbowała zrobić obławę na jakiegoś ciemnego typu, który w grudniu rzekomo zamordował dziewczynę na Plantach, ale im uciekł. Podejrzewają go teraz o kolejną zbrodnię. Obstawili dworce, przeszukali speluny, ale gdzie tam. Kamień w wodę.

Kolejne pasma włosów Jana zaczynały odzyskiwać pożądaną przez niego długość, a fryzjer na wszelki wypadek zamilkł, zastanawiając się, czy przypadkiem jego klient sam nie jest policyjnym tajniakiem.

Jan kazał zostawić włosy na taką długość, żeby mógł sobie wiązać małego kucyka. Brodę skrócił do trzech centymetrów. Zapłacił tyle ile trzeba, bez dawania napiwku, co fryzjer skwitował kwaśnym, wymuszonym uśmiechem.

W wannie siedział tak długo, aż woda wychłodła. Potem zszedł na dół. Bar był pusty, nikogo poza Fritzem i kucharką, która ciekawa gościa wyjrzała z kuchni.

– Jajecznica na boczku? Z trzech czy czterech?

– Z czterech – odpowiedział Jan. – I kawa.

Barman podał jajecznicę.

– Dawno takiej nie jadłem – pochwalił Jan.

– A, bo u nas w Krakowie wszystko jest najlepsze. Naród, choć wścibski i sensacyjny, też dobry. Czasem się napije, czasem pośpiewa, czasem ponarzeka, czasem pochędoży. Ludzka rzecz.

– A co słyhać u Gabi, bywa tu jeszcze?

– Gabi? Czarna Gabi?

Jan kiwnął głową.

– Nie żyje. Umarła.

Jan na chwilę przestał zajadać się jajecznicą.

– Co jej było?

– Co jej było? One w ogóle krótko żyją. Takie jak ona nie mają pieniędzy na chodzenie po doktorach. Nie wiadomo. Umarła trzy lata temu, Bóg dał, że nawet długo nie chorowała.

– Przecież była młoda...

– Jak zmarła, miała już ze trzydzieści pięć lat. No, tak mi się zdaje. Teraz przygarnąłem jej córkę. No, niby... pracuje tutaj, jak wcześniej jej matka. Taka młoda, ładna, wczoraj wieczorem trochę cię zaczepiała na schodach. Na imię jej Mila.

– Więc to jest córka Czarnej Gabi?

– Takie jest życie, Janie, albo jeszcze gorsze.

Dokończył jajecznicę i wyszedł z Ypsylona. Idąc ulicami Krakowa, obserwował miasto, do którego nie zamierzał już nigdy wracać. Myślał o ciemnowłosej prostytutce Gabi, która w ciężkich chwilach zajęła się nim jak starsza siostra. Nie chciała go okraść, jak zrobiłaby to większość dziwek z Ypsylona. Po prostu zlitowała się nad nim, dając jaką taką ochronę przed nożami alfonsów, pazernością czy syfilisem tych dziwek, które zaciągnęłyby go do łóżka bez żadnych skrupułów.

Co za parszywe życie – pomyślał, wspominając tę niewiele od siebie starszą protektorkę, której już na świecie nie było.

Gdy Jan stanął przed bramą cmentarza Rakowickiego, przeczytał na tabliczce, że do otwarcia pozostało mu ponad piętnaście minut, ale przy cmentarnym murze już rozkładały się cztery stragany z kwiatami i świecami.

Handlarze z białów i kozłów montowali stoły. Szło im to bardzo sprawnie, ale skoro robili to codziennie, doszli widać do wprawy. Na prowizorycznych stołach układali małe wianuszki i wiązanki z suszonych kwiatów. Były i świece, wśród których Jan dostrzegł również świeczki starocerkiewne. Ludzi tego obrządku nie było w Krakowie wielu, ale pewnie jakiś sprytny hurtownik znalazł we wschodniej części Galicji o wiele tańszy towar i sprowadził te cieniutkie a długie świeczki. Jan długo oglądał różne, ale w końcu kupił pięć tych starocerkiewnych.

I wtedy właśnie stary cmentarny stróż zaczął otwierać bramę. Poza Janem nikomu nie spieszyło się odwiedzić zmarłych. Jan podszedł do starca i zagadnął.

– Szukam grobu Cecylii Edigey-Koryckiej. Nie wie pan, jak go znaleźć?

Stróż milczał i patrzył wprost w twarz Jana.

– Może są jakieś księgi, w których zapisano, gdzie jest czyj grób?

– Księgi są, ale szuka pan grobu pani profesorowej?

Jan drgnął, tego się nie spodziewał.

– O, to był wielki pogrzeb – ciągnął stróż. – Prawie cały Kraków tu przybył. Ja pana zaprowadzę.

Jan podziękował i ruszyli. Stary stróż okazał się człowiekiem taktownym i o nic go nie wypytywał.

– To tam, po prawej stronie, jeszcze parę metrów – powiedział wreszcie, kiedy doszli do szerszej alejki.

Grób był niedaleko. Gdy mieli się rozstać, Jan sięgnął po pieniądze, ale stróż zaprotestował.

– Nie, nie, dziękuję. Mam z czego żyć, a nawet gdybym nie miał, to za

podprowadzenie do grobu żony pana profesora i tak bym nie mógł wziąć.

Jan raz jeszcze podziękował i sam już doszedł te kilkadziesiąt kroków do grobu.

Mogila matki znajdowała się przy głównej alei cmentarza. Tam chowano same znamienitości Krakowa. Nagrobek z białego piaskowca był duży i szeroki, jakby przygotowany dla dwóch osób. Po bokach umieszczono dwie tablice epitafijne wykonane z kamienia o nieco innym odcieniu. Prawa była pusta, na lewej, ozdobionej prawosławnym krzyżem, Jan przeczytał:

Cecylia z Orłowych Edigey-Korycka

11 X 1857–22 XI 1904

Łączyła w sobie najlepsze cechy obydwu narodów,

Miłującego wolność Narodu Polskiego

i poddanego uciskowi samodzierżawia Narodu Rosyjskiego.

Cześć Jej pamięci.

Zapalił kilka cienkich świeczek i cicho, w ogólnej ciszy panującej na cmentarzu, zaczął odmawiać modlitwy za duszę matki. Najpierw po polsku, potem drugą po rosyjsku. O niczym nie myślał, po prostu żarliwie, całym sobą się modlił.

W pewnym momencie, jakby czując na sobie czyjś wzrok, odwrócił się. Kilka kroków za nim stał jakiś ksiądz.

– Przepraszam, ale czy pan Jan Korycki?

– Tak. – Jan był zdziwiony, ale odpowiedział na pytanie.

Ksiądz podszedł do Jana i zagadnął:

– Pan mnie nie zna, ale ja pana bardzo dobrze, z opowieści. Jak cały Kraków, i ja byłem obecny na tej smutnej, lecz jakże podniosłej uroczystości, jaką był pogrzeb pani profesorowej. Jestem ksiądz Antoni Krzysztofowicz.

Duchowny sprawiał wrażenie wysłużonego żołnierza, bo kulał, ale postawę mimo wieku miał wspaniałą. Trzymał się prosto i dziarsko, jakby wczoraj jeszcze siedział w siodle. Jedyne siwa bujna broda i brązowy franciszkański habit dodawały mu pobożności.

Jan był trochę zaskoczony, bo nie przypominał sobie kogoś takiego. Ale

wokół ojca gromadziło się wielu weteranów, którzy po osiedleniu się w Galicji zamieszkiwali w różnych miejscach. Dopiero z wiekiem przenosili się do Lwowa bądź Krakowa, gdzie łatwiej było o chleb. Uścisnęli sobie dłonie.

– Może zmówimy razem „Wieczne odpoczywanie...” – zaproponował ksiądz.

– Dobrze – powiedział Jan i znowu, już razem z księdzem, odmówił modlitwę.

Ruszyli do wyjścia z cmentarza.

– Zastanawiam się – zwrócił się do księdza – czy mógłbym zamówić mszę za duszę matki?

– Przecież to oczywiste i jak najbardziej stosowne.

– Tak, ale jaką mszę, skoro matka była prawosławna?

– No tak... jest kłopot, ale może znajdziemy wyjście. To mało praktykowane, ale myślę, że uzyskamy biskupią dyspensę na wspólną mszę. Choć będzie ciężko. Niestety, to, co oczywiste – westchnął głęboko ksiądz Antoni – do naszych hierarchów dociera wolno i z dużym opóźnieniem. Myślę, że po spełnieniu odpowiednich formalności, co, jak wszystko w Krakowie, będzie musiało nieco potrwać, uda nam się to przeprowadzić. Ale msza oczywiście tylko u nas, u reformatów.

– Oczywiście, niech tak będzie – zgodził się Jan.

– A co zamierzasz robić dalej? – spytał Antoni nieco bardziej poufale, jakby czuł, że Jan jest „w drodze”...

– Zabiorę z domu kilka rzeczy i wracam na morze.

– Dokąd?

– Nie wiem.

– Życzyłbym ci pomyślnych wiatrów, ale gdy nie wiesz, do którego portu płyniesz, żaden wiatr nie jest dobry.

– Jest jeszcze jedna sprawa, chciałbym zamówić drugą mszę.

– Za matkę?

– Nie, za kobietę, która była mi bliska. Chciałbym, żeby msza była za jej duszę, ale taka cicha, żeby nikt poza mną i księdzem o tym nie wiedział.

- Dziwne... ale jeśli takie życzenie. A kiedy miałyby to być?
- Choćby i dzisiaj.
- Dobrze – zgodził się ksiądz Antoni. – To dzisiaj o siedemnastej, mam akurat mszę. Ale muszę choćby wypowiedzieć jej imię.
- A nie wystarczy, jak ksiądz powie... za duszę świętej pamięci Gabi? Tak może być?
- Gabi? Czyli Gabriela? Ona była rzymską katoliczką?
- Właściwie to nie wiem, jak naprawdę miała na imię. Nazywali ją Gabi. Nie wiem też, czy była katoliczką, ale to była bardzo mądra, dobra i nieszczęśliwa kobieta. Pan Bóg już ją tam chyba w niebie odnajdzie?
- Zasadniczo nie powinienem, ale niech i tak będzie – odpowiedział franciszkanin.

Tak rozmawiając, mijali potężną kaplicę grobową. Jan znał tę budowlę. Było to największe na cmentarzu mauzoleum magnackie. Grobowiec hrabiów Mirskich, okazalszy nawet od tego, jaki stał w ich rodowym gnieździe, w tej części Podola, jaką władała Austria.

Jan podszedł bliżej do kaplicy, po czym w myślach przeczytał jedno z ozdobionych majestatycznym herbem epitafiów.

Artur Jerzy Hrabia na Mirowie i Hołoszy Mirski

10 marca 1874 – 31 marca 1898

CK Porucznik 12. Pułku Dragonów

Jedyny Syn

Tu leżał człowiek, którego zastrzelił. Za jednym pociągnięciem spustu pistoletu, który powinien być muzealnym eksponatem, skończyła się wielowiekowa historia domu hrabiów na Mirowie. Jeden durny czyn wynikający z głupoty dwóch nieopierzonych jeszcze dobrze żółtodziobów doprowadził do tragedii, która zaważyła na życiu obydwóch.

Na sąsiedniej tablicy epitafijnej widniał całkiem jeszcze świeży napis:

Jerzy Witold Hrabia na Mirowie i Hołoszy Mirski

11 maja 1835 – 12 września 1904

Marszałek Sejmu Krajowego

CK Radca Dworu

– Jeszcze rok nie minął, jak stary pan hrabia Mirski zamknął oczy – powiedział zza pleców Jana ksiądz Antoni.

Jan omiótł wzrokiem wszystkie epitafia zamontowane na ścianie kaplicy.

– A córka hrabiego...? Konstancja. Nie została tu pochowana? – spytał.

– Nie chowa się żywych, panie Janie. A ona całkiem dobrze sobie żyje – odpowiedział franciszkanin.

Jan znieruchomiał. Instynktownie rozejrzał się wokół w poszukiwaniu jakiejś ławki albo murku, bo nogi ugięły mu się w kolanach i omal nie upadł.

– Nikt oczywiście nie wie, czy jest szczęśliwa, ale wyszła bardzo dobrze i bogato za mąż.

– Jak to żyje? O czym ksiądz mówi? – wycedził z wielkim trudem Jan.

– No żyje. Dlaczego by miała nie żyć? Chyba wystarczy tyle nieszczęść na jedną rodzinę – odrzekł zdziwiony nieco ksiądz Antoni.

Jan milczał, zrobiło mu się słabo i ledwo dowlóknął się do stojącej przed bramą cmentarza dorożki. A więc ona jednak żyje i kobieta, którą widział na dworcu w Wiedniu, nie była żadną halucynacją. To była Konstancja! Wpadł w jakieś odrętwienie i jedyne, co czuł, to potworny, rozdzierający go od środka żal. Żal fizyczny, bolało go dosłownie całe ciało. Pojawiła się też wściekła nienawiść do ojca. Jan wsiadł do dorożki i kazał się wieźć na Karmelicką. Dorożkarz odwrócił się na koźle i spojrzał na Jana, po czym skinął głową i zaciął konie. Ruszyły z impetem.

Dorożka zatrzymała się na rogu Batorego i Karmelickiej, przy Kamienicy pod Pajakiem. Wszedł na drugie piętro od frontu. Przekręcił dzwonek i czekał na pierwsze od lat spotkanie z ojcem. Był wściekły.

Drzwi otworzył Bazyli, odwieczny służący, a właściwie już niemal członek rodziny. Uśmiechnął się od ucha do ucha i szeroko rozłożył ręce, chcąc Jana wziąć w objęcia.

– Nareszcie jesteś, tyle lat... – Bazyli, mimo że był służącym, mógł sobie pozwolić na taki rodzaj poufałości, bowiem po pierwsze, znał Jana od małego, a po drugie, jego chlebodawca był przeciwny nazywaniu swojego syna „paniczem Janem”.

Jednak Jan stał jak skała, oczy miał zmrużone, a pięści zaciśnięte.

– Jest ojciec? – zapytał przez zęby.

– Jest, ale... – wymamrotał zaskoczony służący.

– Przepraszam cię, Bazyli. – Jan odsunął służącego i ruszył w głąb mieszkania. Prawie wbiegł do gabinetu ojca, który siedział przy biurku. Jan stanął w progu i krzyknął szyderczym tonem: – Oto jest mój drogi ojciec!

– To tak witasz ojca po tylu latach? – po chwili zaskoczenia zapytał ojciec, nie wstając od biurka.

– Dlaczego sześć lat temu powiedziałeś mi, że Konstancja nie żyje? Co chciałeś osiągnąć? A wcześniej robiłeś wszystko, żeby stłamsić i zniszczyć tę miłość. Odpowiedz na to pytanie!

– To są dwa pytania – powiedział opanowanym głosem ojciec i wstał zza biurka. – Po pierwsze, to nie ja chciałem ją stłamsić, tylko twój niedoszły, wszechwładny teść. I choć co do jego postępowania miałem dużo zastrzeżeń, to przyznać muszę, że w tym konkretnym przypadku miał rację. Poza tym początkowo myśleliśmy z matką, że samobójcza śmierć Konstancji była prawdą, a nie celowo sfabrykowaną plotką, rozpuszczoną po to, żebyś

ostatecznie o niej zapomniał. Po drugie, nie robiłem nic złego, chcąc otworzyć ci oczy na bezsensowność tego romansu.

– A jakie miałeś prawo, kto ci je dał, żeby wtrącać się w moją miłość?

Ojciec wyszedł zza biurka i usiadł w fotelu przy stoliku.

– Usiądź, Janie, nie musimy chyba rozmawiać, stojąc i krzycząc.

– To ja będę decydował, czy mam stać lub nie stać, i czy mam krzyczeć. Nie mów mi, co mam robić!

– Niech i tak będzie – powiedział po chwili ojciec.

– Więc kto ci dał prawo niszczyć moje życie? – powtórzył Jan.

– Nigdy nie chciałem cię niszczyć. Ale prawo domu, prawo matki i ojca odwiecznie nakazuje dbać o dziecko. Gdy dziecko chce wsadzić rękę w ogień, rodzicom nie wolno na to pozwolić. Gdy widzisz, że twój syn topi się w tragicznej miłości, masz obowiązek zwrócić mu na to uwagę.

– Ta miłość była tragiczna, boście ją taką uczynili! Była jedyną kobietą! Jedyną, niepowtarzalną kobietą, którą przez ciebie straciłem! To była miłość mojego życia! Ale co ty możesz o tym wiedzieć! – wykrzyknął wzburzony Jan.

Ojciec nie wytrzymał i też podniósł głos, co u niego nie zdarzało się nigdy.

– I długo przetrwała?! Ta wyjątkowa, jedyna w swoim rodzaju miłość, którą cię obdarzyła owa wysoce urodzona panna? – rzucił w gniewie. – Ta wielka atencja, ognista panna, mówmy jak dorośli, potrzebowała takiego mężczyzny jak ty. I wzięła go sobie! Byłeś tylko chwilowym kaprysem!

– Jak śmiesz, ona mnie prawdziwie kochała!

Ojca ogarnęła wściekłość, wyrzucał z siebie słowa bez żadnej kontroli.

– Tak ci mówiła? Ale zaraz po twoim wyjeździe szybko się pocieszyła niebotycznie bogatym arystokratą. Naprawdę myślisz, że ona gotowa była zejść ze swojego piedestału i wieść proste życie u boku biednego lekarza, choćby stał się nawet w przyszłości profesorem uniwersytetu? A jej ojciec? Prędzej by ją zabił, niż zgodził się na taki mezalians. Demokracja to dla niego pusty frazes, wyciągany na potrzeby chwili. Doświadczyłem tego pół wieku temu w litewskim lesie i na ulicach Wilna.

– Taaak... Słyszałem o tym setki razy! – uciął Jan. – I w imię tych swoich zamierzchłych uprzedzeń postanowił ojciec nie dopuścić do tego mezaliansu. Kto więc jest gorszy? Ojciec? Czy hrabia Mirski?

– Powtarzam ci, to było dla niej chwilowe zauroczenie. Kaprys, z którego wcześniej czy później i tak nic by nie wynikło. Zapewniam cię, że gdyby nie tragiczna śmierć młodego Mirskiego, byłbyś tematem żartów opowiadanych między jednym a drugim brzękiem kieliszka z francuskim szampanem. Bohaterem historii, z czasem na tyle nieistotnej, by ustąpić miejsca opowieściom o złamanej nodze wyścigowej klaczy ze stajni hrabiów Mirskich! A dla ciebie tak, dla ciebie była to wielka miłość. Ale ślepa! Ja to widziałem, widziałem, jak pchasz rękę w ogień. Miałem spokojnie patrzeć na klęskę własnego dziecka?

– Niczego nie pojmiesz... – rzekł Jan po chwili zrezygnowanym głosem. – I co uzyskałeś swoją rzekomą troską? Uratowałeś mnie przed duchowym kalectwem? Przez ciebie teraz jestem duchowym wrakiem...

– Ale żyjesz. A póki się żyje, jest nadzieja! Nie wszyscy mieli tyle szczęścia – powiedział spokojniej ojciec i spojrzał prosto w oczy syna. – A okoliczności, w jakich twoja matka zmarła, cię nie interesują, to, że rozstaliśmy się, że opuściła ten dom? To cię nie obchodzi?! Tylko Konstancja?!

Jan zamilkł. Bał się słuchać dalej, to w tej chwili było ponad jego siły. Ale ojciec mówił dalej.

– Twoja matka, Janie, wyprowadziła się z Krakowa do pensjonatu w Szczawnicy. Jak wiesz, bardzo lubiła tamto miejsce... Była zmęczona miastem. Przeszkadzał jej dym z kominów... Dokuczały jej oskrzela. W Krakowie nie czuła się najlepiej.

– I pozwoliłeś jej, jako lekarz, jechać samej? Żeby tam samotnie umarła z choroby? – z nieukrywaną ironią wycedził Jan. – Powinieneś, jak każdy mąż, dbać o nią! Ale ty wolałeś żyć przeszłością i przebywać w towarzystwie kompanów z powstania. Leczysz ich za darmo i opiekujesz się ich rodzinami. Tylko o swojej rodzinie zapomniałeś...

– Nie masz serca, mój synu...

– Ja? Ten dom dawno stał się lodówką. I matka nie mogła tego znieść. Nie potrafisz okazywać uczuć, bo ich nie rozumiesz. Syberia zamroziła ci serce, ojciec – powiedział Jan, po czym dodał, wyciągając z kieszeni wymięty blankiet.
– Trzy krótkie słowa w telegramie na temat matki. Na to cię było stać...

Orest zamilkł, a po chwili powiedział z trudem:

– Nie pisałem ci w telegramie wszystkiego. Telegram to nie jest list... setki osób mogą go czytać. Twoja matka nie zmarła z żadnej choroby. Zamordowano ją.

Jan opadł na fotel. W kilka chwil cała siła wściekłości gdzieś z niego wyparowała. Poczł się słaby i załamany. Po długiej chwili zapytał:

– Kto ją zamordował, dlaczego, w jaki sposób? Na litość boską, powiedz coś więcej.

– Nie wiem, kto zamordował, ani... nie chcę o tym mówić. Ona była nie tylko twoją matką, była też moją żoną. Ale oczywiście powinieneś to wiedzieć. Znalaziono ją martwą w jej pokoju w Szczawnicy.

– Jak zginęła? – spytał Jan.

Ojciec też padł na fotel i skrył twarz w dłoniach. Nie płakał. Rozmowa z Janem kosztowała go dużo siły. Zbyt dużo, żeby przeżywać okoliczności śmierci żony po raz kolejny.

– Idź do Henryka Skarżyńskiego, on teraz prowadzi policyjne laboratorium, w gmachu Dyrekcji Policji na Mikołajskiej. On ci powie, bo musi powiedzieć...

Jan wyszedł od ojca, nie żegnając się nawet z Bazylim. Wrócił do hotelu i od razu podszedł do baru.

– Pół litra białej – powiedział, idąc przez salę. Zajął stolik przy drzwiach.

Usiadł tyłem do sali, przodem do okna.

Po chwili Fritz przyniósł mu talerz ogórków, kilka kromek chleba ze smalcem, kieliszek z grubego szkła i i butelkę wódki, na której widniała liczba 1782, co oznaczało, że sporządzono ją we lwowskiej fabryce Baczewskiego. Już chciał otworzyć usta, żeby powiedzieć gościowi coś wesołego, ale zrezygnował.

Dostrzegł, że Jan jest w dziwnym stanie, wyglądał tak, jakby nie miał twarzy – oczy nic nie widziały jak u ślepeca, nie pracował mu żaden mięsień; jego twarz

nie wyrażała nic i przez to była przerażająca.

Barman postawił przed nim kieliszek i chciał nalać, ale Jan zakrył dłonią naczynie. Przez chwilę siedział tak bez ruchu, w milczeniu, aż w końcu wyszedł nagle przez zaplecze baru na ulicę.

Fritz wrócił na swoje stanowisko. Wtedy wyszła z zaplecza kucharka i zapytała:

– Coś mu jest?

– Życie...

Gazowe latarnie rzucały blade światło na spacerujące pary oraz grupki młodzieży. Wieczór był nadszpiewanie ciepły, dlatego spacerujących pojawiło się więcej niż zwykle o tej porze dnia. Sufrażystka Weronika jechała alejką Plant na rowerze, zgrabnie mijając spacerowiczów. Wśród panów i młodzieży męskiej jej widok budził zaskoczenie, zdarzało się nawet, że jakiś chłopak gwizdnął na palcach z podziwu. Z paniami było gorzej – je przyprawiała o okropne zgorszenie.

Ówczesne panie z Krakowa (i nie tylko zresztą z Krakowa) uważały, że konstrukcja roweru – a zwłaszcza siodełko – może nawet „uczciwą” kobietę doprowadzić do moralnego upadku.

Weronika wiedziała o tym, że jest „nie na miejscu” jeździć rowerem, ale nie zwracała na te opinie najmniejszej uwagi. Gorzej, ona uważała, że to los kobiety „przy mężu” jest nieszczęściem. Sama nie widziała się dotychczas nigdy w roli pani domu. Miała swoje pasje i chciała je realizować, a żeby zacne damy mocniej denerwować, powiewała z roweru swoją kolorową chustą, jakiej nikt w Krakowie jeszcze nie nosił. Weronika, myśląc o tym, uśmiechała się. Bawiła się zgorszeniem, jakie w krakusach wywołują jej chusta i rower.

Jechała od strony Mikołajskiej, gdzie mieściła się CK Dyrekcja Policji, w kierunku Wawelu, chcąc odwiedzić jedną z koleżanek, mieszkającą na Smoczej.

Spotykały się w wynajętym mieszkaniu, zajmowanym przez kilka dziewczyn, co drugi czwartek. Tam w gronie dziewcząt, których w ostatnim czasie na uniwersytecie pojawiało się coraz więcej, bo stanowiły dziesiątą część wszystkich studentów Uniwersytetu Jagiellońskiego, dyskutowały na temat poprawy losu kobiet. Weronika wjechała w ulicę Bernardyńską, gdy przed rowerem wyrósł nagle jakiś mężczyzna. Ulica w tym miejscu była słabo oświetlona, więc dostrzegła go w mroku w ostatniej chwili. Zaczęła hamować gwałtownie, omal nie upadając na ziemię. Mężczyzna podskoczył do niej,

chwycił za powiewający na wietrze kawałek materiału, szarpnął mocno i zerwał jej chustę z szyi. W tej chwili z sąsiadującej z zabudowaniami klasztornymi czynszowej kamienicy wyszło kilka osób, toteż napastnik się spłoszył i rzucił do ucieczki w kierunku Wisły.

Zanim oszołomiona Weronika pozbierała się, napastnik zniknął bez śladu.

Wokół niej zgromadziło się kilku mężczyzn. Kobiety udawały, że niczego nie dostrzegły i trzymały się od miejsca zdarzenia jak najdalej.

– Takie coś – mówili mężczyźni. – Przy samym klasztorze? Nic pani nie zrobił? Furiat jakiś! A co ukradł?

– Chustę – odparła Weronika, sama zdziwiona, że właśnie jej chusta była przedmiotem kradzieży.

– Torebkę, to bym zrozumiał – powiedział grubszy jegomość, równie zdziwiony jak Weronika.

Po kilku minutach pojawił się mundurowy policjant, który poprosił ją o przejście pod najbliższą latarnię. Tam wyjął służbowy notes i kopiowy ołówek.

Spisał jej dane, ustawiając się z notesem pod migoczące światło latarni. Potem wysłuchał krótkiej relacji Weroniki o zajściu oraz długich tyrad gapiów, a im mniej kto widział, tym więcej miał do powiedzenia.

– Rozpoznałaby pani złodzieja? – zapytał policjant.

– Nie, chyba nie. Wszystko działo się tak szybko.

– Jeszcze jedno pytanie – dodał, notując pilnie. – Ta chusta, którą ukradł, droga była?

– Kupiłam ją w Paryżu kilka miesięcy temu, z prawdziwego jedwabiu, za dwadzieścia franków. Ale teraz, jak już trochę noszona, nie wiem, ile była warta. Chyba niewiele.

Policjant schował kopiowy ołówek i notatnik do kieszeni munduru. Trochę pokiwał głową, po czym powiedział:

– Zdaje mi się, że nie odzyska pani swojej chusty.

Weronika nie wsiadła już na rower, szła obok niego. Bała się jechać do przyjaciółki, której mieszkanie znajdowało się właśnie w okolicy, w którą uciekł złodziej. Prowadziła do domu swój jednoślad trzęsącymi się rękoma. Bardzo tę

napaść przeżyła. Kiedy była już przy swojej kamienicy, bała się nawet wejść do bramy. Na szczęście pojawił się dozorca, któremu Weronika wytłumaczyła, że rower się popsuł i poprosiła o wprowadzenie pojazdu aż pod drzwi jej mieszkania.

Długo nie mogła zasnąć. Ten błahy wypadek w kładącym się powoli do snu Krakowie sprawił, że poczuła się zagrożona.

Ale kogo mogła aż tak zdenerwować moja jazda na rowerze? Skąd tyle zwykłej podłości? – myślała i długo jeszcze wpatrywała się w rozgwieżdżone niebo za oknem.

Jan stał na zapleczu hotelu Ypsilon i łapczywie wdychał lepkie krakowskie powietrze.

To miasto – pomyślał Jan, to jeden wielki muzealny zabytek. Żadnego życia, same trupy, same wspomnienia, a w tle zakurzone meble.

Znowu przyszły mu do głowy obrazy tłocznych, krzykliwych miast świata, w których praca, handel i zabawa trwały niemal całą dobę. Tu, w Krakowie, tylko w gorszych dzielnicach, w ciemnych zakamarkach miasta było nieco życia. Tak jak pod Ypsylonem – sporo pijaków, gdzieniegdzie wesołe śpiewy, a tu i ówdzie małe awanturki.

Ci tu są żywi – pomyślał i jakby na potwierdzenie tych słów coś zaczęło się obok niego dziać. Jan podszedł parę kroków, awantura była nawet spora. Z daleka już słyszał krzyczącą kobietę i kłócącego się z nią mężczyznę. Najpierw pomyślał, że to jakaś awantura małżeńska, ale nie. Coraz wyraźniej słyszał, że mężczyzna zabiera się do bicia kobiety. Przyspieszył kroku. Zobaczył wreszcie, że jakiś potężny mężczyzna atakuje małą prostytutkę, Milę. Podszedł bliżej. Facet trzymał Milę za ramię i ciągnął w kierunku hotelowych drzwi.

– Jak jesteś dziwką, to musisz ze mną, rozumiesz?!

– Zostaw mnie – krzyczała Mila – nie chcę iść z tobą!

Kilku facetów i starsza prostytutka mieli okrutną zabawę.

– Tak jest, musisz z nim iść – rechotała stara. – Jak mu się chce ciebie, to musisz.

– Puść ją! – krzyknął Jan i już był przy facecie.

– Bo co? Jej alfons jesteś? – Facet puścił Milę, zdjął marynarkę i rzucił ją starej prostytutce.

– Uspokój się – powiedział cicho, ale groźnie Jan. – Nie chce, to nie będzie z tobą szła.

– A ty, kurwa, masz ładną buźkę, to znaczy miałeś...

Facet zamachnął się, ale Jan uskoczył.

– Odpuść sobie, mam dzisiaj wyjątkowo parszywy dzień i nie chcę cię uszkodzić, człowieku – ostrzegł go Jan.

– Załatw go, Matys! – rzucił ktoś z grupy mężczyzn. – Słaby jest.

I Matys rzucił się po raz drugi na Jana, wymierzył cios, ale mocno rozczarowujący. Tym razem Jan nie uskoczył, ale wyprowadził klasyczną lewą prostą na szczękę faceta. Tamten zatoczył się i siadł na chodniku, jednak natychmiast zerwał się i z byka rzucił się do przodu. Krótki, szybki prawy hak Jana posłał Matysa po raz drugi na glebę. Tym razem pozostał w „parterze” chwilę dłużej. Spojrzał na Jana, którego twarz zmieniła się – zrobiła się jak z wosku, jego oczy były puste i zimne. Osilek wstał, przystanął na chwilę, nie bardzo wiedząc, o co chodzi, jak to się dzieje, że ten chłopaczek tak łatwo sobie z nim radzi, ale nie zdążył dojść do żadnych wniosków, bo Jan w ułamku sekundy znalazł się przy nim, wybił się w powietrze i obejmując nogami szyję Matysa, powalił go na ziemię i zaczął dusić, z każdą chwilą wzmacniając uścisk. Patrzył przy tym na gasnącego przeciwnika, jakby ten był manekinem, na którym ćwiczy się morderczą technikę.

Matys uosabiał w tym momencie wszystko to, co doprowadziło Jana do tego czasu i miejsca: Konstancję, ojca, niewykrytego mordercę matki, całe zło świata.

Wystarczył jeden zdecydowany ruch i rdzeń kręgowy tego zła, które ucieleśniał teraz leżący na ziemi kawał ludzkiego mięsa, pękłby z trzaskiem.

W tym momencie pojawił się barman Fritz i poklepał Jana po plecach.

– Wystarczy – powiedział.

Jan zwolnił uścisk, głowa faceta opadła bezwładnie na bruk. Pomyślał, że może go zabił, zbliżył twarz do leżącego, żeby zobaczyć, co z nim. W tym momencie Fritz chlusnął na osiłka kubłem wody. Ten zaczął się krztusić i powoli odzyskiwał kontakt z rzeczywistością.

Zebrani mężczyźni dali krótkie brawko, pokomentowali z uznaniem technikę bokserską Jana i rozeszli się wielce zadowoleni z widowiska. A znokautowany facet pociągnął w swoją stronę. Jan wstał i otrzepał ubranie, nie miał na sobie

żadnych śladów walki. Kiedy skierował kroki z powrotem do Ypsylona, trafił na czujne spojrzenie Fritza. Zatrzymał się i patrzył w oczy barmana dłuższą chwilę.

Było to jakby spotkanie własnego odbicia w lustrze: blada, pocięta zmarszczkami twarz, z oczami, które niejedno widziały i które bez mrugnięcia powiek mogłyby spojrzeć w oczy diabłu.

W barze wejście Jana przywitały gremialne oklaski. Okazało się, że wszyscy goście obserwowali walkę z okien baru lub sprzed wejścia. Jan usiadł sam przy wolnym stoliku. Fritz postawił przed nim dwie setki w grubym szkłe i pięć kiszonych ogórków.

Po chwili przy stoliku stanęła Mila. Była już ładnie uczesana, miała poprawiony makijaż.

– Mogę?

– Siadaj – odparł Jan. – Dzisiaj rzeczywiście jesteś jeszcze ładniejsza.

– Bardzo panu dziękuję – powiedziała i tak się jakoś uśmiechnęła, że Jan spuścił oczy. Przez wzgląd na Gabi nie chciał i nie mógł mieć z tą małą nic wspólnego, ale rzeczywiście była piękna i robiła na nim wrażenie.

– To pójdziesz ze mną? Ja stawiam – zaśmiała się zalotnie.

– Nie mogę z tobą spać i nie mogę ci powiedzieć dlaczego, ale jak chcesz, to pogadamy.

– Na smutno?

– Nie, tak normalnie, od serca.

– Nie lubię takiego gadania – skrzywiła się Mila. – Mam dość swoich smutków.

– Dobrze – zgodził się Jan – to chodź ze mną do pokoju. Opowiem ci o dalekich krajach. Chcesz?

– No, tak to mogę... Takie bajki to nawet lubię. Mówią na mnie Mila.

– Masz tak na imię?

– Nie, panowie mnie tak nazywają. I niech tak zostanie.

W kilka minut później Jan i Mila byli już w jego pokoju. Mila leżała na brzuchu w łóżku, z kokieteryjnie zgiętymi nogami. Jan siedział na krześle naprzeciwko niej. Ona popijała piwo, które jej zafundował, on natomiast ze

smakiem palił cygaro.

– Czegoś takiego nie paliłam. Mogę spróbować?

Jan podał jej cygaro. Mila zaciągnęła się i zakrztusiła tak mocno, że musiał ją kilka razy klepnąć w plecy.

– Cygarem się nie zaciąga, tylko trzyma się dym w ustach, smakuje i wypuszcza.

Dziewczyna spróbowała.

– Dobrze – pochwaliła i oddała cygaro Janowi. – To gdzie się takie kupuje?

Bo w tej okolicy nie widziałam.

– Na Karaibach.

– Tam mieszkają żółci czy Murzyni?

– Mulaci – odpowiedział Jan.

– A co to są Mulaci?

– Tacy Murzyni, tylko w połowie biali.

– Ale od dołu czy od góry? – Mila parsknęła śmiechem, ale po chwili spoważniała i odgarniając włosy z oczu, powiedziała: – Dziesięć koron i dostaniesz dużo miłości.

– Dobrze – powiedział Jan i wyciągnął portfel. – Ale bez miłości.

– Bez? Szkoda, bo ładny jesteś...

Jan poprosił Fritza o butelkę wódki na górę, duży talerz kanapek, dwie herbaty i kompot. Mila piła mało, ale uważnie słuchała. Leżeli obok siebie. Zaczął od opowieści o Chinach, przedstawiał jej bardzo plastycznie tamtejszych ludzi, sposób ich życia, klimat, prace, obyczaje...

– Masz ładny głos – powiedziała Mila i delikatnie przysunęła się do niego.

Nie protestował, więc oparła głowę na jego ramieniu i słuchała.

– Opowiem ci teraz o swoim koledze, marynarzu z Triestu, chcesz?

– Tak – skinęła głową dziewczyna i jeszcze bardziej wcisnęła się w niego.

I Jan przedstawił jej historię swojego życia, poczynając od Syberii aż po dzień dzisiejszy. Opowiedział o Konstancji, pojedynku, o ucieczce z Krakowa, żeglowaniu po oceanach i o śmierci matki. Zarazem tak to wszystko skomponował, że w istocie wyszła opowieść o kimś obcym, jednak ona

doskonale wiedziała, że to jego życie.

Był coraz bardziej pijany i może dlatego z dużym opóźnieniem zauważył, że Mila płacze. Nie tyle nawet zauważył, co poczuł, że lewy bark i ramię ma całkowicie mokre.

– Przepraszam cię, miało nie być smutno – powiedział cicho i pogłaskał ją po głowie.

– Nie, takie smutki to lubię... – wyszeptała Mila.

Opowiadał jej jeszcze długo, aż zmorzeni ciężkim dniem usnęli. I spali tak przytuleni do rana – jak brat i siostra. Jak dwoje smutnych, bo zupełnie samotnych ludzi.

Kiedy tylko Henryk dowiedział się od Weroniki, że została napadnięta i skradziono jej chustę, a przez ostatnich kilka dni miała wrażenie, że jest śledzona, postanowił – mimo jej protestów – zawiadomić o tym komisarza Jelinka. Weronika bała się, że zostanie uznana za histeryczkę, że nie powinno się łączyć obu tych faktów. Zwłaszcza że podglądacza nie udało się schwytać. I był to fakt jedynie domniemany.

Henrykowi nie chodziło tu, oczywiście, o jakiegoś nieznanego podglądacza czy złodzieja damskiej garderoby. Chodziło o to, że te drobne zdarzenia mogły mieć jakiś związek z makabrycznymi zbrodniami, których ofiarami padły dwie kobiety.

Jelinek akurat szykował się do wyjścia, ale – o dziwo – znalazł czas i dobrą wolę na wysłuchanie Henryka.

– Szkoda, że nie powiedział pan wcześniej o tym dziwnym obserwatorze. Nie sądziłem, że... A wie pan, że to mi się układa w bardzo ciekawy rebus – powiedział Jelinek. – Najpierw ktoś panią Weronikę obserwuje... tak?

– Tak – odparł Henryk.

– A potem atakuje i kradnie chustę.

– Tak było.

– Gdzie doszło do napadu?

– Okolice Stradomskiej i Bernardyńskiej.

– U stóp Wawelu. Hm... ciekawe. Tamtego rejonu nie braliśmy pod uwagę. Panie Henryku, nawet pan nie wie, jak bardzo pomógł pan policji. Bo zdaje mi się, że powoli dochodzimy jednak do prawdy... – Jelinek zaczął mówić wolno i dobitnie. – Bo co my mamy? Mamy podglądacza kobiet, który jest też zainteresowany kobiecymi fataląszkami. To już jest klasyka. Fetyszizm! Połączony z przemocą wobec kobiet. A ostatnio w Krakowie mamy przecież morderstwa, okrutne morderstwa kobiet!

– Może tu chodzi o dwóch różnych ludzi? – Henrykowi rozwikłanie problemu mordercy kobiet nie wydawało się aż tak proste.

– Panie doktorze, niech pan dedukcję zostawi mnie. Pan jest dobry w badaniach ciał, a ja w wyciąganiu wniosków. – Jelinek protekcjonalnie poklepał Henryka po ramieniu. – Nie wie pan jednego, panie Skarżyński. Ja mam katalog, a w nim spis i opisy wszystkich dewiantów w Krakowie i okolicy. I tak się akurat składa, że nawet bez sięgania do mojego katalogu mam na myśli kogoś, kto już wielokrotnie kradł kobiecą garderobę. I o dziwo, ten sam osobnik siedział już trzy razy za okaleczanie kobiet. Zatem... niech panna Weronika na siebie uważa, przynajmniej przez najbliższe dwadzieścia cztery godziny. W ciągu doby będziemy mieli zbrodniarza w kajdankach. I jeszcze raz dziękuję za czujność. Bardzo dziękuję.

Henryk postanowił nie mówić Weronice o swojej wizycie u komisarza Jelinka. Nie chciał jej denerwować. Historię z chustą przeżyła na tyle mocno, że z tego wszystkiego chyba się przeziębiła. Dzisiejszej nocy musiał ratować ją gorącą herbatą z cytryną i kazał nie przychodzić rano do pracy, opatulając siostrę dwiema kołdrami.

Następnego dnia po wizycie Henryka komisarz Jelinek stał w swoim gabinecie przed tablicą, do której przypięto dużą mapę Królewskiego Miasta Krakowa. Obok niego, poza asystentem kryminalnym Zygmuntem Kazaneckim, stał zastępca dowódcy Komendy CK Żandarmerii nr 2 w Krakowie, porucznik Rawicz, specjalnie ściągnięty na tę okoliczność z gmachu dowództwa oddziału na Garncarskiej, w towarzystwie dwóch podoficerów straży wojskowo-policyjnej. W mapę powtykane były szpilki z chorągiewkami, oznaczające miejsca, w których dotychczas prowadzono obławę, mającą na celu dorwanie Mikołaja Hrycia. Narada trwała już od kilkunastu minut, toteż Jelinek zdążył opisać zebranych okoliczności powstania nowego planu.

– Tak więc, jak dotąd, nie braliśmy pod uwagę tej części miasta – powiedział Jelinek, zakreślając wskaźnikiem fragment mapy, gdzie miasto przylegało do Wisły.

– Stradom dotąd był dzielnicą raczej spokojną i nie podejrzewaliśmy, żeby osobnik tego typu szukał tutaj schronienia – zauważył jeden z podoficerów.

– Tym niemniej właśnie tutaj po raz ostatni dokonał nieudanego napadu na jedną z kobiet, a konkretnie na panią Weronikę Skarzyńską – odpowiedział Jelinek, wbijając jedną ze szpilek w mapę, gdzie oznaczono przecięcie się ulic Bernardyńskiej ze Smoczą.

– Według naszych informatorów dwa dni temu miał skorzystać z darmowego posiłku, jaki można otrzymać w siedzibie Towarzystwa Dobroczynność przy ulicy Kołetek dwanaście – dorzucił Kazanecki.

– I to jest dobra wiadomość! – podjął Jelinek. – Znaczy, że jest z nim źle i nie za bardzo może liczyć na jakąkolwiek pomoc.

– Należy wykluczyć, by pomieszkiwał w którymś z okolicznych domów – rzekł Kazanecki. – Raczej obstawiałbym komórki, kurniki czy piwnice.

– Słuszna uwaga, panie Kazanecki. – Jelinek był wyraźnie zadowolony i niemal pewny sukcesu akcji. – Jeśli jest na Stradomiu, to dla niego jedyne wyjście. Kurniki, piwnice... Nikt go do domu nie wpuści. Tutaj się nie zamelinuje w jakiejś suterenie jak na Kleparzu.

– Na Kazimierz nie pójdzie. A gdyby się pojawił w Podgórzu, coś byśmy o tym wiedzieli, bo jego policyjną fotografię przekazano do wszystkich trzech rogatek nad Wisłą – powiedział drugi z podoficerów.

– Podobnie przedstawia się sytuacja na pozostałych ośmiu rogatkach – tym razem głos zabrał reprezentujący CK żandarmerię porucznik Rawicz. – Trakty wyjazdowe obstawione. Musiałby przekradać się na dziko, ale nie przeszedłby niezauważony przez linię fortów. Dworzec obstawiony. Z miasta więc nie wyjechał.

– Tak, panowie! Odcięliśmy go od szemranych dzielnic, gdzie mógł spodziewać się jakiego takiego wsparcia. Zamelinował się więc tu, gdzie go ostatnio widziano – powiedział zadowolony Jelinek i w czterech punktach mapy wbił szpilki z chorągiewkami, wskazując miejsce ewentualnej obławy, po czym poślinił wyjęty z kieszeni marynarki czerwony kopiowy ołówek. – Panowie! Należy obstawić policją i żandarmami kwadrat ograniczony ulicami Bernardyńską, Stradomską, Plantami Dietlowskimi i brzegiem Wisły.

Uzbrojona w ołówek dłoń Jelinka zakreśliła na mapie czerwoną kreską

odpowiednie ulice.

– A kiedy wylezie ze swej nory w godzinach wydawania posiłków dla ubogich, zacisnąć pętlę. – To mówiąc, Jelinek zamknął pięść, jakby miażdżył w niej karalucha.

Mikołaj Hryć nie zdołał zjeść zupy, po którą przyszedł umorusany węglem, złożonym w komórcie na tyłach domu jednej z kamienic przy ulicy Smoczej.

Próbował przedzierać się w stronę ogrodów sióstr bernardynek, jednak drogę zajechało mu dwóch konnych żandarmów. Przyciśnięty do muru, szybko skapitulował. Skuto go w kajdany i przytroczono do siodła niczym tatarski jasyr. W ten sposób dostarczono go na Radziwiłłowską, gdzie stacjonował oddział straży policyjno-wojskowej. Tam też czekał na niego Jelinek, który w towarzystwie policjantów wrzucił go na podłogę policyjnej karetki i pod eskortą konnych żandarmów zawiózł do głównego gmachu CK Dyrekcji Policji przy Mikołajskiej.

Na korytarzach urzędu panował duży ruch, zabieganie i ogólne podniecenie.

Jelinek, w towarzystwie trzech żandarmów, prowadził skutego kajdankami niskiego, krępego mężczyznę. Człowiek był nieogolony, ubrany bardzo biednie, wyglądał na lat trzydzieści. Jelinek prowadził go, trzymając od tyłu za kołnierz marynarki i od czasu do czasu mocno nim potrząsając. Co chwila też wykrzykiwał pod adresem prowadzonego:

– Teraz, zbrojeńcu, porozmawiamy! Zobaczysz, co to jest wpaść w ręce komisarza Jelinka!

Na te krzyki komisarza, na ów tupot butów otwierały się drzwi policyjnych pokojów i na korytarz wysuwały głowy ciekawskich urzędników i funkcjonariuszy.

Wtedy Jelinek donośnym głosem i nieco teatralnie informował:

– Proszę się odsunąć! Proszę zachować ostrożność!

Gdy weszli do gabinetu, komisarz Jelinek rozkazał:

– Panie Kazanecki, pomoże mi pan w dokonaniu pomiarów tego zbrodniarza.

Kazanecki ruszył w stronę regału, na którym poukładane były niezbędne do dokonania pomiarów narzędzia.

– Żandarm zostaje, reszta czekać w pogotowiu na korytarzu. A pan, panie Kazanecki, przykuję tę bestię do krzesła. No, bratku, zapamiętasz ty komisarza Rudolfa Jelinka na całe swoje, miejmy nadzieję, niezbyt długie życie.

Przykuty do krzesła mężczyzna cały czas powtarzał jak mantrę:

– Ja niewinny, ja wcale nie wiem, o co chodzi...

Na co Jelinek odpowiadał też niezmienną frazą:

– Znam ja takich niewinnych, co wszyscy z mojej ręki zawiśli na konopiach.

Kiedy Hryć był już dobrze przytroczony do masywnego krzesła, komisarz Jelinek zdjął czapkę i mundur, podwinął rękawy koszuli, zasiadł za swoim biurkiem, z którego wyciągnął plik papierów, i z pewną ulgą, a nawet zadowoleniem powiedział:

– Przystępujemy zatem, panie Kazanecki, przystępujemy do naszej istotnej pracy.

Po czym podał Kazaneckiemu specjalny przyrząd antropometryczny, który przypominał cyrkiel. Jego dwie zakrzywione nóżki łączyła poprzeczka z naniesioną na jej powierzchnię podziałką centymetrową.

– Nie ruszaj się – rozkazał Kazanecki i zmierzył zatrzymanemu obwód głowy. Po czym wynik miary podał Jelinkowi. – Sześćdziesiąt dwa centymetry, panie komisarzu.

– A zatem zatrzymany Mikołaj Hryć ma bardzo dużą głowę – niejako z uznaniem skomentował Jelinek i zapisał te dane na karcie papieru.

– A teraz obwód głowy po przekątnej, od czubka do szczęki... siedemdziesiąt dwa centymetry – raportował Kazanecki.

– A zatem... Obwód numer dwa... siedemdziesiąt dwa centymetry – powtarzał, zapisując dane Jelinek. – Teraz uszy...

Te dziwne notatki prowadzone były systematycznie i dokładnie, a skutki Mikołaj Hryć tkwił w tym niczym bezwolny przedmiot, który należy zmierzyć i opisać. I ani Jelinkowi, ani Kazaneckiemu nie przeszkadzało, że ów człowiek bełkotliwym głosem cały czas powtarzał:

– Ja niewinny, jak mię matka rodziła, tak i dzisiaj niewinny...

Nie zwracając na to uwagi, zmierzono Hryciowi długość i szerokość głowy,

długość prawego ucha, rozstaw kości policzkowych, nawet odstępy pomiędzy łukami brwiowymi, a kiedy prace antropometryczne dobiegły końca, Jelinek zatarł z zadowolenia ręce, wstał od biurka, podszedł do Hrycia i krzyknął mu do ucha:

– Zamordowałeś w grudniu Łucję Muraszkę i podrzuciłeś bestialsko okaleczone zwłoki na Planty!

– To nie ja! Com zrobił, tom zrobił, ale nikogom nie zamordowałem! Nie zrobiłem tego!

– Moja kartoteka nigdy nie kłamie! Kim była kobieta, której odrąbałeś głowę i wrzuciłeś do stawu w parku miejskim? Gdzieś ukrył resztę ciała?

– Nie wiem, nic nie wiem!

– Ale ja wiem – rzucił Jelinek – ja dobrze wiem. I wszystko mi się zgadza. Na moje polecenie zmierzono rok temu w Tarnowie wszystkich tamtejszych więźniów. I mam te dane.

Jelinek znowu podszedł do biurka i wyciągnął z szuflady jakąś teczkę, rozwiązał jej tasiemki, wydobyl karty papieru i zamachał nimi przed nosem Hrycia.

– Tu mam wszystko na ciebie, ty kreaturo... Proszę bardzo... Hryć Mikołaj: „Wielokrotnie karany za znęcanie się nad kobietami. W młodości łapał psy i sprzedawał smalec z nich zrobiony. Ostatnio skazany za ciężkie pobicie prostytutki, wcześniej za inne okaleczenia”. Jednej z dziwki w Nowym Sączu odciąłeś ucho! Ty podła kreaturo! Na Kleparzu widziano cię, jak pijany wygrażałeś sąsiadom siekierą. Wszystko pasuje! Już prawie cię miałem, ale teraz nam nie uciekniesz! Nie wyjdiesz ty z tego! Zdechniesz na sznurze!

Nagle na biurku Jelinka zadzwonił telefon. Komisarz sięgnął po słuchawkę.

Słyszając po drugiej stronie niezbyt donośny głos policyjnego telefonisty, dopytał:

– Kto? Mówcie głośniej, do diabła! – rzucił energicznie, będąc jeszcze nakręcony przesłuchiowaniem Hrycia. – Porucznik Rawicz? Oczywiście, że łączyć!

Po chwili rozmawiał już z porucznikiem żandarmów, dzięki którym

aresztowano Hrycia.

– Oczywiście, panie poruczniku – powiedział do słuchawki komisarz. – Zaraz tam będziemy.

Odłożył słuchawkę na widełki telefonu i zwrócił się do stojącego żandarma.

– Rozkuć tę kreaturę i do paki – polecił, zapinając kołnierzyk munduru. – Zajmę się nim później. – Po czym zabierając z biurka czapkę, spojrzał na Kazaneckiego i rzucił krótko: – Wracamy na Stradom.

Przy zbiegu ulicy Koletek z ulicą św. Agnieszki zgromadził się duży tłum, wypełniający całą niemal przestrzeń pomiędzy trotuarami a murami kamienic. Tym samym ruch wozów i dorożek stał się niemal zupełnie niemożliwy. Tłum był niespokojny i rozgadany, a najczęściej powtarzaną opowieścią było to, że znaleziono kolejną uciętą głowę. Niektórzy ze zbiegowiska mówili, że ci z Kazimierza mają jakieś swoje tajne obrządki i że to może być sprawka żydowska.

Fakt ten miała uwiarygadniać znajdująca się nieopodal synagoga.

Tłum wykazywał też samoistną tendencję do napierania na niewielką, zdezelowaną i niezamieszkałą kamienicę pod adresem św. Agnieszki 2. Od czasu do czasu żandarmi, odgradzający ścisłym kordonem rudere od tłumu, ruszali do przodu, odpychając ludzi.

Przed sypiącym się budynkiem o odrapanych murach i wybitych oknach stała dorożka, przy której Jelinek w towarzystwie Kazaneckiego prowadził ożywioną rozmowę z porucznikiem Rawiczem. Obok nich stał poblady żandarm, krótko potakiwał na rzeczowe, zadawane mu przez porucznika pytania. Jak ustalono, żandarm ten, mając zabezpieczyć wylot ulicy Koletek, schował się w suterenie zrujnowanego domu, gdzie miał odkryć coś podejrzanego. Więcej z żandarma nie udało się wycisnąć, był bowiem półprzytomny z nerwów.

Wokół stało kilkanaście kobiet i kilku mężczyzn. Cała uwaga gromady skupiła się na przybyłych policjantach. Ludzie zamilkli i cofnęli się w głąb ulicy, omal nie wywracając się o rynsztok.

Jelinek powoli lustrował okolicę.

– A ci tam pod ścianą, co za jedni? – zwrócił się do kaprała żandarmów.

– Mieszkają po sąsiedzku, trochę służby i dozorca, wszystkich mamy spisanych – odpowiedział kapral.

– Czegóż chcieć więcej – zwrócił się Jelinek do aspiranta Kazaneckiego. – Typowa krakowska nędza. Idealne miejsca do wylęgania się zbrodni.

Do Jelinka podszedł Rawicz.

– W suterenie są prawdopodobnie dwa ciała – rzekł porucznik, któremu udało się wyciągnąć ze swojego podwładnego więcej informacji.

– Dwa? – zdziwił się Jelinek. – No, to idziemy – zakomenderował z lekkim uśmiechem, bowiem Hryć okazywał się teraz wyjątkowo niebezpieczną, a przez to nader cenną zdobyczą.

Już po minięciu drzwi uderzył ich zapach wilgoci i grzyba. W istocie ze ścian klatki schodowej odpadał zagrzybiony tynk. Drzwi do sutereny były byle jakie, deski ledwie się trzymały. Przed tymi drzwiami stał na straży jeden z żandarmów, który na widok wyższej władzy wycofał się na schody. Kazanecki zapalił karbidową latarkę i ruszyli w dół. Za Kazaneckim szli Jelinek z Rawiczem, wzajemnie się asekurowający przed upadkiem, ponieważ drewniane piwniczne schody były wytarte i śliskie. Za tą trójką szło jeszcze dwóch żandarmów. I tak, z największą ostrożnością, powoli zanurzali się w mroczną przestrzeń. Suterena właściwie była bardziej piwnicą. Nie tylko mroczną, ale też wilgotną i cuchnącą jakąś dziwną spalenizną. A im schodzili niżej, tym bardziej ta przykra i dziwna woń się nasilała.

– To chyba tutaj – powiedział Rawicz zza pleców Jelinka.

W środku, pod ścianą, było trochę węglowego miału, a w centrum stała duża dębowa beczka, przykryta brezentową płachtą. Dziwna i przykra woń nasiliła się jeszcze bardziej. Wszyscy znieruchomieli i w piwnicy zaległo milczenie.

Kazanecki zdjął z beczki brezentową płachtę, która częściowo ją zakrywała.

Buchnął niesamowity fetor. Kazanecki zajrzał do środka beczki i aż odskoczył pod ścianę. Upuścił przy tym latarkę, która z brzękiem upadła. W piwnicy zapanowała ciemność. Zakrył usta dłonią i był bliski wymiotowania.

– Kazanecki! – ryknął Jelinek. – Opamiętajcie się, jesteście na służbie!

– Przepraszam, przepraszam – bełkotał Kazanecki – mam zapałki, zaraz

zapalę.

Ale zanim wydobył z kieszeni spodni zapalniczki, Rawicz błysnął elegancką zapalniczką na benzynę.

Cała trójka podeszła do beczki. Rawicz, zasłaniający twarz dłonią w białej rękawiczce, omiótł płomieniem zapalniczki wnętrze beczki. Zobaczyli, że znajdowały się w niej dwa gnijące ciała. Były oplecione łańcuchem, przywiązane do siebie plecami. Oba też przysypane jakąś białą substancją.

Jelinek nie wytrzymał i biegiem ruszył do wyjścia, za nim Kazanecki i Rawicz. Przemieszczali się tak szybko, że na skutek podmuchu, jaki zrobili swoim pędem, zapalniczka zgasła i wszystko objął mrok. Na podwórku Jelinek nie mógł już się powstrzymać i na oczach tłumku mieszkańców okolicznych domów, w przytomności żandarmów – zwymiotował pod ścianą.

– Ściągnijcie tu doktora Skarżyńskiego, a potem zabrać wszystko na Mikołajską – powiedział wreszcie, wycierając chusteczką usta. – Beczkę i płachtę też.

W dorożce, którą Kazanecki i Jelinek wracali do komendy, nikt nic nie mówił. To, co komisarz zobaczył, zepsuło mu dobry nastrój, w jakim był wkrótce po dorwaniu Hrycia. Z jednej strony, miał mordercę, jednak doszedł do miejsca, w którym cywilizowany człowiek odkrywa, że nie ma odpowiedniej kary, mogącej właściwie zadośćuczynić społeczeństwu za dokonaną w bestialski sposób zbrodnię.

Następnego dnia w południe ojciec i Jan spotkali się przed kamienicą, w której mieściło się biuro notariusza Skalskiego. Poza zdawkowym kiwnięciem głowami na przywitanie nie zamienili ze sobą ani słowa i w milczeniu weszli na pierwsze piętro budynku. Jeżeli ktoś chciałby zobaczyć, na czym polega potęga mieszczaństwa, jego solidne podstawy i dobrze ugruntowany obraz, powinien udać się do tego właśnie notariusza.

Przede wszystkim sama postać Skalskiego była solidna. Miał lat około pięćdziesięciu, ale chyba dla dodania sobie powagi nosił się i zachowywał jak osiemdziesięcioletni starzec. Był mężczyzną wysokim, „na Kraków” zakładał długi czarny żakiet, długi czarny płaszcz i takiż cylinder, w ręku miał zawsze hebanową laskę z gałką z kości słoniowej. Tym samym mógł służyć jako model do pomników opiewających ostoję trwałości i niezłomność mieszczańskich zasad.

W gabinecie dla klientów pojawiał się ubrany w podobny żakiet, ale trochę krótszy, nosił niemodne (ale drogie) koszule i staroświeckie krawatki.

Również jego gabinet tchnął solidnością. Wszystkie meble były odpowiednio masywne i ciężkie. Nawet mosiężna lampa stojąca na biurku sprawiała wrażenie, że na jej odlanie zużyto tyle materiału, ile starczyłoby na potężne działo.

W gabinecie notariusza, tak jak w jego osobie, nie było najmniejszego śladu jakże modnej secesji. Ale też kto chciałby powierzyć swoje sprawy człowiekowi mającemu w domu witraże pełne węzowych roślin lub, nie daj Boże, wyginających się półnagich kobiet?

Notariusz wskazał im miejsca przy solidnym stole. Jan i ojciec usiedli przy dłuższych bokach prostokąta stołu naprzeciw siebie. Przy krótszym boku czekały już akta.

Pan notariusz Skalski prosił siedzieć, a sam stojąc, odczytał:

Testament Cecylii Edigey-Koryckiej.

Ja, pozostająca w pełni władz fizycznych i umysłowych, dziękuję mężowi Orestowi i Janowi, synowi memu, że pierwszemu mogłam być żoną, a drugiemu matką. Obu ich przepraszam za wszelkie przykrości, jakich doznali z mej strony. Synowi polecam zasięgać rad życiowych u ojca, bo dobry ten człowiek nie tylko go kocha, ale ma też nieopisane pokłady życiowego rozsądku.

Co do moich nieruchomości zarządzam, co następuje:

Połowę mojego majątku we wszelkim pieniądzu, ulokowanym na moje nazwisko w Kasie Oszczędności Powiatu Krakowskiego, zapisuję synowi Janowi.

Drugą zaś połowę polecam podzielić na kolejne dwie równe części i odpowiednio przekazać Arcybractwu Bożego Miłosierdzia oraz Towarzystwu Dobroczynności przy ul. Koletek 12.

Wszelką moją biżuterię – z wyjątkiem ślubnej obrączki oraz podarowanego mi przez męża pierścionka zaręczynowego, który przekazuję memu synowi Janowi, aby w przyszłości obdarował nim swoją wybrankę – polecam spieniężyć, a pozyskane ze sprzedaży finanse przekazać na cele dobroczynne Bankowi Bożemu przy ulicy Siennej 5.

Wszelkie będące własnością moją obrazy, te malowane przeze mnie, jak i te malowane przez innych, zapisuję mężowi memu Orestowi, aby miał pamiątkę naszego wspólnego życia. A jeśli uzna on, że część lub całość tych dzieł, jeszcze za swego życia, zechce przekazać synowi, niech tak będzie.

Fortepian firmy Breitkopf & Härtel, będący moją własnością, polecam przekazać Towarzystwu Pomocy Naukowej Polek przy ul. Lubicz 28 w celu dysponowania nim według własnego uznania.

Wszelkie moje pisanie, jako to: listy, notatki, wspomnienia i pamiętniki, przekazuję na przechowanie i pilny dozór siostrze szarytkom w Krakowie.

Zdeponowałam je u nich w roku pańskim 1901 i opłaciłam koszty ich przechowywania. Wszystkie te dokumenty niech pozostaną tajne aż do pięćdziesięciu lat po mojej śmierci. Tekst umowy z siostrami szarytkami

załączam do tego testamentu, a o dopilnowanie jej rzetelnego wykonania upraszam syna mego Jana.

Niech Pan Bóg Wszechmocny i Miłosierny ma Was obu w swej opiece.

Napisano w Krakowie, 27 listopada 1902 roku, w obecności notariusza pana Jana Skalskiego, który prawdziwość testamentu zaświadcza własnoręcznym podpisem.

Notariusz usiadł i pieczołowicie wkładał tekst testamentu do teczki.

Zapanowała cisza, w której rozległ się straszny szloch ojca.

Około południa Jan znalazł się przed gmachem policji. Zmierzał do wejścia, gdy dostrzegł dziewczynę, która z papierami pod pachą próbowała postawić rower przed budynkiem. Rower jednak przewracał się już po raz drugi, a papiery się znowu rozsypywały. Jan podszedł do dziewczyny.

– Pomogę panience... – powiedział i wziął z jej rąk rower.

Szybko oparł chybotliwy pojazd o ścianę i schylił się, by pomóc dziewczynie w zbieraniu papierów. Jednak ta wyprostowała się nerwowo i całą swą uwagę skupiła na Janie, nie na papierach. W jej oczach wciąż jeszcze było napięcie spowodowane kradzieżą chusty. Teraz jednak patrzyła na Jana i z każdą chwilą jej twarz łagodniała, a w pewnym momencie zaczęła się wyraźnie rozjaśniać, by w końcu zagościł na niej szeroki, bezpretensjonalny uśmiech. Weronika prawie krzyknęła:

– Janek?!

– Nikt już tak do mnie nie mówi...

– Ja zawsze tak do ciebie mówiłam...! – Dziewczyna promieniała radością.

Wreszcie i Jan ją poznał.

– Weronika! Boże, jak ty się zmieniłaś!

Weronika zawisła mu na szyi i mocno pocałowała w policzek. Po chwili zreflektowała się jednak i stanęła obok Jana w przyzwoitej odległości. Dotarło do niej, że sześć lat temu była jeszcze gimnazjalną panienką, a teraz – coraz bardziej dojrzałą kobietą.

– Zdecydowałeś się na powrót do Krakowa?

– Właśnie wyjeżdżam. Przyszedłem zobaczyć się z twoim bratem.

– Nie tęsknisz? – spytała Weronika smutno.

– Za czym?

– Za domem, za...

Weronika nie bardzo chciała powiedzieć, za czym Jan powinien tęsknić, więc tylko zrobiła rękoma kółko, że tak ogólnie...

– Nie mam domu. Wynająłem pokój w hotelu na Kleparzu.

– Nieciekawa dzielnica...

Zapanowała dość kłopotliwa pauza. Dziewczyna patrzyła na Jana roześmianym wzrokiem i nawet nie próbowała ukryć, jak bardzo cieszy się ze spotkania. Jan natomiast nie bardzo wiedział, co ma powiedzieć. Teraz dotarło do niego, że na statkach kobiet nie było wcale, więc odwykł też od rozmów z nimi.

Natomiast te, które spotykał w portach, nie wymagały od niego wyszukanej konwersacji.

– Zostań kilka dni chociaż. Kraków bardzo się zmienił. Pokażę ci.

Jan dalej stał zakłopotany i uśmiechał się niepewnie. Dziewczyna jednak za nic nie chciała go pożegnać i zostawić w spokoju, więc w końcu zapytał:

– A co tutaj robisz?

– Ja? Jestem... pracuję w laboratorium. Chodź, sam zobaczysz.

I Weronika, uszczęśliwiona tak miłym spotkaniem, pociągnęła go za rękę w kierunku wejścia do gmachu policji.

W laboratorium przy mikroskopie siedział Henryk Skarżyński, który przez okulary przyrządu przyglądał się jakiejś niewielkiej padłej larwie. Od czasu do czasu wertował w otwartej książce strony z rycinami przedstawiającymi larwy różnych much. W tym momencie drzwi się otworzyły i wkroczyła rozradowana dziewczyna, niemal wpychając do środka Jana.

– Popatrz, kogo spotkałam!

Skarżyński podniósł głowę znad przyrządu i już chciał skarcić siostrę żartobliwym komentarzem o zarzuceniu pradawnego zwyczaju pukania, co wydawało się ubocznym a niebezpiecznym skutkiem emancypacji, ale nie wypowiedział żadnego słowa, bo na widok Jana zaniemówił. Dwaj przyjaciele

przyglądali się sobie przez chwilę badawczo, jakby upewniając się co do przerwanej nagle dawnej przyjaźni. Weronika, bezstronna obserwatorka, poczuła się skrepowana długą, niepokojącą ciszą i zniknęła w głębi laboratorium, ale cały czas popatrywała na Jana.

Krępujące milczenie trwało nadal. Ciszę i bezruch przerwał w końcu Henryk. Zdejmując okulary i przecierając chustką spocone czoło, powiedział, jakby dokonał właśnie jakiegoś przełomowego naukowego odkrycia:

– Jan.

Henryk wyglądał dokładnie tak samo jak wtedy, gdy ostatni raz się widzieli.

Na jego twarzy nie było żadnych śladów upływającego czasu, najmniejszej zmarszczki, wyglądał jak gimnazjalista, miał twarz wyrosniętego dziecka.

Spokojnego, kulturalnego, gruntownie wykształconego chłopca z dobrego domu.

– Mój Boże, tyle lat, a ty się nic nie zmieniłeś... – powiedział Jan, wiedząc, że o nim nie można by powiedzieć tego samego.

Henryk podszedł do Jana w milczeniu, a kiedy był już bardzo blisko i wydawało się, że zaraz popłyną mu z oczu łzy wzruszenia, wziął jego dłoń w swoje ręce i uścisnął mocno. Wpatrywał się w przyjaciela jak w zjawę, z każdą chwilą coraz mocniej ściskając dłoń Jana i potrząsając nią, jakby mieszał jakąś miksturę w butelce. Wzruszenie Henryka zdawało się nie mieć końca, więc chcąc je przerwać, Jan udał zainteresowanie zawartością niewielkiego szklanego pojemnika, stojącego na biurku. Na płaskim denku naczynka rozłożone były nieżywe, niewielkich rozmiarów larwy.

– Wybierasz się na ryby?

Henryk uwolnił dłoń Jana z żelaznego uścisku i popatrzył na niego pytająco.

Jan wskazał wzrokiem miejsce na biurku. Przyjaciel uśmiechnął się i całe zdenerwowanie natychmiast ustąpiło pasji naukowca. Stał przy biurku i zaczął nazywać poszczególne osobniki, jakby przedstawiał kolegów z podwórka.

– Cynomya mortuorum, czyli trupnica padlinowa. Ta obok to mucha mięsna. Diptera, zwana popularnie plujką. Potrafi wyczuć zwłoki zaledwie kilka

minut po śmierci człowieka. Zwykle jest pierwsza i natychmiast znosi jaja we wszystkich naturalnych otworach i ranach. Po zaledwie dobie wylęgają się larwy, które rosną i pożerają wszystko przez sześć dni, po czym opuszczają zwłoki i przepoczwarczają się w ziemi.

Jan wpatrywał się w nic niemówiące mu truchła larw, które co najwyżej pamiętał z czasów, kiedy razem z Henrykiem chodzili nad Rudawę łowić ryby.

– A ta to mucha trumienna. Potrafi przekopać się przez ziemię, by dostać się do zwłok – kontynuował Henryk.

– Ciekawa menażeria – skwitował Jan z udawanym uśmiechem.

Dało się jednak odczuć, że zdanie to jest przykrywką dla zadania pytania, a uzyskanie na nie odpowiedzi stanowi główny cel wizyty. Henryk starał się jak mógł odwlec moment, w którym to pytanie padnie, zdobył się więc na kolejną porcję swej wiedzy tajemnej.

– Ciało ludzkie zaczyna się rozkładać cztery minuty po śmierci. Już martwe, staje się stołem biesiadnym dla innych organizmów. Zanim na miejscu zbrodni pojawi się policja, pierwszymi są muchy.

Przez chwilę milczeli, po czym Jan wlepił wzrok w twarz przyjaciela, jakby chcąc z jego reakcji odczytać więcej niż to, co mógł się spodziewać usłyszeć. Obaj doskonale wiedzieli, że Jan nie przyszedł tu, aby wysłuchać wykładu o robakach.

– Henryku, wczoraj ojciec powiedział mi, że matka została zamordowana, to prawda?

– Nie wiedziałeś? – spytał Henryk, choć dobrze się orientował, że okolicznościom śmierci matki Jana postanowiono nie nadawać rozgłosu.

– Nikt mi wcześniej nie powiedział.

– Tak... Z oględzin wynikało, że było to okrutne morderstwo. Bardzo mi przykro – rzekł Skarżyński, unikając wzroku Jana.

– A czy będę mógł zobaczyć wyniki obdukcji ze śledztwa?

– To wewnętrzne materiały policji. Musiałbyś oficjalnie poprosić o zgodę.

– Nawet ja, syn?

– Nawet ty. Jeszcze raz, przykro mi. Mogę powiedzieć tylko tyle, że zgon

nastąpił na skutek uduszenia.

– Ty robiłeś sekcję?

– Przy obdukcji był inny lekarz. A poza tym twój ojciec nie życzył sobie sekcji...

– Ojciec! – parsknął wściekle Jan.

Z drugiego pomieszczenia wyłoniła się Weronika.

– On ją bardzo kochał, a dobrze wie, jak wyglądają sekcje – powiedziała łagodnie.

– Jeżeli to było morderstwo, to dlaczego nikogo to nie interesuje?

– Sprawę umorzono, nie było świadków. Nic nie ukradziono. Twoja matka nie miała wrogów. Morderca się rozplątał. Trudno było dociec, jakimi motywami się kierował. W śledztwie stwierdzono też, że większość potencjalnych śladów została niestety zdeptana podczas powstałego zamieszania. Jestem tylko policyjnym lekarzem, wykonuję sekcje zwłok.

– Jak to? Zdeptano ślady? Brak świadków? To można nazwać w ogóle jakimś śledztwem? – Jan niemal krzyczał.

– Janie, tu Wydział Medycyny Sądowej działa dopiero od dwóch lat. Nasz zwierzchnik, komisarz Rudolf Jelinek, jest sceptyczny wobec daktyloskopii, toksykologii, grafologii czy analizy serologicznej... nawet wobec fotografii śledczej. Wierzy tylko we frenologię Galla połączoną z antropometrią Bertillona i nauką Lombroso o urodzonych mordercach.

– Daktyloskopię i toksykologię na Dalekim Wschodzie stosuje się od lat... To nawet ja wiem...

– Działa już Instytut Kryminalistyki w Grazu, dwa lata temu w Lozannie powstał Instytut Nauk Policyjnych, kryminalistyka stawia pierwsze kroki w Wiedniu, Berlinie, nawet we Lwowie, ale u nas to wszystko dopiero raczkuje. Mamy co prawda wybitnych naukowców. Wielką postać, odkrywcę metody wykrywania śladów krwi, nieżyjącego już profesora Tejchmanna, docenta Leona Wachholza czy profesora Blumenstoka-Halbana. Jednak komisarz Jelinek bez przerwy mierzy złapanych przestępców, zakładając, że znajdzie kolejnego zbrodniarza, obserwując, który z podejrzanych ma dziwne

kształty ciała, wskazujące jego wrodzone skłonności do zbrodni.

– To przecież żałosne! Trzeba to zmienić! To tak, jakby występować przeciwko elektryczności, kolei żelaznej czy automobilom! Morderca nie może pozostać bezkarny! Wierz mi, znajdę mordercę mojej matki!

Jan powiedział to tak zdecydowanie, tak mocnym głosem, że jego słowa długo odbijały się od zimnych ścian, przeszklonych gablot, słojów i półek laboratorium. Po czym zapanowało milczenie. Jan wydawał się zatopiony w myślach. Weronika i Henryk przyglądali mu się w ciszy, nie chcąc ingerować w jego cierpienie. Po chwili Jan wstał, podszedł do ściany i odwrócony do nich plecami, zapytał:

– O tym, że Konstancja żyje, też wiedzieliście?

Pytanie wypowiedziane było spokojnym, pełnym rezygnacji głosem. Jan odwrócił się i popatrzył na swoich przyjaciół. Nie oczekiwał odpowiedzi, była wypisana na ich twarzach.

Kiedy wydawało się, że rozmowa, a może nawet ich pierwsze po sześciu latach spotkanie dobiegło końca, Henryk powiedział neutralnym tonem:

– W świetle pewnych okoliczności istnieje jakaś szansa, żeby sprawą twojej matki zająć się na nowo, ale...

Henryk nie dokończył zdania, ponieważ drzwi laboratorium otworzyły się i stanął w nich asystent Kazanecki z obłędem w oczach i spoconą, czerwoną twarzą.

Za nim stało dwóch posępnych noszowych o niezmiennych, beznamiętnych spojrzeniach, którzy widzieli już tyle, że nic nie było w stanie zmącić ich spokoju.

Na noszach, jak zwykle, powinno spoczywać ciało denata bądź denatki. Jednak tym razem kształt tego, co znajdowało się pod szarym kocem, nie przypominał leżących na wznak zwłok.

Na stole sekcyjnym leżały, a raczej siedziały dwa kobiece trupy. Skulone ciała były skrępowane łańcuchem, plecami do siebie. Skarzyński kazał wcześniej rozebrać delikatnie beczkę, tak aby dało się wyjąć ciała, nie uszkadzając ich.

Zatrudnieni do tej czynności dwaj ponurzy pomocnicy doktora mocno się uprzednio znieczulili alkoholem, aby doprowadzić poleczone im zadanie do końca, a i tak doktor Skarzyński musiał im z własnego funduszu wypłacić po dwie korony ekstra. Zapach zgniłej tkanki zdążył jako tako wywietrzeć, ale i tak dwoje Skarzyńskich musiało osłonić sobie nosy i usta chirurgicznymi maseczkami nasączonymi octem, który cokolwiek łagodził fetor.

Wszystkiemu przyglądał się Jan, który ku zdziwieniu rodzeństwa całość tej makabry znosił zadziwiająco dobrze. Kiedy oni uwijali się przy czynnościach przypisanych medycynie sądowej, Jan przypomniał sobie setki zmasakrowanych zwłok, jakie przyszło mu oglądać w Chinach podczas rewolty zwanej powstaniem bokserów, kiedy to nakazano wymordować wszystkich cudzoziemców. Widział misjonarzy katolickich z odrąbanymi głowami. Poderżnięte gardła europejskich dyplomatów, setki trupów chińskich kobiet, które masowo popełniały samobójstwa, nie chcąc wpaść w ręce żołnierzy wojsk korpusu ekspedycyjnego, bądź zhańbionych i bestialsko zamordowanych kobiet i dziewcząt, które wpadły w ręce powstańców po zdobyciu Zakazanego Miasta.

Weronika siedziała przy jednym z przystosowanych do chemicznych eksperymentów biurek i za pomocą jakichś odczynników badała białą substancję, którą pokryte były zwłoki. Jej brat stał już przy stole, gotowy do wykonania niecodziennej obdukcji. Poprawił na sobie duży, sięgający mu prawie po kostki, gumowany fartuch, uprzednio założywszy rękawice. Podwinął rękawy koszuli i sięgnął po wielkie nożyce do metalu. Z dużym wysiłkiem przystąpił do rozcinania krępującego ciała łańcucha.

– Spójrz, proszę, Henryku – powiedziała Weronika, unosząc swoje bystre oczy osłonięte ochronnymi okularami, podobnymi nieco do tych, jakich używają automobiliści.

Skarżyński odłożył nożyce, podszedł i przyjrzał się trzymanej przez siostrę próbówce.

– Widzisz? – spytała Weronika. – To wodorotlenek wapnia, tak zwane wapno gaszone. Substancja silnie żrąca. W tym zostały zanurzone ofiary. Wapno miało rozpuścić zwłoki.

– Ciekawe. Pewnie dla zatarcia śladów i utrudnienia ewentualnej identyfikacji.

Skarżyński wrócił do rozcinania łańcucha, ale nadal nie bardzo mógł sobie z tym poradzić, bo zwłoki kobiet ciągle przesuwwały się po stole sekcyjnym. W końcu po kilku próbach poprosił Weronikę o pomoc. Ale wtedy odezwał się Jan:

– Pomogę ci.

– Trzeba mieć mocne nerwy.

– Spokojnie. Widziałem w Chinach niejedną makabrę. Jeśli myślisz, że mnie zniechęcisz, to się mylisz.

– Zbyt dobrze cię znam, żeby o tym nie wiedzieć – rzucił Henryk. – Załóż, proszę, ten gumowy fartuch i rękawice.

Jan wykonał polecenie i stanął obok Henryka. Przycisnął swoim ciężarem martwe ciała i unieruchomił je. Wtedy udało się Skarżyńskiemu przeciąć w czterech miejscach łańcuch.

Uwolnionym ciałom Skarżyński przyjrzał się za pomocą szkła powiększającego.

– Na szyi jednej z nich mamy wyraźny ślad. Znowu... uduszenie...

– Na obu ciałach są jakieś nacięcia... – zauważyła Weronika.

– Tak, na obu prawie identyczne... – potwierdził Henryk. – O tu, na plecach jest jedno długie nacięcie, od lewego pośladka aż do prawego barku, a na drugim ciele odwrotnie... od prawego pośladka do lewego barku... Zadziwiająca symetria.

– Ale popatrz... od tych długich cięć odchodzą pod kątem nacięcia mniejsze.
– I na obu ciałach jest tych nacięć tyle samo, po jednaście. Raz, dwa, trzy, cztery, pięć, po pięć z lewej strony długiego nacięcia i po sześć z prawej... To chyba ma coś znaczyć. Ale co? – Henryk długo jeszcze patrzył na plecy obu ofiar.

– Niebawem, nigdy o czymś takim nie słyszałam. Trzeba wezwać fotografa.

– Nie będzie zadowolony, nie lubi takiej makabry.

– Trudno, nie ja mu wybierałam pracę.

Jan podszedł do stołu i przyjrzał się zwłokom.

– Gdybyśmy byli w Chinach, to określiłbym to jako efekt kary tysiąca cięć.

– Co to takiego? – zdziwiła się Weronika.

– To jedna z powszechnych kar, jaką stosuje się tam wobec zdrajców. Polega na przywiązaniu skazanego do drewnianego pala i wystawieniu go na widok publiczny. Potem kat metodycznie odcina nożem fragmenty ciała. Taki proceder trwa często cały dzień. Dodatkowo skazańcowi podaje się specjalną miksturę, która ma wyostrzyć jego zmysły, żeby bardziej czuł zadawane mu cierpienia.

Weronika spojrzała na Jana z niepokojem. Powiedział to w sposób tak obojętny i bez wyrazu, jak osoba pozbawiona jakichkolwiek uczuć. Jan zauważył to w jej oczach i szybko zmienił temat.

– Powiedziałaś, że na szyi jednej z nich znowu jest wyraźny ślad... uduszenia...? Znowu?

Henryk uniósł wzrok znad stołu i zbliżył się do Jana.

– W ciągu ostatniego półrocza w sposób dość osobliwy zamordowano kilka kobiet. Dwie z nich zostały uduszone metalowym drutem. Niewykluczone, że i te, choć ze względu na rozkład tkanki nie jestem w stanie określić tego jednoznacznie. Dodatkowo kilka metrów pod nami, w kostnicy, mam jeszcze dwa ciała osób, które też zostały zamordowane w podobny sposób.

– Czy wśród wymienionych przez ciebie ofiar jest moja matka? – spytał zduszonym głosem Jan.

Henryk spojrzał na niego, zastanawiając się, co ma odpowiedzieć. W końcu, uciekając wzrokiem, odparł cicho:

– Tak. Niewykluczone. Ze względu na to, że w pewnym stopniu mamy tutaj do czynienia z podobnym modus operandi. Dodając jeszcze kilka innych zaistniałych okoliczności, można by przyjąć, że mordercą tych wszystkich kobiet jest jedna i ta sama osoba.

Przez ciało Jana przebiegł dreszcz. A więc morderca jego matki działa w Krakowie. Morduje kolejne kobiety. Ale kim jest?

– Muszę przejrzeć policyjne akta...

– Janie, mówiłem już...

Jan odepchnął Skarzyńskiego i ruszył zdecydowanym krokiem w kierunku drzwi. Czuł się niejako zdradzony. Jego przyjaciel zakłada, że matka została zamordowana, a jednocześnie robi mu jakieś formalne problemy z dostępem do policyjnych akt? Nie żegnając się z przyjaciółmi, trzasnął drzwiami i wyszedł na korytarz. Zrzucił gumowe rękawice i patrząc przez okno, palił papierosa. Po chwili drzwi się otworzyły i wyszła zza nich Weronika, trzymając pod pachą teczkę, o którą zabiegał.

Kilka godzin później Jan wraz z Henrykiem przeglądali policyjne fotografie dokumentujące ofiary ostatnich zdarzeń. Pobladły i zdenerwowany Jan zapisywał fragmenty z policyjnego raportu powstałego na miejscu zbrodni w Szczawnicy.

Tymczasem Henryk kolejny raz czytał swoje notatki z dotychczasowych sekcji. Linie cięć na zwłokach wydobytych z beczki kobiet układały się w jakiś wzór. Nie wiedział jednak, czy to efekt przypadkowego cięcia nożem wykonanego przez zwyrodnialca znęcającego się nad ofiarą, czy jakieś celowe, rytualne oznaczenie zwłok.

Na jednym z biurk rozłożył karton i na podstawie fotografii odtworzył ołówkiem wzór.

– Wygląda jak nacięcia na kolbie myśliwskiej strzelby – zwrócił się do siedzącej przy mikroskopie Weroniki.

– No ale nacięć jest więcej niż ofiar. Mamy na razie cztery ofiary, a licząc nieszczęsną panią Korycką, pięć. Chyba że Jelinek wycisnie z Hrycia coś więcej – powiedziała Weronika.

– Coś mi mówi, że Hryć akurat w sprawie tych zbrodni nie kłamie. – Henryk raz jeszcze spojrział na wybrane fotografie.

Weronika wstała od mikroskopu i podeszła do brata.

– Spójrz, to wygląda jak rybi szkielet – rzekła, przyjrzawszy się wykonanemu przez niego szkicowi.

Henryk odwracał na różne strony swój rysunek, nie znajdując w nim nic sensownego.

– Albo może paproć – rzucił Jan, przyglądający się działaniom rodzeństwa.

Henryk spojrział na jedną z fotografii, po czym raz jeszcze na swój rysunek.

W istocie, cięcia nieco przypominały pozostawiony w kamieniu odcisk paproci, jakie można oglądać w geologicznych kolekcjach i muzeach historii naturalnej.

Nagle go olśniło.

– Zaraz, zaraz... Gdzie się podział ten knebel znaleziony w ustach wyłowionej w parku głowy denatki?

Weronika podeszła do jednego z regałów i wydobyła z niego niewielki szklany pojemnik z oznaczonym za pomocą ciemnego tuszu numerem. Potem podeszła do Henryka i podała mu naczynie. Henryk sięgnął po pincetę. Drugą ręką chwycił szkło powiększające.

– Może to nie jest zwykły knebel? – powiedział, przyglądając się bliżej kawałkom wyschniętej rośliny.

– Co masz na myśli? – spytała Weronika.

– W zawiniątku Łucji Muraszki też były podobne resztki zeschniętych liści, ale wzięliśmy to za pozostałości pędów jakichś ziół – powiedział Henryk, po czym ruszył do wysokiego, stojącego w rogu gabinetu regału z książkami. Stanął przed nim i wiodąc palcem po kolejnych tomach, zatrzymał się na jednym z nich. Zaczął wertować oprawiony w brązową skórę tom, na którego grzbiecie złożonymi literami wyciśnięto tytuł *Bothanica*.

Książka zawierała szereg ilustracji ze szczegółowym opisem drzew, liści, owoców i korzeni. Przy czym na załączonych mapach zaznaczony był też zasięg ich występowania.

– Die Echte Dattelpalme (Phoenix dactylifera) – przeczytał na samej górze jednej z ilustrowanych stron, która w całości poświęcona była interesującej go roślinie. – Czyli po polsku... palma daktylowa.

Rycina przedstawiająca liść palmy zgadzała się z odwzorowanym przez Henryka sposobem nacięć na ciałach ofiar wyciągniętych z beczki.

– Trzeba by resztki tych liści dać do zbadania jakiemuś botanikowi – stwierdził Henryk, wkładając z powrotem do szklanego naczynia kawałek podłużnego, wyschniętego liścia.

– No dobrze, ale jeśli nawet ktoś to potwierdzi, to co to oznacza? – spytała Weronika, wpatrując się kolejno w karton z rysunkiem brata, w policyjną fotografię i w ilustrację w książce. Czuła, że odkryli coś istotnego.

– Nie wiem. Ale jeśli się okaże, że liście palmy nie są tu przypadkowe, to z pewnością mamy do czynienia z jakimś kodem. I wątpię, żeby prosty chłop spod Krakowa, jakim jest Hryć, silił się na wymyślne pozostawianie śladów, których znaczenia jeszcze nie znamy.

– Pan komisarz Jelinek będzie nierad. Już swojego podejrzanego zdążył w głębi ducha skazać i powiesić – rzuciła z ironią Weronika.

– No tak, czeka nas w takim razie jeszcze dużo pracy. Żadnych innych poszlak nie mamy. Jeśli nie Hryć, to kto? Plebs w mieście już zdążył rozpuścić plotkę, że Żydzi mordują dziewczyny w beczkach na macę – dodał Henryk. – Jeśli nie wyjaśnimy tej zagadki, to w Krakowie może być źle...

– To przykre dla rozumu – zachnęła się Weronika. – Przez takie plotki dwa lata temu w Kiszyniowie motłoch puścił z dymem całą żydowską dzielnicę. Chyba tego byśmy w Krakowie nie chcieli?

– Wątpię, żeby tu chodziło o ofiary jakiegoś wydumanego zabobonu, jednak niewykluczone, że ktoś może chcieć, byśmy tak myśleli...

Pociąg włókł się niemiłosiernie. Gdyby ktoś z okien wagonu chciał się zachwycić widokami natury, miałby z tej powolności jakąś przyjemność, ale Jan był daleki od podziwiania krajobrazu. Do Szczawnicy było dziewięćdziesiąt kilometrów, a podróż zajęła ponad trzy godziny.

Wsiadł na małej stacyjce około godziny dziesiątej. O tej porze roku w kurorcie było pusto i smętnie. Jan nie skorzystał z propozycji podwiezienia przez fiakra, ubranego w góralski strój i zarzuciwszy swoją marynarską torbę przez ramię, ruszył pieszo. Miasteczko spało, nieliczni górale snuli się po uzdrowisku, czekając na zew, czyli najazd kuracjuszy.

Do pensjonatu Maria dotarł po półgodzinie. Pensjonat zbudowano na łagodnym stoku w dużym parku. Był to spory „kurhaus” z centralnym budynkiem, mieszczącym kuchnię, jadalnię i małą salę balową oraz kilkoma drewnianymi willami w parku.

W holu wejściowym było pusto i cicho, poza młodym służącym, który leniwie wycierał szybki w przeszklonych drzwiach. Służący spod oka otaksował przybysza, a nie widząc w nim gościa pensjonatu, bez odrywania się od swoich czynności rzucił tylko przez ramię:

– Pan zaczeka, recepcjonista zaraz przyjdzie.

Jan kiwnął głową, że rozumie, i rozejrzał się po holu. Strojny, luksusowy garnitur mebli zapowiadał wysokie ceny i tym samym bogatych gości. Po chwili pojawił się recepcjonista – pięćdziesięcioletni pan ze starannie wypielęgnowanymi bokobrodami w stylu Franciszka Józefa. Jan przedstawił się i pokazał fotografię matki, którą wyjął z kieszeni kurtki.

– Niestety, przykro mi, panie Edigey, ale wiem tylko, że pańska matka mieszkała u nas i że... znaleziono ją martwą. Bardzo mi przykro.

– A może ktoś matkę odwiedzał? Miała tu jakichś bliskich znajomych? Bywała gdzieś... w innych pensjonatach?

– Naprawdę nic więcej nie wiem. Pełniejszych informacji mógłby zapewne udzielić panu pan dyrektor, ale wyjechał do rodziny za kordon.

Jan schował fotografię, podziękował za rozmowę i wyszedł przed willę. Miał już opuścić teren, już naciskał klamkę kutej w secesyjne wzory furtki, gdy dogonił go służący, ten, który czyścił szybki w drzwiach.

– Stańmy może tutaj, za rogiem... – Lekko pociągnął Jana za rękaw. – Po co mają nas widzieć razem. Niech się pan redaktor nie dziwi. Ostatnio nasz pensjonat nie ma dobrej prasy. Dyrektor oczywiście jest, tylko kazał nikomu nic nie mówić. Pan redaktor rozumie...

– Nie jestem z gazety. Nazywam się Jan Edigey. W tym hotelu pod koniec listopada została zamordowana moja matka.

– A, to co innego.

Służący rozejrzał się i dostrzegł, że obserwuje ich recepcjonista, który wyszedł na ganek i palił papierosa. Chłopak rzucił się do furtki i otworzył ją na oścież, a kłaniając się nisko, jakby żegnając szanownego gościa, powtórzył trzy razy:

– Do widzenia szanownemu panu.

Po czym dodał ciszej, odwracając głowę od obserwującego ich recepcjonisty:

– Niech pan przyjdzie za kwadrans do altany w Domu Zdrojowym. Do tej altanki koło źródła Zofia.

Ulica była pusta, a i w samym Domu Zdrojowym nikogo, choć źródło działało. Może i są tu jednak jacyś kuracjusze, ale widać godzina dla nich za wczesna – pomyślał Jan. Wziął kubek, napełnił go wodą z masywnego mosiężnego kranu i poszedł do małej drewnianej altanki. Położona była rzeczywiście obok naturalnego źródła, które wypływało z małego wzniesienia, zaczynającego się tuż za altanką. Usiadł w środku na ławce i napił się łyk wody. Okazała się okropna w smaku, jak wszystko, co jest podobno dobre dla zdrowia.

Po kilku minutach pojawił się służący z domu wczasowego, miał z sobą wielką pustą butlę.

– Pamiętam dobrze pana matkę. Pani Cecylia to piękna i dobra kobieta

była. Strasznie żeśmy jej tu żalowali. Grała pięknie na fortepianie dla nielicznych jesienią gości i służby. Ten dzień też dobrze pamiętam. Rano jeszcze napełniłem dla niej karafkę wodą z tego źródła. Było pochmurno i wiał silny, zimny wiatr. Omal nie rozbiłem wtedy tej butli. Pamiętam, że był wtorek dwudziesty drugi listopada. To był akurat dzień jej imienin. Dobrze wiem, bo moja siostra też jest Cecylia, dwudziesty drugi listopada. I jeszcze chowaliśmy wtedy starego ogrodnika Józefa Zarembę, który pracował tutaj podobno od początku.

– Pana Zarembę pamiętam jeszcze z dzieciństwa. Bywałem tutaj prawie rokrocznie.

– Tak, tak. Poczciwy był z niego człowiek. Pani Cecylia zgodziła się za darmo zagrać na organach mszę żałobną na jego pogrzebie. Nie poszła jednak na cmentarz, bo się źle czuła przez ten ziąb. No i następnego dnia takie nieszczęście. Tak jakby sobie tą żałobną muzyką śmierć zapowiedziała.

– Ktoś mieszkał później w jej pokoju?

– Nie. Najpierw to policja zabroniła, a teraz to i tak nie mamy właściwie gości.

– Możesz załatwić klucz? – zapytał Jan.

– O, z tym to może być ciężko... – dramatycznie westchnął chłopak.

Jan sięgnął po portmonetkę, wydobyl dziesięć koron w banknocie i wcisnął je w dłoń chłopaka.

– No, to za piętnaście minut, od strony lasu, pan wie, tam gdzie stara studnia. Za kwadrans, bo jeszcze dla niepoznaki napełnię tę butlę. Tam nie ma płotu, tylko trzeba zejść od pensjonatu Różyczka.

– Znam drogę – zapewnił go Jan.

Chłopak ruszył żwawo do Domu Zdrojowego, taszcząc ze sobą szklaną butlę, jeszcze pustą. Jan szedł wolno. Napłynęły wspomnienia z dzieciństwa i zawsze w ich centrum była matka. Nie pamiętał żadnych zabaw, żartów i przygód z ojcem, jedynie z matką. Nawet tutaj, w tej malutkiej miejscowości potrafiła otworzyć przed nim tajemniczy świat. Znała chyba wszystkie rośliny świata i wszystkie stworzenia – te fruwające, biegające i te, co żyły w ziemi. Czasem

myślał, że matka jest częścią przyrody, że drzewa, trawy i jaszczurki są jej braćmi.

Ale też tak je traktowała, jak starszych braci. Wyniosła to przekonanie z Syberii, tamtejsi ludzie tak właśnie rozumieją świat i Boga. Pamiętał pomagającego w prowadzeniu domu Jefima Pawłowicza. Starego Rosjanina, który nie miał połowy twarzy. „Poszarpaliśmy się z niedźwiedziem” – odpowiedział kiedyś, zapytany o przyczynę swojego okaleczenia. Właśnie tak. Nie powiedział: poszarpał czy zaatakował mnie niedźwiedź. Tylko „poszarpaliśmy się z niedźwiedziem”. Jakby obaj byli częścią klanu i weszli w nieistotny spór, nie robiąc sobie o to po latach wyrzutów. Takich zapamiętał ludzi z Syberii. I taka też była jego matka. Ojciec był zrodzony przez kulturę, matka przez ziemię.

Służącego zastał przy starej studni, zadowolonego i potrzęsającego pękiem kluczy. Milcząc, podeszli pod starą willę. Służący rozejrzał się wokół, po czym uspokojony, że nikogo nie dostrzegł, szybko otworzył drzwi. Willa była piętrowa, miała do dyspozycji gości trzy pokoje.

– Pana matka zajmowała pokój od wschodniej strony – powiedział chłopak.

Weszli po schodach na górę. Jan znalazł się w miejscu, gdzie zamordowano mu matkę. Kiedyś nie powstrzymałby łez. Teraz wystarczyło lekko zacisnąć szczęki, by stłumić buzujące emocje.

Pokój był skromny, pod ścianą stał potężny kafłowy piec, teraz zimny, ale świadczący, że w najcieńsze mrozy w pokoju mogło być ciepło. Wszystkie meble zasłane były pokrowcami, mającymi je chronić od kurzu. W pomieszczeniu panował półmrok, jednak służący sprawnie odsunął kotary, wpuszczając światło.

Jan stał pośrodku pokoju, z namysłem, powoli przyglądając się meblom i przestrzeni – jakby oglądał teatralną dekorację, w której rozegrał się dramat.

– No, tak tu wtedy było, nic nie zmienialiśmy – powiedział służący.

Jan wyciągnął rękę, w której miał spory zwitek banknotów. Służący wziął pieniądze i schował do ceratowego portfela. I nie dziękując, nie komentując tego napiwku, mówił dalej:

– Wszystko jest tak, jak było. Matka pańska leżała tutaj, obok otomany, twarz miała przykrytą chustą. Ubrana była w koszulę nocną do kostek, spod której wystawały bosc stopy. Znalazła ją następnego dnia rano pokojówka i zemdlła. Jak tu zajrzałem, to zobaczyłem dwie kobiety leżące na podłodze. Przeraziłem się, że to może zaccadzenie, bo z piecem nigdy nie wiadomo... Zaraz pobiegłem po dyrektora, posłali po lekarza. Ale pani Cecylia już nie żyła.

Jan oparł się o framugę drzwi i nadal lustrował pomieszczenie, nie zwracając uwagi na słuźącego.

– Pewnie chciał okraść pensjonat, korzystając, że właściwie wszyscy byli na pogrzebie starego Zaremby, ale to chyba musiałby wiedzieć o pogrzebie, czy jak?

– A w trakcie pobytu moją matkę ktoś odwiedzał? Z kimś się spotykała?

– W pensjonacie to nikt. Chyba że w Domu Zdrojowym...

– A czy ktoś podejrzany nie kręcił się w tych dniach po pensjonacie?

– Eee... Listopad to już mało popularny czas. Więcej gości zacznie zajeźdzać dopiero pod koniec maja. Mieszkało u nas wtedy starsze państwo z Krakowa. I jeszcze wdowa, pani Kącka, ze słuźącą i chorą córką. Ale tego dnia akurat ich nie było. Poza tym nikt szczególny.

Podczas tej rozmowy Jan chodził i rozglądał się po pokoju. Jeszcze raz spojrział na duże drewniane łóżko, bo coś zwróciło jego uwagę. Łóżko zdobione było u wezłłowia w secesyjne roślinne motywy, wykonane z miedzi i zielonego kamienia. Jan ze zdumieniem stwierdził, że zdobienia miały kształt... palmowych liści. Zauważył naderwany fragment zdobienia, jakby odłamany. Zapytał słuźącego, czy od dawna istnieje to uszkodzenie, ale ten odpowiedział, że nie pamięta, że gdyby nie Jan, w ogóle by tego nie zauważył. Kiedy Jan przyjrzał się bliżej wezłłowiu łóżka, spostrzegł, że fragment liścia nie odpadł sam, że ktoś musiał wydłubać go nożem i na siłę oderwać. Przeszedł go dreszcz. Mój Boże, znowu motyw palmy – pomyślał.

Obok oderwanego fragmentu był drugi kawałek, naderwany, który trzymał się dosłownie na włosku. Jan sięgnął po nóż. Słuźący zamarł w bezruchu, tego się nie spodziewał, a tymczasem gość odciął nożem ów naderwany kawałek i

schował go do kieszeni.

W czasie tych oględzin służący, po chwili przerażenia nożem, doszedł do siebie i znowu zaczął opowiadać.

– Pani Cecylia, jak wróciła zaraz po mszy żałobnej, musiała go spłoszyć. Pewnie krzyczała, chciała wzywać pomocy, wtedy ten ją zamordował. I uciekł przez okno. Nikt go nie widział, bo od tej strony las się zaczyna.

Jan podszedł do okna. Tuż za oknem rosły dwa świerki i trzy jodły. Ale za tymi drzewami była pustka, tylko mały kwiatowy klomb pośrodku kawałka ziemi porośniętego trawą świadczył, że nie jest to las, a uprawiany ogród. Jan otworzył okno, świeże powietrze owionęło cały pokój, i o dziwo, zrobiło się nawet cieplej, bo nieopalaný apartament trzymał temperaturę zimowych miesięcy. Wychylił się z okna. Spozrzegł, że było dość wysoko do ziemi, bo willa stała na wysokiej podmurówce z kamienia. Pokoje też były wysokie. Zauważył również, że wzdłuż ściany, tuż przy oknie, biegł solidny piorunochron i rynna. Wychyliwszy się jeszcze mocniej, dostrzegł na rynnie, na wysokości okna, lekkie wgniecenie. Na zewnątrz pod oknem była goła ziemia, ledwo porośnięta trawą. Na framudze okna znalazł rozmazane błoto.

– I nie złapali go do dzisiaj. Takich mamy policjantów, proszę pana! – znów odezwał się służący, widać napiwek był tak duży, że chciał go sumiennie odpracować. – A na początku to nawet podejrzewali kogoś ze służby! Wyobraża pan sobie? Eh, ostatnio to jakiś zły czas.

Nagle, zajęty swoim gadaniem, zauważył, że Jan pakuje do podszewki karafkę i szklanki ze stolika.

– Przepraszam, ale co pan robi? Te rzeczy należą do pensjonatu. Mogę mieć nieprzyjemności.

Jan, nie zwracając uwagi na chłopaka, spokojnie powkładał rzeczy do marynarskiej torby.

– Jakoś to wytłumaczysz. I nie narzekaj na zły czas. Dzisiaj sporo zarobiłeś.

Jan wysiadł z pociągu i od razu ruszył do Ypsylona. Był głodny, a poza tym chciał odpocząć po przeżyciach ostatnich godzin. Przed hotelem znów coś się działo i zrobiło się zbiegowisko. Przed wejściem stało kilkunastu okolicznych złodziejaskowatych typów i kilku spragnionych silnych wrażeń jegomościów, którzy zapędzili się w to podejrzanе miejsce dla ulżenia swym chuciom.

W centrum zbiegowiska stała stara kobieta w czarnej sukni, która prawie krzycząc, głosiła ostrym wysokim głosem:

– „A ja powiadam wam, że każdy, który patrzy na niewiastę, aby jej pożądał, już ją scudzołożył w sercu swoim. Jeśli więc prawe oko twoje gorszy cię, wyrwij je i odrzuć od siebie, albowiem pożyteczniej jest tobie, aby zginął jeden z członków twoich, niżby całe ciało twoje miało być wrzucone do piekła. A jeśli cię prawa ręka twoja gorszy”...

Jan przystanął nieopodal i patrzył. Do starej kobiety przecisnęła się przez tłumek krzykliwie ubrana starsza prostytutka.

– A idźże, idźże stąd, stara! Ale już!

Jakiś młody obdartus wrzasnął:

– Interes psujesz panienkom!

Tłumek zarechotał. Pojawił się barman Fritz.

– Tutaj jest hotel i ma być porządek. Nie potrzebuję tu policji. Poszli stąd!

I na potwierdzenie swej determinacji wyciągnął z za siebie gruby, kilkużyłowy kabel, długości ponad pół metra.

– No już mi! Bo mój regulator porządku się denerwuje. – I na potwierdzenie energii kabla potrząsnął nim w powietrzu.

Tego „regulatora porządku” barman nie używał za często, ale w okolicy krążyły legendy o tym, jak sprawnie potrafi nim władać. Gapie więc z respektem cofnęli się o kilka kroków. Jednak prostytutka, nic sobie nie robiąc z gróźb barmana, przeszła do rękoczynów i popchnęła starą kobietę.

– Poszła precz, swojego chłopca już wykończyłaś, a syna przez ciebie zamknęli. Stara wariatka!

Barman rozdzielił kobiety, po czym ostro gwizdnął na palcach. I nie wiedzieć skąd, pojawiło się dwóch wyrosniętych drabów, którzy bez słowa wkroczyli w tłum.

– Było mówione, poszli stąd? – spytał jeden z nich, chwytając za gardło rozbawionego korpulentnego gościa w wytartym garniturku.

Jegomość nagle spokorniał. Zamrugnął nerwowo, a kiedy drab zdjął swe łapy z jego gardła, spieszenie oddalił się z tłumem. W tym czasie pozostali byli bacznie obserwowani przez drugiego oprycha. Ten łypał na nich czarnymi oczami, które wzbudzały wśród zebranych jakiś atawistyczny lęk, nabyty być może w czasach, gdy człowiek chował się w jaskiniach przed prehistorycznymi monstrami.

Niebawem wszyscy zgromadzeni cichcem rozeszli się i oddalili sprzed hotelu.

Stara pozbierała się z trotuaru, mamrocąc coś do siebie. Poszła w głąb ulicy, od czasu do czasu wykrzykując pojedyncze słowa bez sensu i składu. prostytutka natomiast, wychodząc z założenia, że jest w pracy na swoim terenie, przechadzała się chodnikiem koło hotelu, wymachując małą torebką.

Przyglądający się z boku całemu zdarzeniu Jan podszedł do Fritza, który trzymał w ręku kabel, zwisający wzdłuż jego nogi jakby po dobrze spełnionym obowiązku.

– Dobry wieczór, Fritz!

Barman spojrzał na Jana i ocenił w myślach, że lokator jego hotelu wygląda na zmęczonego, więc kiwnął głową, zapraszając go do baru. Kiedy Jan się usadowił, Fritz postawił przed nim talerz gulaszu i dwie solidne pajdy chleba.

– Kto to był? – zapytał Jan, zabierając się do gulaszu.

– Stara dewotka. Wdowa po jakimś urzędniczynie. Mieszka od paru lat w małym domku na rogu. Ma syna w wariatkowie. Mówi, że niedługo koniec świata i różne takie dziwactwa opowiada... Klienci się boją, a o klienta teraz ciężko, bo policja ostatnio mocno węższy, interesu normalnie prowadzić się nie

da. Szukają, przeszukują, dziwki wypytyują, zastraszają... A ty znalazłeś, czego szukasz? – spytał.

Jan nie zwrócił uwagi na pytanie zadane przez Fritza.

– Za kim policja tak węszy?

Fritz wyjął z paczki papierosa i włożył do ust.

– Na razie aresztowali jakiegoś łajzę, co to niby te dwie kobitki na Stradomiu miał do beczki z wapnem zapakować. Niejaki Hryć. Skurwiel, to fakt, ale patałach zarazem. Że to on jest tym mordercą, którego szuka policja z całej Galicji, to wątpię. Raczej jest kozłem ofiarnym, policja nie potrafi znaleźć prawdziwego mordercy, to tego przygłupa zamknęli. Zaraz się okaże, że ta głowa z sadzawki to też jego sprawka...

Jan wysłuchał fachowych spostrzeżeń Fritza, po czym spytał surowo i z jakąś groźną determinacją, dając do zrozumienia, że oczekuje szczerej odpowiedzi.

– A ty co myślisz, Fritz?

Fritz, z właściwym sobie spokojem, odpowiedział:

– Pełno teraz prostactwa do Krakowa ściągnęło, za robotą przed świętami. Opowiadają też ludzie, że to Żydzi z Kazimierza za tym stoją.

– A ty tak nie uważasz? No bo w istocie teraz u nich Pascha – lekko podpuszczał go Jan, zagryzając chleb.

– Że co? Że niby na macę te dziewczyny? Ha, ha... – zaśmiał się Fritz. – Prędeż na statki, a nie na macę.

– Na statki? – spytał zdziwiony Jan.

Fritz przyjrzał mu się z pobłażliwym uśmieszkiem.

– Niby pół świata zjechałeś i coś tam przeżyłeś, ale ciągle jesteś, byłeś i będziesz chłopakiem z dobrego domu. Z Kazimierza via Hamburg do Buenos Aires sprzedają pakunki od siedmiu do dwudziestu kilogramów.

Jan ciągle nie rozumiał.

– Waga oznacza wiek ofiary. Sprzedają je do argentyńskich lupanarów. „Sztuki jedwabiu” albo „dywany smyrneńskie” to ładne dziewczyny. „Krzyże brylantów” albo „Szkatułki z masy perłowej” – piękności. „Worek kartofli” to dziewczyny brzydkie i niezgrabne – rzeczowo wyjaśnił

Fritz, po czym na moment odszedł w drugi koniec baru, by obsłużyć jakiegoś klienta.

Kiedy tamten oddalił się z butelką wódki i talerzem pełnym zakąsek, Fritz wrócił do Jana.

– Pełno się tu szwenda jakichś typów – rzucił niby do siebie na temat klienta, który wydał mu się podejrzany. – Szpicel na szpiclu. Trzeba uważać, co się gada – dopowiedziawszy to, zaciągnął się głęboko papierosem.

Jan milczał. Fritz przyglądał się siedzącym przy stole typom, pośród których obok ostatnio obsłużonego siedział jeden z jego ochroniarzy o wzroku prehistorycznej bestii. Zmarszczył swoje czarne krzaczaste brwi i wydmuchnął dym z papierosa, a jego twarz znalazła się dokładnie w żółtym świetle naftowej lampy, wiszącej nad barem, uwydatniając każdą zmarszczkę.

– Idź na Kazimierz, tam dowiesz się więcej – powiedział Fritz, uznając wątek za zakończony.

Jan skończył dojadać gulasz. Z kieszeni wyciągnął plik banknotów. Był tak zmęczony, że kilka z nich upadło mu na podłogę, co zauważył jeden z biesiadujących typów, ten właśnie, który wydał się Fritzowi podejrzany. Jan podniósł banknot dwudziestokoronowy i zapłacił barmanowi.

– Byłem ci winien za pokój – powiedział i ruszył w stronę schodów.

Kiedy leżał już na swoim łóżku, usłyszał szmer wpychanej pod drzwi kartki.

Wstał, podniósł kartkę i otworzył drzwi. Za drzwiami jednak nikogo już nie było.

Z kartką w ręce podszedł do lampy. Koślawe, nierówne litery zapisane ołówkiem układały się w krótkie dwa zdania.

Chcesz pogadać o dywanach ze Smyrny?

Jutro ul. Estery róg Miodowej o trzeciej

W reprezentacyjnym gabinecie sędziego Augusta Iżewskiego, oprócz zapachu markowych cygar, dało się wyczuć powagę starej monarchii.

Sędzia siedział przy masywnym biurku, w ciężkim, obitym brązową skórą fotelu w stylu późnowiktoriańskim. Za jego plecami rozciągała się olbrzymia mapa. W jej prawym górnym rogu wytłoczono dwudzielny herb przedstawiający godło kraju. Sztywno krocząca w lewo czarna kawka, stojąca na poprzecznej czerwonej szarfie, pod którą na niebieskim tle widniały trzy złote korony. Był to wiadomy znak, że mapa odnosi się do Królestwa Galicji i Lodomerii. Znad mapy spoglądał opasany prostokątnymi, złotymi ramami portret cesarza Franciszka Józefa I.

Sędzia przez szkło powiększające przyglądał się przyniesionym przez Henryka fotografiom i notatkom. Młody doktor w tym czasie siedział w towarzystwie Jana i Weroniki przy stojącym w głębi gabinetu okrągłym stoliku.

Cała trójka, uprzednio wstępnie zreferowawszy swoje podejrzenia, czekała teraz na opinię gospodarza gabinetu.

– Tak – powiedział po namyśle sędzia. – To, co państwo mówicie, może mieć sens. W każdym przypadku występują odniesienia do palm. Jakiś znak firmowy? Swoisty podpis? Hryć jest za głupi na urządzenie takiego teatru. No i to, czego się obawiałem najbardziej. Tropy w istocie mogą wieść na Kazimierz.

Goście sędziego spojrzeli po sobie zdziwieni. Niemożliwe, żeby tytułarny radca dworu, August Iżewski, uległ antysemickim plotkom rodem ze społecznych nizin.

– Czy jest możliwe, żeby narzędziem, które zostało użyte do dokonania tych zbrodni, było coś w rodzaju garoty? – spytał sędzia, wyciągając rękę z fotografiami w kierunku Henryka.

– Tego nie możemy wykluczyć. Narzędziem mogła być prosta broń zaciskowa, jaką jest garota. Ona też zostawiłaby właśnie taki ślad –

odpowiedział Skarżyński.

Iżewski ciężko westchnął.

– A więc, niestety, prawdopodobnie doczekaliśmy się tego i w Krakowie...

Otworzył szufladę biurka i wyciągnął z niej sporą teczkę. Wstał i trzymając ją pod pachą, ruszył w kierunku stolika, przy którym siedziała trójka przyjaciół.

Kiedy zbliżył się, Henryk z Janem podnieśli się z krzesel, czekając, aż sędzia zajmie miejsce obok nich. Dopiero kiedy Iżewski przysunął się z krzesłem w kierunku blatu, również oni grzecznie usiedli za stołem.

Sędzia rozwiązał sznurki spinające teczkę, po czym zaczął z niej wyciągać kolejne dokumenty, fotografie, wycinki prasowe i raporty. Układając wszystkie te rzeczy na stole, zaczął mówić.

– Za kordonem, w Kongresówce i w zachodnich guberniach Rosji kwitnie proceder przemytu dziewczyn za ocean. Za tym procederem stoi tak zwane Warszawskie Towarzystwo Wzajemnej Pomocy – wyjaśniał sędzia, pokazując zebranych kolejne policyjne dokumenty i wycinki prasowe. – Organizacja ta, choć w założeniu miała parać się filantropią, w ostatnich latach stała się największą i najbardziej wpływową organizacją przestępczą w Ameryce Południowej. Jej trzon stanowią żydowscy stręczyciele, sutenerzy i właściciele domów publicznych, którzy wyspecjalizowali się w zwabianiu młodych dziewczyn w celu zmuszania ich do prostytucji. Znaczną część ofiar tych bandytów stanowią dziewczyny nieletnie, głównie wywodzące się z biedoty. Dziewczyny są wywożone głównie via Hamburg do Buenos Aires. Tam, w hotelu Palestina, oraz w Café Parisienne wystawia się je na sprzedaż, niczym na targu niewolników. Tam też dokonuje się wielce dochodowych dla stręczycieli transakcji.

Sędzia wydobyl z teczki kopertę, po czym wyjął z niej równo złożony list.

Rozłożył sygnowany pieczęciami firmowy papier z wizerunkiem cesarskiego orła i kontynuował swój wywód.

– Według danych, które ostatnio przekazał nam pan konsul Leopold von Andrian zu Werburg, w samej Argentynie proceder ten przynosi rocznie kilkadziesiąt milionów dolarów zysku. W samym zaś Buenos Aires

zarejestrowanych jest blisko tysiąc różnego rodzaju domów publicznych, a w brazylijskim Rio de Janeiro ponad trzysta.

Lekko zarumieniona, lecz bardziej z wściekłości niż zawstydzenia, Weronika zaczęła się wczytywać we fragmenty obcojęzycznych gazet. Władająca perfekcyjnie językiem francuskim próbowała za jego pomocą zrozumieć treść zawartą w wycinkach z argentyńskich dzienników.

– I rządy tych państw nic z tym nie robią? – spytała.

– Rządy tych państw zapewne dobrze z tego żyją – wtrącił Jan.

Sędziemu nie wypadało potwierdzić, ale wiedział, że spostrzeżenie Jana jest słuszne.

– Państwo wybaczą, ale niektóre z fotografii mogą mieć charakter wielce nieobyčajny – powiedział, uprzedzając zebranych przed oglądem kolejnych elementów zebranej w teczce dokumentacji.

Na stole pojawiły się zdjęcia roznegliżowanych dziewczyn. Niektóre siedziały obok siebie w kusych strojach, stylizowanych na modę pochodzącą ze starożytnego Rzymu. Inne przypominały niewolnice z sułtańskiego haremu.

– Te nieszczęsne kobiety zmuszane są do przyjmowania nawet dwudziestu klientów dziennie. Wszelki opór karany jest biciem, głodzeniem, w końcu śmiercią. Ku przestrodze innych, odporne okalecza się.

Sędzia podał siedzącemu najbliżej Henrykowi kilka przysłanych z Argentyny fotografii wykonanych przez tamtejszą policję. Na zdjęciach widniały zwłoki kobiet. Jedna z fotografii przedstawiała zakończony dwoma drewnianymi uchwytami kawałek cienkiego sznura – garotę.

– Czy z tego, co powiedział pan sędzia, możemy wnioskować, że ów okropny proceder dotarł do Krakowa? – spytała przerażona Weronika, przypominając sobie własne niedawne zdarzenie i kradzież chusty.

– Do tej pory z takimi przypadkami mieliśmy do czynienia głównie we Lwowie i Czerniowcach. Ostatnio jednak również w zachodniej części Galicji zaczęło się pojawiać coraz więcej przypadków porwań, zniknięć, fikcyjnych ślubów z udziałem fikcyjnych rabinów. Zgłoszenia o tego typu wypadkach otrzymujemy od przedstawicieli różnych gmin żydowskich, zaniepokojonych

tym procederem.

– No dobrze. Znalezione w beczce siostry Kiss były węgierskimi Żydówkami. Ale Łucja Muraszka była chrześcijanką – zauważyła Weronika.

– Niestety, proceder ten dotyka też Polek i Rusinek – odpowiedział sędzia.

– Zaraz, Łucja Muraszka była biedną dziewczyną szukającą pracy – zaczął głośno zastanawiać się Henryk. – Może trafiła w nieodpowiednie towarzystwo. Była świadkiem jakiegoś zdarzenia albo przestępczego procederu. Może udaremniła jakieś porwanie, pomogła komuś uciec?

– Może przeszła rodzaj jakiegoś przesłuchania, a po wyciągnięciu od niej istotnych informacji zamordowano ją. Wydłubane oczy mogły być przestrogą dla innych... – dopowiedziała Weronika, po której plecach przeszedł lekki dreszcz.

– Stąd te ślady na rękach i kostkach. Przywiązana do krzesła, a potem okaleczona i podrzucona w miejsce, gdzie przechadzają się prostytutki. Wydłubane oczy mogłyby oznaczać, że lepiej niczego nie widzieć... – Henryk próbował złożyć sobie w całość okoliczności morderstwa dziewczyny z Uhrynówki. – Ale jaki to ma związek z liśćmi palmy? – zwrócił się do sędziego.

– Nie wiem. Włoska mafia, która rozpanoszyła się w Ameryce, kompanom swojej zlikwidowanej ofiary podrzuca rybę. Ma to oznaczać, że ofiara śpi już z rybami, czyli na dnie oceanu czy jeziora. – Sędzia przypomniał historię, o której słyszał na jednym z zamkniętych dla szerokiej publiczności wykładów kryminalistyki w Wiedniu. – Co ma oznaczać ta palma, trudno powiedzieć. Może ma to związek z jakimiś żydowskimi zwyczajami czy legendami. Może z żydowskim świętem Sukkot, w którym podobnie jak w obchodach naszej Niedzieli Palmowej roślina ta ma pewne znaczenie? Tego wszystkiego trzeba by się dowiedzieć, zanim ktoś w Wiedniu ulegnie sugestiom o zewnętrznej inspiracji tych wszystkich zdarzeń, co mimo wszystko wydaje mi się ślepym tropem – dokończył sędzia nieco tajemniczo.

Cała trójka wpatrywała się w Izewskiego, jakby chcąc z jego twarzy wyczytać, co ma na myśli i o czym więcej wie niż oni.

Ten jednak nie dokończył wątku. Wyjął z teczki kolejną fotografię,

zawracając tok swoich dociekań na tor, który wydawał mu się najbardziej prawdopodobny.

Było to policyjne zdjęcie przedstawiające dwa profile, widok *en face* oraz pełną sylwetkę przestępcy.

– Albert Vogel. Właściwie Abraham Ptak, zwany w Buenos Aires „Pacharito” – powiedział sędzia.

Siedzące przy stole towarzystwo zaczęło sobie przekazywać policyjną fotografię. W tym czasie sędzia kontynuował opowieść na temat gangstera.

– Urodzony dwudziestego szóstego listopada tysiąc osiemset sześćdziesiątego dziewiątego roku w Brodach, na pograniczu z Rosją. Syn tamtejszego biednego kupca. Liczne rodzeństwo. Przemytniczą karierę zaczął od przeprowadzania przez granicę dezertersów z rosyjskiej armii. Potem był pośrednikiem w handlu żywym towarem do Argentyny. Próbował rozszerzyć działalność na Nowy Jork, jednak tam wdał się w konflikt z konkurencyjnymi gangami. Ścigany listem gończym przez amerykańską policję przepadł. Według naszych informatorów podobno pół roku temu pojawił się w Galicji. Być może jest w Krakowie. Próbuje odzyskać dawną pozycję.

– No dobrze, wszystkie te dziewczyny albo były młode i ubogie, albo parały się prostytutką. Ale jaki związek z tymi morderstwami ma świętej pamięci pani Korycka, matka Jana? Osoba wykształcona, z wyższych sfer – zauważyła Weronika w nadziei, że ten trop usunie jej osobę z listy potencjalnych ofiar sutenerów.

W głowie Jana zaczął układać się nowy wątek. Rzucona nieopatrznie uwaga Fritza o dziwkach, które sutenerzy z Kazimierza wyłapują na statek, nabierała teraz znaczenia i potwierdzała słusność zamiaru powęszczenia na Kazimierzu. Nagle przypomniał sobie o jeszcze jednym fakcie, który dotychczas nie miał dla niego żadnego znaczenia.

– Moja matka pod koniec życia wspierała przytułki dla samotnych matek. Znaczną część majątku przepisała też siostrom zakonnym, niosącym pomoc dziewczynom, które będąc bez środków do życia, zeszyły na złą drogę.

– Może jej śmierć ma jakiś związek z opisanym przez pana sędziego

procederem? – podjął ten trop Henryk.

Sędzia mówił coś jeszcze. Jednak Jan nie mógł się już skupić. O trzeciej, na styku dwóch kazimierskich ulic, spodziewał się spotkać kogoś, od kogo mógłby dowiedzieć się czegoś istotnego. Teraz najważniejsze wydawało mu się dotarcie do Alberta Vogla.

Po rozmowie z sędzią Iżewskim Jan udał się na Kazimierz. Ten kawałek Krakowa był ciągle egzotyczny, dziwny i obcy. Tyle wieków Żydzi i Polacy żyli tuż obok siebie, a jednak nie rozumieli się. Byli razem, ale pozostali inni i przez to obcy.

Jeżeli Kraków uznać za biedny, to Kazimierz trzeba nazwać obrazem nędzy.

A ta część, do której zmierzał Jan, była wyjątkowo uboga i zaniedbana. Jan postanowił pójść na skróty i mocno tego pożałował. Szedł chodnikiem, uważając, gdzie stawia stopy. Wszędzie wały się śmieci, a rynsztokami płynęła wielobarwna ciecz. Były tam głównie mydliny, ale też jakaś maź po farbowaniu tkanin i obróbce skóry.

Prawie co krok na chodnikach stało po kilku Żydów i zaciekle dyskutowało.

Tak jakby w ogóle nie zauważali, gdzie stoją. Gwałtowne gesty, ostre słowa, ruchliwa mimika – całe ich psychiczne i fizyczne jestestwo było zaangażowane w rozmowę. Gdyby ktoś widział te sceny po raz pierwszy, pomyślałby zapewne, że stało się coś strasznego, że tuż obok musiał wydarzyć się jakiś makabryczny wypadek. Ale nie, kazimierscy Żydzi tacy już byli – pełni pasji we wszystkim, obdarzeni ogromnym temperamentem, nawet w zwykłej rozmowie o pogodzie.

Jan poszedł na Kazimierz, żeby spotkać się z kimś, kogo nie znał, ale liczył, że ów ktoś odpowie mu na kilka pytań, które przybliżą go do rozwiązania zagadki śmierci jego matki. Teraz, kręcąc się od godziny po kazimierskim bruku, zrozumiał, że nie będzie to łatwe.

Do trzeciej miał jeszcze trochę czasu, więc usiadł na rozsypującym się kamiennym murku otaczającym jedną z lichych kamienic. Kiedy tak siedział, spostrzegł w knajpie naprzeciwko znajomą postać, która się w niego wpatrywała.

Był to jeden z klientów Fritza, którego barman podejrzewał, że może być szpiclem.

Postać wykonała ręką gest, przypominający eleganckie oddanie honoru kapeluszem zdobnym w pióropusz. Było to powitanie, a jednocześnie zaproszenie do baru.

W małej i ciemnej knajpie cuchnęło starym piwem i dymem z tanich papierosów. Stało tam wszystkiego sześć małych kwadratowych stolików z blatami z desek. Żadnych serwetek czy obrusów. Przy stolikach po pięć zdezelowanych krzeseł. Za to bar – w ścisłym tego słowa znaczeniu – był ładny. Wysoki na metr dwadzieścia, blat miał obity miedzianą blachą. Za barem jeden malutki regał, na którego półkach stały trzy butelki białej wódki i otwarta butelka piwa, widomy znak, że tu się również sprzedaje piwo.

Przy jednym stoliku siedziało trzech młodych Żydów i wściekle się kłóciło.

Co było przedmiotem sporu – nie wiadomo, bo krzyczeli na siebie w jidysz.

Z chwilą wejścia Jana kłócący się ucichli i sięgnęli po piwo, bacznie taksując goja. Za barem stała kobieta i znudzona wycierała brudną ścierką kufle po piwie.

Jan stanął przy barze. Był tam już człowiek, który najpewniej podrzucił mu list pod drzwi. Ubrany dość elegancko, jak na miejsce, w którym się znajdowali.

Miał sztuczkowe spodnie z angielskiej wełny, a eleganckie buty w kolorze ciemnobrązowym, o dziwo, nieskalane były nawet błotem. Jedyne brudne i zaniedbane ręce zdradzały, że strój ten jest tylko teatralnym kostiumem nuworysza, który stylizuje się na kogoś z lepszej sfery.

– Że taki wielki pan trafił na nasz Kazimierz, to nie może być przypadek. Ja od razu zrozumiałem, że pan ma jakąś wielką sprawę... Bo małe i średnie można załatwić w Krakowie. A od dużych interesów to jest Kazimierz. Wiadomo, jak bida, to do Żyda, a jak po bidzie, to całuj mnie w dupę, Żydzie, jak mawiają Polacy – odezwał się mężczyzna i postawił przed Janem kufel piwa.

– Z kim mam honor? – spytał Jan.

– Dlaczego od razu honor? Honor to nie jest dobre słowo w interesach na Kazimierzu. Nie lepiej byłoby zapytać, z kim mam przyjemność? A może z kim mógłbym mieć przyjemność? Pana interesują towary eksportowe?

– Tak – odpowiedział Jan. – Ale takie delikatne, do dwudziestu kilo.

– Och, jak ktoś mówi do dwudziestu, to ja wiem, że mu się rozchodzi o dwanaście, a może i o dziesięć. Może pan zatem mówić o dużym szczęściu, bowiem akurat mamy trochę tego towaru. Ale to towar unikalny, najlepszej jakości i trzeba będzie dobrze za niego zapłacić.

Rozmowa ze stręczycielem napawała Jana coraz większym obrzydzeniem, postanowił więc skrócić dyskurs. Nachylił się do rozmówcy.

– Mam duży interes i chciałbym porozmawiać o tym z Albertem Voglem – powiedział i wcisnął w kieszeń stręczyciela banknot dwudziestokoronowy.

– Czy ja panu już mówiłem, że nie znam żadnego Alberta Vogla? – odchylił się tamten, wyraźnie zmieniając ton. – Nie? To ja panu powiem: nie znam żadnego Alberta Vogla. Mało tego. Ja nawet nie znam żadnego Alberta – rzekł wzburzony i cokolwiek wystraszony stręczyciel.

Jan wydobyl tym razem banknot stukoronowy i wcisnął go znowu w tę samą kieszeń.

– A teraz?

Stręczyciel nie był zadowolony, ale pieniądze przyjął.

– Pan pójdzie ze mną – odpowiedział.

Jan ruszył za nim. Wyszli z knajpy i poszli w stronę Wisły. Tam stręczyciel kazał się Janowi zatrzymać, a sam podszedł do siedzącego na ławce drobnego staruszka i coś mu powiedział. Po chwili popatrzył na Jana i machnął do niego ręką. Jan ruszył w stronę ławki. Kiedy stanął przed staruszkiem, sutener, który go tu przyprowadził, oddalił się, nie spoglądając nawet na niego.

– Czyli szuka pan Alberta Vogla...? – zapytał staruszek, nie patrząc na Jana.

– A pan sam jakoś się nazywa?

– Nazywam się Jan Edigey-Korycki.

– Ładne nazwisko. Znałem kiedyś kogoś o tym nazwisku. Pan jest nawet do niego podobny.

– Mój ojciec jest krakowskim lekarzem.

– Nie, tamtego powiesili, zanim pan był w bardzo, bardzo dalekim projekcie. To było dawno temu i na Litwie. Przykre czasy...

Staruszek zadumał się i zamilkł. Jan czuł narastającą wściekłość, ale nie chciał jej okazać, bo w końcu staruszek mógł być jedyną nadzieją na znalezienie Vogla. Po długiej chwili staruszek powiedział:

– Ustalmy fakty. Czy pan Albert może pana ewentualnie znać?

– Nie sędzę. Ale muszę się z nim widzieć. Naprawdę – jednym tchem wyrzucił z siebie Jan.

– Co to znaczy „muszę się widzieć”? Dlaczego pan zakłada, że ten nikomu nieznany Albert jest jak cielę o dwóch głowach w gabinecie osobliwości i w formalinie? A może on nie chce być w ogóle oglądany? A może właśnie on żyje z tego, że w ogóle nie jest oglądany?

– Ja mam do niego bardzo poważną sprawę. Można nieźle zarobić – próbował imać się różnych sposobów Jan.

– Rozumiem. A czy ten interes, który pan ma do pana Alberta, to on jest czysty jak kryształ wenecki, czy może trochę bardziej przydymiony jak szkło bursztynowe, a może on jest, ja tylko tak pytam poetycko, zupełnie ciemny jak szkło butelek na piwo?

– Chciałbym porozmawiać z nim o różnych sprawach. Może nawet o takich jak szkło od szampana – powiedział Jan i mimowolnie zacisnął szczęki. – Ja wiem, że ten Albert jest u was bardzo ważną osobą, i dlatego chcę się z nim widzieć.

– Niech się pan zastanowi nad tym, co sam pan mówi... – rzekł łagodnie staruszek. – Chce pan widzieć kogoś ważnego. Bo pan ma w tym interes. Ale jaki interes może mieć ten ktoś, którego pan chce poznać? Dobry interes jest wtedy, gdy obie strony są zadowolone. No, przynajmniej gdy jedna z nich udaje zupełnie szczęśliwą. Przecież interesy może pan robić nawet ze mną. Chce pan pożyczyć pieniądze, tak żeby nikt o tym nie wiedział? Może porozmawiać ze mną. A może chce pan cichutko, bez zamieszania, wyjechać do Ameryki? Też może pan porozmawiać ze mną. Po co panu jakiś Albert?

Jan milczał trochę, po czym powiedział:

– Ja muszę osobiście i sam z nim rozmawiać.

– Dobrze – zgodził się staruszek, wstając. – Zrobimy tak. Ja już sobie pójdę,

a pan tu jeszcze godzinę posiedzi na świeżym powietrzu. Po godzinie pan wstanie i pójdzie pan do kamienicy, w której jest ta okropna knajpa, gdzie pan pił piwo. Ale do niej niech pan nie wchodzi. Pan wejdzie do bramy i pójdzie prosto przed siebie. Minie pan pierwsze podwórko i pójdzie pan dalej. Minie pan drugie podwórko i pójdzie pan dalej. Jak pan wejdzie w trzecie podwórko, to o nic nikogo nie pytając, skręci pan w prawą oficynę i wejdzie na pierwsze piętro, i zapuka pan trzy razy w drzwi pomalowane czerwoną farbą. Niech pan nie zapomni: w czerwone, bo za brązowymi drzwiami mieszka jedna okropna wdowa z trudnym charakterem, z którą się nie lubimy.

Staruszek odszedł, a Jan rzeczywiście czekał nad Wisłą, popatrując na pękate barki pełne węgla, które ciągnęły na wschód. Zgodnie z nurtem rzeki.

Po godzinie wchodził do bramy domu z barem. Była to duża trzypiętrowa kamienica. Na tyłach kamienicy panował nieopisany bałagan. Góry odpadów i śmieci zalegały na wysokość półtora metra. Resztki połamanych mebli, podziurawionych starych balii i innego dziadostwa leżały niemal w każdym kącie.

Na wpół zdziczały pies ogryzał jakąś padlinę, która sądząc po rogatej czaszce, kiedyś była kawałem wołu. W głębi stały koślawe, sklecone z desek dwa wychodki. Piwo, które powoli zaczęło uwierać Jana w pęcherz, spowodowało, że postanowił z jednego z nich skorzystać, choć prawdę powiedziawszy, gdyby rozpiął spodnie i opróżnił pęcherz na środku tego podwórka, wielkiej różnicy dla urody tego miejsca by nie uczynił. Postąpił parę kroków, płosząc jakiegoś spasionego szczura, który widząc go, groźnie zapiszczał i szybko pobiegł gdzieś w kierunku cuchnących stęchlizną piwnic. Jan otworzył skrzypiące drzwi wychodka i nagle widok, który zobaczył, cofnął go o metr w stronę hałdy śmieci. Oto z okrągłego otworu latryny wystawała para ubranych w sztuczkowe spodnie z angielskiej wełny nóg, obutych w brązowe trzewiki stręczyciela eleganta.

Jan rozejrzył się wokół siebie, ale nikogo nie było. Zamknął więc drzwi wychodka i ruszył szybkim krokiem w stronę kolejnego podwórka, gdzie jak gdyby nigdy nic na drewnianym trzepaku bawili się żydowscy chłopcy. Kiedy

ich minął i wszedł w bramę prowadzącą na kolejne z podwórek, oślepiło go jakieś niebywale jasne światło i upadł.

To światło było „światłem wewnętrznym Jana”, bo po prostu dostał czymś twardym w głowę i zemdlął.

Nie wiedział więc, że kilku mężczyzn zarzuciło mu wór na głowę, skrepowało mu sprawnie ręce w nadgarstkach i nogi w kostkach. Po czym zupełnie bezwładnego powlokło w nieznanym kierunku.

Kiedy Jan ocknął się i otworzył oczy, widział jedynie ciemność. Na głowie miał śmierdzący obierzynami płócienny worek. Siedział na krześle, przywiązany do niego za kostki nóg, z rękoma spętanymi za oparciem. Jak dziewczyna z Plant – pomyślał i natychmiast przypomniał sobie Łucję o wyłupionych oczach, którą widział na fotografii policyjnej i o której opowiadał mu Henryk.

Usłyszał jakiś hałas, instynktownie się poruszył i zaczął kręcić głową na boki, co musiało wyglądać dość komicznie, zważywszy na worek na jego głowie.

Dźwięk przesuwającego się po kamiennej posadzce krzesła odbił się echem w ciemności.

Jednocześnie przeszył go dreszcz przeraźliwego chłodu i wilgoci. Jestem w jakiejś melinie – pomyślał. Wyczuwalna stęchlizna i echo pozwalały przypuszczać, że to piwnica, może jakaś opuszczona fabryka... Zaczął drzeć. Znieruchomiał.

Wokół słyszał jednostajne kapanie, krople uderzały o mokrą posadzkę, wywołując metaliczne echo. To ten dźwięk go tak wystraszył, słuch i węch przejęły teraz funkcję innych zmysłów. Po chwili gdzieś blisko siebie usłyszał coś jakby... jakby kwilenie małego dziecka, takie ciche popiskiwanie. Ten nieprzyjemny odgłos był coraz bliżej, a po chwili zza jego pleców rozległ się podobny dźwięk. Tu są dzieci, pomyślał, niemowlęta! Ale natychmiast zdał sobie sprawę z absurdalności tego przypuszczenia. Niemowlęta w ciemnej, wilgotnej piwnicy? Wyobraźnia podpowiadała mu, że w takim miejscu prawdopodobnie się znajdował. Krople dzwoniły o podłogę, ale kwilenie ustąpiło. Wtedy poczuł jakiś ucisk na prawej stopie, potem kolejny i zaraz lekkie zadrapanie w okolicach kostki... To były szczury! Przeraził się, zaczął się miotać na krześle, ale po zaledwie dwóch, trzech gwałtownych ruchach

krzesło przewróciło się i Jan leżał teraz na plecach, na mokrej, pełnej wygłodniałych szczurów podłodze. W głowie wybuchła mu jedna przerażająca myśl: teraz się do mnie dobiorą i zapewne zaczną od moich oczu.

Jego umysł pracował teraz na pełnych obrotach: Kazimierz, brama, cios w głowę czymś ciężkim i twardym, worek... Zaczął krzyczeć, chociaż wiedział, że to nic nie da, że i tak nikt go nie usłyszy. Miotał się więc po mokrej podłodze, powoli opadając z sił, aż w pewnej chwili zastygł, bo wydawało mu się, że usłyszał czyjś szept.

Drżał jak w malarycznej gorączce, wtedy w szpitalu w Aleksandrii. Znowu usłyszał, tym razem wyraźniejszy, męski głos. Nie rozumiał słów, ale kiedy padła odpowiedź, wiedział już, że rozmawiają w jidysz, że to dwóch mężczyzn. Po chwili ktoś podniósł go na krzesło i ustawił je z powrotem w pozycji, do jakiej krzesło jest przeznaczone, po czym chwycił za worek i mocno szarpnął, wrywając sporą garść włosów z jego głowy. Potrzebował powietrza, zrobił kilka łapczywych wdechów, po czym uspokoił oddech i spojrzał przed siebie.

Znajdował się w zaciemnionym pomieszczeniu. Popiskiwanie zamilkło, najwyraźniej nawet szczury poczuły respekt wobec stojących przed nim trzech mężczyzn. Byli to młodzi dżentelmeni w nienagannie skrojonych garniturach. Już na pierwszy rzut oka można było stwierdzić, że twarze dwóch potężnych osiłków stojących po bokach zupełnie nie pasowały do nabytej za sporą gotówkę, ale wymuszonej elegancji. Były to twarze podrzędnych rajfurów i złodziejasków, których pochodzenia nie zamaskowałyby nawet frak zdjęty wprost z Jego Ekscelencji Namiestnika. Natomiast trzeci, znacznie niższy, drobniejszy od tamtych, ubrany był nad wyraz skromnie, ale schludnie. Kiedy zbliżył się do Jana, ukazała mu się łagodna, inteligentna twarz o urodzie uniwersalnej. Mężczyzna uśmiechnął się lekko, jakby ze współczuciem, a w każdym razie na pewno ze zrozumieniem trudnego położenia, w jakim znajdował się w tym momencie Jan.

Barwa jego głosu i słowa, które wypowiedział nienaganną polszczyzną, ściśle współgrały z wizerunkiem młodego, wszechstronnie wykształconego Europejczyka.

– Przepraszam, że został pan potraktowany w tak brutalny sposób, ale prawdopodobnie zaproszenia na piśmie by pan nie przyjął. Pan Jan Edigey, prawda?

W normalnych warunkach Jan wyciągnąłby rękę w stronę nowego znajomego i dopełnił wszelkich rytuałów dobrego wychowania. Jednak warunki były nienormalne, a psychika Jana w stanie wrzenia.

– Gówno prawda! – wycedził przez zaschnięte usta.

Wtedy elegancki mężczyzna wyjął z kieszeni brzytwę i zrobił krok w jego stronę.

– Czego chcesz? – Jan przełknął głośno ślinę.

Stojący obok eleganci podeszli do Jana, jeden wymierzył mu potężny cios w bark, prawdopodobnie wybijając go ze stawu, po czym chwycił go za głowę, drugi, za pomocą bawełnianej chustki, wyciągnął mu język z ust. Młody Europejczyk przyłożył brzytwę do języka Jana i wyszeptał mu wprost do ucha:

– Mam wszystko, czego chcę. Pytanie, czego ty chcesz? Żyjesz jeszcze tylko dlatego, że jesteś synem profesora Edigeya, co leczy ludzi bez względu na status i narodowość, czy inne tam zabobony, a pieniędzy nie bierze. Następnym razem pomyśl, zanim coś powiesz. – Po czym wykonał delikatne cięcie na dolnej wardze Jana.

Uwolnili go z imadeł swoich wielkich dłoni, a jego głowa opadła bezwładnie, krwawiąc z rozciętej wargi. Pozostał tak dłuższą chwilę, wpatrując się w swoje odbicie w lśniących butach z Northampton, które świadczyły o tym, że skromny młodzieniec w szarym garniturze zna się na rzeczy. Jan westchnął ciężko do tego odbicia w czarnej politurze butów swojego oprawcy. Nie wiadomo dlaczego i zupełnie nieadekwatnie do sytuacji przypomniało mu się wtedy powiedzonko tego, który poniekąd wpakował go w obecne kłopoty, czyli Fritza:

„Szewcy piją politurę, żeby gówno glanc miało”. Podniósł lekko głowę i już chciał rzucić powyższy tekst w stronę herszta bandy, ale wtedy zobaczył na małym palcu jego prawej dłoni złoty sygnet z inskrypcją w postaci dwóch hebrajskich liter i usłyszał głos jednego z osiłków. Mówił coś w jidysz i z dwóch krótkich zdań Jan wyłapał tylko jedno, ale jakże istotne dla dalszego

rozwoju zdarzeń słowo: Albert.

– Albert Vogel?! – rzucił Jan, nie zastanawiając się ani chwili.

Patrzył mu w oczy i nagle odniósł wrażenie, że Albert Vogel, jeśli to był on, chce wziąć zamach, żeby wykonać jedno szybkie cięcie brzytwą po jego szyi, ale Jan był szybszy i wyrzucił z siebie na jednym oddechu.

– Szukam mordercy mojej matki. Ona i kilka innych kobiet zostało zamordowanych przez nieznanego sprawcę. Ostatnio dwie znalezione na Stradomiu w beczce. Ludzie gadają, że to Żydzi, że w beczkach na macę zamordowane. W rytualne brednie nie wierzę, ale to były dziwki. Może morderca miał coś wspólnego z przemytem dziewczyn do Buenos Aires...

– Kto cię nasłał i skąd wiesz o przemycie?

– Nikt.

Albert wykonał ruch głową i na rozbitym ramieniu Jana wylądował kolejny potężny cios. Ból był nie do zniesienia.

– Nikt mnie nie nasłał. Przyjechałem pod koniec marca. Mieszkam w Ypsylonie. Szukam mordercy... – nie dokończył, bo ból zacisnął mu szczęki.

Wtedy jeden z osiłków podszedł do Alberta i burknął coś w kilku krótkich zdaniach. Albert zamknął brzytwę i schował do kieszeni spodni.

– To ty stanąłeś w obronie Mili, pod Ypsylonem?

– Ja – wycharczał Jan przez zaciśnięte zęby.

– Po co to zrobiłeś? Mógł cię zabić. To król boksterskiego podziemia.

Jan uniósł głowę i bardzo wyraźnie, jakby nie czuł bólu, powiedział:

– Bo razi mnie wszelka niesprawiedliwość i jak silniejszy znęca się nad słabszym. A poza tym gównu mnie obchodzi, kim jest.

Wtedy osiłek parsknął śmiechem.

– Nie gadaj bajek. Przeleciałeś ją? Zakochałeś się w tej małej dziwce?

– Nie.

Drugi z bandziorów też zaczął rechotać i dodał:

– Nie podoba ci się? Może wolisz chłopców? A może jeszcze młodsze wolisz? Wiesz, co my z takimi robimy?

Jan, mimo więzów i zgruchotanego ramienia, wystartował do osiłka, jakby

chciał go zaatakować z byka. Ten się lekko uchylił, a Jan padł na twarz, przygnięciony krzesłem do podłogi. Żeby nie połamać sobie rąk, przechylił się na bok i leżał tak, skrajnie wyczerpany, wyrzucając z siebie płwociny razem ze słowami.

– Nie przeleciałem. To córka mojej przyjaciółki.

Albert przykucnął nad głową Jana i nachylił się nad jego okaleczoną brzytwą twarzą.

– Znałeś Gabi? Czarną Gabi?

– Kiedyś znałem...

– Zaraz, zaraz, to ty jesteś ten studenciak, w którym się zakochała. To była twoja pierwsza kobieta. Gabi... No tak...

Albert wstał i powiedział krótko:

– Wypuścić. Ale jak cię zobaczę jeszcze raz na Kazimierzu, to kosa między żebra i z wyprutymi flakami wylądujesz nafaszerowany kamieniami w Wiśle. Ze śmiercią tych dziewczyn, a tym bardziej twojej matki, Kazimierz nie ma nic wspólnego. Nie wiesz tu więcej! Jasne? – I nie czekając na odpowiedź, wyszedł.

Jan chciał skinieniem głowy dać znać, że pojął, ale w tym momencie worek znowu wylądował na jego głowie i poczuł silne uderzenie w potylicę.

– Cóż tam? Co jest z panem? Żyje pan? – usłyszał Jan jakby zza grobu słowa będące mieszaniną jidysz i polskiego.

Z bólem głowy powoli zaczął odzyskiwać świadomość. Znajdował się na podwórku przed ciągiem jakichś drewnianych budowli. Było już prawie całkiem ciemno. Jedynie światło prostej latarni w ręku starszego mężczyzny z brodą oświetlało od czasu do czasu miejsce wokół niego. Parskanie koni i charakterystyczny zapach podpowiedziały mu, że gdzieś w pobliżu są jakieś stajnie. Próbował się podnieść, jednak przeszył go przeraźliwy ból. Lewa ręka zwisała mu w stawie barkowym. Poobijane mocno żebra powodowały, że nie mógł też nabrać powietrza pełną powierzchnią płuc. Mężczyzna pomógł mu wstać. Jan przy jego pomocy z trudem dźwignął się i stanął na nogi, kołysząc się jeszcze na nich przez chwilę, zanim złapał pełnię równowagi. Wciąż huczało mu w głowie.

Nadal był oszołomiony.

– Wszystko już dobrze? – spytał mężczyzna.

Jan pokiwał głową, ale nie było to zbyt przekonujące, więc tamten, opierając go o ścianę z desek, powiedział:

– Pan zaczeka.

Kilka metrów dalej rozległ się dźwięk opuszczanego na kołowrocie wiadra, które miarowo opadało w głąb studni, aby po chwili zanurzyć się z pluskiem w wodzie, a potem, już z wodą, nieco wolniej wrócić na górę.

Jan wetknął głowę w głąb ocynkowanego wiadra. Zimna woda trochę go ocuciła. Sprawną ręką obmył zakrwawioną twarz i rozmasował kark.

– Napadli na pana?

– Trochę poobijali – odparł Jan, podtrzymując wybitą rękę.

– Pewnie tylko chcieli okraść. Grunt, że nie zabili – powiedział brodaty mężczyzna, który zapalił jeszcze jedną latarnię zamocowaną do stojącego obok

wozu. Na podwórku zrobiło się nieco jaśniej.

Jan sprawną ręką obmacał kieszenie i o dziwo, stwierdził, że znajduje się w nich portfel, a nawet solingenowski nóż. A więc Vogel, pewnie ze względu na ojca, nie pozwolił go okraść – pomyślał.

– Jestem Schwan. Samuel – przedstawił się wybawca Jana.

Bujna siwa broda i nakrycie głowy świadczyły o tym, że jest religijnym Żydem, któremu nakazy judaizmu każą nosić brodę, jednak krótki, wygodny kaftan zamiast przepisowego chałatu, typowy dla woźniców, jak i miejsce, w którym się znaleźli, sprawiły, że Jan o profesję swego wybawcy pytać nie musiał.

– Edigey – przedstawił się, ale kiedy miał podać Samuelowi rękę, zawył z bólu. Pozbawione podparcia lewe ramię zabolowało go niemiłosiernie.

– To trzeba będzie chyba opatrzyć – zawyrokował Samuel. – Bez lekarza się nie obejdzie. I to dobrego – dodał, przypatrując się pokiereszowanemu Janowi, po czym ruszył w stronę jednej ze stajni. – Ledwo pan stoi. Zawiozę do doktora Fischhorna – rzucił, otwierając wrota.

– Dziękuję, nie trzeba – zaprotestował Jan.

– Aj, nie trzeba. Nie trzeba to się bać. Doktor Fischhorn to porządny lekarz i dobry człowiek. Dobrze go znam, wczoraj wiozłem mu nowe meble do gabinetu. – Poczciwy stary Samuel nie dawał za wygraną. – Na pewno pomoże.

Akurat co do umiejętności doktora Fischhorna Jan wątpliwości nie miał.

Lekarz ten był cenionym chirurgiem w Szpitalu Izraelickim na Skawińskiej.

Dobrze go pamiętał, bo doktor przyjaźnił się z ojcem i czasami odwiedzali się nawzajem. Ojciec go szanował, gdyż podobnie jak on starał się nieść pomoc ubogim, nie biorąc od nich pieniędzy. I może z racji tej zażyłości właśnie Jan nie chciał, żeby znajomy ojca widział go w takim stanie.

– To może przynajmniej do domu odwiozę. Przecież tak samego zostawić nie wolno.

– Samuelu, może lepiej będzie, żeby na Kazimierzu nie widzieli cię ze mną – powiedział Jan, przypomniawszy sobie utopionego w latrynie stręczyciela i chłód ostrza przyłożonej do języka brzytwy, z jakim przyszło mu się zapoznać

parę godzin temu.

Schwan przestał otwierać wrota stajni. Twarz mu posmutniała. Dobrze się orientował, co dzieje się w jego w sumie niewielkiej rodzinnej dzielnicy, będącej kiedyś oddzielnym królewskim miastem. Niemal wszyscy się tu znali i plotka rozchodziła się szybko. Wiedział zapewne też o podejrzanym typie utopionym w latrynie i całym przemytniczym procederze Vogla.

– Zło zapanowało nad światem. Zło odrodziło się, jak demon strącony na dno szeolu. Kiedyś miasto Kazimierz nie było takie. Ludzie żyli biednie, ale uczciwie. A teraz zło się wylęgło. Wszystko z tej chciwości, co uczyniła z ludzi potwory o zmysłach wyostrzonych w tropieniu pieniądza. I spadną na nas jak dawniej nieszczęścia, bowiem... – Tu Samuel się wyprostował i przybrawszy pozę kaznodziejską, z wyciągniętym ku górze palcem, zacytował po hebrajsku słowa, których Jan nie rozumiał, ale ton, w jakim zostały wypowiedziane, brzmiał złowieszczo:

*Nie słuchaliśmy Twoich przykazań,
a Ty wydałeś nas na łup,
niewolę i śmierć, na pośmiewisko
i na szyderstwa, i na wzgardę
u wszystkich narodów,
wśród których nas rozproszyłeś^[5].*

Kiedy to mówił, w świetle latarni, które odbijało się w jego siwej brodzie, wyglądał niczym starotestamentowy prorok z dawnych obrazów, jakim Jan przyglądał się w dzieciństwie podczas mszy. Samuel wszedł na chwilę do stajni, po czym wrócił z kawałkiem sznurka, z którego zrobił Janowi temblak.

– Na pewno da pan sobie radę? – spytał.

– Tak, dziękuję, Samuelu.

– Niech pan uważa na siebie – dodał woźnica.

Jan ruszył w kierunku prowadzącej na ulicę bramy, przez którą wyszedł na pograżony w mroku Kazimierz. Z mijanych tabliczek z nazwami ulic, przybitych miejscami do lichych kamienic, zorientował się, że jest na pograniczu Kazimierza ze Stradomiem.

Wkrótce dotarł do Plant Dietlowskich, po czym bocznymi ulicami Stradomia wolno szedł w kierunku Rynku. Musiało być już dosyć późno, bo na ulicach nie było praktycznie nikogo. Początkowo chciał ruszyć do Ypsylona, jednak czuł coraz większy, pulsujący ból barku i ucisk w pobliżu żeber. Postanowił więc pójść Plantami do Henryka, żeby ten nastawił mu wybite ramię.

W miarę możliwości unikał oświetlonych alejek. Minął kościół św. Krzyża, obszedł od tyłu Teatr Miejski i dotarł do ulicy Pijarskiej.

Przy wejściu do kamienicy, w której mieszkał Henryk, krzątał się jakiś starszy człowiek, zamykający jedno ze skrzydeł solidnej, ozdobnej bramy.

– A to do kogo? – rzucił starszy podejrzliwie, widząc przed sobą jakiegoś obdartusa, próbującego wkroczyć do pilnowanego przez niego domu.

Jan rozpoznał w nim stróża kamienicy, w której bywał często przed laty.

– Florian mnie nie poznaje? To ja, Janek. Jan Edigey. Muszę się zobaczyć z Henrykiem.

– Janek? – rozpromienił się Florian. – Całe lata... – Tu zastanowił się przez moment, jak zwracać się do kogoś, kogo się znało jeszcze z czasów, gdy gonilo się za nim ze stróżowską miotłą. – A cóż to się stało? Ktoś pana pobił?

– Nie. Dorożka. Rozumie Florian. Chwila nieuwagi i bach... Potrąciła mnie. Ale już dobrze. Tylko chyba mam wybity bark. Chciałem, żeby Henryk to obejrzał.

– Jeżdżą teraz jak te furiaty – westchnął Florian, choć znając Jana, zakładał, że powód kontuzji jest zgoła inny. – Młodego doktora nie ma. Będzie dopiero jutro rano. Ale jest panna Weronika. Na pewno panu pomoże – powiedział i szeroko otworzył bramę.

– Nie, nie – zaprotestował Jan. – Nie ma co fatygować. Zresztą już prawie nie boli...

– Co też ty wygadujesz, chłopcze. – Florian wrócił do ojcowskiego tonu, jakiego używał przed laty. – Przecież widzę, że z bólu ledwo stoisz na nogach.

Tak zawyrokowawszy, wziął Jana pod zdrowe ramię i ruszył z nim przez tunel bramy w kierunku ozdobnych drzwi prowadzących na klatkę schodową.

Jan siedział na fotelu w salonie mieszkania Weroniki, która właśnie wyszła z

kuchni, niosąc jakieś specyfiki.

– Pomogę ci zdjąć marynarkę – powiedziała, kładąc lekarstwa i bandażę na stojącym obok stoliku.

Stała za Janem i pomogła mu się rozebrać z pobrudzonej i miejscami ponadrywanej marynarki. Każdy, nawet delikatny ruch przypominał Janowi boleśnie wizytę u Vogla.

– To już chyba nie nadaje się nawet do pralni – stwierdziła Weronika i rzuciła w kąt postrzępiony łach. – Śmietnik – zaordynowała. – A teraz koszula.

Jan sprawną ręką wolno zaczął rozpinać guziki koszuli, po czym przy pomocy Weroniki zdjął z siebie poplamiony krwią łach. Koszula powędrowała w kąt. Weronika na moment zaniemówiła, bo muskularny tors Jana zdobił oryginalny, kolorowy rysunek.

– Hm... Ładny tatuaż...

– To smok. Chiński amulet. Jest podobno symbolem mocy przynoszącej szczęście.

– Ciekawe. U nas raczej jest symbolem złych mocy – rzekła Weronika, dyskretnie przyglądając się wysportowanej sylwetce Jana. – I co? Sprawdza się? – spytała, delikatnie unosząc wybite ramię swojego gościa.

– Na razie tak sobie – odpowiedział Jan. – Kiedy kazałem go sobie wytatuować, byłem trochę niedysponowany. To była najdłuższa noc w roku. Dosłownie i w przenośni. O poranku nie wspomnę...

Mówiąc to, przypomniał sobie jakieś strzępy obrazujące pijaństwo z Burnem w chińskiej dzielnicy San Francisco. Faktem jest, że momentu tatuowania smoka nie pamiętał. Po prawdzie, to z samych urodzin Burna też niewiele zostało mu w pamięci. Tak jak szybko wtedy zapadł mrok, tak szybko Janowi skończyła się świadomość.

– Może dlatego nie do końca wszystko się zgadza z tym twoim szczęściem – orzekła Weronika, kończąc obdukcję. – Wstawaj. Masz wybity bark. Trzeba coś z tym zrobić.

I zabrała Jana do pokoju, który niegdyś był pokojem Henryka.

– Kładź się – powiedziała, wskazując Janowi tapczan.

Nieco skrępowany sytuacją Jan wolno położył się na tapczanie. Tymczasem Weronika uklękła obok na podłodze. Wzięła jego lewą rękę, wysuwając ją poza tapczan. Chwyciła za bark.

– Ręka prosto! – poleciła stanowczo jak pielęgniarzka.

Jan bez słowa wykonywał polecenia, przyglądając się siostrze przyjaciela, którą pamiętał z czasów, kiedy była ledwo opierzoną czternastoletnią dziewczynką.

Szczupła, zgrabna łydka Weroniki kończyła się drobną bosą stopą. Szlafrok nieco się przekrzywił, odsłaniając jasne ramię i delikatną skórę koło obojczyka. Kiedy nadal trzymając go za rękę, na moment przywarła ciałem do jego torsu, poczuł jej pachnące włosy i miękkość kształtnego biustu.

– Może trochę zaboleć... – uprzedziła w momencie, kiedy Jan pomyślał, że niepostrzeżenie wyrosła na całkiem ładną kobietę.

Dalsze dywagacje na ten temat przerwał mu przeszywający ból. Weronika, trzymając rękę Jana, nagle odchyliła się wraz z nią do tyłu. Wybity staw wskoczył na swoje miejsce.

– No, teraz powinno być dobrze – powiedziała zadowolona z siebie. – Spróbuj nią poruszać.

Kiedy gwiazdy przestały mu już migotać przed oczami, zdumiony Jan stwierdził, że z ręką jest w porządku.

– Jutro, jak wróci Henryk, to cię obejrzy. Może trzeba będzie zrobić jeszcze prześwietlenie promieniami Roentgena.

Wstała i poprawiając na sobie szlafrok, dodała jeszcze:

– Do jutra zostaniesz tutaj. Pościelę ci na tapczanie.

Jan chciał zaprotestować, ale poczuł się straszliwie zmęczony. Poprosił o możliwość skorzystania z łazienki, gdzie doprowadził się do jakiegoś takiego porządku.

Kiedy wrócił, tapczan był już pościelony. Na wierzchu leżała męska piżama, którą Weronika przyniosła z mieszkania Henryka.

– Jutro znajdziemy ci coś do ubrania, żebyś miał co na siebie włożyć, zamiast tych łachów. Może też jutro opowiesz, co naprawdę było przyczyną twojego

poobijania, bo jakoś nie wierzę w tę historyjkę z dorożką.

Jan nic nie odpowiedział. Usiadł wolno na tapczanie. Żebra go bolały, ale raczej żadne z nich nie było złamane. Sam jeszcze nie wiedział, co do końca sądzić o wizycie na Kazimierzu. Do momentu spotkania z Voglem, winnych śmierci matki spodziewał się wytropić wśród jego kamratów. Teraz wszystko znowu się zaciemniło.

– Dobranoc – powiedziała Weronika.

– Dobranoc – odpowiedział.

Kiedy dziewczyna zrobiła kilka kroków w kierunku wyjścia, rzucił w jej stronę:

– Dziękuję, Weroniko.

– W porządku – odparła krótko, niczym szkolny kolega.

Jednak gdy się odwróciła i ruszyła do drzwi, oczy jej się śmiały, a w sercu coś zaczęło trzepotać.

Jan długo jeszcze nie mógł zasnąć. Zastanawiał się, co teraz. Jakim tropem należy podążyć, by dorwać mordercę matki. Wszystko trzeba będzie zacząć na nowo.

W sąsiednim pokoju leżała Weronika. Nie mogła zasnąć z zupełnie innego powodu. Wtuliła się w poduszkę, przypominając sobie bicie serca Jana, które na moment dane było jej słyszeć. Nigdy nie miała możliwości tak się do niego zbliżyć.

Teraz co prawda dzieliła ich ściana, ale ciągle czuła jego bliską obecność.

Wszystkie dawne fascynacje przyjacielem brata wróciły.

Henryk, który przybył, gdy tylko dowiedział się o nocnych odwiedzinach Jana – pochwalił siostrę. Nastawiła bark według wszelkich zasad sztuki lekarskiej.

Jan był obolały i wykończony wydarzeniami kilku ostatnich dni, a szczególnie ostatniej nocy. Na pytanie Henryka, czy coś ustalił, czy warto było wyprawiać się w mroczne zakamarki Kazimierza i poświęcać zdrowie dla nowych faktów w wiadomej sprawie, Jan odpowiedział z rezygnacją:

– Podejrzane typy od Vogla twierdzą, że nie mają z tym wszystkim nic

wspólnego. Nie leży w ich interesie robienie takich pokazówek, chcą spokoju w biznesie, który się dobrze kręci.

– Wierzysz bandytom?

– Uszedłem z życiem. Tu akurat nie mam powodu im nie wierzyć, bo gdyby mieli z tym coś wspólnego, to żywy bym stamtąd nie wyszedł, a skoro mnie wypuścili, znaczy, że to nie oni. Ale jeśli to nie ci z Kazimierza, a jestem pewien, że nie oni, no to kto?! Kto zabił moją matkę? Bo przecież nie jakiś półanalfabeta Hryć!

Zapadło pełne bezradności milczenie.

W tym milczeniu Skarżyński sięgnął do kieszeni marynarki i wyjął z niej białą kopertę.

– Mam coś ciekawego dla ciebie, Janku... – powiedział pogodnie i wręczył kopertę Janowi.

– Co to jest?

– Zobacz – uśmiechnął się Skarżyński.

Jan powoli, popatrując podejrzliwie na Henryka i Weronikę, otworzył niezaklejoną kopertę, wyjął z niej ładny kartonik i przeczytał:

– „Teatr Miejski w Krakowie zaprasza na przedstawienie *Ślubów panińskich* Aleksandra Fredry. Piąty kwietnia (środa) o godzinie ósmej wieczorem”.

– Cieszysz się? – zapytał Skarżyński.

– Z czego? – odpowiedział pytaniem szczerze zdziwiony Jan.

– A słyszałeś o czymś takim jak „normalne życie”? Spotkania z przyjaciółmi, brydż, teatr, tak zwane życie towarzyskie... Weronika sugeruje, że nie powinienem spędzać całych dni w towarzystwie ciekawych, ale jednak martwych osób. Uważam, że ciebie to również dotyczy...

– Zawsze lubiłeś teatr – przypomniała Weronika.

Jan obracał w dłoniach kartonik z zaproszeniem.

– Przyda ci się trochę spokoju, nabierzesz dystansu... – Skarżyńskiemu naprawdę zależało na choćby jednorazowym oderwaniu Jana od sprawy zabójstwa matki.

– A zatem, drodzy państwo... mam do czynienia z waszym rodzinnym

spiskiem...

– Pójdiesz? – zapytała Weronika. – Bo my idziemy.

– Pójdę, bo nawet nie pamiętam, kiedy ostatnio byłem w teatrze. – Jan schował zaproszenie do wewnętrznej kieszeni marynarki. – I dziękuję wam.

Pogłębianie fachowej, akceptowanej przez komisarza Jelinka, specjalistycznej lektury, nad którą siedział, robiąc notatki, przerwało wejście asystenta Kazaneckiego, który z przerażenia ledwie mógł mówić.

– Co tam znowu, Kazanecki, mówcie śmiało, nie bójcie się – ponaglił Jelinek.

– Sędzia! Panie komisarzu, sędzia Izewski idzie do pana! I wygląda na mocno podenerwowanego – wydukał w końcu.

Ledwie Jelinek zdążył wyjść zza biurka, a Kazanecki opuścić gabinet, gdy wkroczył sędzia Izewski.

Komisarz Jelinek stanął na baczność. Sędzia ledwie mruknął powitanie pod nosem, nie podał Jelinkowi ręki, lecz skierował się wprost ku tablicy, wiszącej na ścianie za drzwiami wejściowymi. Były tam poprzypinane kartki, wykresy, notatki i zdjęcia ofiar, w większości bardzo makabryczne. Było zdjęcie kobiety z wyłupionymi oczami, fotografia kobiecej głowy znalezionej w stawie, dwa trupy kobiet z beczki. Każde ze zdjęć budziło grozę.

– Połowa grudnia ubiegłego roku... Kobieta z wyłupionym oczami – rzekł bez żadnego wstępu sędzia Izewski.

– Łucja Muraszka. Na razie nie ma postępów w śledztwie, ale mam pewien nowy pomysł... – dopowiedział cicho Jelinek.

– A tu mamy głowę oddzieloną od ciała, połowa marca tego roku – nie słuchając Jelinka, kontynuował sędzia.

– ...To ta znaleziona w sadzawce w parku miejskim... najprawdopodobniej zamordowana latem zeszłego roku – uszczegółowił skwapliwie Jelinek. – Jesteśmy w trakcie...

– Teraz te kobiety w beczce. Okrutnie zbezczeszczone ciała...

– Tak, to Krisztina Kiss i jej stryjeczna siostra, obie prostytutki, wiemy, że pochodziły z Węgier, z Miszkolca. Przyjechały do Krakowa trzy miesiące temu

na gościnne występy... Właśnie dzisiaj to odkryliśmy – mocnym głosem, z nutą przechwałki, zaraportował Jelinek.

I tu sędzia Iżewski wpadł we wściekłość.

– Gównoś pan odkrył, panie komisarzu Jelinek! To już wiem od kilku dni! Ile jeszcze kobiet zginie? Co najmniej od pół roku znajdowane są zmasakrowane kobiety. Wyłupione oczy, odrąbane głowy! Teraz te dwie w beczce z wapnem. Wcześniej nieszczęsna pani Korycka. O co chodzi? Morderca jest jeden czy też mamy do czynienia z klubem zwyrodnialców albo z dziwnym przypadkiem, że niezależnie od siebie działa w Krakowie kilku zbrojców, w tym samym czasie?

– Główny podejrzany został ujęty, potrzebujemy koronnego dowodu, zresztą wkrótce sam się przyzna. Poza tym o pomyłce nie może być mowy, wszelkie okoliczności świadczą przeciwko niemu. – Jelinek nie poddawał się, w jego głosie pojawił się nawet ton lekkiej pretensji. – No i na podstawie rewolucyjnej metody Bertillona opracowałem specjalną kartotekę pomiarów porównawczych części ludzkiego ciała. Zmierzyłem już prawie wszystkich drani w tym mieście! Od stóp do głów! Nie może być mowy o pomyłce...

– Przestańcie Jelinek z tą antropometrią! Prowadzicie śledztwo czy mierzycie ludziom stopy?

– Mam głębokie, jak najgłębsze przekonanie co do sensowności tych działań.

– Mój Boże, pan naprawdę wierzy w te bzdury! Zna pan francuski? Nie? Mimo to mam coś dla pana. – Sędzia wyjął z kieszeni płaszcz i rzucił na stolik francuską gazetę, w której było duże zdjęcie dwóch nobliwych mężczyzn we frakach, płaszczach, z cylindrami w dłoniach. – Zna ich pan?

– Nie – odparł Jelinek.

– Tym lepiej, więc niech pan z łaski swojej przyjrzy się tym postaciom i powie, czy dostrzega w nich skazę zbrodni.

– A skądże! – prawie wykrzyknął Jelinek. – Ci panowie... są poza podejrzeniem. Tak jest, ci panowie są poza wszelkimi podejrzeniami.

– Naprawdę? A jak pan do tego doszedł, panie komisarzu Jelinek? Jak ktoś jest elegancko ubrany, to jest szlachetny? Tak? A to jest dwóch największych

aferzystów w historii zeszłego stulecia. To Jacques de Reinach, a to Cornelius Herz. Twórcy afery panamskiej, w której setki tysięcy ludzi straciło miliony i zachwiał się rząd Francji. Ale dla pana są to podpory społeczeństwa, bo są dobrze ubrani?

Jelinek poczerwieniał i spuścił kornie głowę.

– To może aż z Wiednia mają przysłać jakichś specjalistów, bo pan komisarz Jelinek sobie nie radzi?!

– Przepraszam.

– Przestańcie przeproszać! I weźcie się do pracy, bo nie jest z wami dobrze!

Jelinek chciał coś jeszcze powiedzieć do pleców odchodzącego sędziego, gdy ten się odwrócił i ryknął jak wściekły lew:

– Jeśli nie jest pan w stanie przyjąć do wiadomości, że pański główny podejrzany, Mikołaj Hryć, jest zbyt prymitywny, by stać za tymi zbrodniami, to mam coś dla pana! – I wyciągnął z portfela kartkę świąteczną. – Czytajcie. Dostaliśmy to pocztą! Jakiś żartowniś? Czy może ten bandyta zaczyna sobie kpiny z nas robić?

Jelinek bezradnie wgapił się w postać Chrystusa, przekraczającego na osiołku bramę Jerozolimy. Był to kolorowy obrazek, z wydrukowanym na dole kartki tekstem: „Wjazd Chrystusa do Jerozolimy w Niedzielę Palmową”. Zapadła głęboka cisza.

– Nie módlcie się do tego obrazka, czytajcie, co napisane jest z tyłu. Czytać chyba umiecie, Jelinek, co?

– „Strzeżcie tych wieńców nieskalanym sercem i czystym ciałem, ponieważ przyniosłem je dla was z rajy Bożego” – przeczytał wreszcie Jelinek. Jednak lektura ta nie uczyniła go ani w żąb mądrzejszym.

– Panie komisarzu Jelinek, niech pan da to do analizy, niech sprawdzą charakter pisma. I dowiedźcie się, co to za cytat. Może coś się komuś skojarzy. Mam nadzieję, że dotarła też do pana prosta prawda, iż mamy do czynienia z seryjnym mordercą. Psychopatą, który bawi się z nami w jakieś rebusy, i nie jest nim Hryć, bo kartkę tę wysłano, kiedy siedział już w areszcie, a po drugie jest analfabetą, wątpię więc, żeby go było stać na przysyłanie nam

takich finezyjnych cytatów!

– Myślałem też o tym, że może ma współnika, ale nie jestem do końca przekonany – odważył się powiedzieć Jelinek. – Możemy mieć do czynienia z kilkoma niezależnymi od siebie przypadkami... Przecież każda ze zbrodni jest w pewnym stopniu inna, osobna...

– Pan mówi, że każda jest osobna? A to, że wszystkie ofiary to kobiety, że każda z ofiar jest okaleczona? Że mamy do czynienia z podobnym modus operandi, no i wreszcie, że każdą oznaczono motywem palmy, co ustalił doktor Skarżyński, a co pan zdaje się ignorować...

– Bardzo przepraszam, ale zwykle ofiarami są kobiety, jako słabsze – przerwał Jelinek, i był to już niespotykany u niego akt odwagi.

– Tak pan uważa...? Bardzo niezależnie pan myśli, panie komisarzu. I za to bym pana pochwalił, gdyby nie to, że myśli pan przy tym głupio! A może właśnie tą kartką ktoś chce nam dać do zrozumienia, żebyśmy się trzymali z dala od tej sprawy? Sprawdził pan trop kazimierski, o którym panu mówiłem?

– Ujęcie Hrycia spowodowało, że ten trop uznałem za fałszywy – przyznał cicho Jelinek, który przeraźliwie bał się ruszania sugerowanego jeszcze w zeszłym roku tropu, zmierzającego do gangsterów przemycających dziewczyny za ocean. – Nie prowadziliśmy śledztwa na Kazimierzu...

Iżewski podszedł do Jelinka, zbliżył twarz do jego twarzy i wyszczał:

– A pan wie, co mówi plebs? Tego też pan nie wie? Mówi, że to sprawka Żydów...

Jelinka to zaskoczyło. Sędzia zawsze potępiał podobne teorie. Miał wrażenie, że wpędza go w pułapkę.

– Żydów? – powtórzył cicho i przez moment pomyślał, że może monarchia oczekuje teraz od niego, by śledztwo poszło w tę stronę.

– A może ktoś chce, żebyśmy tak myśleli? – kontynuował sędzia. – A może komuś zależy, żebyśmy mieli tu tumult i niepokoje? Zwłaszcza jeśli pomyślimy o tym, co się teraz dzieje w Rosji... Tego też pan nie bierze pod uwagę? Sprawą tą interesują się już panowie z Evidenzbureau^[6], więc jeśli nie chcesz pan, aby nas tu odwiedzili i wyrócili całą naszą pracę do góry nogami, to bierz się pan

do roboty i prowadź pan to śledztwo, zanim zostaną zamordowane kolejne kobiety! Zrozumiał pan, panie komisarzu Jelinek, czy mam wysłać pana na prowincję do łapania złodziei drobiu?

I sędzia wyszedł. Jelinek natomiast opadł na fotel. Wiedział, że nie jest dobrze. Sędzia patrzył na Jelinka nieprzyjemnie, poza tym kilka razy zwrócił się do niego per „panie komisarzu”, a Jelinek wiedział, że kiedy sędzia Iżewski krzyczy i mówi do niego tylko „Jelinek”, nie jest źle. Gdy natomiast przechodzi na „panie komisarzu Jelinek”... widmo zesłania do małego miasteczka gdzieś na Bukowinie coraz bardziej się konkretyzuje.

W Teatrze Miejskim należało bywać. Głównie dlatego, że spotykało się tam najlepsze towarzystwo Krakowa. Trzeba zatem było się pokazać, żeby widzieć i być widzianym. Tego wieczoru licząca dziewięćset dziewięćdziesiąt dziewięć miejsc widownia teatru była prawie pełna, poza ostatnim trzecim piętrem, zwanym „jaskółką”, które na czas jakiegoś remontu wyłączono z eksploatacji. Ostatni balkon zwykle zapełniali studenci i młodzież najstarszych klas gimnazjów. Z tego poziomu widziało się marnie, bo było daleko od sceny, ale za to siedziało się tam tanio.

Zanim jednak publiczność zasiadła w fotelach, odbywała się wstępna lustracja, bowiem lustracja zasadnicza miała miejsce dopiero podczas przerwy w spektaklu (lub w przerwach). Wolno przechadzające się po teatralnym foyer pary kłaniały się znajomym i oddawały przesłane im uśmiechy. Głównie jednak miało miejsce wzajemne oglądanie. Wszystkie kobiety świata oglądają wnikliwie inne panie. I nie chodzi tu o konkurentki, bo najwnikliwszymi obserwatorkami są damy, którym romanse już nie w głowie. Panie oglądają się i oceniają dla zasady: która pokazała się w sukni, w jakiej była już trzy razy, która znowu ma chyba zbytek pieniędzy (i niebawem puści męża z torbami), bo stroi się bez umiaru i elegancji. A właśnie – kluczowym słowem jest tutaj elegancja. Przy czym to, co u innej pani wydaje się krzykliwe i rażące, u nas ma smak. Nieodłącznym narzędziem oglądania nie jest lornetka, lecz wachlarz. I nie służy on bynajmniej wachlowaniu, rozwinięty wachlarz pozwala na zasłonięcie na moment ust, żeby szybko powiedzieć do męża kilka słów celnej krytyki na temat zaprzyjaźnionej radczyni czy doktorowej.

Jan omiółł wzrokiem widownię, Weronika pomachała mu ręką. Usiadł więc przy Skarżyńskich. Weronika po prawej ręce miała Jana, a po lewej brata, który dostrzegł na widowni komisarza Jelinka z żoną. Zauważyła go także Weronika, nachyliła się do Henryka, wskazała oczyma Jelinka i szepnęła:

- A ten tu po co? Przecież nie lubi teatru i pewnie niewiele zrozumie.
- Raport – odpowiedział cicho Henryk.
- Jaki raport?
- Przyszedł po to, żeby już jutro rano złożyć raport co do praworzędności zgromadzenia.

Ale na dalsze rozmowy nie było już czasu, bo odezwał się trzeci gong i światła przygasły. Kurtyna Siemiradzkiego poszła w górę i rozpoczęło się przedstawienie. Były to Śluby panięńskie hrabiego Aleksandra Fredry. Rzecz o magnetyzmie serca, rzekomym fluidzie, który oddziałuje na drugą osobę i przyciąga ją jak magnes, czyli o tak zwanej miłości od pierwszego wejrzenia. Jana drażniło to, co widział na scenie, mimo dobrego aktorstwa i niezłej inscenizacji.

We wszystkich postaciach i wypowiedzianych jedenastozgłoskowcem frazach widział siebie i odzwierciedlenie swoich problemów. Męski Gustaw, łzawy kochanek Albin, emancypantka Klara i dobroduszna Aniela... Wszyscy oni mieli twarze Konstancji, Weroniki, jego samego... Odetchnął z ulgą, kiedy minął wreszcie pierwszy akt.

Była mała przerwa, ale prawie nikt nie opuszczał widowni. Zapalono do połowy jasności żyrandol i kinkiety. Teraz widzowie czekali na drugi akt. Jan rozejrzał się po widowni i nagle dostrzegł, że z prawej łoży tuż przy scenie ktoś mu się przypatruje przez lornetkę. To była Konstancja. Obok niej siedział jakiś wytwornie ubrany mężczyzna. Gdy zauważyła, że Jan zarejestrował jej obserwację, wstała i gwałtownie wyszła z łoży. To zdarzenie dostrzegli także Weronika i Henryk, ale udali, że nic nie widzą.

Jan natychmiast precyzyjnie się między krzesłami i wyszedł z widowni, po czym skacząc po kilka schodów naraz, popędził na trzecie piętro, na jaskółkę.

Konstancja już tam była, bo właśnie w tym miejscu spotykali się często w czasach ich burzliwego romansu. Jan, oszołomiony gwałtownym biegiem, ciężko dyszał.

Ruszył w jej stronę a ona, widząc go, zatrzymała się. Wpatrywali się w siebie.

– Proszę, niech pan odejdzie.

Jej głos, twarz, gesty – wszystko dokładnie takie same, jak pamiętał.

Wyglądała identycznie jak wtedy, gdy spotkał ją po raz pierwszy. Jan stał przed nią blady jak trup i milczał. Po chwili wyciągnął w jej stronę rękę. Uniosła nerwowo prawą dłoń, delikatnie przesuwając smukłymi palcami po porcelanowej szyi i zagarniając kosmyk włosów za uchem.

– Proszę mnie nie nagabywać! Po co pan tu przyszedł? – powtórzyła, błędząc wzrokiem po ścianach.

– Przyszedłem na ciebie popatrzeć. Nie śniłem nawet, że jeszcze kiedykolwiek... – odpowiedział cicho, bo głos mu zdrzął.

Znowu zapanowała cisza, zdawało się, że trwała minutę albo więcej. Jan wiedział, że musi coś zrobić, że powinien powiedzieć coś więcej, ale nie mógł się zdobyć na żaden gest ani słowo. Stał i patrzył. Ona również podniosła wzrok i spojrzała mu w oczy, ale jakże inaczej od niego. Miał wrażenie, że nie pulsuje w niej żadna emocja.

– Księżna von Hohenberg. Proszę sobie nie pozwalać, drogi panie, na zbyt dalekie poufałości – powiedziała Konstancja tak wyniośle i prowokacyjnie, że Jan natychmiast odzyskał mowę i pewność siebie.

– Pozwoli pani, madame, że się przedstawię. Jan Edigey-Korycki, marynarz.

Znowu zapadła cisza, tym razem krótsza niż poprzednio. Konstancja patrzyła na Jana dziwnym wzrokiem, jakby z pogardą.

– Marynarz? Idealne dla kogoś takiego jak pan. Chociaż fizjonomia obitej twarzy świadczy raczej o tym, że jest pan bandytą. No ale tego można było się przecież spodziewać.

– Pani wybaczy, ale jej nie zrozumiałem.

Konstancja spojrzała na niego zimno.

– Zabiłeś mi brata. Nie pamiętasz już?

Nie wiedział, co odpowiedzieć. Konstancja w niczym nie przypominała jego dziewczyny sprzed lat. Delikatnej, kruchej i radosnej. Patrzył na nią i próbował odnaleźć w jej oczach to, za co kiedyś tak bardzo ją pokochał.

– Zmieniłaś się, chociaż wyglądasz tak samo.

Miał jeszcze nadzieję, że coś się stanie, że obudzi się w niej ta piękna, naturalna, młoda dziewczyna, którą znał przed laty, ale ona wzruszyła tylko ramionami i uśmiechnęła się sztucznie.

– Nie rozumiem, w jakim celu wróciłeś do Krakowa, ale wiedz, że to nasze ostatnie spotkanie.

– To pewne, bo niebawem wyjeżdżam – odparł Jan urażony, tak naprawdę licząc na to, że Konstancja uczyni jakiś gest, który miałby go przed wyjazdem powstrzymać.

– Cieszę się. Żegnam zatem – rzekła chłodno, odwróciła się i chciała odejść, ale Jan zatrzymał ją.

– Jeszcze chwilę! – W odruchu desperacji złapał ją za dłoń.

– Proszę mnie puścić! Na co pan sobie pozwala?

– Niech pani zostanie jeszcze chwilę, proszę...

Jej twarz miała teraz wyraz, jakiego nie potrafił nawet określić – jakies połączenie wyższości z pogardą. Było w niej coś ze złej królowej z baśni Andersena.

– Dlaczego jest mi pani aż tak niechętna? Pani wiedziała... pani wszystko wiedziała. Co się ze mną dzieje, jak cierpię, wiedziała pani, że wyjechałem w przekonaniu, że pani nie żyje. I nic pani nie zrobiła? Nie mogę się z tym pogodzić. Dlaczego nie napisała pani listu, choćby zwykłej informacji, że kocha innego lub że to wszystko to była jakaś... pomyłka, ale pani żyje... i nic jej nie jest... Kochałem cię, byłem gotów poświęcić ci całe życie...

Zamierzał to wszystko powiedzieć inaczej, lepiej, mądrzej, mniej porywczo, ale... tak po prostu czuł. Podczas gdy on był rozpalony i miał łzy w oczach, odniósł wrażenie, że widzi na jej twarzy oznaki znudzenia, zniknął szydery uśmiech, a pojawiła się zwykła nuda.

– Bez zbędnej egzaltacji, panie Edigey – powiedziała tak beznamiętnie, że zrobiło mu się zimno.

I w tym momencie, w tej właśnie chwili, owo wielkie, niepohamowane uczucie, które paliło jego serce przez te wszystkie lata, zniknęło. Potrzebował już tylko konkretnego potwierdzenia.

– Czy to wszystko, co było między nami, nie ma dla ciebie żadnego znaczenia?

Wzruszyła ramionami obojętnie i odeszła w kierunku schodów. Tak po prostu, jak po wymianie kilku grzecznościowych formułek z nieznanym.

Kiedy zniknęła za załomem korytarza, Jan odwrócił się i zobaczył mężczyznę, który przyglądał mu się badawczo. Rozpoznał w nim eleganta siedzącego obok niej w łożu. Był to typ zwycięzcy – emanowała z niego pewność siebie, męskość i władza, które to cechy zapewne imponowały Konstancji.

– Szanowny pan kogoś szuka? – zagadnął Jan.

– Moja małżonka zniknęła.

– Jeśli chodzi o madame von Hohenberg, to właśnie poszła gdzieś w kierunku westybulu.

– Och, dziękuję panu uprzejmie. Pozwoli pan, że mu się przedstawię, jestem Konrad von Hohenberg. A pan kim jest, przepraszam?

Forma, w jakiej to zrobił, nie była przypadkowa i Jan dobrze to wiedział. Bo kim niby on był? Kim był w tym momencie Jan Edigey-Korycki? Nie uściskał wyciągniętej dłoni księcia. Nie dlatego, żeby uczynić mu dyshonor. Po prostu chciał jak najszybciej zniknąć. Zdołał więc tylko powiedzieć:

– Sam tego nie wiem... Przepraszam.

Jan nie wrócił już na widownię. Szedł szybkim krokiem w stronę wyjścia, bo chciał jak najprędzej opuścić to miejsce, ale w zdenerwowaniu pomylił chyba drogę, bo nagle znalazł się w jakimś ślepych korytarzu. Zatrzymał się na moment, żeby uspokoić myśli, i rozejrzał wokół. Kiedy już miał zrobić pierwszy krok, na widowni rozległy się śmiechy. To publiczność, rozpoczął się drugi akt. Jan ruszył przed siebie, mając nadzieję, że tym razem obrał właściwą drogę. Szedł szerokimi korytarzami i co chwilę słyszał wybuchy śmiechu widowni, która jakby śmiała się z niego, takie miał wrażenie. Przyspieszył, a im szybciej szedł, tym śmiechy stawały się głośniejsze i bardziej natarczywe. To już nie widownia Teatru Miejskiego się śmiała, to cały Kraków zdawał się zarykiwać ze śmiechu nad tragikomicznym losem Jana Edigeya, który teraz już biegł,

szukając ucieczki z labiryntu schodów i korytarzy nie teatru czy Krakowa, a świata całego, który postanowił wybrać się na przedstawienie z Janem Edigeyem w roli głównej i okazało się, że jest to przednia komedia. Cały świat zatem śmiał się teraz w głos z Jana i śmiech ten rozsadał mu głowę, która za moment eksplodowałaby w holu głównym Teatru Miejskiego, gdyby nie to, że Jan wypadł z impetem na zewnątrz i słaniając się na nogach, usiadł przed wejściem na schodach, z trudem odzyskując równowagę.

Po chwili wyjął papierosa i chciał zapalić. Ręce mu jednak drżały i łamał zapalki jedną po drugiej. Kiedy wreszcie zapalka rozbłysła pomarańczowym płomieniem, usłyszał delikatny dźwięk dzwonka, jakiego zwykli używać ministranci. Zza rogu domu stojącego na skrzyżowaniu Szpitalnej i Pijarskiej wyłonił się chłopak w komeżce i z małym dzwonkiem w ręku. Tuż za nim szedł, kulejąc, ksiądz Antoni, który najpewniej został wezwany przez rodzinę umierającego właśnie krakowianina z ostatnim namaszczeniem. Zakonnik spostrzegł Jana, po czym kiwnął dostojnie głową na powitanie i pomimo sytuacji, jaka o tak późnej godzinie skłoniła go do wyjścia poza mury klasztoru, zdawał się lekko uśmiechać. Jan odpowiedział mu tym samym. Okoliczności spotkania nie pozwalały na nic więcej. Nadnaturalnych rozmiarów cień, powstały dzięki światłu zdobnych latarni stojących przed teatrem, sunął wzdłuż ścian domów, miarowo utykając, aż zniknął w bramie jednej z kamienic wraz z cichnym dzwonkiem ministranta.

Niespodziewanie Jan poczuł jakąś ogromną pustkę. Nie było to spowodowane utratą Konstancji, ale raczej żalem nad sobą. Nie potrafił tego nazwać. Jakby wewnątrz niego rozciągała się jakaś bezdenne czeluść. Popatrzył na gasnącego papierosa, po czym rzucił go na bruk i poszedł w stronę Barbakanu.

A spektakl trwał. Jedna tylko osoba na widowni nie mogła się skupić na przedstawieniu. Była to Weronika. Widziała wracającą do łóżka Konstancję, a w chwilę później jej męża.

– Nie wiesz, co się z nim dzieje? – zapytała cicho Weronika.

– Jest dorosły, nie będę go niańczył – odparł dość szorstko Henryk.

– Co by było, gdyby on tak pomyślał w dzieciństwie, kiedy ratował cię, jak się topiłeś pod załamany lodem...?

Skarżyński, świadom uczuć, które tliły się w sercu Weroniki, wolał być szorstki, a nawet brutalny. Bał się, że oni nie są stworzeni dla siebie. I wiedział, że ten szalenciec prawdopodobnie nadal kocha tamtą zamężną już kobietę. A poza wszystkim ów „szalenciec” był jego przyjacielem.

W Ypsylonie było tłoczno i gwarno. Tylu ludzi naraz Fritz dawno już nie widział, więc cieszył się, bo duża liczba gości zawsze przekładała mu się na większy obrót, a potem zysk. Nalewał kolejne piwa i doprawiał je wódką, gdy nagle zaniepokoiła go cisza, jaka zaległa w sali. Spojrzał i oniemiał.

Oto jego drogi gość, Jan Edigey, stał na środku restauracji w odległości jakichś ośmiu metrów od drzwi. Miał zasłonięte chustką oczy. Wszyscy szemrani goście przy stolikach milczeli i jak urzeczeni patrzyli na niego. A on trzymał w prawej ręce nóż, w lewej jakąś złachmanioną czapkę. Nagle podrzucił czapkę w górę. Czapka zawirowała pod sufitem i powoli opadała, a wtedy Jan cisnął nożem, który trafił w czapkę, przebił ją i przygwoździł do drzwi. Fritz był przerażony, przecież ktoś mógł akurat tymi drzwiami wchodzić.

Ale co tam przezorność Fritza, cała knajpa oszalała – gwizdali, tupali i krzyczeli z radości. Jan zerwał opaskę, podszedł do drzwi i wyciągnął nóż, a uwolnioną czapkę rzucił Mili.

– Dobrze pamiętam, kto jak obstawiał! – krzyknęła dziewczyna. – Kto nie wierzył w pana Edigeya, płaci, kto wierzył, dostanie wypłatę!

I mała prostytutka obchodziła teraz wszystkie stoliki, zbierała do czapki pieniądze, niektórym gościom coś wypłacała, a potem oddała czapkę Janowi.

Jan z garścią pieniędzy podszedł do baru.

– Pan się nie denerwuje, panie Fritz, wszystko pod kontrolą! Wódka dla wszystkich! Zdrowie pana Jana Edigeya-Koryckiego! – zawołał Jan i z zadowoleniem rozejrzał się po barze. Po czym mruknął do siebie: – Zdrowie zakochanego mordercy...

Teraz przy stolikach zaczęły się głośne rozmowy, bo takiego kozaka dawno tu nie widzieli. Jan wypił dwa kieliszki, jeden po drugim, zagryzł ogórkiem i

zaśmiał się jak wariat. Obok Jana stanęła Mila.

– Jan, nie pij tyle... – szepnęła.

– Muzyka! Co tak cicho! Grać! – zawołał Jan.

Kapela zagrała paryskiego walczyka. Jan chwycił Milę i zaczął z nią tańczyć.

Knajpiane towarzystwo też ruszyło w tany.

Po skończonym przedstawieniu publiczność wylała się z teatru. Na jednych czekały dorożki, na innych powozy. Jednakże większość widzów poszła pieszo – Kraków nie był zbyt duży, a i tak co lepsze towarzystwo mieszkało w obrębie Plant lub o rzut kamieniem od dawnych miejskich murów.

Najpiękniejszy powóz zajechał po Konstancję i jej męża. Weronika dojrzała ich, wsiadających do pojazdu. Przepyszna karetka uwiozła książęcą parę do miejskiego pałacu Konstancji, który odziedziczyła po ojcu, a Weronika i Henryk ruszyli Plantami do domu.

– Jak myślisz – zapytała Weronika – czy ona go kocha?

– Książę jest nie tylko bogaty, ale i przystojny, może go kochać.

– Ale czy ona kocha... Jana?

– Skąd ci przyszło takie coś do głowy?

– Bo widziałam, jak przez lornetkę patrzyła na niego, a on jak oparzony wybiegł do niej.

– Skąd wiesz, że akurat do niej?

– Przecież nie poszedł do bufetu na poncz... Henryku, nie jestem pensjonarką od urszulanek.

– Nie wiem, po prostu nie wiem – spasował Henryk.

– A on ją jeszcze kocha? – drążyła temat dziewczyna.

– Posłuchaj – rzekł Henryk i zatrzymał się. – Nawet gdyby miało tak być... taka miłość to nieszczęście. Tak dla niego, jak i dla niej.

Ruszyli dalej, milcząc. Henryk nie miał odwagi zapytać siostrę o jej uczucia... Bo coraz bardziej utwierdzał się w przekonaniu, że Weronika zakochała się w Janie. Skoro zaś Janowi nie przeszła miłość do Konstancji... wszystkim z tego trójkąta groziło cierpienie, a Henryk nie chciał, żeby jego siostra cierpiała.

– Posłuchaj... Czy prawdziwa miłość musi być bólem i tajemnicą, jak piszą w romansidłach? – zapytała Weronika.

– Nie wiem, nigdy dotąd nie zakochałem się w żadnej kobiecie – odpowiedział Henryk i uświadomił sobie coś, co od dawna przeczuwał, ale dopiero teraz dotarło to do niego z całą mocą: nigdy nie mógł się równać z przyjacielem w sprawach męsko-damskich. Jan był przystojny, a przy tym bystry, Henryk świadomy swojej wybitnej inteligencji, ale też braku odpowiedniej prezencji. Jan mógł mieć wszystkie i wszystkie go chciały, ale on pragnął tylko jednej: Konstancji.

Henryk odwrotnie – dla odrobiny kobiecej energii, której tak potrzebował, gotów byłby zaakceptować chyba każdą. Nauczył się jednak samotności i pogodził z faktem, że jedyną miłością jego życia jest i chyba już do końca pozostanie – medycyna.

Było już dobrze po północy, porządni widzowie Teatru Miejskiego dawno spali albo szykowali się do snu, a w barze Fritza ciągle było sporo gości.

Przy stole pod oknem siedział Jan, dwie dziwki i jakiś ogromny, nieogolony typ. Jan, jak wszyscy w lokalu – poza barmanem – był już mocno wstawiony.

Siedział przy jednym ze stolików półnagi, a jego koszula wisiała na krześle. Tors zdobił mu tatuaż ze smokiem. Ogromny typ siedział naprzeciw Jana, dwie wydekoltowane dziwki po bokach. Wokół ich stołu zebrała się spora grupa gapiów, bo trwała wielorundowa walka między typem a Janem. Panowie brali się na rękę.

– Dobrze jest? – zapytał Jan.

– Może być – przytaknął niezbyt wyraźnie typ.

– To dziesiąta runda. Ty mówisz start – rzucił Jan do rudej dziwki.

Chwycili swoje prawice, łokcie przepisowo umieścili wzdłuż linii rąk. Lewe ręce założyli na karkach.

– Start – pisnęła ruda i zaklaskała wesoło.

Obaj byli bardzo silni, więc ich złączone dłonie kiwały się z lewa na prawo jak wahadło starego szafkowego beckera. Trochę to trwało – gapie z emocji aż zagryzali wargi. Ale w końcu to Jan stuknął kostkami typa o blat stołu.

– I proszę bardzo, wygrywający przepija pierwszy, przegrywający zostaje o suchym pysku i czeka, aż zwycięzca wychyli do dna – zaśmiał się Jan i wypił.

Rozległy się oklaski. Typ kornie wyczekał, aż Jan przepisowo wstrząśnie się i sięgnie po ogórek. Dopiero wtedy typ wyciągnął rękę po kieliszek i wypił. Po czym wstał, odchrząknął i padł na plecy jak nieżywy. Gawiedź się zaśmiała.

– On mi od początku wyglądał na słabego, ale nie sądziłem, że aż tak... Tylko żeby nic mu się nie stało... – powiedział Jan i pochylił się nad leżącym rywalem.

– A co mu ma się stać? – parsknęła ruda. – On tak zawsze po dwunastym

kieliszku, ale jak trochę sobie poleży, to wstanie.

– Trzeba go wynieść na podwórko, żeby doszedł do siebie – zakomenderował od bufetu Fritz.

– Ale deszcz pada, zimno jest. – Ruda próbowała bronić olbrzyma.

– Jak deszcz pada, to znaczy, że dojdzie do siebie szybciej – zapewnił ją barman i kiwnął na dwóch „ochroniarzy”, siedzących przy piecu. Obaj prawie równocześnie zerwali się. Unieśli dryblowatego typa pod ramiona i powlekli do wyjścia.

Jan rozejrzał się dokładnie po sali, jakby szukał inspiracji do jeszcze jakiejś rozrywki. Ponieważ jednak nic nowego nie przychodziło mu do głowy, wziął koszulę i ruszył do swojego pokoju. Na nogach ledwo się trzymał. Zachwiał się i oparł o framugę drzwi wiodących na schody. Wypuścił z rąk koszulę, która mu spadła na podłogę. Chciał ją podnieść, ale zatoczył się, omal nie upadając. Wtedy Mila, z którą jeszcze niedawno tańczył skoczne polki i walczyki, podbiegła i podniosła koszulę, założyła sobie rękę Jana na szyję i zaczęła prowadzić go ku schodom. To jednak nie spodobało się dwóm dziwkom, towarzyszącym Janowi podczas zapasów z olbrzymem. Poczekwały na dogodny moment i ruda odepchnęła Milę, blondynka wyrwała jej koszulę, po czym obie, podtrzymując coraz bardziej pijanego Jana, powiodły go na górę.

Mila próbowała jeszcze protestować:

– To ze mną tańczył, ze mną...

– A ty gdzie? Zjeżdżaj! – powiedziała ruda.

Poranek zaczął się dla Jana ciężko. Leżał w łóżku i nie mógł nawet przełknąć śliny. Wszystko w jego ustach było jak wyłożone papierem ściernym. Nie miał też siły wstać i napić się wody. Przyszło mu na myśl, że śmierć na oceanie, po katastrofie parowca, nie musi być taka zła – przynajmniej wody jest pod dostatkiem.

I gdy tak leżał, nie mogąc nawet usnąć, rozległo się pukanie do drzwi. Jan nie zareagował. Drzwi się jednak otworzyły i do pokoju wsunęła głowę Mila. Po chwili otworzyła drzwi szeroko i wpuściła Skarżyńskiego, który dał jej za przysługę jakąś monetę.

Skarżyński był gładko ogolony, elegancko ubrany i wyglądał jak spod igły.

Natomiast Jan, nadal leżący na łóżku, wyglądał jak paproch wyciągnięty z kubła na śmieci. Tak zresztą się czuł, pod względem fizycznym i psychicznym. Mógłby pozować do jakiegoś obrazu, przedstawiającego demoniczne, ponure twarze opojów. Portret mógłby nosić tytuł „Całkowity moralny upadek”.

Skarżyński patrzył na przyjaciela i z niedowierzaniem kręcił głową. W końcu, bez słowa, podszedł do stolika i nalał z dzbanka wody do kubka, po czym podał go Janowi. Jan pił, jakby był na Saharze. Skarżyński nalał mu jeszcze raz wody, a widząc, że oczy Jana powoli odzyskują blask, powiedział:

– Myślałem, że umarłeś.

– Więc przyszedłeś na pogrzeb? – odpowiedział Jan.

– Wiesz, nie sądziłem, że aż tak mocno odbierzesz teatr. No, wprawdzie dawno nie byłeś, ale żeby sztuka miała na ciebie aż taki wpływ? Co prawda, według źródeł, jeden zbrodniarz po obejrzeniu Makbeta przeżył katharsis i sam z dobrej woli przyznał się do własnych zbrodni... Tak, teatr to potęga ducha...

Jan w czasie tych okrutnych żartów Henryka wstał, przemył twarz i zaczął się powoli ubierać.

– I sprowadziła cię tu troska o bliźniego? – zapytał.

– Raczej żądza odwetu, wczoraj bowiem Weronika przypomniała mi, że przed laty uratowałeś mi życie, wyciągając spod lodu...

– Ale ty wtedy chciałeś być wyciągniętym, a skąd wiesz, że ja nie zamierałem w tym łóżku spokojnie umrzeć?

Jan, założywszy spodnie, zaczął przeglądać kieszenie marynarki. Po czym przerzucił na wszystkie strony poduszkę i kołdrę. Skarżyński popatrywał na to spod oka.

– Zgubiłeś coś? – zapytał ironicznie.

– Oskubały mnie... Trudno... Właściwie normalne... Taki mają fach.

– Wiesz, gryzie mnie sumienie – powiedział Skarżyński. – Widzę, że niepotrzebnie doprowadziłem do twojego spotkania z Konstancją.

– Jak to? To nie był przypadek?

– Przypadek? – powtórzył Skarżyński. – U nas w Krakowie, przypadek? To

jest zbyt porządne miasto, żeby tu mogły zaistnieć jakieś przypadki...

– Ale dlaczego to zrobiłeś? – Jan momentalnie wytrzeźwiał i spoważniał.

– W sumie nie wiem... może po to, byś zobaczył, że ona naprawdę ma już inne życie?

– Studiowałaś choć trochę psychologię? – zapytał Jan.

– Trochę... Całe dwa lata – nie rozumiejąc, o co chodzi Janowi, odparł Skarżyński.

– To niech ci za te dwa lata zwrócą pieniądze, bo nic nie rozumiesz...

Powiedziawszy to, Jan pochylił się, żeby założyć buty, ale zatoczył się osłabiony i opadł na łóżko. Po ścianie przemknął jakiś robak. Zatrzymał się na chwilę, jak wścibski sąsiad obserwujący niecodzienną sytuację. Jan chwycił za but i zamachnął się nieporadnie, chcąc zatłuc insekta, jednak trafił pół centymetra obok. Robak zastygł w bezruchu, po czym przebiegł niewzruszony dalej.

– Szczęściarz... Niewiele brakowało – powiedział Jan. – Długo pożyje – mówiąc to, zaśmiał się jakimś śmiechem nienaturalnym, z pogranicza szaleństwa.

– *Cimex lectularius* – wyjaśnił bezwiednie Henryk. – Pluskwa domowa, zwana też purpurowym wędrowcem lub mahoniowym tępakiem.

– Jakaś aluzja?

– Powiedzmy – rzucił krótko Henryk, po czym wyciągnął zapakowaną w szarą kopertę kartkę, którą na polecenie Izewskiego dał mu do przebadania Jelinek.

– Znowu zaproszenie? Tym razem pewnie do opery? – skomentował ironicznie Jan.

– Zanim zwariujesz do reszty, przyjrzyj się temu. – Skarżyński położył na stole kartę świąteczną z Chrystusem przekraczającym bramy Jerozolimy.

– O co chodzi z tą kartką? – zapytał Jan, przyglądając się obrazkowi.

Henryk odpowiedział, jakby wyuczył się tekstu na pamięć.

– Wiemy tylko, że kartkę wypuściło krakowskie wydawnictwo Salon Malarzy Polskich kilka lat temu. Krótka seria, niewznawiana od lat, oraz że

kartka wystawiona była na działanie światła słonecznego, o czym świadczą ślady wyblaknięcia na większej części jej powierzchni. Musiała być jednak wcześniej oprawiona w jakąś ramkę, bo na krawędziach zachował się jeszcze oryginalny kolor.

– A co ja mam do tego? Mam się teraz parać kolekcjonerstwem? – udał lekceważenie.

– Wiemy też, że została napisana przez osobę praworęczną. Typ pisma to tak zwane pismo mieszane, to znaczy ani równe, ani pochyłe. Na podstawie najnowszych grafologicznych teorii Jules’a Crépieux-Jamin, takie pismo może wskazywać na autorstwo osoby niestabilnej emocjonalnie. Została wysłana na adres Dyrekcji Policji. Wrzucona do skrzynki na Stradomiu, o czym świadczy stempel urzędu pocztowego przy placu Bernardyńskim.

– Mniej więcej tam, gdzie złapano Hrycia – przypomniał sobie Jan.

– I tam, gdzie napadnięto na Weronikę, ale Hryć raczej tego nie pisał – powiedział Henryk i nieco zniecierpliwiony odwrócił kartkę w rękach Jana na drugą, zapisaną stronę.

Jan przeczytał zapisany fragment: „Strzeżcie tych wieńców nieskalanym sercem i czystym ciałem, ponieważ przyniosłem je dla was z raju Bożego”.

– O co tu chodzi?

– Prawdopodobnie ten psychopata chce nam coś powiedzieć.

– Ale co? – Jan próbował zebrać myśli.

– No właśnie, o tym chciałem z tobą porozmawiać, ale teraz nie jestem pewny, czy to ma jeszcze sens. – Henryk starał się zmobilizować przyjaciela, teatralnie omiatając wzrokiem jego zabałaganiony pokój.

Edigey wczytał się dokładnie w zapisany fragment.

– Do tego trzeba by kogoś, kto dobrze orientuje się w religijnych tekstach – powiedział Henryk.

– Pożycz mi tę kartkę na jakiś czas. Spróbuję zapytać jednego księdza – powiedział Jan, przypominając sobie księdza Antoniego, którego widział przed Teatrem Miejskim.

Jeszcze tego samego dnia ruszył w kierunku klasztoru przy ulicy

Reformackiej.

Niebo było pochmurne i wiał nieprzyjemny wiatr, toteż kto nie musiał, ten z domu nie wychodził. Szedł więc niemal pustą ulicą Łobzowską, którą dotarł na Planty, po czym skręcił w stronę placu Szczepańskiego. Kiedy mijał efektowny secesyjny budynek, na moment zwolnił. Wcześniej nie miał czasu specjalnie przyjrzeć się swojemu dawnemu miastu. Weronika miała rację. Kraków zmieniał się, choć działa się to powoli, zgodnie ze swoim rytmem, co wynikało z piętrzenia różnorodnych urzędowych, nieistotnych trudności. Nad jednym z oświetlonych smukłymi kolumnami wejść do pawilonu widniał złożony napis TOWARZYSTWO PRZYJACIÓŁ SZTUK PIĘKNYCH. Jego fasadę zdobiły płaskorzeźby secesyjnych wyobrażeń antycznych bohaterów, muz i pegazów.

Pawilon przypominał mu o podobnym budynku, jaki widział w Wiedniu. Jednak ze względu na otoczenie ten krakowski od swojego pierwowzoru wyraźnie odstawał.

Wybitnej wartości artystycznej budowla, ozdobiona popiersiem Jana Matejki, kontrastowała z umiejscowionym na placu targiem. Wokół pokracznych kramów stały obskurne furmanki, z podopinanymi do dyszli wiejskimi, wychudzonymi chabetami.

Nagle niebo zachmurzyło się jeszcze bardziej, po czym zerwał się porywisty wiatr. Handlujący zaczęli pospiesznie zbierać swoje liche towary, pakując je na wozy. Choć uwijali się sprawnie, zadanie utrudniały im konie, które przeczuwając burzę, zaczęły lekko wierzgać. Ciemne niebo rozbłysło piorunem, po czym lunął rzęsisty deszcz.

Jan przyspieszył i po chwili znalazł się przed murami klasztoru na Reformackiej.

Był już prawie całkiem mokry, kiedy pociągnął energicznie za żelazną rączkę przy kutyh drzwiach furty. Gdzieś po drugiej stronie muru rozległ się dzwonek. Po kilku dłużeń się minutach, które Jan spędził smagany wiatrem i zalewany falami deszczu, otworzyło się małe okienko w klasztornej furcie i ukazała się twarz starszego, wysuszonego zakonnika w brązowym habicie.

Przygarbiony starzec trzymał dolną część niewielkiego kaptura swojego

habitu, który chronił go przed silnymi podmuchami wiatru.

– Niech będzie pochwalony Jezus Chrystus – powiedział głośno Jan, próbując przekrzyczeć dźwiękowe efekty szalejącej pogody.

– Na wieki wieków... – odpowiedział zakonnik, którego habit na skutek nasiąknięcia wodą zmienił kolor na czarny. Porywisty wiatr łopotał nim jak antycznym żaglem.

– Nazywam się Jan Edigey-Korycki. Chciałbym zobaczyć się z księdzem Antonim! – Jan, chwiejąc się na wietrze, wyraźnie wykrzykiwał słowa.

– Zobaczyć się?! – spytał równie głośno i jakby ze zdziwieniem zakonnik i może by coś jeszcze dodał, ale w tym momencie solidny grzmot przeszył niebo w bezpośredniej odległości od klasztoru. Furtian spojrzął w niebo z lękiem i rzucił do Jana:

– Ojciec Antoni powinien być teraz w kościele. Codziennie o tej porze oddaje się modlitwie. Tam go znajdziesz.

Jan kiwnął głową w geście podziękowania. Okienko w okutych drzwiach zamknęło się ze zgrzytem.

„Zobaczyć się”? – przedrzeźniał w duchu furtiana. To już wielką łaską jest możliwość zobaczenia się z księdzem? – pomyślał i w strugach deszczu, szybkim krokiem, ruszył w stronę budynku kościoła pod wezwaniem św. Kazimierza.

W środku świątyni panował spokój. Barokowe wnętrze nie różniło się specjalnie od innych tego typu wnętrz w pomniejszych krakowskich kościołach.

Kościół ufundowano w latach dla Rzeczypospolitej raczej chudych, a i sami mnisi wywodzili się z reguły żebraczej, więc o jakimś zbędnym przepychu mowy być nie mogło. Dwa rzędy ławek przedzielone przejściem w kierunku ołtarza, w którym umieszczony był krucyfiks, droga krzyżowa, skromne ołtarze boczne. Niewielkiej świetności dodawały temu miejscu zdobiące sufit, niedawno namalowane freski, przedstawiające wizerunki patronów kościoła – świętego Kazimierza Królewicza i świętego Antoniego Pustelnika. Część fresków nie była jeszcze ukończona, o czym świadczyło dostawione do jednej ze ścian rusztowanie.

W kościele, poza jedną przybraną w żałobę kobietą, której twarz w całości zasłonięta była woalką, i jakimś starym zakonnikiem, nie było nikogo.

Jan, nie widząc ojca Antoniego, chciał podejść do starca, ale ten klęczał w ławce z zamkniętymi oczami i pochyloną głową. Myśląc, że starzec albo śpi, albo się modli, i nie chcąc mu przeszkadzać, podszedł nieco bliżej ołtarza i usiadł w jednej z ławek, licząc, że przeczeka tu burzę.

Kiedy tak siedział i przyglądał się freskom, dopiero teraz zauważył, że kilka metrów obok, w podłodze, otwarta jest kłapa prowadząca do krypty świątyni.

Choć przez czarną woalkę nie widać było jej oczu, Jan czuł na plecach wzrok siedzącej trzy rzędy za nim wdowy. Pokręcił się trochę w ławce, po czym udał, że kończy modlitwę. Przeżegnał się i ruszył w kierunku krypty.

W powietrzu unosił się specyficzny zapach starego lochu. Panował mrok.

Wilgotne włosy i ubranie Jana oraz chłód podziemia powodowały, że było mu coraz zimniej. Kryptę oświetlało zaledwie kilka świec. Wzdłuż ścian stały w rzędach, warstwami trumny. Część z nich była otwarta. Na drewnianych wiórach, będących kiedyś wnętrzami poduszek, leżały wysuszone szczątki zmarłych przed dwustu laty dawnych mieszkańców Krakowa.

Najbardziej okazałe prezentowały się trumny fundatorów kościoła.

Szlachcice przybrani w zbutwiałe kontusze, które straciły swój karmazynowy blask, oraz purpuraci, na których czaszkach zachowały się resztki biskupiej tiary.

Jan, zafascynowany niezwykłością tego miejsca, stanął przy jednej z takich trumien. O sąsiadującą z nią ścianę oparta była solidna, ozdobiona inskrypcjami i herbem płyta epitafijna z przytwierdzonym doń czerwonym kapeluszem.

Nagle za Janem odezwał się głos, recytujący po staropolsku fragment jakiegoś misterium.

Postradałeś pastorała

Gdyć śmierć w taniec iść kazala

Infuła-ć nic nie pomoże

Musisz skoczyć w grób niebożę.

Jan odwrócił się w stronę, skąd doszły do niego archaiczne rymowane słowa,

które pamiętał z barokowego obrazu przedstawiającego szkielety tańczące z przedstawicielami różnych stanów. W mroku świecy zauważył stojącego za nim ojca Antoniego. Ten podszedł bliżej i spojrział na trumnę.

– Tyle zostało z jego ekscelencji księdza biskupa Mikołaja Szembeka – powiedział. – W tysiąc siedemset czternastym roku sprowadził do Krakowa siostry szarytki. Poczciwy był ksiądz biskup...

Jan przyjrzał się wykrzywionej twarzy mumii kościelnego dostojnika.

Zbutwiałe szaty biskupie pokrywały wyschniętą skórę przylegającą do szkieletu.

– W tych kryptach spoczywa ponad sto zmumifikowanych ciał – powiedział mnich, unosząc w górę świecę i zataczając nią półokrąg. Słabe światło omiotło zastawione trumnami zakamarki krypty.

Wszystko to sprawiało makabryczne wrażenie, bo leżący tutaj umarli przecież, a jednak zachowali doczesną, ziemską powłokę.

Ksiądz Antoni, utykając, przeszedł kilka kroków i oświetlił kolejną mumię.

– Szlachetnie urodzona Urszula Morszkowska. – Zbliżył świecę do trumny, w której część deski obita była ćwiekami układającymi się w datę 1787. – Miała zaledwie dwadzieścia lat.

Jan przyjrzał się bliżej wysuszonemu szkieletowi ubranemu w białą niegdyś, przepasaną amarantową szarfą suknię.

– Zmarła w dniu swojego ślubu – kontynuował ojciec Antoni. – A tam dalej... – zakonnik wskazał na dziecięcą trumienkę, obok której pionowo stało niewielkie ponadmetrowe wieko – ...Anula Modrewicz.

Dreszcz przeszedł po plecach Jana, kiedy zbliżył się ze świecą do małej trumienki. Całkiem wyraźne rysy twarzy ciemnowłosej dziewczynki zachowały jeszcze grymas smutku.

– Utonęła – powiedział po chwili ojciec Antoni. – Jej ciało wyłowiono z rzecznej mułu. Miała dwanaście lat.

Mimo dającego się wyczuć lekkiego dreszczu Jan zafascynowany wiedzą zakonnika przysłuchiwał się kolejnym opowieściom o zmarłych lokatorach krypty.

Ojciec Antoni mówił o zmarłych wieki temu w taki sposób, jakby wszystko zdarzyło się ledwie wczoraj, a osoby leżące teraz w otwartych trumnach znał osobiście. Przeszli kolejne kilka metrów. Na ceglanych sklepieniach kładły się ich nienaturalnych rozmiarów cienie.

Zatrzymali się przy niszy, która dla odmiany miała jedną ze ścian wymurowaną z kamiennych szarych gładów.

– To nisza śmierci – rzekł ksiądz Antoni. – Wykonano ją z wapiennych kamieni pochodzących z góry, na której stoi bielański klasztor Ojców Kamedułów.

Zakonnicy w ramach pokuty przynosili ze sobą te kamienie i używali ich zamiast poduszek. Kiedy umierali, ich ciała składano tutaj. – Mnich przysunął świecę bliżej piaszczystej podłogi.

Jan kucnął, żeby przyjrzeć się pokrzywionym w pośmiertnym grymasie zmumifikowanym twarzom zmarłych braci. Dobrze zachowane, powłóczyście habity okrywały cztery wysuszone ciała. Na głowach wciąż mieli kaptury i przepasani byli sznurami o trzech węzłach.

– Kiedy umierali, chowano ich właśnie tak – kontynuował ojciec Antoni. – Bez trumny, na piasku, boso i z kamieniem pod głową, który im za życia służył za poduszkę.

– Na Sycylii widziałem zmumifikowane ciała bogatych Włochów – powiedział Jan, chcąc nieco odepchnąć od siebie ponurą refleksję na temat losów pochowanych tu niegdyś osób.

– Owszem. Tak w średniowieczu, jak i dzisiaj, choć po cichu, w zakonach na południu Italii mumifikuje się ciała bogobojnych mieszczan i szlachty. Choć oficjalnie Kościół takie praktyki potępia. Bo nauka Kościoła mówi tylko o zmartwychwstaniu dusz... Wiara jednak to jedno, a strach przed śmiercią i niebytem to drugie.

– Jak to się u nas mówi: Panu Bogu świeczkę i diabłu ogarek – rzekł Jan, uśmiechając się w chęci odreagowania wszystkich obejrzanym tu makabrycznym zjawisk.

– Nie wymawiaj z ironią imienia Złego – powiedział stanowczo ojciec

Antoni głosem, którego siła zachwiała płomieniem świecy, tak że omal nie zgasł. – Dla ciebie może on być tylko hipostazą ludzkiego zła, ale jest to byt jak najbardziej realny.

Jan spoważniał i zrobiło mu się głupio, że przed księdzem pozwolił sobie na tego typu żart.

– Diabeł dzierży władzę nad śmiercią i przez lęk ludzi przed nią trzyma ich w niewoli – kontynuował mnich. – Czym bez obietnicy życia wiecznego byłby Kościół? Wiesz, ile krakowskich budynków i placów w obrębie starych murów należy do Kościoła i zakonów? Większość. Skąd się to wzięło? Bo wierni zapisywali Kościołowi donacje w zamian za obietnicę życia wiecznego.

Jan się wyprostował. Tymczasem ojciec Antoni, uśmiechnąwszy się lekko, zapytał łagodniejszym tonem:

– Ale co cię do nas sprowadza, Janie? Bo chyba nie chęć zwiedzania tego szeolu.

Jan wy dobył z kieszeni kurtki marynarskiej kartkę, którą przyniósł mu Henryk, i podał ją zakonnikowi.

– Ta kartka ma jakiś związek z morderstwami kobiet. Być może również ze śmiercią mojej matki. Zdanie na niej zapisane musi pochodzić z jakiejś religijnej książki. Może z Biblii. Chciałem spytać księdza, czy mu ten zapisany fragment coś mówi?

Ksiądz, nie patrząc na kartkę, oddał ją Janowi.

– Czytaj na głos – powiedział. – Przez przebywanie w tych mrokach wzrok już nie ten.

Jan podniósł świecę i przeczytał zapisaną na pocztówce sentencję: „Strzeżcie tych wieńców nieskalanym sercem i czystym ciałem, ponieważ przyniosłem je dla was z raju Bożego”. Ojciec Antoni, nie czekając, aż Jan skończy, ruszył, kulejąc, w kierunku wyjścia z krypty. Gdy Jan skończył czytać, ksiądz rzucił za siebie niczym zaklęcie.

– *Legenda aurea.*

Jan na moment stał jak zaczarowany w miejscu. Paląca się świeca migotała niespokojnym płomieniem. Nie wiedział, co znaczyły słowa wypowiedziane

przez zakonnika, ruszył więc za nim.

– *Złota legenda*. Jej autorem jest Jacopo da Varazze. Bardziej znany jako Jakub de Voragine. – W mrokach Jan słyszał tylko głos oddalającego się zakonnika.

Kiedy wracał wieczorem z pożyczoną od ojca Antoniego Złotą legendą w kieszeni kurtki, dostrzegł w niedalekiej odległości czarny słup dymu. Przyspieszył kroku, bo paliło się chyba w pobliżu jego Ypsylona.

Rzeczywiście, palił się piętrowy drewniak, kilka posesji bliżej. Na skutek padającego wcześniej silnego deszczu więcej było czarnego gęstego dymu niż żywego płomienia. Tym niemniej cały spadzisty dach zajął się już ogniem, a płonąca papa i smoła, pokrywające go, wydzielały gryzący czarny dym. Kłęby dymu dobywały się także z okien parteru i pierwszego piętra.

Jan patrzył na walczących z żywiołem ludzi.

Kilkunastu strażaków, którzy przybyli w dwa konne wozy z drabinami, bosakami i sikawkami, próbowało gasić pożar. Problemem był jednak brak wody – strażacy mieli tylko dwa małe beczkowozy, które opróżniały się w kilka minut.

Beczkowozy ciągle więc odjeżdżały, żeby nabrać wodę z odległych o pół kilometra zasobnych miejskich studni, i wracały.

Stojące niedaleko Jana dwie stare kobiety, załamując ręce, rozpaczliwie lamentowały:

– Pan Bóg nie ma litości...

– Za nasze to grzechy, bo grzeszne my wszystkie...

Tłum ludzi ustawił się rychło w trzy długie zakręcone węże, zaczynające się w sąsiednich posesjach, a kończące przy palącym się domu. Wiadra napełniali wodą z pompy młodzi mężczyźni, sprawnie podając je pierwszemu z ludzkiego węża. Potem wiadra wędrowały z rąk do rąk, aż odbierali je strażacy, i już z drabin chlustali wodę w ogień. Na niewiele się to jednak zdawało.

Jan stał i patrzył. Nagle mijający go biegiem strażak krzyknął:

– Paniczyk się odsunie, to nie tyjater.

Ten strażak go ocucił. Jan przecisnął się między gapiami i zmienił jednego ze

starszych mężczyzn, wręcz omdlałego z przemęczenia, i już zaczął odbierać i podawać wiadra, gdy zdał sobie sprawę, że ma w kieszeni Złotą legendę, i na moment się zawahał. Rozejrzał się bezradnie, a wtedy dowodzący wszystkimi strażak krzyknął przez miedzianą tubę:

– Ratować budynki obok, przenosić drabiny! Z tej budy i tak już nic nie będzie! Łać wodę na dachy. Żywo, ludzie, żywo!

Strażacy sprawnie przestawili drabiny do budynków w pobliżu, a ludzki wąż z wiadrami szybko zmienił swe ustawienie, i woda zaczęła znowu docierać do strażaków na szczycie drabin. Łała się teraz na dachy trzech najbliższych domów, równie marnych jak ten płonący.

Pod domem naprzeciw stało czterech młodych mężczyzn. Palili papierosy i nieźle się chyba bawili, bo nagle jeden z nich krzyknął w tłum:

– Pali się bida, co?!

Kilku mężczyzn spośród podających wiadra odwróciło się w kierunku młodych łobuzów, a jeden z nich splunął z pogardą.

– Czego się pan szarpiesz? – wrzasnął na niego jeden z czwórki. – Dobrze mówię, pali się bida i tyła... mała strata.

Jego kompani znów zarechotali. Wtedy z szeregu wyszedł wysoki robotnik.

Nic nie mówiąc, podszedł do czwórki łobuzów i niespodziewanie huknął przewodyra w szczękę. Tamten, jak w zwolnionym filmie, oderwał się od ziemi, uniósł na chwilę w powietrzu i padł jak kłoc na ziemię.

Tym razem zaśmiali się wszyscy z tłumu. Tylko trzech pozostałych łobuzów, złorzecząc, podniosło kompana i półprzytomnego powlokło w głąb ulicy.

Robotnik, a sądząc po jego mundurze – pracownik kolejowy, wrócił, dalej nic nie mówiąc, do podawania wiader.

Nagle strażacy zaczęli szybko schodzić z drabin. Kazali też wszystkim odsunąć się od pożaru. I po jakiejś chwili dach konstrukcji zawalił się, wznecając snopy iskier i zasypując całą ulicę płonącymi jeszcze kawałkami drewna.

Zawalenie się dachu do wnętrza budynku stłumiło nieco pożar. Z drewnianego domu zostały kikuty ścian, z których spoglądały pokiereszowane

okna.

Po godzinie, już prawie w nocy, pożar zaczął dogasać. Na szczęście nie zajęły się żaden z sąsiadujących budynków. Ludzie powoli zaczęli się rozchodzić.

Jan też poszedł do hotelu Ypsilon. Na pogorzeliśku zostali tylko strażacy, którzy polewali jeszcze zgliszcza wodą.

W hotelu przywitał go barman Fritz.

– Szczęśliwie nie zajęły się sąsiednie domy, bo ludzie straciliby cały dobytek – powiedział Jan.

– A też mi tam byłaby wielka strata. Siennik, koc i obtłuczone wiadro. W tych okolicznych ruderach w większości mieszkają tacy, co w dwie obce sobie osoby śpią na jednym sienniku.

– Nie rozumiem. Jak to? – zapytał zdumiony Jan.

– Ano, to są ludzie do najcięższych i najprostszych robót. A im mało płacą. Jak pracują na dwie zmiany, to jeden śpi, a drugi w robocie. A jak nadchodzi pora drugiej zmiany, to śpiący wstaje i idzie do fabryki, a ten drugi, jak wraca, to ma wolny siennik i się kładzie. I tak cały czas, na zmianę: sen, praca, sen, praca. Płacą za jeden siennik, bo na więcej ich nie stać.

– Nie wiedziałem – wolno wycedził Jan, zamówił wódkę i położył na blacie baru przed sobą *Złotą legendę*.

Pijąc, coś tam mamrotał do siebie. Rozkładał nagle ręce, po czym cały się w sobie zwijał i kiwał nad stolikiem, niby rabin nad Torą. Uśmiechał się szeroko, by za chwilę tragicznie posmutnieć. Siedział przy stoliku w kącie, tyłem do sali, więc barman i goście widzieli tylko jego plecy. Wyobraźnię Jana zawładnęły słowa usłyszane od mnicha.

Złota legenda była odbiciem średniowiecznych wierzeń o świętych. Zbiorem opowieści nasyconych niezwykłościami i fantazjami, jakie na podstawie historii o wczesnochrześcijańskich bohaterach powstały w umyśle autora bądź po prostu zostały zebrane przez włoskiego dominikanina Jacopa De Fazio, urodzonego w Varazze, który do europejskiej kultury wszedł pod bardziej szlachetnym nazwiskiem Jakuba de Voragine. Wszystko to było jednak zawiłą literaturą napisaną w dodatku w archaicznym języku, na tyle skomplikowanym, że Jan z

każdą przeczytaną stroną czuł się coraz bardziej zniechęcony.

Dorodne śledzie i następna butelka białej wódki stały na stole, żeby mu nie przeszkadzano dostarczaniem kolejnych kieliszków. Mimo jednak tego komfortowego azylu Jan był coraz bardziej rozdrażniony swoją intelektualną niemocą.

Przy barze natomiast przez cały czas stała Mila i wpatrywała się w jego plecy. Trafilo jej się nawet dwóch gości, ale ofuknęła ich i nadal – oparta o bufet – czekała.

– Trochę to jeszcze potrwa – odezwał się Fritz, taksując z daleka, że butelka opróżniona była dopiero w połowie. – Ale jak chcesz, to czekaj.

– Nigdzie mi się nie spieszy – odcięła się Mila i z garnuszka z herbatą upiła kolejny łyk.

– Ma mocną głowę – z podziwem gwizdnął Fritz. – Ale to... młody jest, kawał byka z niego, to i siłę ma. Tylko żeby jej nie rozpuścił w gorzale.

– O, nie taki on, nie taki... – zachnęła się Mila.

– Spokojnie. Nie takich widziałem. Ma problem – rzekł z namysłem Fritz – bo nie wie, po co żyje.

– Ale dojdzie do tego! – rzuciła Mila, a zabrzmiało to tak, jakby dobrego finału problemów Jana była najzupełniej pewna.

– Dałby to Bóg, bo chłopakowi dobrze z oczu patrzy – westchnął Fritz.

I w tym momencie „chłopak” zwałił się z krzesłem na podłogę.

– No, teraz możesz go sobie brać – uśmiechnął się barman. – Na dzisiaj on jest *fertig*.

Mila szybko podeszła do leżącego Jana i zebrała go z podłogi z nadzwyczajną zręcznością. Po czym z siłą, jakiej nie można było podejrzewać w jej drobnym ciele, zaczęła taszczyć półprzytomnego po schodach do pokoju numer osiem.

W pokoju rzuciła Jana na łóżko, padł bezwładnie. Wymamrotał tylko:

– Twoje oczy... jak ocean... można w nich utonąć...

– Zgadza się – rzekła Mila. – Popłynąłeś, marynarzyku...

Po czym rozebrała go tak dokładnie, że pozostał całkiem nagi. Podsunęła mu

poduszkę pod głowę i przykryła kołdrą.

Jan znowu zaczął coś bełkotać, że Mila ma takie ładne oczy...

– Emanują dziwnym blaskiem... jak gwiazdy w nocy na oceanie... – wymamrotał i zasnął.

Mila rozejrzała się po pokoju – wszędzie panował potworny bałagan i brud.

– Myślałam, że lepiej tu o niego dbają... – mruknęła cicho do siebie.

Ruszyła do drzwi, ale jeszcze raz spojrzała na śpiącego Jana. Pomyślała, że mogłaby teraz przekręcić klucz, szybko się rozebrać i wślizgnąć pod kołdrę.

Wiedziała, że jutro, kiedy Jan wytrzeźwieje, niewiele będzie pamiętał. I właśnie dlatego tę myśl odrzuciła.

Rano obudziło go słońce. O dziwo, nie czuł żadnych skutków wczorajszego „upadku”. Żadnej suchości w ustach, głowa nie bolała... Spojrzał w okno i zdał sobie sprawę, że jest późno. Usiadł na łóżku, przetarł oczy, spojrzał na pokój... oczy zrobiły mu się wielkości spodków. Pokój był czysty i idealnie wysprzątany.

Na stole leżały dwie bułki, kawałek kielbasy i żółty ser.

– Pomyliłem hotele czy co?

Ktoś zapukał do drzwi.

– Chwila! – krzyknął w stronę drzwi i błyskawicznie włożył krótkie kalesonki i spodnie.

Drzwi się otworzyły i weszła Mila, niosąc na tacy kawę.

– Dzień dobry. Nareszcie. Tylko dzieci tak długo śpią – zaszczebiotała radośnie i postawiła tacę na stoliku. – Kawa ma być czarna czy z mlekiem?

– Gdzie są moje rzeczy? – zapytał Jan, pełen niedobrych podejrzeń.

– Poukładane w szafie.

Podszedł do szafy, otworzył ją. W środku panował idealny porządek, nawet koszule były wyprasowane.

– Czy myśmy wczoraj... czy coś było?

– Tajemnica firmy – roześmiała się Mila.

Jan nie był pewien – żartuje czy mówi poważnie.

– Nie wykorzystałam cię. Za bardzo cię lubię – dodała, a Jan z ulgą opadł na

łóżko, uderzając głową w coś twardego. Uniósł się lekko i spod kołdry wyjął Złotą legendę.

– Niech to szlag. Jestem umówiony! – wykrzyknął nagle, ubrał się pośpiesznie i wybiegł z pokoju na spotkanie z księdzem Antonim w sprawie Złotej legendy, ale przez roztargnienie i pośpiech zapomniał ją zabrać. Pozostała w pokoju Miła spojrzała na książkę, którą chciała wziąć do ręki, ale w ostatniej chwili zrezygnowała i wyszła z pokoju, zamykając za sobą drzwi na klucz.

Mimo że bardzo się spieszył, zatrzymał się przy pogorzeliisku. Drogę zaszło mu dwóch sanitariuszy i dwóch strażaków, którzy na drewnianych noszach wynosili z ruin spalonego domu zwłoki kobiety. Jan dostrzegł ze zdziwieniem, że zmarłą w pożarze jest stara kobieta, którą zapamiętał z nawracania grzesznych prostytutek pod Ypsilonem. Sanitariusze umieścili ciało w karetku konnej i odjechali.

Jan przeniósł wzrok i zauważył, że w ciepłych jeszcze pozostałościach domu kilkanaście osób poszukuje czegoś, co nie spaliło się do cna. Jedna z grzebiących w pogorzeliisku kobiet znalazła żeliwną patelnię i zadowolona schowała ją pod chustą.

Gdy zorientowała się, że jest obserwowana, jakby się nawet zawstydziła, ale próbując znaleźć wyjście z niezręcznej sytuacji, zwróciła się wprost, otwarcie do Jana:

– Widzi wielmożny pan, jakie to nieszczęście? A ta stara wariatka, co ją właśnie zabrali, tyle się namodliła. Tyle po kościołach się nasiedziała, nasiedziała... i co? Najpierw męża jej z posady urzędniczej wyrzucili, to musieli się do tej rudery przenieść. A takie mieli piękne mieszkanie przy Plantach. Potem jak starego szlag trafił, to syna do wariatów, aż pod Lwów wywieźli. No i teraz ona. Same nieszczęścia.

Z księdzem Antonim umówił się w południe. Chciał porozmawiać z nim, licząc, że do tego czasu będzie wiedział coś więcej, a przeczytane fragmenty z czymś się mu skojarzą. Liczył, że może lektura dostarczy czegośkolwiek, co przybliży go do odkrycia mordercy. Może to, że książki w biegu zapomniał, a teraz nie chciało mu się po nią wracać, było znakiem, iż jeszcze musi nad nią posiedzieć.

Wiedział teraz jeszcze mniej niż wcześniej. Ktoś podesłał celowo fragment z księgi. Ktoś morduje kobiety i znaczy je motywem palmy. Ktoś rzucił wyzwanie krakowskiej policji. Ktoś rzucił wyzwanie jemu osobiście, bo tego, że śmierć matki powiązana jest z morderstwami pozostałych kobiet, był już pewny. Tylko cały czas brakowało jakiegokolwiek wskazówki, kto stoi za zbrodnią. To, że kartka, którą dostał od Henryka, nawiązywała do chrześcijańskiego święta, powodowało, iż z kręgu podejrzanych powinno się wykluczyć Żydów, których winą za zbrodnie obarczał krakowski motłoch.

Nie należało też łączyć jej z oprychami Vogla, co Jan wysnuł już wcześniej, po swej niefortunnej wizycie na Kazimierzu. Morderca był zapewne rzymskim katolikiem, który nawiązywał do właśnie przypadającej na piętnastego kwietnia Niedzieli Palmowej.

Tego właśnie dnia tłumy krakowian przechadzały się po Plantach z palemkami wykonanymi z różnych zbóż, ziół, liści i gałązek. Przędowały te wykonane z wierzby, zwane przez dzieci baziami. I to dzieci miały chyba z powodu dzisiejszego święta najwięcej radości.

W kościele św. Kazimierza Królewicza właśnie skończyła się msza. Czekał, aż procesja ludzi wychodzących ze świątyni go minie. W związku z tym zmuszony był postać trochę przed kościołem, przed którym żebracy prosili o datki. Nie brakowało też drobnych handlarzy, sprzedających święte obrazki, różańce i medaliki. Kiedy mijał tych kramarzy bez kramu, nie dając się

namówić na żaden zakup, odezwał się do niego nieogolony, zwałisty mężczyzna w lichym ubraniu.

– Może wielmożny pan kupi palmę? – spytał oberwaniec, wyciągając niepewnie przed siebie jakiś wiecheć złożony z różnego rodzaju pędów i gałązek, owiniętych dość nieporadnie w pozólkły papier.

– Nie, dziękuję – odparł Jan i odwrócił się, bo żebrak niebywale cuchnął.

– A może choć święty obrazek – nalegał biedak, pokazując Janowi plik przybrudzonych obrazków z wizerunkami świętych. – Akurat na Wielkanoc, wielmożny panie. Ukrzyżowanie, Pan Jezus upada pod krzyżem, święta Weronika... – Żebrak nie dawał się spławić.

Jan rozpoznał ostatni obrazek. Taki sam dręczył go w malarycznych koszmarach podczas pobytu w aleksandryjskim szpitalu doktora Godarda.

– Nie, dziękuję, człowieku – odpowiedział, wzdrygając się na samo wspomnienie tropikalnej choroby.

– Nie, dziękuję, człowieku – odpowiedział, wzdrygając się na samo wspomnienie tropikalnej choroby.

Słowa o matce spowodowały, że Jan spojrzał na żebraka.

– Pić się zachciało, co? – zapytał.

– Wielmożny pan zna życie... w wódce jedyna nadzieja biednych. A matka była pobożną kobietą. Zmarła w dniu swoich imienin.

Jan sięgnął do kieszeni i wydobył srebrną monetę koronową.

– Wezmę tę palmę... ale śmierzicie niemiłosiernie. Macie, kupcie sobie jakąś porządną gorzałkę i coś do jedzenia. I nie pijcie nafty, bo długo nie pociągniecie. Świętowanie imienin musiało być huczne – dodał, przypominając sobie libacje lumpenproletariatu, widziane w najgorszych portowych dzielnicach Anglii, gdzie alkohol podejrzanego pochodzenia zbierał co jakiś czas krwawe żniwo.

Będąc na terenie należącym do ojców reformatów, szczęśliwie natknął się na ojca Antoniego, przechadzającego się wzdłuż klasztornego muru.

– Cóż to? – Ksiądz zainteresował się trzymanym przez Jana wiechciem. – Czyżbyś w naszych progach uczestniczył we mszy świętej?

Jan się zmieszał. W mszach dawno już przestał regularnie uczestniczyć.

– Wspomogłem żebraka. Nieszczęśliwego człowieka. Niech ksiądz ją weźmie, to dla niej lepsze miejsce. – I Jan wręczył palmę księdzu.

– Cóż, każdy wierzący chrześcijanin dźwiga swój krzyż w nadziei na zbawienie duszy. Przeczytałeś Złotą legendę? – spytał Antoni, zagarniając Jana powłóczyстым rękawem habitu pod ramię niczym ptak.

– Tak, ale nic z tego nie rozumiem. Czuję, że jestem jeszcze dalej od rozwikłania tej sprawy.

Ojciec Antoni nic nie odpowiedział. Wolnym krokiem ruszyli w stronę klasztorного budynku. Kulejący zakonnik wspierał się lekko na jego ramieniu, a Jan mówił zrezygnowanym głosem:

– Policja też stanęła w martwym punkcie. Może morderca nie był jeden? Plebs opowiada legendy o Żydach, co robią w związku z przypadającą właśnie Paschą macę z krwi chrześcijańskiej. Władze boją się, że to może być prowokacja carskiej ochrony, która chce do nas przeszczepić antyżydowskie pogromy, żeby odwrócić uwagę od wydarzeń w Kongresówce. Policja szuka morderców wśród handlarzy żywym towarem. Wszystko to są jednak ślepe tropy. Kim jest prawdziwy morderca? Gdzie on jest?! I co nim powoduje?

– Szukasz więc prawdy, mój synu? – rzekł nieco teatralnie ojciec Antoni, w sposób, w jaki księża zwykli głosić kazania.

– Ale gdzie ona jest? Morderca bawi się z nami jak kot z myszą, wysyłając jakieś sygnały, rebusy... – irytował się Jan.

– Verum est manifestativum et declarativum esse...^[7] – nie zmieniając swego kaznodziejskiego tonu, powiedział ojciec Antoni, a widząc, że Jan nie do końca zrozumiał, przetłumaczył naprędce: – Wszystko, co wskazuje na prawdę, prowadzi do niej... – po czym, kiedy już byli przy wejściu do klasztoru, dodał: – Trzeba się tylko umieć dobrze rozglądać, Janie.

Znaleźli się w niewielkiej, podłużnej celi ojca Antoniego. Dzięki padającemu przez nieduże prostokątne okno dziennemu światłu, w pomieszczeniu było dość jasno. Przed oknem stał stary klęcznik. Po jednej stronie ściany znajdował się wąski, ale wysoki na ponad dwa metry regał z rzędami książek. Na przeciwnej

ścianie ustawiono proste łóżko, wyglądem przypominające więzienną pryczę. Z łóżkiem sąsiedował niewielki kwadratowy stolik, na którym stał rustykalny, drewniany świecznik, z wetkniętą weń, w znacznym stopniu wypaloną, żółtawą świecą. Przy stole znajdował się mały taboret i proste krzesło.

Jedyną ozdobą tego miejsca, nie licząc skórzanych grzbietów wiekowych ksiąg – z ponalepianymi nań poszarzonymi kartkami, na których widniały łacińskie tytuły wykaligrafowane czarnym inkaustem przez kolejne pokolenia klasztornych bibliotekarzy – był zawieszony nad łóżkiem obraz z wizerunkiem jakiegoś uduchowionego, brodatego starca w aureoli.

– Może poproszę służebnego brata, żeby przyniósł coś do picia – powiedział ojciec Antoni, podając Janowi talerz, na którym leżało kilka kromek wiejskiego chleba. – Wiktuałów bym się nie spodziewał. Jest Wielki Post, ale może jakąś choćby gorzką herbatę? – spytał, próbując lekko unieść obraz, by wsunąć pod niego część łodygi otrzymanej od Jana palmy.

– Nie. Dziękuję ojcu – odpowiedział Jan, biorąc do ręki kromkę ciemnego chleba i przyglądając się wizerunkowi świętego, na którego twarzy malowało się coś pomiędzy uduchowieniem a lękiem, spytał: – Co to za obraz?

– *Kuszenie Świętego Antoniego Pustelnika* – odrzekł duchowny. – To patron zakonników, pustelników, ale i grabarzy... Coś niecoś powinienes o nim przeczytać u pana de Voragine.

– To ten, co udał się na pustynię? Wiele razy kuszony przez szatana bohatersko przetrwał dzięki modlitwie i umartwieniom?

Ojciec Antoni, uporawszy się z palmą, odwrócił się w stronę Jana i usiadł obok niego na krześle.

– Kiedy religia Chrystusowa stała się w Imperium Rzymskim religią przez państwo tolerowaną i nie było już potrzeby oddawania za nią życia, mając trzydzieści pięć lat, udał się w głąb egipskiej pustyni, aby tam zamieszkać w jamie.

Zakonnik zawiesił głos, na moment zamilkł, wpatrując się w twarz świętego, po czym kontynuował.

– Wykreował całkiem odmienny etos męczeństwa. Polegał on na

świadomym i przez nikogo niewymuszonym wyborze życia na odludziu, w dzikiej samotni i bez kontaktu z bliźnimi. W towarzystwie jedynie świętych ksiąg, węży i jaszczurek. I tak trwał całe lata. W pogrążeniu się już do końca życia w kontemplacji i w całkowitym wyrzeczeniu się siebie, poprzez przyjęcie surowej ascezy.

– Był jednak solą w oku samego szatana – przypomniał sobie Jan odpowiedni fragment Złotej legendy. – Władca piekieł nie mógł mu wybaczyć jego cnót. Bo cnotą największą tego pustelnika była jego czystość i wynikająca z niej niewinność wiekuista. Umyślił więc kuszenie tego samotnika, tak by zapomniał o swej czystości i pobożności. Pustelnię świętego zaczęły notorycznie nawiedzać ekspedycje przewrotnych demonów, rzesze dziwaczych stworów, ale nade wszystko piękne i lubieżne kobiety.

Gospodarz celi się uśmiechnął.

– Widzę, że zapamiętałeś najważniejsze – rzekł głosem, w którym dawało się wyczuć kogoś, kto choć stał się osobą duchowną, to nim przywdział habit, był otrzaskany w bitwach żołnierzem.

– Ten jednak w przeciwieństwie do mnie nie uległ pokusom – powiedział Jan niby do siebie.

– Zapewne... Ale czy nie popadł przez zbytne umartwianie się w grzech pychy? – Ojciec Antoni podszedł do obrazu i patrząc w twarz świętego, głośno zastanowił się. – Czy nie jest to jednak swoisty sukces szatana, który mu wmówił, że drogą do świętości jest skrajne wyniszczenie grzesznej, ziemskiej powłoki...?

Jan milczał.

– Do obrazu, na motywach którego powstała ta litografia, prawie trzysta lat temu pozował pewien stary zakonnik – powiedział ojciec Antoni.

Jan wychylił się trochę na swym taborecie, żeby bliżej przyjrzeć się świętemu.

– Czy w tym lęku malującym się na twarzy stojącego nad grobem siedemnastowiecznego mnicha, którego życie upłynęło na surowej ascezie i niedostrzeganiu ziemskiego piękna, nie ma właśnie takiej refleksji? –

retorycznie spytał zakonnik.

– Z twarzy przypomina mi pewnego pobożnego woźnicę, z którym miałem okazję kilka dni temu porozmawiać na Kazimierzu – podzielił się swoją refleksją Jan.

– I cóż ów pobożny człowiek? Powiedział ci coś mądrego? – spytał, nie odrywając wzroku od obrazu, ojciec Antoni, jakby chcąc z rysów twarzy sportretowanego mnicha wyczytać odpowiedź na zadane przez siebie pytanie.

– Powiedział, jak myśli teraz pół Krakowa. Zło się pojawiło nad światem.

– Doprawdy? – spytał, nie patrząc na Jana, ksiądz Antoni.

– Tak. Zło. Tylko gdzież ono jest? Chcę je dopaść, a nie mogę. Niby jest, ale go nie ma – powiedział zapalczywie Jan. – Nawet na tym księdza obrazie go nie ma, choć ten dawny malarz zatytułował go Kuszenie. Czyż nie?

Ojciec Antoni wpatrywał się w namalowaną czarną czeluść, w którą patrzy uwieczniony na obrazie pustelnik.

Nie odrywając wzroku od wizerunku świętego, ponuro powiedział niby to do Jana, niby do siebie:

– Zapewniam cię, Janie Edigey, że jest.

Każde spotkanie z ojcem, każda myśl o nim irytowały Jana. Przez tyle lat ojciec był w jego życiu nieobecny, że coraz bardziej odsuwał go od siebie, aż w końcu zupełnie przestał o nim myśleć. Wystarczył jednak wjazd pociągu na dworzec w Krakowie i wszystko wróciło. Żal do ojca towarzyszył mu nieustannie od chwili powrotu i myślał, że po ostatniej burzliwej wizycie już nigdy go nie odwiedzi. A teraz, gdy sprawy przybrały zupełnie nieoczekiwany i coraz bardziej przerażający obrót, potrzebował nawet nie tyle doradcy i mentora, ale kogoś bliskiego, z kim mógłby spędzić kilka chwil i uspokoić gorączkę myśli.

Było już późno, gdy Jan zapukał do drzwi mieszkania ojca. Otworzył, jak zawsze, Bazyli. Po ostatniej awanturze nie był jednak tak wylewny i gadatliwy jak poprzednio.

– Pan Orest jest w swoim gabinecie, ale zajęty, bardzo zajęty. Chodzę na palcach, na paluszkach, żeby nie denerwować... – powiedział tylko szeptem i zniknął w głębi korytarza.

Jan skierował się do gabinetu. Ojciec siedział w fotelu, tyłem do drzwi, jakby wpatrując się w ciemną kotarę, którą były zasłonięte okna. Przez ciężką materię bezskutecznie próbowały przebić się ostatnie promienie zachodzącego słońca. Na stoliku, obok zwisającej bezwładnie z oparcia fotela prawej ręki ojca, stała filiżanka herbaty. Była pełna, ale już dawno wystygła. Oprócz nietkniętej herbaty na stoliku nie było niczego, żadnych papierów, książki... Pewnie śpi – pomyślał Jan i zrobił krok do przodu. Ojciec podniósł głowę, przekonany, że to Bazyli, po czym odwrócił się i badawczo spojrzął na syna, bo nie znał powodu tej niezapowiedzianej wizyty. Jednak spojrzenie Jana było spokojne, w oczach ani śladu gniewu, który tak dobrze zapamiętał z ich ostatniego spotkania.

– Gorąco tu u ciebie, ojcze. Otworzę okno. – Podszedł do okna, uchylając je lekko i odsłaniając przy tym kotarę. Pokój wypełnił się na moment słońcem,

którego promienie wydobyły z mroku twarz ojca. Nie był w dobrym stanie. Cere miał bladą, policzki zapadnięte, usta zaciśnięte i suche.

– Zasłoń – poprosił. Jan posłusznie zasunął kotarę z powrotem.

Ojciec ubrany był nie po domowemu, jakby przygotowany do wyjścia w każdej chwili. Nagle wstał, nienaturalnie ożywiony, i powiedział z udawanym zapałem:

– Już, już, tak, pewnie chcesz iść do banku, załatwić formalności. Chodźmy zatem, nie traćmy czasu... – I ruszył w stronę drzwi.

Jan zatrzymał ojca, delikatnie ujmując go za ramię i mówiąc cicho, łagodnie.

– Ojcze, jest niedziela, nie przyszedłem w sprawach bankowych.

Ojciec bez słowa wrócił na fotel, a Jan usiadł naprzeciwko niego na krześle.

– Po pierwsze, ojcze, chciałbym cię przeprosić.

Ojciec spojrzał na niego nieprzytomnym wzrokiem, jakby chciał coś powiedzieć, ale był tak wzruszony słowami syna, że – nie bardzo wiedząc, co ze sobą zrobić – drżącymi rękoma sięgnął po filiżankę i napił się zimnej i niesmacznej herbaty. Po czym odstawił filiżankę i uśmiechnął się lekko.

– Każę Bazylemu zaparzyć świeżej.

Potem rozmawiali o wszystkim, czyli o niczym. Obaj wiedzieli, że czeka ich rozmowa poważna i trudna, więc obaj odwlekali jej rozpoczęcie. Pojawił się Bazyl i do herbaty, którą poczęstował ich wcześniej, przyniósł ciastka. Przyglądał im się badawczo, ale kiedy zobaczył delikatny uśmiech w kąciку ust ojca, poczuł ulgę i oddalił się bez szemrania.

– Przepraszam, że zapytam wprost – przełamał barierę rozmowy o niczym Jan – dlaczego matka odeszła?

Ojciec omiół Jana roztargnionym wzrokiem.

– Może za głęboko wchodzę w wasze małżeńskie sprawy. Przepraszam – powiedział Jan i po chwili dodał gwałtownie, jakby usprawiedliwiając się: – Wybacz mi, ale to wszystko mnie przerasta... Tracę orientację, wiem coraz mniej, zamiast coraz więcej. Wiem mniej niż na początku! Policja prowadzi śledztwo, ale wszystko odbija się od ściany i nic z niczego nie wynika. Mama została zamordowana, to pewne. Ale przez kogo i dlaczego ten ktoś to zrobił?

Chwytam wszystkie tropy, byłem w Szczawnicy, o mało mnie nie zabili na Kazimierzu, bo wydawało mi się w pewnej chwili, że to tam trzeba szukać mordercy! I nic! Ciągle nic...

Ojciec spojrzał na Jana, ujął jego dłonie w swoje i rzekł spokojnym, pewnym głosem.

– Może zostawmy matkę, może nie należy się znęcać nad jej pamięcią. Sprawy wyjaśni się w końcu same, to rzecz policji, a nie twoja.

Patrzył na syna z niepokojem, jakby wyczekując jego reakcji. Widząc jednak, że Jan nie zamierza mówić nic więcej, odpowiedział na jego wcześniejsze pytanie.

– Nasze rozstanie nie miało nic wspólnego z intymnością. Ale oczywiście masz prawo wiedzieć. Tyle że te wspomnienia i analizy przeszłości naprawdę wiele mnie kosztują, więc powiem krótko: to był jeden konkretny moment, synu, jedno wydarzenie, które o tym zdecydowało. Tym wydarzeniem był oczywiście twój wyjazd, co nie znaczy, że to twoja wina. Nikt cię nie winił, a już na pewno nie ona... Ruszyłeś jednak w świat i nie odzywałeś się do niej, nie licząc zdawkowego listu dwa razy na rok. Na początku się trzymała, dużo malowała, starała się bardzo, naprawdę się starała, ale... w końcu coś w niej pękło. Bardzo tęskniła za tobą, nie mogła pojąć, dlaczego to wszystko spotkało właśnie ciebie, jej największą miłość. Zaczęło się od medytacji, duchowych eksperymentów, poszukiwania pomocy u wróżbitów i astrologów. Potem poszła w obsesyjną religijność, zaangażowała się w dobroczynność, aż popadła w dewocję. Coraz bardziej osuwała się w stronę ascezy, umartwiania się.

Ojciec zamyślił się na moment, jakby szukał czegoś w pamięci.

– Po jakimś czasie nikt już nie miał do niej dostępu. Chciała być sama. I tak się stało.

Zapadło długie milczenie.

Po chwili ojciec wstał, wyciągnął z barku dwa kieliszki i napili się koniaku.

– A ty? – zagadnął w końcu ojciec.

– Ja? Są w moim życiu momenty co najmniej wątpliwe, o których bez przerwy myślę i spowiadam się Bogu... ale...

Jan zamilkł i po chwili dodał:

– Nigdy nie przypuszczałem, że w tej sprawie, w sprawie Konstancji, przyznam ci rację. Niedawno spotkałem ją i... rzeczywiście miałaś rację, wtedy byłem tylko jej fantazją, kaprysem małej zepsutej dziewczynki. Kilka dni temu, w teatrze, zobaczyłem kobietę pretensjonalną, pozbawioną uczuć, która jest zupełnie kimś innym, niż myślałem. Doskonale się wpasowała w nowe dekoracje, to jest jej świat, tam przynależy... Dlaczego nie napisaliście mi, że ona żyje?

– Ponieważ też długo nie wiedzieliśmy. Wątpliwości zaczęły się, bo nikt o tym nie mówił ani nie pisał, a przecież samobójcza śmierć tak wysoko sytuowanej osoby byłaby tematem numer jeden dla rozplotkowanego Krakowa. A potem, kiedy już dotarła do nas ta wiedza, nie potrafiliśmy ci powiedzieć, odkładaliśmy to „na później”, aż w końcu uznaliśmy, że powiemy ci, jak wrócisz, bośmy wierzyli, że wrócisz po roku, w momencie zakończenia służby we flocie... Ale ciebie nie było przeszło sześć lat...

Jan spojrzał ojcu w oczy ze zrozumieniem i po raz pierwszy dzisiejszego wieczoru zobaczył w nich uśmiech. Oczy ojca rozjaśniły się i, w jednej chwili zupełnie zmieniając nastrój ich rozmowy, zapytał:

– Jak tam było na morzu, ciężko? Opowiesz mi kiedyś?

Jan również miał dosyć mrocznych klimatów, więc odpowiedział na zaczepkę – jak to on – prowokacyjnie.

– Dałem sobie świetnie radę. Jestem twardy. W końcu pochodzę z rodu Edygeja! A był to ród zasłużony w bojach dla obojga narodów, ród tatarski, ale osiadły na Litwie, nazwisko swe wiodący od słynnego chana Złotej Ordy – zacytował zdanie, którego z pokolenia na pokolenie uczono każdego chłopca w rodzie.

– Nie kpij – powiedział ojciec.

– Nie kpię, po prostu dopadła mnie melancholia, najlepszy kompan smutku, i zastanawiam się, co ja z tym dziedzictwem mam zrobić.

– Na razie wszystko robisz dobrze. Nawet te twoje wędrówki do Chin mają sens. Młodość jest po to, żeby patrzeć i uczyć się.

– Myślałem, że jesteś przeciwny mojej włości?

– Rzecz w tym – odpowiedział ojciec – co z tym doświadczeniem wziętym z szerokiego świata zrobisz...

Ojciec i syn zaśmiali się. Zdrowy cynizm i brak megalomańskiego fałszu to było coś, co łączyło tych dwóch od dawna. Jan jednak dobrze wiedział, że dawnej więzi już nie odbudują, że trudno odzyskać, co raz się utraci.

Postanowili, że Jan spędzi noc w domu, a do banku pójdą w środę, dopełnić reszty formalności związanych z testamentem.

Państwo Franciszka Józefa było jak średniowieczna twierdza. Cesarz, urzędy, kościoły i banki – to fundamenty budowli. Na nich wznosiły się solidne mury państwa: wojsko, sądy, policja. Państwo miało też bastiony okalające twierdzę: szkolnictwo wszystkich stopni, koleje, telegraf i telefon.

Jan z Orestem kierowali się właśnie w stronę Kasy Oszczędności Powiatu Krakowskiego. Taką nazwę nosił bank, w którym matka Jana zdeponowała swoje oszczędności. Pogoda była dość ładna, więc zrezygnowali z wzięcia dorożki, chcąc się trochę przespacerować. Mijali czasem elegancko ubranych panów, uchylających na widok profesora meloniki, na co Orest odpowiadał tym samym.

Jan, który wyraz powitania zredukował tylko do uprzejmego skinienia głową, był pod wrażeniem sympatii i szacunku, jakie wyrobił sobie w Krakowie jego ojciec.

Lata wypierania postaci rodzica spowodowały, iż zdążył już o tym powszechnym szacunku zapomnieć. Ojciec był rozpoznawany również przez przedstawicieli niższych stanów, którzy czy to machając z wolna miotłą przed bramami kamienic, czy to siedząc na dorożkarskich kozłach, oddawali mu honory uniesieniem kapelusza bądź też zamaszystym, niemal feudalnym ukłonem, czapką do ziemi.

Orest znał tych wszystkich ludzi z nazwiska i o każdym był w stanie coś opowiedzieć. Czasem zatrzymywał się przy nich na minutę, pytając o zdrowie żony czy dzieci, których imiona, ku zdziwieniu Jana, bezbłędnie wymieniał. Na odchodnym życzył zdrowia lub polecał się stawić w uniwersyteckim szpitalu, gdzie czasem przyjmował pacjentów, od których nie zwykł brać ani grosza.

Doszli do miejsca, gdzie ulica Basztowa stykała się z ulicą Długą. Poczekali, aż przejedzie tramwaj, kilka dorożek i zaprzęzonych w konie towarowych platform, obłożonych różnego rodzaju ładunkiem. Stojąc kilka chwil na

przejściu, Jan miał okazję przyjrzeć się pachnącemu nowością budynkowi, wykonanemu z czerwonej cegły, którego najbardziej efektownym elementem była zwieńczona kutym globusem wieża zegarowa. Na jednej ze ścian grupa robotników stojących na rusztowaniu mocowała się z wykonaną w brązie, sporych rozmiarów płaskorzeźbą, przedstawiającą okręt pod żaglami. Widząc ten unoszący się na falach statek, Jan pomyślał przez moment o Burnie i załodze „Legionu”, którego pokład przez ostatnie lata był dla niego domem. Tempo i charakter obecnych zdarzeń spowodowały, że zupełnie zapomniał o kapitanie, z którym łączyły go setki tysięcy przepłyniętych mil morskich i litry wypitego w różnych portach alkoholu.

Przeszli przez jezdnię, kierując się w stronę Plant, którymi dotarli przed budynek banku. Reprezentacyjny styl budowli zadziwił Jana. Zaaferowany wcześniejszymi zdarzeniami, nie zwrócił na niego uwagi, mimo że kilka dni temu znajdował się w bezpośrednim jego sąsiedztwie. Stylem zdawał się nawiązywać do włoskiego renesansu i przypominał podobne tego typu budowle w innych większych miastach monarchii. Kiedy Jan wyjeżdżał z Krakowa przed kilku laty, w tym miejscu stały zapuszczone niskie budynki, otulone od strony oficyn drewnianymi, rozwalającymi się komórkami.

Poprzez półkoliste wejście znaleźli się w środku, lecz nie skierowali się do sali głównej, gdzie obsługiwano zwykłych klientów, ale od razu ruszyli do gabinetu dyrektora. Sekretarz zaanonsował ich i wprowadził do dużego pokoju. O dziwo, dyrektor Jan Nowaczyński okazał się w niczym niepodobny do notariusza Skalskiego. Był to człowiek stosunkowo młody, niespełna czterdziestoletni, noszący się nowocześnie, bez brody i wąsów, za to z odrobiną za długimi włosami.

Z wyglądu bardziej pasował do środowiska krakowskiej „malarni” niż do tak poważnej instytucji.

Gabinet też tchnął nowoczesnością. W dużych oknach błyskały różnorodnością barw secesyjne witraże, których projekt dyrektor zamówił u modnych tutejszych malarzy. Nie były one dziełem Wyspiańskiego czy Mehoffera, jednak z pewnością któregoś z ich uczniów. Ani Jan, ani ojciec nie

pytali o to, ale z pewnością tak było. Również biurko, sofa, stół, fotele i krzesła były nowoczesne, wygodne i lekkie. Jedno, co łączyło ten gabinet z innymi, to nieodzowny portret panującego.

Usiedli w fotelach przy okrągłym stole. Dyrektor poczęstował ich kawą, którą natychmiast podał sekretarz, i wyraził zadowolenie, że właśnie jego bank wybrała świętej pamięci pani Cecylia. Wyraził też nadzieję, iż spadkobierca nadal zechce korzystać z ich usług, dyrektor bowiem dysponował już notarialnym odpisem tej części testamentu, która dotyczyła pieniędzy.

Jan zauważył, że nie wie jeszcze, co odziedziczył, czym będzie dysponował, i że daje sobie trochę czasu na podjęcie decyzji.

– Oczywiście, przepraszam najmocniej – stropił się dyrektor Nowaczyński. – Zatem, jeżeli panowie pozwolą, przedstawię całość spadku ulokowanego u nas.

Po czym podszedł do biurka i wzięwszy papierową teczkę, wrócił do stołu.

Wyjął z niej dwa wyciągi bankowe, liczące po dwie karty. Jeden z wyciągów podał Janowi, drugi zostawił sobie. Jan, spojrzawszy tylko na tekst kartek, zasepił się nieco.

– Nie bardzo rozumiem, nie miałem zbyt wiele doświadczeń z bankami.

– Już wyjaśniam – powiedział dyrektor. – Mamy zatem trzy rodzaje majątku spadkowego. Pierwszy to wolna gotówka złożona na naszym koncie, z umową na dwa procent w skali roku. Drugi składnik majątku to akcje najpoważniejszych firm cesarskich, angielskich i niemieckich. Przynoszą one rokroczny zysk od dwóch do czterech procent. Tu muszę zaznaczyć, że nie ma w tym pakiecie akcji podejrzanych, jak na przykład nieświatnej pamięci panamskich. Dbamy o nasze dobre imię, tak jak dbamy o godziwy zysk klienta, którego majątkiem obracamy.

Trzecią grupę stanowią obligacje naszego państwa: te są najpewniejsze, choć oczywiście nie są zbyt wysoko oprocentowane.

– Czy istnieje, mimo wszystko, możliwość zamiany akcji na obligacje lub gotówkę, bez wyraźnej straty? – zapytał ojciec.

– Oczywiście. Można też trzymać majątek w złocie, moim zdaniem, to pewna lokata. Ceny złota od lat są naprawdę stabilne.

– A ile odziedziczyłem w sumie? – zapytał Jan.

Dyrektor chrząknął, wyrównał oddech i powiedział:

– Ogólnie dysponuje pan majątkiem sześćdziesięciu czterech tysięcy koron i dwudziestoma tysiącami rubli.

Zapanowało milczenie. Ojciec i Jan nie spodziewali się takiego bogactwa w rękach żony i matki. Ta suma robiła też wrażenie na dyrektorze. W samych tylko koronach majątek niemal dziesięciokrotnie przekraczał jego roczne pobory.

– Jeżeli zechce pan – dyrektor zwrócił się do Jana – nadal korzystać z naszych usług, natychmiast możemy spisać umowę. Jeżeli nie, też podpiszemy od razu stosowne papiery. Na takie kroki jesteśmy przygotowani dzisiaj i odpowiednie dokumenty czekają tylko na pana podpis. Gdyby zaś, pozostając u nas, zechciał pan dysponować akcjami, zmienić ich status, będziemy musieli umówić się na jakiś termin późniejszy.

– Co sugerujesz? – Jan zwrócił się do ojca.

– Na twoim miejscu zostałbym w banku. Ja też mam swoje rachunki właśnie u pana dyrektora.

– I ufam, że pan profesor jest w pełni zadowolony? – z lekkim uśmiechem powiedział dyrektor Nowaczyński.

– Jak najbardziej – odpowiedział ojciec. – A co do akcji, radziłbym ci zastanowić się. To jest bardzo, bardzo skomplikowana gra, bo nigdy nie wiadomo, czy jacyś oszuści właśnie nie szykują nowej afery.

– Pilnujemy interesu naszych klientów jak najrzetelniej, ale rzeczywiście nie można tego wykluczyć.

Jan podpisał umowę o pozostawieniu spadkowych pieniędzy, akcji i obligacji w Kasie Oszczędnościowej i umówił się na kolejną wizytę za dwa tygodnie. Gdy wychodzili, dyrektor Nowaczyński pożegnał ich zdaniem kluczowym dla wszystkich bankierów i dyrektorów banków na całym świecie:

– I upewniam panów, że bank nasz zapewnia klientom pełną dyskrecję, tak co do całości majątku, jak i wszelkich na nim operacji.

– Zupełnie się tego nie spodziewałem, że matka dysponuje takim dużym

majątkiem – powiedział Jan, gdy już wyszli z gmachu.

– Jakieś cztery lata temu, gdy pływałeś po morzach, twoja matka odziedziczyła te pieniądze po swej rosyjskiej babce. Mimo iż wyszła za mąż za polskiego wichrzyciela, część rodzinnego majątku się jej należała. Ja również nie spodziewałem się, że jest tego aż tyle.

Ruszyli w stronę ulicy św. Marka. Idąc wzdłuż murów klasztoru Reformatów, Orest nagle zwołał.

– Kiedy po śmierci twojej matki nie otrzymałem na słane po świecie telegramy żadnej odpowiedzi, przyszedłem tutaj z Bazylim i starym zwyczajem zadzwoniłem w „dzwon za konających” – powiedział ojciec, zatrzymując wzrok na niewielkim dzwonie skrytym pod przytwierdzonym do kościelnego budynku daszkiem. Jan mrużąc oczy, odczytał napis na fasadzie.

*Dzwonek za konających z odpustem czterdziestodniowym
od Stolicy Świętej Rzymskiej Apostolskiej pozwolonym
wystawiony R.P. 1750*

– Miałem nadzieję, że gdzieś na morzu usłyszysz jego dźwięk... i wrócisz – rzekł po chwili milczenia wzruszony profesor.

Jan objął ojca. Stali tak przez chwilę bez słowa, po czym stary Edigey otarł łzy i powiedział:

– Pozwól, że na chwilę zajrzę do kościoła. Chciałbym się pomodlić.

Jan kiwnął bez słowa głową.

W kościele usiadł z boku, nie chcąc przeszkadzać ojcu w modlitwie. Profesor klęczał w jednej z pierwszych ławek. Wśród obecnych przeważały kobiety w różnym wieku. Czasem ktoś wchodził i cicho przysiadł w ławce, pogrążając się w modlitwie.

Przy jednym z bocznych ołtarzy młodzi malarze, pod kierunkiem starszego, około czterdziestoletniego, pracowali na niewielkim rusztowaniu. Wszystkiemu przyglądał się starszy wysoki jegomość o szpakowatej brodzie i przyglądzonych gęstych, siwych włosach. Ubrany był w krótką, trochę już niemodną brązową pelerynę i Jan pomyślał, że to pewnie jakiś malarz albo profesor sztuki, który nadzoruje prace nad uświetnieniem wystroju kościoła. Kiedy szpakowaty

jegomość robotę malarzy uznał za prowadzoną we właściwy sposób, ruszył w stronę Jana, ze stojącej przed nim ławki podniósł kapelusz i zgrabną, inkrustowaną srebrem laskę.

Widząc wpatrującego się w niego Jana, szpakowaty mężczyzna na moment zrewanżował mu się tym samym. Nieco zmieszany Jan odwrócił wzrok w kierunku głównego ołtarza.

Zauważył, że ojciec skończył się modlić i idzie właśnie w kierunku wyjścia.

Jan dołączył do niego. Pomógł otworzyć drzwi i wypuścił ojca przodem.

Kiedy wyszli na zewnątrz, szpakowaty mężczyzna poprawiał właśnie na głowie ozdobiony szerokim rondem kapelusz i otrzepywał bok peleryny z resztek tynku, o który musiał zawadzić. Zauważywszy Oresta, ruszył ku niemu z uśmiechem na twarzy.

– Witam szanownego pana profesora! – Szpakowaty rozłożył ramiona w serdecznym, nieco teatralnym geście powitania.

– Poznaj, Janie, mojego dobrego znajomego – powiedział Orest. – Oto profesor Edmund Drzymuchowski.

Intuicja Jana nie myliła. Szpakowaty jegomość okazał się profesorem Akademii Sztuk Pięknych, który pięć lat temu przybył ze Lwowa, obejmując w Krakowie katedrę malarstwa.

– Jak ramię pana profesora? – spytał Orest Drzymuchowskiego. – Już lepiej?

– Nieco lepiej. Te gorące okłady i maść, którą pan profesor raczył zaordynować, zdecydowanie pomogły – odpowiedział Drzymuchowski, a po chwili dodał: – Jednak sam pan profesor wie... Już lata nie te. Ślęczenie na rusztowaniach w zimnych, starożytnych wnętrzach będę musiał zostawić swoim studentom.

– Pan profesor w całkiem dobrej formie – kurtuazyjnie wypadało odpowiedzieć Orestowi.

– Grunt, że oczy jeszcze dobre – rzekł Drzymuchowski. – I malować jeszcze mogę... Ale co tak będziemy rozprawiać na ulicy – dodał, zagarniając obydwóch Edigeyów-Koryckich pod długie ramiona wystające spod peleryny. – Mam tu nieopodal, w naszym Towarzystwie, niewielką pracownię i zapraszam

obu panów na wyborną kawę, którą przywieźli mi z Wiednia.

Orest usiłował zaprotestować, ale bliska odległość do gmachu Towarzystwa Miłośników Sztuk Pięknych okazała się sojusznikiem malarza.

Jan nie miał zbytniej ochoty, ale postanowił towarzyszyć ojcu. Ruszyli zatem na plac Szczepański. Nad miastem roznosił się dźwięk hejnału mariackiego.

Drzymuchowski rozmawiał z Orestem, opowiadając o swoich ostatnich pracach, przywracających świetność licznym krakowskim zabytkom.

Jan, który szedł lekko z boku, myślał o spadku, który właśnie odziedziczył.

Przeżywał rozterkę. Teraz, gdy był coraz bliższy wybrania stylu życia wagabundy i łazika, spadł na niego taki majątek. Te odziedziczone pieniądze wpychały go niejako w mieszczaństwo. A przecież nie chciał tego. Pieniędźmi ani się brzydził, ani o nie zabiegał. Wystarczało mu niewiele i to czyniło go wolnym. Tak przynajmniej uważał. W każdej chwili – po wyjaśnieniu sprawy śmierci matki – mógł wsiąść na jakikolwiek statek i popłynąć, oddalić się od ludzi, ich egoizmu, mętnych spraw i nieprzewidywalnych zachowań. I teraz nie wiedział, co ma zrobić.

Pracownia profesora Drzymuchowskiego nie była wcale taka mała. Mieściła się na ostatnim piętrze budynku, co gwarantowało jej dobry dostęp do dziennego światła. Składała się z dwóch pomieszczeń, z których jedno było pracownią sensu stricto, a drugie, nieco mniejsze, czymś w rodzaju saloniku, gdzie profesor przyjmował gości.

Orest z Edmundem siedzieli przy niewielkim stole, w fotelach, z których każdy diametralnie różnił się stylem, i zapewne, prócz funkcji mebla użytkowego, spełniał też funkcję malarskiego obiektu. Podobnie każda z trzech rozłożonych na stole porcelanowych filizanek stanowiła niegdyś część innego serwisu. Zapach terpentyny i olejnych farb przenikał się z zapachem wybornej kawy.

Jan w tym czasie przyglądał się nagromadzonym w pracowni licznym kamiennym architektonicznym detalom, figurkom świętych, połamanym gzymsom, fragmentom gotyckich wsporników kolumn i sklepień.

Na jednej z dwóch sztalug stał, do połowy przykryty płótnem, nieukończony

obraz.

– Wszystko to pochodzi spod ziemi. Dużo się teraz buduje, często w miejscach, gdzie jeszcze sto lat temu były kościoły i cmentarze – powiedział, popijając kawę, Drzymuchowski.

Widząc zainteresowanie Jana resztkami kamiennych elementów, dodał:

– Znoszą mi to pomocnicy murarzy i sprzedają za bezcen. Czasem trafi się coś ciekawego, jak ten maskaron. – Drzymuchowski wstał, przeszedł parę kroków do regału, na którym stało kilka starych książek, zabezpieczonych przed przewróceniem się kamienną głową jakiegoś monstra.

Jan wziął do ręki kawałek piaskowca, będący niegdyś częścią większej całości przedstawiającej potwora. Rzeźba była rozmiarów ludzkiej głowy i przypominała mu głowę jednego z pływających w formalinie wynaturzonych płodów, jakie widział u Henryka w laboratorium.

Odwzorowanie było na tyle dobre, że kamień zdawał się lepić niczym obślizgły gad. Jan odłożył go z powrotem na miejsce.

– Prawdopodobnie pochodzi ze stojącego dawniej na miejscu tego gmachu kościoła św. Szczepana. Ewentualnie z sąsiadującego z nim kościółka świętych Macieja i Mateusza. Zburzono je na początku zeszłego wieku – wyjaśniał Drzymuchowski, po czym przysunął bliżej światła kawałek podłużnej, blisko metrowej bryły z piaskowca. – A to przytargali mi z Kazimierza. Znaleźli podczas robót koło kościoła Ojców Augustianów – pochwalił się profesor, który poza posiadaniem wybitnych zdolności malarskich, okazał się kolekcjonerem i znawcą średniowiecznej sztuki.

Koryccy spojrzeli na resztki rzeźby.

– Została z tego mniej niż połowa, ale widać, że mamy tutaj do czynienia ze świętą Katarzyną Aleksandryjską.

– A skąd pan profesor z tego potrzaskanego kawałka kamienia wie, że to była ta właśnie święta? – spytał Orest.

– Nie może tu być żadnej wątpliwości co najmniej z dwóch powodów – odpowiedział Drzymuchowski i z jednej ze stojących w sąsiednim pomieszczeniu sztalug przyniósł pędzel. Dźwignął kamień w górę i oparł go na

blacie stołu.

Odwrotną stroną pędzla zaczął wskazywać pewne zachowane, wciąż dobrze widoczne elementy. – Ten okrąg, jakby piasta i odchodzące z niej promieniście szczeble, szprychy... Widzą panowie?

Jan z Orestem przytaknęli.

– To koło. Tutaj mamy resztki zaciśniętej dłoni, a w niej miecz.

Profesor wskazał fragment przypominający rękojeść miecza w zaciśniętej pięści.

– Święta Katarzyna Aleksandryjska, nie mylić ze świętą Katarzyną ze Sieny, została najpierw skazana na łamanie kołem. Kiedy jednak anioł sprawił, że koło roztrzaskało się na części, prześladowający chrześcijan cesarz Maksymin kazał ją ścinać mieczem. Stąd jej atrybutami są koło i miecz.

Drzymuchowski zakończył krótki wykład, odkładając z powrotem na podłogę to, co zostało z wyobrażenia świętej.

Orest pokiwał głową z uznaniem.

– Dodatkowo jest ona patronką kazimierskiego kościoła Augustianów i jak już mówiłem, w jego pobliżu resztki tego posągu zostały znalezione. Pewnie spadły i rozbiły się podczas trzęsienia ziemi, jakie nawiedziło Kraków w połowie piętnastego wieku.

– Trzęsienie ziemi w Krakowie? – zdziwił się Orest.

– No, proszę sobie wyobrazić, że było takie – powiedział Drzymuchowski i przeszedł do pomieszczenia obok. – To archeologiczne niemal znalezisko natchnęło mnie do namalowania przedstawiającego ją obrazu.

To powiedziawszy, gospodarz pracowni szarpnął za prześcieradło przykrywające umieszczone na sztaludze, zamalowane częściowo płótno.

Oczom Koryckich ukazał się jeszcze nieukończony obraz w stylu nawiązującym do gotyku.

– Jeszcze wymaga trochę pracy – rzekł Drzymuchowski. – Ale jest miecz, koło i palma.

I nagle coś Jana tknęło.

– Czy wszyscy święci są przedstawiani wraz z atrybutami, dzięki którym

można ich rozpoznać?

– Owszem. Na przykład wszyscy ewangelisti najczęściej trzymają w ręce księgę. Świętemu Piotrowi zawsze towarzyszą klucze. Święty Paweł trzyma w ręce miecz, którym go ścięto, a takiego świętego Bartłomieja Apostoła czasami można zobaczyć z przewieszoną przez ramię skórą, z której go obdarto. W dawnych czasach, gdy umiejętność pisania nie była powszechna, w ten sposób starano się przekazać wiernym, z jakim świętym mają do czynienia – wyjaśniał chętnie Drzymuchowski.

– A palma? Czego symbolem jest palma?

– W chrześcijaństwie, które część swojej tradycji odziedziczyło po judaizmie, palma początkowo była symbolem zwycięstwa. Ale też idąc za słowami Apokalipsy świętego Jana, które mówią: „stojący przed tronem i przed Barankiem. Odziani są w białe szaty, a w ręku ich palmy”^[8], przyjmujemy, że palma jest symbolem zwycięstwa męczenników i z nią przedstawia ich chrześcijańska ikonografia.

– Czytałem Złotą legendę Jakuba de Voragine – powiedział Jan – ale pełna jest jakichś przenośni i zupełnie niezrozumiałych dla mnie symboli.

– Zgadza się – powiedział Drzymuchowski. – To ciekawy przykład literatury średniowiecznej opartej na legendach i wierzeniach. Ale więcej napisano w późniejszych Żywotach świętych, powstałych w czasach kontreformacji.

Drzymuchowski ponownie podszedł do regału, na którym kamienna głowa maskarona podtrzymywała książki. Wyjął spośród nich dużą, oprawną w skórę księgę, bez tytułowych tłoczeń.

– To bogato ilustrowane Żywoty świętych, wydanie z połowy siedemnastego wieku – powiedział. – Dostałem je kiedyś od pewnego księdza. Musiałem kazać je na nowo oprawić. Brakuje kilkunastu kartek, ale cały czas to bardzo ciekawy egzemplarz.

Jan usiadł przy stole i zaczął z zaciekawieniem kartkować księgę. Wszystko napisane było po łacinie, więc musiał teraz docenić lata uczenia się tego martwego, zdawałoby się, języka. Na kolejnych stronach widniały ryciny przedstawiające święte dziewice, obrońców wiary, uczonych mnichów i

pobożnych biskupów.

– Musimy już iść, Janie.

Głos ojca wyrwał go z lektury. Jan nie zauważył nawet, kiedy minęły te trzy godziny, które wraz z ojcem spędzili u Drzymuchowskiego.

– Jeśli ten temat tak bardzo pana interesuje, to chętnie panu użyczę tej książki.

– Profesor Edmund Drzymuchowski, jak przystało na naukowca, rad był, że jego krótki wykład tak mocno zainteresował młodego człowieka.

– Nie chciałbym nadużywać... – zaczął Jan. – Daję panu profesorowi słowo, że oddam wkrótce.

– Niech pan z niej korzysta, ile potrzebuje. Mnie na razie nie jest potrzebna. Poza tym słowo syna profesora Edigeya-Koryckiego to dla mnie najlepsza rękojmia – odpowiedział ku zadowoleniu Oresta Drzymuchowski.

Pożegnali gospodarza, dziękując za kawę i tych kilka ciekawych opowieści.

Jan wymówił się z pójścia na obiad do ojca koniecznością spotkania się z Henrykiem. Jednak głównym powodem była chęć posłęczenia nad pożyczoną książką. Odprowadził ojca do skrzyżowania Podwała z Karmelicką, po czym ruszył szybkim krokiem na Rynek Główny, gdzie naprzeciwko odwachu przy wieży ratuszowej, w księgarni Gebethnera i Wolffa kupił kilka różnorodnych słowników łacińskich.

Obładowany tym sporym księgozbiorem szybkim krokiem poszedł do Ypsylona.

Cały środowy wieczór i większą część czwartku spędził na czytaniu.

Mozolne tłumaczenie z łaciny i wypisywanie do obszernego notesu odpowiednich fragmentów, zawartych w pożyczonej od profesora Drzymuchowskiego księdze, zupełnie go pochłonęło. Żywoty świętych porównywał ze Złotą legendą. Piętrzące się pytania chciał nawet skonsultować z profesorem, ale jak się okazało, ten wyjechał na Wielkanoc do Lwowa i wrócić miał dopiero na początku maja. Przy okazji Wielkiego Tygodnia nie chciał też przeszkadzać ojcu Antoniemu, który ewentualnie mógłby mu coś podpowiedzieć. Musiał więc radzić sobie sam. W piątek rano w jednym z antykwariatów dokupił jeszcze kilka książek z historii sztuki. Kiedy wczytał się we francuskie wydanie ilustrowanej pracy, mówiącej o historii rzymskich kościołów, zaintrygowała go jedna z ilustracji. Na czarno-białej, ale dobrze wykonanej fotografii ukazana została rzeźba z białego marmuru.

Stworzone z wielkim kunsztem dzieło sztuki rzeźbiarskiej przedstawiało leżącą postać kobiety. Ubrana była jedynie w długą do kostek szatę, spod której wystawały bosc stopy. Gdyby nie to, że głowa kobiety, włącznie z twarzą, przysłonięta była chustą, można by odnieść wrażenie, że kobieta śpi. Całość przypominała sarkofag na grobie jakiejś znacznej osoby. Nigdy wcześniej nie widział takiego sposobu przedstawiania zmarłych. Pod fotografią był tylko numer, który odsyłał do spisu ilustracji. Przekartkował książkę do końca i pod odpowiednią liczbą przeczytał coś, co spowodowało, że ciarki przeszły mu po plecach.

Ubrał się szybko, zbiegł po schodach i prawie wystrzelił z drzwi Ypsylona, potracając Fritza, robiącego porządek przed wejściem. Trzymając pod pachą książki, ruszył biegiem w kierunku ulicy Długiej. W dostojnym Krakowie, nawet w jego podejrzanych okolicach, raczej nie biegano się po mieście. Chyba że jakiś złodziej uciekał przed policją. Ten bieg Jana budził więc zdumienie, a

przechodnie oczekiwali, że za biegnącym zaraz pojawi się goniący go policjant.

Na skrzyżowaniu Długiej z ulicą Szlak udało mu się złapać dorożkę. Kazał się wieźć na Mikołajską, do gmachu Dyrekcji Policji. Zarówno adres, jak i podekscytowany stan pasażera sprawił, że dorożkarz na wszelki wypadek o nic nie pytał. Pod sam gmach zajechać nie mogli, bo ulicami szła jakaś wielkopostna procesja. Jan kazał się zatrzymać, za kurs zapłacił zdecydowanie za dużo, ale nie miał czasu czekać, aż dorożkarz wyda mu resztę. Ostatnie dwieście metrów niemal jak myśliwski chart pokonał biegiem na własnych nogach.

Wbiegł do gmachu policji. Szczęśliwym trafem nie musiał sprawującemu dyżur policjantowi tłumaczyć, do kogo idzie, bo w holu napotkał Henryka.

– Mam, mam... – rzucił zdyszany do Skarżyńskiego.

Wygląd Jana pozostawiał dużo do życzenia. Przez dwa dni jego włosy nie widziały grzebienia, a i ubierał się pospiesznie, więc jego strój był co najmniej niedbały. Policjant podniósł się z krzesła i zrobił groźną minę, sądząc, że ma do czynienia z jakimś natrętem.

Skarżyński, nic nie mówiąc, kiwnął głową do policjanta, że wszystko jest w porządku, po czym ujął Jana pod ramię.

Kiedy weszli do laboratorium, Skarżyński zapytał:

– Może wody? Siadaj. To niby kogo masz?

– Mam trop, a to najważniejsze! – odpowiedział Jan.

Usiedli przy stole, Jan otworzył jedną z książek. Rozejrzał się wokół, po czym zapytał:

– A gdzie Weronika?

– Cóż, moja siostra nie zwykła mnie informować o swoich zajęciach – rzekł nie bez pewnej złośliwości Henryk. – Nie ma jej od środy, ale liczę, że raczy wrócić jutro, bo mamy razem spędzić Wielkanoc u wujostwa.

Jan trochę się zmartwił, bo na obecność Weroniki, z którą też chciał się podzielić swoim odkryciem, liczył. To, że jej nie było, trochę wybiło go z rytmu.

Nabrał w płuca powietrza i rozpoczął konkretnie.

– Moja matka. Została zamordowana dwudziestego drugiego listopada.

– Zgadza się – przytaknął Henryk.

Jan otworzył nabytą ostatnio książkę opisującą historię rzymskich kościołów.

Wskazał Henrykowi stronę z ilustracją leżącej kobiety.

– Nic ci to nie przypomina? – spytał.

Henryk przyjrzał się bliżej.

– No... – Skarżyński nie wiedział, co powiedzieć. Zachowanie przyjaciela rodziło w nim obawy, czy aby Jan nie popada w jakąś obsesję.

– Twarz zasłonięta całunem. Jak w przypadku mojej matki – podpowiedział Jan.

– Janie... Ale to przecież jeszcze o niczym nie świadczy – skrzywił się Henryk, coraz bardziej utwierdzając się w swoich obawach.

– Przyjrzyj się dobrze – naciskał Jan. – Rzeźba pochodzi z kościoła w Trastevere. To nazwa jednej z piętnastu rzymskich dzielnic. W Quo vadis występuje jako Zatybrze.

Henryk wychylił się w stronę biurka i sięgnął po szkło powiększające.

– Spójrz na jej szyję. – Jan pokazał palcem detal rzeźby.

Henryk przybliżył szkło powiększające do kartki książki, zamykając przy tym jedno oko. Tymczasem Jan mówił dalej.

– Kościół ten poświęcony jest świętej Cecylii. W jego murach znajdują się relikwie świętej, zamknięte w sarkofagu ozdobionym jej wizerunkiem.

Henryk, wiodąc lupą po odpowiedniej części obrazka, zauważył, że szyja świętej jest niejako nadcięta i sprawia wrażenie, jakby ktoś chciał jej poderznąć gardło.

– Ta rzeźba to Męczeństwo świętej Cecylii, Henryku – skwitował Jan. – Jej wspomnienie wypada dwudziestego drugiego listopada. Wtedy też została zamordowana moja matka.

Henryk z wolna odsunął uzbrojoną w lupę twarz od książki. Na razie był sceptyczny, choć spostrzeżenia przyjaciela zrobiły na nim wrażenie.

– Może to przypadek – powiedział z wahaniem.

– Ale to już chyba nie przypadek – zaczął Jan, otwierając zaznaczoną stronę

w książce otrzymanej od ojca Antoniego. – Posłuchaj, to fragment *Złotej legendy*:

„Wróciwszy do Cecylii, znalazł ją w sypialni rozmawiającą z aniołem. Anioł zaś trzymał w ręku dwa wieńce z róż i lilij i podał jeden z nich Cecylii, a drugi Walerianowi, mówiąc przy tym... – tu Jan zwolnił i zmienił ton, wyraźnie akcentując każde słowo: – „Strzeżcie tych wieńców nieskalanym sercem... i czystym ciałem, ponieważ przyniosłem je dla was z raju Bożego!”.

Henryk popatrzył na Jana. Teraz czuł już, że jego przyjaciel trafił na istotny ślad.

To jest *Legenda na dzień Świętej Cecylii ze Złotej legendy* Jakuba de Voragine. Cecylia była męczennicą – mówił dalej Jan, wyjmując z kieszeni pocztówkę.

Widząc, że myśli Skarżyńskiego, który skojarzył czytany fragment z zapisem wysłanej na adres policji kartki, powoli zaczynają podążać wskazanym tropem, podał Henrykowi drugą książkę, pożyczoną od Edmunda Drzymuchowskiego, i powiedział:

– To są z kolei Żywoty świętych. – Jan otworzył na zaznaczonej stronie, ukazując przyjacielowi rycinę z wizerunkiem kobiety trzymającej harfę.

Skarżyński wczytywał się w łaciński tekst zapisany pod ilustracją.

– Cecylia została wydana władzom – Jan kontynuował swój wywód. – Próbowano udusić ją w łaźni, a ponieważ wyszła nietknięta, skazano ją na ścięcie.

– Ale twojej matki... – zaczął Henryk, jednak ugryzł się w język. W tym konkretnym przypadku trudno mu było przed Janem wdawać się w szczegóły zabójstwa.

– Zobacz, co święta Cecylia trzyma w dłoniach na tym obrazie... – Jan mówił jak natchniony. – Ona ma w ręce harfę! Bo jest patronką chórzystów, muzyków... Jej atrybutami są instrumenty: harfa, lutnia... struna! Rozumiesz? Struna!

– Jezus Maria – powiedział cicho Henryk. – To by się zgadzało... Została uduszona struną...

– Druga ofiara. – Jan wyrwał Henrykowi książkę i wskazał kolejną stronę. – Łucja Muraszka, ta dziewczyna z wylupionymi oczami, została zamordowana trzynastego grudnia, w dzień świętej Łucji. To przypadek?

Jan przewertował kartki i wskazał Henrykowi odpowiednią stronę.

– Święta Łucja...

Na makabrycznej rycinie widniała dziewczyna w aureoli z przepasanymi wstęgą oczami. W dłoni trzymała tacę, na której spoczywały dwie gałki oczne.

Zapanowało milczenie. Do Skarżyńskiego powoli docierał fakt, że obie ofiary rzeczywiście zginęły w dniu swoich patronek.

– A święta Krystyna została związana wraz z siostrą i zamknięta w beczce z płonąca smołą. Dzień świętej Krystyny i jej siostry Kaliksty, dziewiętnasty lutego – powiedział Jan.

– Krystyna Kiss... Ostatni raz widziana wraz ze stryjeczną siostrą około piętnastego lutego – wyszeptał Skarżyński. – A to wapno gaszone... Nie użył go dla zatarcia śladów...

– Pozostaje nam jeszcze do identyfikacji ofiara zamordowana późnym latem zeszłego roku – powiedział Jan. – Mamy jej głowę, ale nic więcej nie wiemy.

Myślę, że modus operandi będzie ten sam i mamy do czynienia z ofiarą, której dzień imienin przypada w tym okresie, a jej patronkę ścięto. Możliwe, że utopiono.

Zabija w taki sposób, jak ginęły męczennice Kościoła. Pali, dusi, oślepia, odcina głowy. Ofiary znaczą palmą. To jest znakiem męczeństwa. W oparciu łóżka mojej matki w Szczawnicy znalazłem ozdobnik w kształcie palmy. Podobnie jak rysunkiem palmy znaczone były zwłoki kobiet znalezionych w beczce. Nieznajoma ze stawu, jak powiedziałeś, miała w ustach zwinięty liść palmowy.

– Początkowo myślałem, że to knebel... Te resztki liści w zawiniątku Łucji Muraszki też były fragmentem palmy.

– Tak – powiedział Jan. – Poza tym święta Łucja jest patronką latarników, i ten ktoś dobrze o tym wiedział, porzucając jej zwłoki właśnie przy latarni.

– Jak chory musi być umysł, który stworzył taki modus operandi? Dobrze,

założmy, że tak było... – powiedział Skarżyński, wpatrując się z niedowierzaniem w Jana, tak jakby odczytywał w nim szaleńca albo geniusza. – Ale dlaczego ktoś miałby mordować te kobiety? Po co byłyby mu te odwołania do świętych męczennic?

– Żeby ratować świat. W umyśle tego człowieka świat stacza się na ostatnie moralne dno, więc żeby go uratować, trzeba ofiar na wzór świętych męczennic. Trzeba też pokazać światu, że ofiary są po coś. Dlatego ich nie ukrywa – wyjaśniał jak w gorączce Jan.

– Przecież to szaleństwo...

– Religijne szaleństwo.

Jan chciał coś jeszcze powiedzieć, kiedy jednak zamykał książki, znów spojrzał na fotografię świętej Cecylii w delikatnej szacie.

– Weronika... – powiedział nagle, przypominając sobie siostrę Henryka w stroju, w jakim go opatrywała. Bose stopy, nocna koszula... – Mówiliście, że miała wrażenie, jakby ktoś ją śledził, podglądał?

– Tak, ale od czasu tego bandyckiego napadu podobne przypadki już się nie wydarzyły – odparł Henryk.

– Kiedy twoja siostra obchodzi imieniny? – spytał roztrzęsionym głosem Jan.

– Nie... nie, no, spokojnie, Janie – zaczął Henryk. – Imieniny obchodziła czwartego lutego w Paryżu, w towarzystwie swoich zrewoltowanych koleżanek spod znaku wojującego feminizmu – zakończył, choć im bliżej był końca swojej w sposób ironiczny sformułowanej wypowiedzi, tym bardziej zaczynał się obawiać.

Jan przewrócił kilka stron *Żywotów świętych*.

Henryka tymczasem ogarniał coraz większy lęk o siostrę. Weroniki nie było w domu od środy wieczór. Owszem, była dorosła i w dodatku nieznośnie niezależna. Robiła, co chce, i nie zamierzała z nikim konsultować swoich zachowań. Jednak przypomniał sobie, że wczoraj odbywało się świąteczne spotkanie Stowarzyszenia Pomocy Naukowej dla Polek, organizowane przy ulicy Lubicz. Weronika była jedną z głównych inicjatorek tego spotkania, jednak się na nim nie pojawiła.

Rzucił się do wertowania księgi razem z Janem. Na odpowiedniej stronie *Żywotów świętych* odnaleźli rycinę przedstawiającą patronkę młodej Skarżyńskiej.

W znacznej mierze przypominała obraz ze ściany szpitala w Aleksandrii.

Święta Weronika trzymała chustę z wizerunkiem twarzy Chrystusa. Henryk, dużo lepiej od Jana władający łaciną, przetłumaczył:

Imię to ma związek z prawdą,

bowiem „Vera Icon” oznacza prawdziwy obraz.

Teraz, jakby za odsłonięciem kamienia na górskiej przełęczy, który właśnie spowodował lawinę, w głowie Jana, niczym w kinematografie, zaczęły migać obrazy: śmierdzący naftą żebrak sprzedający mu palmę, ojciec Antoni mówiący o prawdzie, płonący dom i wynoszona zeń spalona kobieta. Jeszcze się jednak upewnił.

– Anastazja Hahn? Tak nazywała się ta stara nawiedzona kobieta, której zwłoki znaleziono po pożarze? – spytał, przypominając sobie rozmowę z Miłą.

– Tak... – odpowiedział Henryk, który sprawiał wrażenie coraz bardziej zdenerwowanego. – Przedwczoraj skończyłem robić obdukcję.

Jan chwycił gwałtownie *Żywoty świętych* i zaczął szukać odpowiedniej strony, a trafiwszy na właściwy fragment, pokazał go Henrykowi.

– Święta Anastazja z Dalmacji została spalona... – bez trudu przetłumaczył, przełykając ślinę Skarżyński. – Ale jej święto przypada w grudniu. Chociaż...

Odwrócił kilka stron. Na kolejnej rycinie widniała postać klęczącej świętej, nad którą stał jakiś drab z mieczem.

– Święta Anastazja z Rzymu. Została ścięta piętnastego kwietnia. Pomylił święte?

– Niech to szlag! – krzyknął Jan, bowiem teraz wszystkie części składanej przez ostatnie dni układanki zaczęły się zgadzać. – Jak mogliśmy tego nie skojarzyć! Anastazja! Matka szalonego syna. Mieszkali kiedyś na Plantach!

Henryk zdawał się nie rozumieć, ale przeczuwał najgorsze.

– Anastazja Hahn? Hahnowie byli naszymi dawnymi sąsiadami na Plantach...

– Z okna swojego dawnego mieszkania podglądał Weronikę i potem ukradł jej chustę! – Jan był roztrzęsiony. – Chusta świętej Weroniki! Rozumiesz?! Dziś jest Wielki Piątek!

Jan ruszył do drzwi i wybiegł z laboratorium.

Znowu biegł przez Kraków, ale w jakimś szalonym pędzie, nieprzytomny, potraçał ludzi, o mało nie wpadł najpierw pod dorożkę, a potem pod automobil.

W Rynku zatrzymała go procesja z kościoła Franciszkanów. Orszak wielkopiątkowej drogi krzyżowej liczył kilkaset osób, a większość z nich miała zapalone gromnice. Procesję prowadziło Arcybractwo Męki Pańskiej, które działało w Krakowie nieprzerwanie do końca XVII wieku, a wywodziło się jeszcze z wieku XV, od Stowarzyszenia Czcieli Pana Jezusa Cierpiącego i Matki Bożej Bolesnej. Do bractwa należeli sami mężczyźni, ponieważ kobiet nie przyjmowano.

Ich godłem była Pietà, pięknie wyhaftowana srebrną i złotą nicią na czerwonej chorągwi, którą niósł młodzian słusznego wzrostu. Członkowie bractwa mieli na sobie czarne habity i szpiczaste kaptury z wyciętymi otworami na oczy. Między dwoma braćmi szedł młody mężczyzna. W jednej ręce niósł zapaloną świecę, w drugiej trupa czaszkę – zgodnie z przywilejem Bractwo miało prawo do uratowania jednego skazańca od śmierci.

Cały orszak, odziany w rytualne stroje, recytował tekst pokutny, przyjęty jako hasło bractwa: Memento homo mori! Pozostali członkowie bractwa nieśli insygnia Męki Pańskiej, a podpierali się laskami, które wieńczyły trupie czaszki.

Na sztandarach również widniały czaszki, a w rękach i na szyjach nosili wielkie krucyfiksy. Za nimi szło kilkudziesięciu franciszkanów i kilkunastu ministrantów z kadzielnicami, którymi równomiernie machali. A potem dopiero podążało kilkuset zwykłych wiernych.

Jan przeciskał się przez to niezwykle zgromadzenie, co znacznie opóźniało dotarcie przez niego do celu. W końcu dopadł dorożki i kazał czym prędzej jechać w stronę Ypsylona.

Wokół na wpuł spalonego drewnianego domu bez dachu nie było nikogo.

Jan zatrzymał się na moment, żeby złapać oddech, potem ruszył do środka.

Typowe pogorzelisko – osmalone ściany, smród palonej papy, ubrań i drewna wisiał nad kikutami dawnej konstrukcji domu. Nie dostrzegł w środku żadnego ruchu.

Obszedł uważnie pozostałości po wnętrzu, które, zanim nie strawił go pożar, składało się z dużego pokoju i małej ślepej kuchni. Na podłodze leżało mnóstwo nadpalonych lub zupełnie spopielałych świętych obrazków w połamanych ramach.

Chwilę tak postał, zastanawiając się nad czymś, po czym zauważył, że do jednego miejsca na środku sieni prowadzą od dawnego wejścia ślady przypominające równoległe linie tramwajowych szyn. Podeszedł tam, gdzie linie się kończyły.

Wyglądały tak, jakby ktoś kogoś ciągnął w taki sposób, że sunące po popiele nogi zostawiły ślad. Szybko zaczął odrzucać fragmenty desek i resztki mebli, którymi ktoś zamaskował wejście do piwnicy. Odsunął z podłogi zwęglony, ciężki konopny chodnik i jednym ruchem ściągnął go pod ścianę. Odsłonięta podłoga ukazała mu klapę do piwnicy. W klapie była potężna zasuwa, której rączka chowała się w małe, półkolistе wgłębienie, prawie w całości je wypełniając. Zszedł z klapy i ciągnąc za rączkę zasuwy, odblokował ją. Potem uniósł klapę i odrzucił na zawiasach do tyłu. Do piwnicy wiodły dość solidne, drewniane schody.

Zajrzał do środka. Była to spora murowana piwnica, pewnie pozostałość po jakiejś stojącej tu dawniej budowli. Cisza, ciemność i smród zgniłych kartofli.

Rozejrzał się po pogorzelisku i znalazł kawałek świecy osadzonej w okopconym, cynowym lichtarzyku – zapalił ten ogarek zapalkami, które jako palacz zawsze miał przy sobie, i ostrożnie zaczął schodzić.

Zobaczył Weronikę. Siedziała na podłodze, skrępowana i zakneblowana, ubrana tylko w halkę, oparta o jakąś skrzynkę. Wyciągnął nóż i szybko przeciął sznur oraz rozwiązał chustkę, która ją kneblowała. Nóż zamknął i schował do kieszeni. Wypluła jakąś zieloną trawę, którą miała w ustach pod kneblem. Drżała, była zziębnięta i półprzytomna z emocji. Jan zdjął marynarkę i okrył ją. Objęli się i mocno przytulili. Zupełnie bez słów.

– Uważaj! – krzyknęła nagle dziewczyna. I odepchnęła go mocno, sama padając na zimną podłogę.

Jan zachwiał się i przewrócił. I to chyba uratowało mu życie, bo za nim stał zwalisty człowiek uzbrojony w tasak, przypominający wyglądem zakrzywiony marynarski bułat, jakim tnie się okrętowe liny, używany też przez leśników.

Człowiek, w którym Jan rozpoznał żebraka od palmy, wymierzył potężny cios, ale tasak wylądował na zimnej posadzce, która odpowiedziała potężną iskrą. To dzięki przytomności Weroniki jego zamaszysty cios ominął Jana, muskając mu tylko lewe ramię.

Stanęli naprzeciw siebie, Jan z krwawiącym ramieniem, z gołymi rękoma i tamten z podniesionym znów olbrzymim tasakiem.

– „Obleczcie pełną zbroję Bożą, byście mogli się ostać wobec podstępnych zakusów diabła” – wyrecytował jakimś dzikim głosem mężczyzna. – „Nie toczymy bowiem walki przeciw krwi i ciału, lecz przeciw Zwierzchnościom, przeciw Władzom, przeciw rządcom świata tych ciemności, przeciw pierwiastkom duchowym zła na wyżynach niebieskich. Dlatego weźcie na siebie pełną zbroję Bożą, abyście w dzień zły zdołali się przeciwstawić i ostać, zwalczwszy wszystko. Stańcie więc przepasawszy biodra wasze prawdą i obłókłszy pancerz, którym jest sprawiedliwość...”^[9].

Po tych słowach wzniosł tasak nad głowę, jakby chciał przeciwnika rozplątać i całym swym wielkim cielskiem runął na Jana.

Ale chybił, bo Jan wybił się wysoko w powietrze i lewą nogą trafił napastnika w łokieć prawej ręki z tasakiem. Broń poszybowała, odbiła się od niskiego sufitu i upadła, wirując wokół własnej osi, na podłogę. Żebrek schylił się, żeby tasak podnieść, ale Jan, opadłszy na obie nogi, wybił się powtórnie i wylądował kolanami na plecach napastnika, który pod ciężarem Jana rozpląszczył się jak żaba i stracił przytomność. Jan natychmiast podbiegł do Weroniki i podtrzymując ją, słaniającą się na nogach, po schodach wyprowadził z piwnicy.

– Dziękuję ci, bardzo dziękuję – wyszeptła Weronika i drżąc na całym ciele, cichutko zaczęła płakać, jak dziecko wczepiła się w jego koszulę.

– Już wszystko dobrze, już dobrze... – Poglądził ją po głowie. – Nic ci nie zrobił? – spytał z obawą.

Weronika pokręciła głową.

Zdjął koszulę i owinął nią krwawiącą rękę.

Potem wyjął nóż, o którym w czasie walki nawet nie pomyślał, bo nie było na to czasu. A i sensu też żadnego, by scyzorykiem bronić się przed chłopem z bułatem w ręce. Wyjął z ręki Weroniki ziele, które wypluła, i czubkiem noża zaczął je rozwijać.

– To znowu liść palmy – powiedział.

W tym momencie rozległ się strzał. Jan spojrział przez okopconą framugę na podwórze, roiło się tam od policjantów. Strzelał w powietrze komisarz Jelinek. Z lufy jego pistoletu wychodził jeszcze dym. Kilku policjantów miało pistolety skierowane na niego.

– Ręce do góry, policja! – krzyknął donośnie i dziarsko komisarz Jelinek.

Po godzinie na posesji spalonego domu Anastazji Hahnowej wciąż roiło się od policjantów. Pracami kierował Henryk, który ledwo ochłonął po niebezpieczeństwie, w jakim znalazła się jego siostra. Zrobiono zdjęcia wnętrza domu, zabrano do analizy nadpalone resztki oraz uratowane od pożaru przedmioty.

Henryk chciał to wszystko przebadać. Zakładał bowiem, że morderca mógł więzić, a nawet zabić kogoś jeszcze, o kim na razie nie było wiadomo.

Potem ekipa policjantów zeszła na dół, albowiem Henryk nakazał przekopanie piwnicy.

Już pierwsze zagłębienia szpadla pod schodami piwnicy przyniosły tragiczne odkrycie. Tuż pod powierzchnią znaleziono dwie ręce. Za chwilę kadłub i dwie nogi. Były to poćwiartowane szczątki kobiety. Głowy nie odnaleziono, mimo że kopano ponad metr w głąb.

W tym czasie komisarz Jelinek tryumfował. Złapał mordercę kobiet! Miał już pod kluczem tego zwyrodnialca, którego ogłuszonego skuto i przetransportowano pod silną eskortą żandarmów do więzienia św. Michała w dawnym klasztorze Karmelitów. W zwołanej naprędce konferencji, w tak

zwanym Domu pod Telegrafem na ulicy Kanoniczej, gdzie komisarz udzielał, jego zdaniem, rzeczowych odpowiedzi, roіło się od dziennikarzy.

Kacper Hahn. Syn Anastazji. Oto morderca kobiet, który w wymyślny sposób pozbawiał je życia. Oto dzięki komisarzowi Jelinkowi, przy pewnej współpracy z, jak się wyraził, grupą obywateli, Stołeczne Królewskie Miasto Kraków mogło spać spokojne. Już widział się honorowanym przez Jego Ekszelencję pana namiestnika Orderem Żelaznej Korony lub innym wysokim odznaczeniem. Tak, święta dla komisarza Jelinka zapowiadały się wyjątkowo dobrze. Nastrój popsuł mu nieco sędzia Izewski, który dla dobra dalszego śledztwa kazał mu chwilowo ograniczyć popisy, co Jelinek uznał za próbę przywłaszczenia sobie jego sukcesu.

Jan, po zszyciu rozciętego ramienia, spędził Wielkanoc z ojcem i Bazyliem.

Były to jednak święta smutne. Nieobecność tragicznie zeszej z tego świata matki nadawała im refleksyjny ton. Wspólnie z ojcem odwiedzili cmentarz Rakowicki i pomodlili się nad grobem Koryckiej. Jan mimo żalu do siebie, że w konsekwencji zauroczenia Konstancją na długi czas praktycznie zerwał kontakty z rodzicami, w jednym czuł pewną ulgę. Udało mu się dopaść mordercę matki. Czuł się jakby nowo narodzony. Zapomniał o Konstancji, pojednał się z ojcem. Zakładał powrót na morze, jednak decyzję o tym, kiedy to się stanie, pozwolił sobie odłożyć na później.

W Poniedziałek Wielkanocny odwiedził Henryka i Weronikę. Temat schwytania mordercy cały czas był sprawą numer jeden, czasami tylko ustępował wspomnieniom z dzieciństwa i związanym z nimi anegdotom.

We wtorek około południa Bazyli przekazał Janowi krótki grzeczny list, w którym sędzia August Izewski zaprasza go na spotkanie w głównym gmachu Dyrekcji Policji przy Mikołajskiej 34.

Wieczorem po korytarzu pierwszego piętra więzienia św. Michała przechadzał się równym krokiem jeden z cesarsko-królewskich strażników więziennych. Przy szerokim pasie munduru miał kilka pęków kluczy, nanizanych na duże metalowe kółka. Przy każdym jego kroku klucze dzwoniły miarowo jak dzwoneczki w czasie mszy. To nawet cieszyło strażnika, dzwoniące klucze przypominały mu, że jest panem sytuacji – mógł przecież każdą z cel otworzyć, wejść i zrugać więźnia za leżenie na pryczy czy inne niedozwolone w rygorze więziennym sprawy. Mógł też podrzucać więźniom listy od rodziny, trochę jedzenia... oczywiście za opłatą. Od niedawna więzienie, w którym karę odsiadawali przestępcy różnego kalibru, gościło w swych ponurych poklasztornych murach bandytę, o którym głośno było nie tylko w Galicji. W samą Wielkanoc przeniesiono tu z aresztu policyjnego i osadzono niejakiego Kacpra Hahna, osławionego wielokrotnego, bestialskiego mordercę kobiet.

Strażnik spojrzął przez otwór judasza, zamontowanego w ciężkich, drewnianych drzwiach okutych żelaznymi sztabami. W małej pojedynczej celce, twarzą do niewielkiego zakratowanego okna, klęczał skulony barczysty mężczyzna, Kacper Hahn. Był w solidnych, mocnych kajdankach, połączonych równie solidnym łańcuchem długości sześćdziesięciu centymetrów. W mrocznej celi wyglądał jak jakieś ptaszysko, które przykucnęło na chwilę i zastygło w bezruchu. Strażnik uśmiechnął się z sadystyczną satysfakcją. Zawód, który wybrał, nie był wyborem przypadkowym. Trzeba mieć w sobie coś perwersyjnego, żeby spełniać się w fachu, polegającym na pilnowaniu ludzi. Pilnowaniu, które ma być dręczeniem zarazem.

Otworzył więc drzwi, przydając swym czynnościom odpowiedniego hałasu. Zamek zazgrzytał, trzasnęła, wydając nieprzyjemny dźwięk, stalowa zasuwa. Strażnik wspiął się na palce, chcąc dodać swojej postaci większego wyrazu, i

krzyknął:

– Hahn, wstawać!

Skulona barczysta postać pozostała w bezruchu, cicho coś mamrocząc pod nosem. Strażnik w końcu podszedł bliżej i czubkiem buta trącił więźnia.

– Nie słyszałeś?!? Wstawać!

Hahn z wolna podniósł się i stanął na nogi, wyraźnie górując posturą nad strażnikiem, który wziął do ręki kajdaniarski łańcuch i dobrze mu się przyjrzał.

– Nie majstrujesz tu czasem przy kajdanach?

Nagle bezwolny dotychczas Hahn energicznie chwycił strażnika, błyskawicznie owinał mu łańcuchem od kajdanków szyję i zaczął dusić. Ten się wił na podłodze, próbując uchwycić łańcuch i ulżyć jego nacisk, ale to nic nie dawało, brakowało mu powietrza. Z błyskającymi w szaleństwie oczami Hahn coraz głośniejszymi, miarowo recytował przerwany mu fragment Biblii, wyglądając przy tym jak kaznodzieja z czasów wypraw krzyżowych:

– „...wybiegł Mu naprzeciw z grobów człowiek opętany przez ducha nieczystego. Mieszkał on stale w grobach i nawet łańcuchem nie mógł go już nikt związać. Często bowiem wiązano go w pęta i łańcuchy; ale łańcuchy kruszył, a pęta rozrywał, i nikt nie zdołał go poskromić. Wciąż dniem i nocą krzyczał, tłukł się kamieniami w grobach i po górach!”^[10]

Po więziennym korytarzu, niczym we wnętrzu gotyckiego kościoła, niosły się słowa, którym powoli zaczął wtórować dźwięk blaszanych misek i kubków, które uderzały o drzwi sąsiednich cel. Coraz to nowe przytłumione krzyki zaczęły wtórować więźniowi. Głos Hahna był coraz silniejszy.

– „...oddał Mu pokłon i krzyczał wniebogłose: »Czego chcesz ode mnie, Jezusie, Synu Boga Najwyższego? Zaklinam Cię na Boga, nie dręcz mnie!«. Powiedział mu bowiem: »Wyjdź, duchu nieczysty, z tego człowieka« I zapytał go: »Jak ci na imię?«. Odpowiedział Mu: »Na imię mi 'Legion', bo nas jest wielu!«^[11].

W korytarzu rozległ się tupot butów po kamiennej posadzce.

– Legion! Legion! – zawył ponownie toczący pianę z ust Hahn, mocniej zaciskając łańcuch na szyi swojej ofiary.

Do celi wpadło czterech strażników, dwóch z nich tęgimi drewnianymi pałkami powaliło Hahna na podłogę. Uderzony w głowę, stracił przytomność.

Uwolniony strażnik, ciężko charcząc, ledwo mógł złapać powietrze.

Zza drzwi cel wciąż dochodziła kocia muzyka tłuczonej o drzwi blachy.

W pierwszy poświęteczny piątek w gabinecie sędziego Augusta Iżewskiego, tuż przed jedenastą, zgromadzili się: gospodarz gabinetu, komisarz Rudolf Jelinek, Jan Edigey-Korycki, Weronika i Henryk Skarżyńscy oraz jeszcze jeden elegancko ubrany mężczyzna około pięćdziesiątki, który Janowi przedstawił się jako profesor doktor Karol Nycz.

Po przywitaniu wszyscy zasiedli przy stole, a sędzia, otwierając jedną z leżących przed nim teczek, rozpoczął.

– Kacper Hahn, bo tak, jak ponad wszelką wątpliwość ustalono, nazywa się morderca co najmniej pięciu kobiet, jest w dotychczasowej historii kryminalnej indywiduum wyjątkowym. Obecność pana doktora Nycza pozwoli nam trochę lepiej poznać sylwetkę tego nieszczęśnika.

Jelinek pokręcił się na fotelu zaskoczony nieco faktem nazwania zwyrodnialca nieszczęśnikiem. Sędzia tymczasem grzecznym kiwnięciem głowy w stronę profesora oddał mu głos.

– Szanowni państwo – zaczął, poprawiając okulary, profesor Nycz. – Niecały rok temu, w czerwcu, po blisko dwunastomiesięcznej kuracji, ze szpitala w podlowskim Kulparkowie zwolniony został, mający lat trzydzieści pięć, Kacper Hahn.

Jelinek pokręcił głową z udawanym niedowierzaniem, mającym zebrany pokazać jego oburzenie.

– Na skutek błędu lekarskiego – kontynuował Nycz – polegającego na niewłaściwej diagnozie, która mówiła o znacznej poprawie stanu psychicznego pacjenta, uznano, że wszelkie jego dolegliwości minęły. W istocie dziwne paranoiczne zachowanie, napady szału, słowotok uległy ograniczeniu niemal do zera. Odkryło się to nie bez wpływu matki pacjenta, która odwiedzała syna wielokrotnie, w towarzystwie jego narzeczonej, panny Filomeny Piotrowskiej, a także długich rozmów z naszymi lekarzami i szpitalnym kapelanem.

– Jak widać – sędzia przerwał na chwilę profesorowi – ta nietrafna diagnoza skończyła się dla obydwu pań tragicznie.

– Niedoszła żona Kacpra Hahna stała się najprawdopodobniej jego pierwszą ofiarą – włączył się Henryk, któremu sędzia podał jedną z teczek, zawierającą akta sprawy. – Bałem się, że nigdy nie zidentyfikujemy tej pierwszej ofiary. Na szczęście, idąc tropem Złotej legendy i Żywotów świętych, które to książki, dzięki intuicji mojego przyjaciela, okazały się pomocne w wyjaśnieniu tej zbrodni, udało nam się odkryć prawdę. Filomena... To niezbyt częste imię. Filomena Piotrowska zaginęła w sierpniu zeszłego roku. W piwnicy domu Hahnów znaleźliśmy zakopaną resztę jej ciała. Głowa, która została wyłowiona w parku miejskim, należała do niej.

– A na znalezionej w stawie niewielkiej kotwicy były jej włosy – dodała Weronika. – Hahn utopił głowę, przywiązując ją właśnie do kotwicy. Nie skojarzyliśmy jej z ofiarą. Nikt o zdrowych zmysłach by na to nie wpadł. Gdyby nie solidność policyjnego fotografa, nie zwrócilibyśmy uwagi na ten wyłowiony ze stawu przedmiot.

Jelinek, na którego osobie właśnie skupił się wzrok Weroniki, udał, że nie rozumie aluzji, po czym zapytał:

– Ale w jaki sposób w ogóle udało się państwu połączyć ten przedmiot z wyłowioną ze stawu głową ofiary i ustalić jej tożsamość? Czy to aby nie nadinterpretacja?

– Filomena Piotrowska nie miała rodziny i nikt jej nie szukał. Nikt nie zgłosił faktu jej zaginięcia poza jedną banalną policyjną notatką, w której Anastazja Hahn oskarżyła swoją niedoszłą synową o kradzież pieniędzy, po czym to obwiniona dziewczyna miała przepaść bez wieści. Zgłoszenie to zignorowano, bowiem Hahnowa zdradzała już wtedy objawy szaleństwa. Notatkę tę sporządzono jedenastego sierpnia ubiegłego roku. Dzień wcześniej przypadło święto Filomeny męczennicy.

– Zmuszona do wyparcia się chrześcijaństwa, została skazana przez Dioklecjana na śmierć. Najpierw próbowano utopić ją w Tybrze, po czym ścięto mieczem – przypomniał uzbrojony przez ostatnie dni w bogatą wiedzę na temat

żywotów świętych Jan. – Na starych rycinach przedstawiana jest z kotwicą u szyi i palmą – dodał.

Henryk dla potwierdzenia tego faktu otworzył odpowiedni fragment w *Żywotach świętych*.

Jelinek nic nie odpowiedział. Sędzia natomiast uśmiechał się zadowolony, z uznaniem.

– Te skłonności do paranoi Hahn odziedziczył po rodzinie ze strony matki. Szaleństwo, zamiast się cofać, musiało w zastraszającym tempie przybierać na sile – podjął relację doktor Nycz. – Kacper Hahn mordował kobiety w sposób, jaki nasunęła mu na myśl chora wyobraźnia, wypaczona wieloletnią indoktrynacją despotycznej i chorej na umyśle matki. Jego matka widziała w każdej kobiecie nieczystość i naczynie wszelkiego grzechu. Niszczyła też wszelkie znajomości syna z kobietami, wcześniej zresztą rujnując karierę urzędniczą męża. Hahn w końcu i na niej odreagował lata szalonego despotyzmu. To typowa dla psychopatów osobowość narcystyczna kazała mu zabijać, a z zabójstw budować szaradę. Z policjantów i dziennikarzy zrobił sobie publiczność, którą wciągał w swoją grę tajemnic i zagadek.

– W końcu jego zbrodnia omal nie dosięgła obecnej tutaj panny Weroniki – powiedział, patrząc na Skarżyńską, sędzia. – A mogliśmy tego wszystkiego uniknąć, gdyby po pierwsze, tego nie zlekceważono, a po drugie, sprawdzono dokładniej, kto był ostatnim lokatorem mieszkania zrujnowanej kamienicy vis-à-vis mieszkania panny Weroniki, z którego to okna była obserwowana.

– Franciszek i Anastazja Hahnowie – powiedział cicho Henryk.

– No więc właśnie. I przez to nasz zbrodniarz dysponował kluczami do swojego dawnego mieszkania i stamtąd upatrzył sobie kolejną ofiarę. Może śledząc podglądacza, dotarlibyśmy do przytułku, w którym przebywał na ulicy Koletek, o ironio, tego samego, w którym przez chwilę zmuszony był żywić się ulubieniec pana komisarza Jelinka – pozwolił sobie na ironię sędzia.

Wszyscy spojrzeli na Jelinka, który w ich oczach jakby nieco zmałał. Zrobiło się cicho i dość niemiło. Nikt nie chciał publicznej egzekucji komisarza. Nie był w końcu kandydatem na świętego.

Sędziemu chyba również zrobiło się żal Jelinka, bo powiedział z lekka dobrodusznym tonem:

– No, inna sprawa, że udało się panu schwytać skazanego za liczne przestępstwa uciekiniera z tarnowskiego więzienia, który sądzę, że wrócił, gdzie jego miejsce.

Jelinek na moment rozpromienił się.

– Tak jest, panie sędzio! Mikołaj Hryć został odstawiony do więzienia o zaostrzonym rygorze w Wiśniczu. Stamtąd tak łatwo nie ucieknie.

Sędzia pokiwał z zadowoleniem głową. Wszystko wracało do porządku.

Na koniec sędzia Izewski spojrział na Jana.

– Bardzo mi przykro z powodu pańskiej matki. Być może państwo nie wiedzą, ale nasze rodziny przyjaźniły się, to dla mnie również wielki ból. Panie Janie, mam dla pana propozycję... Gdyby swój talent, wiedzę i intuicję zechciał pan spożytkować w ramach Policji Jego Cesarsko-Królewskiej Mości, byłibyśmy radzi. Próbuję właśnie rozwinąć specjalistyczny wydział, brygadę kryminalną, opartą w działaniach na najnowszych metodach kryminalistycznych, jakie są już praktyką w Paryżu, Londynie czy Wiedniu. Przyjdzie pan do nas?

Weronika poczuła się uszczęśliwiona takim obrotem spraw, a w oczekiwaniu na decyzję Jana zacisnęła pięści – na szczęście.

– Dotychczas nie wiedziałem, co mam w życiu robić – przyznał szczerze Jan.

– I poniekąd dzięki tej niewiedzy byłem wolny, bo mogłem robić wszystko. Teraz składa mi pan ciekawą propozycję... Jej przyjęcie oznaczałoby jednak utratę wszystkich innych możliwości. Czy mogę się trochę zastanowić?

– Oczywiście. Choć... mam jednak jedno małe ale... – powiedział sędzia. – To pańskie pomieszkiwanie w hotelu...

– O, i to byłaby pierwsza utrata mojej wolności. A mam ich jeszcze wiele... – odparł Jan. – W związku z tym, co pan przed chwilą powiedział, panie sędzio, będę musiał zastanowić się nieco dłużej.

– Życzę panu, aby podjął pan właściwą decyzję, która przyniesie korzyść również wymiarowi sprawiedliwości – rzekł sędzia, po czym podszedł do

telefonu i wydał krótką dyspozycję jednemu z policjantów.

Punktualnie o dwunastej, na sygnał dany przez sędziego Izewskiego, wszedł do gabinetu młody aplikant – z tacą, sześcioma kieliszkami i butelką wybornego schłodzonego wina rodem ze słynnej doliny rzeki Wachau. Aplikant elegancko nalał wino i podał każdemu z obecnych.

– Proszę państwa, ta sprawa stanie się dla przyszłych policjantów przykładem niezwykle trudnego śledztwa, błyskotliwej analizy faktów, skutecznego włączenia do procedur nowych technik. Wypijmy za nasz sukces, a precyzyjniej mówiąc, za wasz sukces – wzniósł toast sędzia.

Ogromna marynarska torba Jana nie mieściła już wszystkich rzeczy. Okazało się, że przez kilka ostatnich miesięcy przybyło mu ubrań i różnych drobiazgów.

Niby niczego nie kupował, żył życiem zredukowanym do minimum, a jednak jego torba wypchana była z dużym czubem. Jan otworzył okno, usiadł na łóżku i zapalił papierosa. Wyprowadzał się z hotelu Ypsilon. Zaczynał nowy etap wędrówki.

Wiedział, że teraz nie czekają go nowe morza i lądy, ale wyzwania, przed jakimi stawał, też były w istocie podróżą w nieznane. Co go czeka? Zadowolenie czy klęska? Spojrzał na leżące na łóżku książki. Wziął do ręki Żywoty świętych.

Dopiero teraz na pierwszej, tytułowej stronie zauważył niewielki podpis z wykaligrafowaną dawnym pismem dedykacją:

Antonius Christophorovicus

21 Decembris 1666...

L.B.S

Trochę go to zdziwiło, ale nie zdążył się dłużej zastanowić, bo rozległo się pukanie do drzwi.

Weszła Mila. Spojrzała na wór i oparła się o drzwi.

– Wyprowadzasz się?

– No tak, pora już na mnie – powiedział i bezwiednie chrząknął, jakby coś utkwilo mu w krtani.

– Panicz się wyszumiał i wraca do lepszego świata.

– Nie bądź złośliwa.

– To nie złośliwość. Jestem szczerą.

– Mam pracę, która wymaga ode mnie zmiany mieszkania – tłumaczył Jan i znowu odchrząknął.

– Będziesz policjantem, wiem. I będziesz gonił i zamykał dziewczyny. A ja,

po starej znajomości, mogę liczyć na jakieś względy?

– Przestań. Będę zajmował się sprawami kryminalnymi... morderstwami.

– To świetnie, bo jak zechcesz zasięgnąć języka, to na pewno trafisz do hotelu Ypsilon. Tutejsi ludzie dużo wiedzą. Ja też wiem sporo – uśmiechnęła się Mila.

– Słuchaj – powiedział i wstał z łóżka. – Odziedziczyłem duży spadek. Bardzo duży. Kupię ci mieszkanie i dam pieniądze. Możesz otworzyć jakiś sklepik...

– Ja nie bardzo umiem liczyć. Ledwo umiem się podpisać – parsknęła śmiechem Mila.

– Nauczysz się. Wynajmę ci nauczycielkę.

– Po co tyle ambarasu z prostą dziwką? Było miło i się skończyło.

– Dam ci te pieniądze i będziesz mogła żyć, jak będziesz chciała...

– Ale ja nie wezmę. Ja mam swoją takse. Żeby zarobiła na mieszkanie, to musiałbyś kochać się ze mną jakieś sto lat, i to codziennie po pięć razy. Poza tym oczywiście, że nie robiłabym tego z tobą dla pieniędzy.

Zapadła cisza. Jan poczuł się skonsternowany. Z jednej strony, zaskoczyła go swoją reakcją, a z drugiej, powinien się przecież tego spodziewać.

– Będę cię odwiedzał.

– Nie. Nie będziesz. To widać w twoich oczach, że nie będziesz.

Jan milczał. Nie wiedział, co ma powiedzieć tej prostej dziewczynie.

– Tak tylko przyszłam pożegnać się. Też się wyprowadzam. Do Lwowa, większe miasto, więcej klientów – oznajmiła Mila.

– Proszę cię, weź te pieniądze.

– Idę już. – Mila otworzyła drzwi. – Złamałam żelazną zasadę wszystkich dziwek tego świata, bo się zakochałam. I mam za swoje.

W miesiąc od pojmania Hahna, przed południem, w małej przytulnej krakowskiej kawiarence spotkali się: Weronika i Jan. Ona była piękniejsza niż zwykle, ślady niedawnych koszmarnych przeżyć minęły bezpowrotnie. On również wyglądał zdrowo, choć pod koszulą miał jeszcze opatrunek po cięciu tasakiem.

Jan przyniósł na spotkanie małą wiązanekę wiosennych szafirków. Od niej też dostał kwiat – małego hiacynta w doniczce.

– Nie wiem, jak ten hiacynt przeżyje u mnie...

– Jeżeli będziesz go sumiennie podlewał... I mów do niego czule. Bardzo ci dziękuję za wszystko, nie wiem, jak to wyrazić, ale... – oczy Weroniki zaszklily się. – Jesteś moim wielkim bohaterem.

– Przestań, bo się czerwienię.

– Ty?

– A ty jak się czujesz? – zmienił temat Jan.

– Lepiej, ale wtedy straszliwie się bałam, modliłam się bez przerwy do świętej Weroniki. I ten okropny zapach nafty... cały czas go czułam. Otwarta bańka stała obok mnie w piwnicy, irracjonalnie bałam się, że wybuchnie. Choć jako chemik wiem, że nafta to nie benzyna, i nie wybucha.

– Kiedy go spotkałem przed kościołem Świętego Kazimierza z palmą w ręku, śmierdział właśnie naftą. Pomyślałem wtedy, że ją pije zamiast wódki.

– To wariat, opętany jakimś szaleństwem biedny człowiek.

– Chcę pójść do więzienia Świętego Michała i go odwiedzić. Chciałbym go zrozumieć. Porozmawiać z nim, z człowiekiem, który zabił mi matkę.

Weronika spojrzała na niego z lękiem. Było coś dziwnego, niepokojącego w tej deklaracji. Twarz Jana w jednej chwili zmieniła się, a ich rozmowa straciła lekki i swobodny charakter. Chcąc ratować sytuację, Weronika poprosiła, żeby Jan opowiedział jej coś o swoich morskich przygodach, ale skończyło się na

kilkunastu zdaniach o bezkresie oceanów, różnokolorowych nacjach i innych nieistotnych szczegółach, niczym z podręcznika geografii. W puencie dodał, że przygody mają hrabiowie podróżujący dla przyjemności, on natomiast ciężko pracował. Jakoś nie umiał lub nie chciał robić na Weronice dobrego wrażenia. Można mieć też wątpliwości, czy jej nie zależało bardziej na zwyczajnej, miłej rozmowie niż na słuchaniu przechwałek globtrotera.

Weronika była pod wrażeniem osoby Jana, ale ograniczała ilość komplementów, bo bała się, że może on to odebrać jako zaloty.

– A czy to prawda, że ty jesteś sufrażystką? – zapytał Jan.

– A co to ma do rzeczy? – nastroszyła się Weronika.

– Niby nic, ale to chyba mało kobiece zajęcie...

– Masz okropne wyobrażenie o roli kobiet. Naprawdę nie sądziłam! – Weronika była gotowa natychmiast pożegnać Jana. – Masz takie poglądy... jak... jak komisarz Jelinek.

– No, to był cios poniżej pasa – Jan zaczął się śmiać i nie mógł przestać. – Ja oczywiście żartowałem, ale fakt jest faktem, że męża w Krakowie łatwo nie znajdziesz.

– No, teraz to wychodzę. – Weronika zerwała się z krzesła, jednak zaraz opadła, bo zaczęła szukać pieniędzy w torebce. – I oczywiście sama płacę za swoje lody. Dobrze zrozumiałam aluzję, ale ja nie szukam męża.

– Przepraszam, wybac... w ogóle nie przeszło mi to przez myśl... To tylko taki żart.

Weronika popatrzyła mu głęboko w oczy.

– Przysięgnij! – zażądała całkiem poważnie.

– Przysięgam – powiedział Jan. – I uwierz mi, ja naprawdę nie uważam, że wszyscy mężczyźni powinni mieć żony, a kobiety mężów. Miłość tak, ale dlaczego od razu małżeńskie okowy? Mamy już dwudziesty wiek!

Teraz Weronika zapadła się w sobie, grzebała bezmyślnie łyżeczką w lodach i nie wiedziała, co powiedzieć. Jan okazał się doskonałym materiałem na kolegę, ale ona go... kochała. Nie myślała o nim jako o przyszłym mężu, chociaż nie odrzucała też takiej ewentualności.

Porozmawiali jeszcze trochę o młodzieńczych czasach, o znajomych... i ruszyli do wyjścia.

Przed kawiarnią powiedziała:

– Mam coś dla ciebie. – I wręczyła mu duży metalowy klips.

– Co to jest?

– Klips do spinania prawej nogawki, żeby spodnie nie wkręciły się w łańcuch roweru.

– Ja nie mam roweru.

– Masz rower. – Weronika wskazała dłonią piękny nowy bocykl, oparty o ścianę obok wejścia do kawiarni. – Jest twój. To prezent ode mnie.

– Nie mogę go przyjąć.

– Zasłużyłeś na to.

– Takie cudo jest bardzo drogie...

– A gdybyś go sam sobie kupił, cieszyłbyś się?

– No, tak.

– To załóż, że sam go kupiłeś.

– Bardzo, bardzo dziękuję – powiedział w końcu. Objął ją, uściskał i pocałował mocno w policzek.

– I niech ci się dobrze jeździ.

Jan chciał coś odpowiedzieć, ale wyraźnie nie wiedział, jak i co...

– Coś cię jeszcze martwi? – zapytała Weronika.

– Nie umiem jeździć na rowerze. Jakoś się nie składało.

– To świetnie, ja cię nauczę...

– Dobrze, ale gdzieś poza miastem, żeby nie było śmiechu – zastrzegł Jan.

– Dlaczego poza miastem? Teraz, tutaj!

Weronika wsiadła na rower.

– Zobacz, to proste. – I zrobiła kilka kółek przed kawiarnią.

Jan przypiął klipsem spodnie i już miał wsiąść na rower, kiedy nagle pojawił się przed nimi pędzący powóz. Jan i Weronika odsunęli się odruchowo, bo powóz jechał zdecydowanie za szybko. Kiedy mijał ich, wzniesając tuman kurzu, Jan zauważył, że jedyną pasażerką była Konstancja. Weronika także ją

dostrzegła.

– I tak to jest, jedni muszą pedałować, żeby jechać, gdy inni są wożeni – skomentowała bystro, patrząc na Jana. – Z takich konstatacji rodzi się walka klas.

– Powiedziałaś „z takich Konstancji”? – zapytał Jan, uśmiechając się.

– Powiedziałam „konstatacji”, a ty odbierasz to podświadomie inaczej.

– Nie chciałbym mieć dóbr ziemskich, powozu... – powiedział Jan – ani woźnicy...

– Ani Konstancji? – dorzuciła Weronika.

– Konstancji chcieć nie mogę, bo już ją ma książę.

– Tak, ale dalej zasłania ci pół świata – powiedziała cicho Weronika.

– A co z drugą połową? – zapytał.

– A drugą połowę zasłaniasz sobie sam, bo lubisz mieć problemy – skwitowała Weronika. – Ale przepraszam, jeśli za bardzo wtrącam się w twoje sprawy.

Uśmiechnęła się, a Jan odwzajemnił uśmiech i po raz drugi – poza chwilą w jej mieszkaniu – popatrzył na nią nie jak na siostrę kolegi, ale jak na kobietę, która podoba mu się, robi na nim wrażenie, jest urocza. I pomyślał, że zjechał cały świat, szukając kwiatu paproci, który być może od początku miał w zasięgu ręki... jednak wiedział, że na wszystko jest już za późno. Jan był pusty w środku, wypalony, niepewny niczego.

Ostatni majowy poniedziałek był mglisty i pochmurny. Trakt wiodący w kierunku bramy więzienia św. Michała, mieszczącego się w dawnej średniowiecznej dzielnicy Krakowa, zwanej Okołem, rozmiękł od padającego w nocy deszczu. Wartownik stojący we wnętrzu budki, pomalowanej w cesarskie, czarno-żółte pasy, przyglądał się znudzony nadjeżdżającemu cykliście. Cyklista radził sobie z błotnistymi koleinami dobrze, choć dało się zauważyć, że sztukę poruszania się na bicyklu osiąść musiał niedawno. Odstawiwszy swój pojazd w pewnej odległości od bramy, ruszył w kierunku strażnika.

Górujące nad budką mury poklasztorne wyraźnie kontrastowały z jej wyrazistymi kolorami, toteż sama budka, jak i strażnik, który się z niej wyłonił, już z daleka wyglądali jakoś nierealnie, przypominając Janowi jego wizytę w amerykańskim kinematografie, gdzie miał okazję zobaczyć Podróż na Księżyc niejakiego pana Mélièsa. Miało to miejsce prawie półtora roku temu w San Francisco, ale tamtejszy, mimo że grudniowy, to jednak wyjątkowo ciepły dzień w nadmorskim klimacie w niczym nie przypominał dzisiejszego – podobnie jak oglądane przez niego z pokładu statku osławione więzienie na wyspie Alcatraz znacząco różniło się od przestarzałego więzienia św. Michała.

Wylegitymowawszy się strażnikowi, Jan ruszył przez bramę i mijając kolejne posterunki, dotarł pod wskazane mu drzwi biura, na których wisiała tabliczka ze starannie wykaligrafowanym napisem: „Naczelnik Leonard Karcz”.

W biurze trwała jakaś narada, z której od czasu do czasu dochodziły do Jana podniesione głosy. Po chwili drzwi się otworzyły i wyszło z nich kilku strażników z szarymi twarzami, przyozdobionymi w nietęgę miny. Kiedy podwładni naczelnika już zniknęli za więziennymi schodami, Jan grzecznie zapukał.

Zza drzwi padło krótkie: „Wejść!”.

Nazwanie tego ponurego pomieszczenia biurem było sporym nadużyciem.

Ściany w kolorze beżowym dawno nie widziały pędzla, a jedyne, co ożywiało to miejsce, to nieodzowny portret cesarza i tak zresztą mocno przybrudzony. W kącie stał stary, chyba stuletni piec, przy którym na prostym wieszaku wisiał mundurowy płaszcz naczelnika i wysoka czapka oficera więziennictwa. Przy prostym biurku, do którego dostawione było równie proste krzesło, siedział naczelnik Karcz, czytający jakiś zapisany formularz. Karcz, nie podnosząc głowy znad formularza, powiedział:

– Słucham pana.

– Nazywam się Jan Edigey-Korycki. Jestem z policji kryminalnej.

Naczelnik, usłyszawszy, że Jan jest z policji kryminalnej, nagle przestał wczytywać się w formularz. Sprawiał wrażenie, jakby spodziewał się kogoś innego. Wstał, dopinając ostatni guzik pod kołnierzem munduru.

– Pan w sprawie tego nieszczęsnego Hahna?

– Tak – odpowiedział Jan nieco zaskoczony. – Chciałbym z nim porozmawiać.

Naczelnik spuścił głowę.

– To pan jeszcze nie wie...

Jan popatrzył zdziwiony na Karcza.

– Dziś nad ranem Kacper Hahn popełnił samobójstwo – powiedział Karcz tonem kogoś, kto wie, że za niedopełnienie obowiązków służbowych będzie musiał zapłacić dymisją. – Podpalił siennik pod sobą i spłonął. Kazałem zawiadomić już odpowiednie służby.

– To on nie był pod ścisłym nadzorem? Sąd nakazał ścisły nadzór. – Jan nie mógł uwierzyć w to, co przed chwilą usłyszał.

– Jeżeli ktoś chce to zrobić, to zrobi. Oczywiście, wyciągniemy odpowiednie konsekwencje – rzekł naczelnik. – Ostatnio jego stan się trochę poprawił, więc nieco złuzowaliśmy rygor. Na moje nieszczęście, dałem się namówić więziennemu spowiednikowi.

– Nie rozumiem... – Janowi zaczynały chodzić szczęki. – Taki morderca miał dostęp do otwartego ognia?

– Nie miał dostępu. W jego celi nie było lampy.

– Chce mi pan wmówić, że spłonął od pioruna?

– Niech pan oszczędzi sobie żartów... – Naczelnik zaczął się lekko irytować na natarczywość Jana, jednak zdając sobie sprawę z własnych uchybień, zmienił ton: – Któryś ze strażników nie dopilnował.

Jan już miał coś powiedzieć, ale Karcz w ostatnim odruchu osoby chcącej uratować resztki swojego dobrego imienia nie pozwolił mu na atak.

– W sobotę Hahn za pośrednictwem księdza poprosił o możliwość uczestniczenia we mszy w więziennej kaplicy. Możliwe, że ukradł zapalki, które służący do mszy więzień-ministrant pozostawił przy jednym ze świeczników. Może zostawił przypadkiem, może nie. Może w ogóle nie było żadnych zapalek. Tego się już nie dowiemy. To zresztą bez znaczenia – skwitował Karcz, który mimo usilnych starań zachowania się, jak przystało na oficera CK więziennictwa, był kompletnie zrezygnowany.

– I pan uległ naleganiom jakiegoś księdza? Czy ja dobrze słyszę?

– Ojciec Antoni Krzysztofowicz jest szanowaną osobą. Spowiadał wcześniej w zakładzie dla obłąkanych w Kulparkowie, we Lwowie. Od niedawna sprawował opiekę duchową nad naszymi więźniami. Dzięki niemu uśmierzyliśmy buntownicze nastroje, które wraz z pojawieniem się Hahna w moim więzieniu przybrały na sile.

Jana na moment przytknęło.

– Mógłby pan powtórzyć nazwisko tego księdza?

– Krzysztofowicz. Antoni. Franciszkanin z kościoła Świętego Kazimierza na Reformackiej.

Jan uniósł dłoń do góry, jakby chciał coś jeszcze powiedzieć, ale po chwili opuścił rękę bezradnie, odwrócił się plecami do naczelnika i wolnym krokiem opuścił jego gabinet.

Jan pociągnął rączkę kołatki, która systemem drucików wprawiła w ruch dzwonek gdzieś w środku klasztoru. Po kilku długich minutach uchyliło się okienko w kutej bramie.

– Słucham? Pan do kogo? – zapytał jakiś dziecięcy prawie głos.

Jan zobaczył, że zmieniono chyba furtiana, bo mimo kilku wizyt u ojca Antoniego tego braciszka jeszcze nie widział.

– Ja do ojca Antoniego, bywałem już u was.

– A zapytam, po co, bo nie pamiętam pana?

– Chcę oddać książkę – odpowiedział Jan.

– Jaką książkę? – Furtian był tego dnia nad wyraz dociekliwy.

– To jest wasza książka, z waszej biblioteki. Ksiądz Antoni czytał mi ją...

Furtian odwrócił głowę w głąb zabudowań i tak trwał chwilę, jakby dostawał od kogoś jakieś znaki. Ciężka furta ani drgnęła.

– Proszę poczekać – usłyszał Jan po chwili. Okienko w furcie zamknęło się ze zgrzytem starych, nieoliwionych zawiasów.

Jan pomyślał, że nieufność młodego zakonnika przekracza granice normalności, ale czekał u furty pokornie, jak średniowieczny pokutnik na odpuszczenie grzechów. Po kilkunastu minutach okienko w furcie znowu się otworzyło i Jan zobaczył głowę jakiegoś nieznanego mu, starszego mnicha.

– To pan czeka na widzenie się z ojcem Antonim?

– Chciałem oddać książkę.

– Jaką?

– *Złotą legendę*, ksiądz Antoni pożyczył mi ją.

– Czy pan powiedział wcześniej, że ojciec Antoni czytywał ją panu?

– Tak, tak było.

– Ojciec Antoni od dziesięciu lat mało co widzi, dziwne więc rzeczy pan opowiada.

Jan usłyszał w głosie starszego zakonnika kpinę i naganę.

– Mało widzi? – powtórzył. – Jeszcze miesiąc temu doskonale widział. Przecież nie zmyślam...

– Ma pan tę książkę ze sobą?

– Oczywiście – odparł Jan i pokazał księgę.

– No dobrze, skoro pan się upiera...

Furta ze zgrzytem otwarła się i Jan zobaczył, że poza młodym braciszkiem i starszym zakonnikiem, z którym rozmawiał, przy furcie stał jeszcze zakonnik w sile wieku, wysoki i barczysty. Taka obstawa do jednej księgi? – pomyślał Jan.

Bardzo dziwne.

Ruszyli w głąb podwórza. Prowadził młodzieniec, za nim szedł Jan, a dalej zakonnik drab i ten starszy od furty.

Weszli do zabudowań. Sień była mroczna, a korytarze prawie zupełnie ciemne, ale wszystko się zgadzało, wszystko wyglądało tak jak ostatnio.

Zaprowadzili go pod drzwi celi Antoniego.

– Proszę, niech pan wejdzie – rzekł starszy zakonnik.

Jan zapukał. Nikt nie odpowiedział.

– Śmiało, niech pan wchodzi, brat Antoni słabo słyszy.

Jan otworzył drzwi. Przy prostym, zbitym z desek łóżku klęczał jakiś malutki, wysuszony starzec. Kiedy ów człowiek odwrócił się ku drzwiom, Jan zobaczył oczy ślepeca, zupełnie zasłane bielmem.

Starszy zakonnik wyminął Jana stojącego w drzwiach, podszedł do klęczącego i złożwszy dłonie w trąbkę, krzyknął mu do ucha:

– Spokojnie, nic się nie stało.

Starzec wrócił do swojej modlitwy.

Jan rozejrzał się po celi. Tak, to była cela księdza Antoniego, ale zupełnie zmieniona. Brakowało regału z książkami, stolika i taboretu. Jedna rzecz była tylko taka jak dawniej – na ścianie nad łóżkiem wisiał ten sam obraz, w grubej ramie i za szkłem: *Kuszenie Świętego Antoniego*.

– A gdzie jest ojciec Antoni?

– To jest właśnie ojciec Antoni.

– To jakieś żarty? – zapytał coraz bardziej zdumiony Jan.
– W naszym zakonie jesteśmy dalecy od żartów – odparł spokojnie starszy zakonnik. – Od ponad pół wieku nikt inny w tej celi nie mieszkał.

– A może... może jest jeszcze inny ksiądz Antoni... Zaraz, zaraz... – Jan podszedł do obrazu.

Z boku obrazu, między ramą a ścianą tkwiła wetknięta zasuszona palma.

Jan wyjął palmę i trzymając ją w dłoni, powoli podniósł wzrok na obraz. W szkłe zobaczył swoje odbicie. I teraz obraz wyglądał tak, jakby to święty Antoni Pustelnik patrzył na odbity wizerunek Jana, który zdawał się należeć do obrazu.

Zwrócił wzrok na obecnych w celi zakonników – stali nadal, pokornie schowawszy założone na piersiach ręce w rękawach habitów.

– To może oddam księgę, z którą przyszedłem? – Jan wyciągnął *Złotą legendę* i chciał ją podać starszemu.

– Niestety, nie możemy jej przyjąć. Bo skoro pan jej od nas nie brał, nie może jej pan nam oddać.

– A gdybym ją wam ofiarował?

– Też nie moglibyśmy jej wziąć. Ona widocznie jest przypisana właśnie panu. Niech ją pan zatrzyma dla siebie.

Jan nie wiedział, co o tym wszystkim sądzić. Czasem, podczas przystanków w orientalnych portach, zdarzało mu się nadużywać opium. Wtedy, w połączeniu ze zmęczeniem i wypitym alkoholem, nawiedzały go halucynacje. Ale to było w Chinach, ewentualnie w zamieszkanym przez Chińczyków dzielnicach San Francisco czy Nowego Jorku. Rzeczywistość mieszała się wtedy z senną marą. Ale tutaj? W Krakowie? Próbował sobie to jakoś wytłumaczyć. Może przebyta tropikalna choroba i nowatorska kuracja, jakiej poddał go doktor Godard, miały wpływ na niecodzienną sytuację, w której się znalazł. Najbardziej obawiał się jednak, czy aby nie traci rozumu. Czy pogoń za Hahnem i próby wejścia w jego sposób działania, wczucia się w chorego umysł, nie spowodowały jakichś zmian w jego własnej głowie? Czyżby tracił rozum? Ze zgrozą przypomniał sobie szaleńców, jakich było mu dane widzieć w życiu.

Spętanych w bure ciężkie kaftany marynarzy, których siłą ściągnano z pokładów, bo w amoku rzucali się na kolegów.

Toczących pianę nieszczęśników, tłuczonych przez chińską gawieź kołami i sztachelami. Przypomniawszy sobie spowitą w czerń, poniewieraną przez dziwki matkę Hahna. Wreszcie samego skutego kajdanami Kacpra Hahna, transportowanego do więzienia w klatce przypominającej średniowieczne narzędzie tortur, niczym w upiornej lektyce.

Szybkim krokiem szedł przez korytarz gmachu policji. Głowę miał tak zaprzątniętą ponurymi myślami, że nawet nie odpowiedział na powitanie Kazaneckiego, z którym się minął na schodach prowadzących do laboratorium. Ten zatrzymał się zdziwiony. Chciał coś jeszcze powiedzieć, ale zdołał jedynie odprowadzić wzrokiem Jana, za którym zamknęły się białe drzwi pracowni Skarżyńskiego.

– Hahn nie żyje – powiedział Jan rzeczowo, wkraczając do laboratorium, bo konkretnie był teraz czymś, czego potrzebował najbardziej.

W głównej części laboratorium nikogo jednak nie było. Jan na moment przestraszył się, że i to wszystko, w czym brał udział w tym pomieszczeniu, jest wynikiem jakichś jego zwidów. Postąpił kilka kroków dalej w stronę sali sekcyjnej.

Przy kamiennym stole stali Henryk z Weroniką. Ubrani byli w białe fartuchy, kontrastujące z czarnym, zwęglonym kadłubkiem rozłożonym na granitowym blacie. Na widok przyjaciół odetchnął w głębi ducha z ulgą.

– To już wiemy – powiedział pochylony nad zwłokami Henryk.

Jan podszedł do stołu, na którym leżał pokurczony kadłubek z pokręconymi, przykrótkimi rękami wyciągniętymi ku górze, jakby zasłaniającymi twarz przed napastnikiem czy może jakimś blaskiem nienaturalnej mocy światła. Przypominał spalonego ze szczętem wielkiego kurczaka, któremu w miejsce głowy dołączono nadnaturalnych rozmiarów ziemniaka zbyt późno wyjętego z ogniska.

– Przywieźli go przed godziną – wyjaśniła Weronika, patrząc na Jana, który niczym zahipnotyzowany wpatrywał się w zwęglone zwłoki mordercy matki.

– W więzieniu twierdzą, że podpalił pod sobą siennik – powiedział Jan.

– Byłeś w więzieniu? – spytała zaskoczona.

Jan kiwnął twierdząco głową, nie odrywając wzroku od zwęglonego trupa.

– Żeby stopień zwęglenia tkanek osiągnął taki stan, siennik musiałby być chyba nafaszerowany wysokokalorycznym węglem z samego serca kopalni – oświadczył Henryk.

– Masz jakieś inne wytłumaczenie?

– Mam, ale w nie nie wierzę.

Jan popatrzył na Henryka ze zdziwieniem. Takie zdanie nie pasowało do jego przyjaciela, który w swoich naukowych teoriach twardo stąpał po ziemi.

– Poza wilgotną, stęchłą sieczką z więziennego materaca, szmatami i deskami z pryczy, ogień nie miał aż takiej ilości paliwa, żeby dokonać podobnego dzieła. Nie ma śladów nafty. Poza tym chyba musiałoby spłonąć pół więzienia, żeby stopień destrukcji tkanek był aż tak daleko posunięty.

– Bardziej przypomina to krótki, jednorazowy zapłon. Jakby eksplozję metanu – wtrąciła Weronika.

– Właśnie – potwierdził Henryk. – Widziałem takie zwłoki w dwóch przypadkach. Raz, kiedy fala uderzeniowa płonącego metanu zmiotła kilku górników. Drugi raz, kiedy nastąpił nagły samozapłon zboża w jednym ze spichrzy.

Ludzie, którzy to widzieli, twierdzili, że ogień pojawił się jak spod ziemi i nagle zniknął. A z młynarza pozostało tyle właśnie, co z Hahna.

– Tylko że w więzieniu nie ma metanu ani zboża, które mogłoby eksplodować w jakiś wyjątkowy, choć z przyrodniczego punktu widzenia wytłumaczalny sposób – dodała Weronika.

– Słyszałem o takich przypadkach w Azji – rzekł Jan, ale niezbyt pewnie, bojąc się powiedzieć cokolwiek, co mogłoby rzucić na niego cień podejrzenia o szaleństwo, o które powoli zaczynał się posądzać.

– Tak. Myślałem i o tym... – zaczął Henryk, jednak Weronika nie pozwoliła mu skończyć.

– Kundalini – zawyrokowała. – Energia, moc duchowa, opisywana pod

postać węża. Łączy w sobie atrybuty wszystkich bogiń i bogów, jest praktyczną podstawą indyjskiej tantry. Jogini, którzy są w stanie kontrolować tę energię, podobno potrafią dokonać samospalenia.

– Takie przypadki opisywali Brytyjczycy – powiedział Henryk. – Zjawisku miał towarzyszyć jasnoniebieski kolor płomieni oraz gęsty gryzący dym, wydobywający się z ciała. Do tego dochodził jeszcze dźwięk przypominający syk ulatniającego się gazu. Z ciała pozostają tylko mocno zwęglone szczątki czy wręcz sam popiół. Zrzuciłbym to jednak raczej na chęć zwiększenia poczytności książek niż racjonalne wytłumaczenie tego zjawiska – dodał z dezaprobatą.

– Sto lat temu niewielu wyobrażało sobie możliwość rozmawiania za pośrednictwem telefonu. O aeroplanach i promieniach Roentgena nie wspomnę. Bo jeśli nie mamy tu do czynienia z czymś podobnym, to trudno będzie nam to wytłumaczyć w racjonalny sposób. Hahn zachował się jak mistyk. Opętany religijną manią... – Weronika nie dała się zbyć i próbowała lansować teorie modne wśród paryskich entuzjastów filozofii Orientu.

– O czym my tu w ogóle mówimy! – przerwał siostrze zirytowany Henryk, którego racjonalizm jednak wziął górę. – Za chwilę usłyszę, że pochłonął go ogień piekielny za grzechy. To absurd!

– Ale wygląda, jakby bronił się przed ogniem piekielnym – powiedział Jan i nagle przypomniał sobie ojca Antoniego, który stał naprzeciw obrazu zdobiącego jego celę.

„Nawet na tym obrazie nie ma zła...” – powiedział wtedy Jan.

„Zapewniam cię, Janie Edigey, że jest...” – odpowiedział wówczas dziwnym tonem zakonnik, który odbijał się w szybie w taki sposób, że namalowany święty pustelnik zdawał się z przerażeniem patrzeć na odbitą postać, jakby była ona integralną częścią obrazu.

– Co znaczą litery *L.B.S*, pisane w dawnych czasach na pierwszych stronach książek? – Jan nagle przypomniał sobie coś, co go nurtowało od pewnego czasu, jednak jeszcze nie wiedział, co o tym myśleć.

– Pytasz o skrót pisany jako część dedykacji? – zapytał Henryk, zdziwiony nieco zmianą tematu.

– Coś w tym rodzaju.

– *Lectori Benevolo Salutem*. Czyli pozdrowienia dla życzliwego czytelnika – odpowiedział Henryk. – Musiałeś w szkole przespać lekcję brachygrafii u poczciwego profesora Skierki. A skąd ci to pytanie nagle przyszło do głowy?

– Nie, nic, tak tylko... – machnął ręką Jan i nagle poczuł piekący ból w okolicach mostka, który zdołał jednak szybko opanować. Podszedł do kranu i bezpośrednio z niego napił się wody, obmywając twarz. Tymczasem Henryk zasłonił prześcieradłem zwęglone zwłoki, uznając całą rozmowę do czasu przeprowadzenia szczegółowych badań za bezzasadną. Odchodząc od stołu, dodał jeszcze tonem przypominającym wykład akademickiego wykładowcy:

– To efekt działania wysokich temperatur, pod których wpływem mięśnie kurczą się, unosząc kończyny ku górze, co pozostawia taki makabryczny dla oka efekt.

– Ostatnio dzieją się dziwne rzeczy – powiedział Jan, który mimo łyku wody nadal czuł palenie pod mostkiem, dokładnie w miejscu, w którym wytatuowany smok rozdziawiał paszczę, zdając się pluć ogniem. Pomasował dłońią to miejsce, odkaslnął i wy dobył z za poły marynarki palmę, którą zabrał z celi Antoniego. – To jest ta palma, którą kupiłem od Hahna w niedzielę, na pięć dni przed jego ujęciem – wyjaśnił, kładąc na jednym z biurek zeschnięty wiecheć owinięty w kawałek starego pergaminu. – Potem dałem ją pewnemu księdzu, którego nigdy nie było...

Skarżyńscy popatrzyli na niego zdziwieni.

– Może mam halucynacje. Może wariuję... Byłem dziś w miejscu, które odwiedziłem kilka razy, żeby spotkać człowieka, z którym w zeszłym miesiącu przegadałem co najmniej kilkanaście godzin. Od niego dostałem Złotą legendę – mówił gorączkowo, podchodząc do regału, na którym leżały książki.

W tym czasie Weronika przyjrzała się leżącej na biurku palmie.

– Te łodygi porośnięte są sporyszem – zauważyła, wskazując szary nalot pokrywający kłosa żyta. – Spożycie mąki z tak zainfekowanego ziarna powoduje zatrucie, którego efektem są halucynacje.

– W średniowieczu wywołane przez sporysz halucynacje nazywano „ogniem

świętego Antoniego”. – Henryk przyjrzał się dokładniej włosom. – Był powodem wielu zgonów. W dziesiątym wieku w Akwitanii wypieczony ze zboża zainfekowanego sporyszem chleb miał spowodować śmierć kilkudziesięciu tysięcy ludzi. Lud używał go też jako środka wczesnoporonnego. Jego śladowe ilości odkryłem na sukience Łucji Muraszki.

Henryk odwinął kartkę, w jaką zawinięta była łodyga palmy. Jego oczom ukazała się sfatygowana rycina, przedstawiająca jeźdźca tratującego smoka.

– Jeszcze jeden święty – rzekł z przekąsem.

– Ten smok... Jest zupełnie taki sam jak na twoim tatużu, Janie – powiedziała zaskoczona Weronika.

Jan spojrział na pomiętą kartkę. Rzeczywiście, smok tratowany przez końskie kopyta, w którego paszczę wbita była kopia rycerza, w znacznym stopniu przypominał smoka, jakiego miał wytatuowanego na torsie. Pod rysunkiem widniał podpis wydrukowany charakterystyczną dawną czcionką: ST. GEORGIUS.

Jan przyjrzał się kartce dokładnie, po czym przeszedł kilka kroków do jednego z biurk. Z torby wyjął książki, wśród nich najstarszą, otrzymaną od profesora Drzymuchowskiego, Żywoty świętych. Kiedy zaczął wertować jej poźółkłe stronic, palący ból w klatce piersiowej mu minął. Odnalazł interesujące go w księdze miejsce i przyłożył doń zmiętą kartkę.

– Święty Jerzy... Kiedyś ta kartka była częścią tego właśnie egzemplarza – powiedział Jan, dostrzegając, że brzeg kartki idealnie wpasowuje się w postrzępione miejsce w książce. – Ale skąd miałyby się znaleźć kartka z książki Drzymuchowskiego w rękach Hahna?

Zanim którekolwiek z przypatrujących się Janowi Skarzyńskich zdołało jakoś zareagować, Janowi przypomniały się słowa profesora.

– Drzymuchowski powiedział, że książkę dostał od pewnego księdza. Antoniego... Antoni Krzysztofowicz...! To on cały czas kierował tym nieszczęsnym Hahnem! – niemal wykrzyknął.

Skarzyńscy nic nie powiedzieli. Jan miał wrażenie, że mu nie wierzą. Może podobnie jak on sam zaczęli obawiać się, czy przypadkiem ich przyjaciel nie

popada w szaleństwo. Czy nie za dużo wrażeń w ciągu ostatnich tygodni? A może to efekt zatrucia sporyszem, o którym mówił Henryk?

Jan pozbierał należące do niego książki w milczeniu do torby. Ręce mu się trzęsły ze zdenerwowania. Twarz miał bladą. Nie patrzył na przyjaciół. Włożył torbę pod pachę i ruszył do drzwi.

– Zobaczymy się jutro – rzucił na odchodnym.

– Do widzenia, Janie – odpowiedziała Weronika.

Nad miastem wisały ciemne chmury zwiastujące deszcz. Powiewał lekki wiosenny wiatr. Ostatni poniedziałek maja 1905 roku dobiegał końca. Latarnik Pilejczyk wyszedł z domu wyposażony w sprzęty umożliwiające mu rozświetlenie miasta, nim mrok całkowicie przykryje Planty. Kolejno rozbłyskały latarnie. Przy jednej z nich stała ławka, na której pół roku wcześniej odkrył zmasakrowane zwłoki kobiety, która okazała się Łucją Muraszka.

Tym razem na ławce siedział młody mężczyzna w ciemnej kurtce. Łokcie oparte miał o kolana. Głowa spuszczone w dół jak u człowieka zmęczonego albo zrezygnowanego. Obok, na ławce, leżało kilka książek, z których największa była otwarta i pobłyskiwała przybrudzoną bielą kartek kontrastującą z zapadającym mrokiem. Wokół panowała zupełna cisza. Tylko od czasu do czasu lekki podmuch wiatru przewrócił kolejną stronicę otwartej księgi. O jeden z boków ławki oparty był rower. Pilejczyk wciąż nie do końca pozbył się traumy, dlatego też ucieszył się, kiedy na odgłos jego kroków postać w kurtce lekko się wyprostowała.

– Wszystko u pana w porządku? – spytał latarnik.

Jan wyrwany z zamyślenia odchrząknął i odpowiedział zmęczonym nieco głosem:

– Nie jestem pewny...

– Kobieta? A może karta nie szła? – spytał Pilejczyk opiekuńczo, bowiem zdarzało mu się takich spotykać.

– Tak. Karta nie szła – zgodził się Jan.

– Jeszcze się pan odegra. No, chyba że postawił pan wszystko.

– Wszystko – przytaknął Jan.

– No to ciężka sprawa – westchnął Pilejczyk, po czym wyciągnął przed siebie rękę, bowiem zdawało mu się, że poczuł kilka kropel deszczu. Jan podniósł głowę i spojrzał na latarnika, jakby jego oczom ukazała się jakaś

zjawą.

– Wszystko... – powtórzył raz jeszcze z dziwną satysfakcją.

Ale latarnik nie zwracał już uwagi na – najwyraźniej nieszczęśliwie zakochanego – młodego człowieka i wrócił do swoich zajęć, mruczając pod nosem:

– Zaraz zacznie padać. Niech się pan zbiera, bo jeszcze pana deszcz zleje i na dodatek straci pan zdrowie. O zapalenie płuc przy takiej pogodzie nietrudno, a i przez to można życie stracić...

Z nieba zaczęło padać coraz więcej gęstych kropli wiosennego deszczu.

Latarnik w oddali zapalał pośpiesznie kolejną lampę, a Jan spojrzał na leżącą na ławce książkę. Na pierwszej, tytułowej stronie, zadrukowanej czerwonymi i czarnymi literami starodawnego kroju, dominowała rycina przedstawiająca dobrze mu znanego świętego Antoniego Pustelnika kuszony przez diabła. W dolnej części książki widniał wykaligrafowany ręczny podpis, przypominający nieco zapisy metrykalne w starych księgach, jakie Jan pamiętał z dawnych czasów, kiedy był jeszcze ministrantem. Padające krople deszczu spowodowały, że zapisane przed wiekami łacińskie nazwisko:

Antonius Christophorovicus

21 Decembris 1666...

L.B.S

w kilku miejscach się rozmyło i z całego napisu pozostało jedynie kilka liter...

Ant... i... Christ...

Jan przeczytał wolno, sylabizując, rozmazany miejscami podpis. Rozejrzał się wokół siebie z dziwnym, pierwotnym, irracjonalnym lękiem, a jego pamięć uruchomiła obrazy, jak puszczane od końca sceny z kinematografu. Klatka po klatce... Sunący za ministrantem cień kulejącej postaci księdza Antoniego, kulejącej niczym diabeł strącony przed wiekami z nieba w otchłanie piekielne.

Demon, którego smocze kły miał wytatuowane na torsie.

– To będzie piękny wiek – powiedział głośno, przypominając sobie również inne słowa Burna: „Obiecałeś przedłużyć kontrakt”...

I nagle przeszedł go dreszcz... Stał obok tej siły. Na pokładzie „Legionu”, a potem na krakowskim cmentarzu, w klasztornych lochach i w celi zakonnika. Mijał go ten demon koło teatru. Z uśmiechem, który wtedy wydał mu się dowodem sympatii, lecz teraz odkrył w nim szyderstwo karcianego szulera.

– Zapewniam cię, Janie Edigey, że jest... – powtórzył słowa zakonnika, odpowiadającego na pytanie, czy zło istnieje.

Myśli Jana krążyły wokół tego wszystkiego, aż do wspomnienia najdłuższej nocy roku 1903.

EPILOG

Dwudziestego pierwszego grudnia 1903 roku zadymione po sam sufit, mroczne, oświetlone jedynie papierowymi lampionami wewnątrz chińskiej palarni opium, będącej jednocześnie miejscem szemranych spotkań różnego rodzaju dziwnych typów, których los bądź podejrzane interesy rzuciły do San Francisco.

Miejsce to było sceną urodzinowej pijatyki kapitana Burna i jego kompanii. Mocno już wstawiony Jan bełkotał po polsku jakieś smutne słowa, z czego jedno powtarzało się najczęściej i było zrozumiałe dla wszystkich kompanów Burna: „Konstancja”.

Marynarze pili na umór, otoczeni półnagimi dziewczynami, wśród których tylko nieliczne były Chinkami. Pozostałe reprezentowały różne typy i rasy, ale żadnej nie można było odmówić urody. Burn, którego wolne od rudej brody policzki oraz kołnierz rozchełstanej koszuli pomazane były różnymi odcieniami szminki, zostawionej tam przez namiętne kochanki, wstał i w towarzystwie dwóch dziewczyn, odzianych tylko w prześwitujące *dessous*, podszedł do Jana ze szklanką alkoholu. Postawił ją przed nim na niskim stole, po czym opadł wraz ze swymi towarzyszkami na niską czerwoną kanapę, na której oparciu błyszczał haftowany złotą nicią chiński smok.

– Co jest, panie Edigey? Nie podobają się panu nasze dziewczynki? Wyglądają przecież jak wyjęte prosto z raju. No prawie...

Dwie wczepione w Burna dziwki zachichotały.

Jan pokręcił głową i wybełkotał po angielsku:

– Nawet się nie umywają... Choćby zjechało się tu całe *Folies Bergère*, żadna nawet w minimalnym stopniu jej nie dorówna...

– Pfff... – parsknął Burn. – Tego kwiatu pełno świata, jak mawiają bracia O’Neillowie... – I widząc, jak jego dwaj marynarze obłapiają chińską prostytutkę, zaśmiał się demonicznie, odsłaniając białe zęby.

– Ale kwiat paproci był jeden – powiedział Jan.

– Kwiat paproci? A jest w ogóle coś takiego? – spytał kapitan, gładząc zgrabne udo jednej ze swych dziewczyn.

– U nas w Polsce podobno zakwita tylko raz w roku. I jest unikatowy, jak ona była. Oddałbym wszystko, żeby żyła.

– Wszystko? – spytał Burn.

– Wszystko – odpowiedział lekko splątany językiem Jan.

– Naprawdę wszystko? – powtórzył z naciskiem Burn i nagle dziwnym trafem cała kompania marynarzy z „Legionu”, dziwki i chińska obsługa zamilkli, skupiając całą swoją uwagę na Janie.

– Wszystko! – tym razem już wyraźnym i mocnym głosem, pozbawionym pijackiego bełkotu, odpowiedział Jan Edigey.

Przypisy

- [1] Przedlitawia, Cislitawia (niem. Cisleithanien) – nazwa (oficjalna i potoczna) używana na określenie „austriackiej”, cesarskiej części Austro-Węgier. Określenie pochodzi od rzeki Litawy, wzdłuż której biegła granica pomiędzy Cesarstwem Austrii a Królestwem Węgier.
- [2] Potoczna nazwa 20. Cesarsko-Królewskiego Pułku Piechoty, którego jeden z batalionów stacjonował w Krakowie, a pozostałe w Nowym Sączu i czasowo w Bośni.
- [3] W nocy z 8 na 9 lutego 1904 roku od ataku okrętów japońskich pod wodzą admirała Togo na Port Artur (twierdzę morską Rosji na dzierzawionym od Chin Półwyspie Liaotuńskim nad Morzem Żółtym) zaczęła się wojna japońsko-rosyjska o dominację imperialną na Oceanie Spokojnym i w Mandżurii.
- [4] Wiosną 1881 roku wybuchło w Sudanie wymierzone przeciwko kolonialnym rządóm Brytyjczyków powstanie, kierowane przez religijnego przywódcę Mohammeda Ahmeda, zwanego Mahdim (mesjaszem). Apogeum walk stanowiło zdobycie przez rebeliantów Chartumu (26 stycznia 1885).
- [5] Tb 3,4 (Biblia Tysiąclecia).
- [6] Evidenzbureau, nazwa austriackiej służby zajmującej się wojskowym wywiadem i kontrwywiadem.
- [7] Święty Tomasz z Akwinu.

[8] Ap 7, 9 (Biblia Tysiąclecia).

[9] Ef 6, 12 (Biblia Tysiąclecia).

[10] Mk 5, 2–5 (Biblia Tysiąclecia).

[11] Mk 5, 6–9 (Biblia Tysiąclecia).